

SERIA ŚWIAT VERITY



Okrutna Pieśń

BESTSELLER „NEW YORK TIMES A”

VICTORIA SCHWAB

Okrutna
Pieśń



Okrutna
Piesń

VICTORIA
SCHWAB

PRZEKŁAD
AGNIESZKA BRODZIK



Tytuł oryginału: *This Savage Song*

Copyright © 2016 by Victoria Schwab

All rights reserved.

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Małgorzata Kryszkowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Jenna Stempel

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Bloch

Fotografie na okładce: © 2016 by Vitezslav Valka / Shutterstock and Matyas Rehak / Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-838-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Tym, co dziwni, szaleni i potworni
Wielu ludzi to potwory, a wiele potworów
potrafi udawać ludzi*

V.A. Vale

A graphic of a musical staff with five vertical lines, centered on a gray background. The word "PRELUDIUM" is written across the staff in a black, handwritten-style font. Below the staff, two large, white, stylized musical notes are positioned, one on the left and one on the right, flanking the central staff lines.

PRELUDIUM



Kate

Tamtej nocy, kiedy Kate Harker postanowiła spalić szkolną kaplicę, nie kierował nią gniew czy alkohol. Była zdesperowana.

Spalenie kaplicy to ostatnia deska ratunku. Kate zdążyła już złamać koleżance nos, ściągać na pierwszym egzaminie i obrazić trzy zakonnice. Niemniej czego by nie robiła, Akademia Świętej Agnieszki wybaczała jej za każdym razem. Na tym polega problem z katolickimi szkołami. Widzieli w niej zbłąkaną duszyczkę, którą trzeba nawrócić.

Jednak Kate nie potrzebowała nawrócenia. Musiała się stąd zwyczajnie wydostać.

Już prawie wybiła północ, kiedy Kate łąduje na trawie pod oknem dormitorium. Kiedyś nazywano tę część nocy godziną duchów – mroczny czas, w którym niespokojne dusze wychodziły na wolność. Niespokojne dusze i nastolatki uwięzione w szkole z internatem zbyt daleko od domu.

Ruszyła w dół wypielegnowaną kamienną ścieżką prowadzącą z dormitoriów do Kaplicy Krzyża, z torbą przerzuconą przez ramię, skąd dobiegało stukanie butelek obijających się o siebie w rytm jej kroków. Zmieściły się wszystkie butelki prócz jednej – ze starym winem z prywatnego zbioru siostry Merilee – którą trzymała w ręku.

Dzwony zaczęły wybijać dwunastą, nisko i cicho, jednak ich dźwięk dochodził z drugiego końca kampusu, z większej Kaplicy Wszystkich Świętych. Tamta była pilnowana praktycznie na okrągło – matka Alice, wielokrotnie przełożona szkoły czy coś tam, spała w pokoju w kaplicy, a nawet jeśli Kate chętnie spaliłaby tamten budynek, nie była na tyle głupia, by oprócz podpalenia popełnić też morderstwo. Nie w obliczu tak poważnych konsekwencji.

Drzwi mniejszej kaplicy były zamykane na noc na klucz, jednak Kate ukradła go wcześniej w czasie niemiłosiernie nudnych wykładów siostry Merilee o szukaniu łaski. Weszła do środka i postawiła torbę na podłodze. W kaplicy panowały absolutne ciemności, głębsze niż Kate miała kiedykolwiek okazję zobaczyć – niebieskie szyby w blasku księżyca były czarne. Od ołtarza dzieliło ją kilkanaście ław i Kate przez chwilę miała wyrzuty sumienia, że podpala to niezwykle miejsce. Jednak nie była to jedyna kaplica szkoły – nawet nie najładniejsza – a przecież zakonnice z Akademii Świętej Agnieszki ciągle nauczały o potędze poświęcenia.

Kate wypaliła sobie drogę ucieczki z dwóch szkół (w przenośni, oczywiście) w pierwszym roku swojego wygnania i kolejną w drugim, licząc, że wystarczy.

Niestety jej ojciec okazał się zdeterminowany (w końcu Kate po kimś to miała) i za każdym razem znajdował kolejne miejsce. Czwarta szkoła, specjalizująca się w nastolatkach z problemami, wytrzymała z nią przez prawie rok, zanim się poddała. Piąta – akademia dla chłopców, której dyrekcja była gotowa zrobić wyjątek dla Kate w zamian za hojną darowiznę – zatrzymała ją tylko na kilka miesięcy, jednak ojciec musiał mieć już przygotowane miejsce w następnym ośrodku, ponieważ Kate spakowała się i pojechała tam bezpośrednio, nie zaglądając do Miasta Prawdy.

Sześć szkół w pięć lat.

Ale następnej nie będzie. Nie może być.

Kate kucnęła na drewnianej podłodze, rozpięła torbę i wzięła się do pracy.

Gdy wybrzmiały dzwony, noc stała się zbyt cicha, a kaplica upiornie pusta, więc Kate zaczęła nucić pod nosem pieśń, rozpakowując zawartość torby: dwie butelki jacka i jedna prawie pełna wódki, obie wyciągnięte z pudła ze skonfiskowanymi rzeczami, razem z trzema butelkami liczącej kilka dekad whiskey z gabinetu matki Alice, a także wino siostry Merilee. Ustawiła wszystkie trunki na ostatniej ławie, a potem podeszła do świec modlitewnych. Za trzema rzędami płytkich szklanych miseczek leżał talerzyk z zapawkami, takimi staromodnymi, z długim drewnianym.

Wciąż nucąc, Kate wróciła do swojej wystawki alkoholi i otworzyła po kolei każdą butelkę, rozlewając zawartość na ławach, jedna po drugiej, oszczędnie. Whiskey matki Alice zachowała na drewniane podium z przodu. Leżała na nim otwarta Biblia, a Kate – chwilowo poddając się mocy przesądów – uratowała księgę, wyrzucając ją przez otwarte drzwi na trawę. Kiedy wróciła do środka, mokry i słodki zapach alkoholu zaatakował jej zmysły. Zakaszła i wypluła ślinę, pozbywając się z ust kwaśnego posmaku.

Nad ołtarzem znajdującym się na drugim końcu kaplicy wisiał ogromny krzyż i nawet w panującej w kaplicy ciemności czuła na sobie wzrok posągu, kiedy podniosła zapawkę.

Wybacz mi ojcze, bo zgrzeszyłam, pomyślała, pocierając zapawkę o futrynę.

– To nic osobistego – dodała na głos, kiedy nagle pojawił się jasny płomień.

Kate przez dłuższą chwilę obserwowała ogień zbliżający się do jej palców. A potem, zanim zdążył ją poparzyć, rzuciła zapawkę na siedzisko najbliższej ławy. Alkohol zapalił się od razu, a płomień rozprzestrzenił się gwałtownie z głośnym szust i zaraz zaczął trawić także drewno. Po chwili wszystkie ławy stanęły w ogniu, potem podłoga, a na końcu ołtarz. Płomień rósł i rósł, od światełka wielkości jej paznokcia po prawdziwe piekło, które żyło własnym życiem. Kate stała, urzeczona, i patrzyła na taniec ognia wspinającego się centymetr po centymetrze kaplicy, dopóki dym nie wygonił jej na zewnątrz.

Uciekaj, powiedział głos w jej głowie – cichy, nagły, instynktowny – gdy kaplica stanęła w płomieniach.

Nie poddała mu się i zamiast biec usiadła na ławce w bezpiecznej odległości od ognia, przesuwając stopami w tę i z powrotem po trawie.

Mrużąc oczy, była w stanie dostrzec światła najbliższego podmiasta na

horyzoncie: Des Moines. Staromodna nazwa, relikwiczasy sprzed rekonstrukcji. Garść takich miast była rozrzucona wokół Prawdziwości – jednak żadne nie liczyło więcej niż milion mieszkańców i żadne nie mogło się równać stolicy. Taka była zasada. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi potworów. Albo Calluma Harkera.

Kate wyciągnęła piękną srebrną zapalniczkę, którą matka Alice skonfiskowała w pierwszym tygodniu szkoły, i zaczęła się nią bawić, by uspokoić drżące dłonie. Kiedy to się nie udało, sięgnęła do kieszeni po papierosa – kolejny łup z pudełka skonfiskowanych rzeczy – i zapaliła, obserwując taniec maleńkiego błękitnego płomienia, który zaraz został pochłonięty przez pomarańczowy żar.

Zaciągnęła się i zamknęła oczy.

Gdzie jesteś, Kate? – zapytała samą siebie.

To gra, w którą bawiła się, odkąd poznała teorię nieskończonych paraleli, głoszącą, że ścieżka życia w rzeczywistości nie jest linią lecz drzewem, a każda decyzja tworzy nową gałąź, a na niej nową wersję człowieka. Kate spodobała się myśl, że istnieje sto różnych Kate żyjących setką różnych żyć.

Może w jednym z nich nie ma potworów.

Może jej rodzina się nie rozpadła.

Może ona i jej matka nigdy nie opuściły domu.

Może nigdy tam nie wróciły.

Może, może, może – a jeśli istnieje setka żyć i setka Kate, w takim razie ona jest tylko jedną z nich i dokładnie taką, jaka powinna być. W końcu łatwiej było jej zrobić to, co musiała zrobić, jeśli wierzyła, że gdzieś tam istnieje jej inna wersja, która podjęła inną decyzję. Która dostała lepsze – albo przynajmniej prostsze – życie. Może nawet je ratowała. Może pozwalała innej Kate pozostać bezpieczną i przy zdrowych zmysłach.

Gdzie jesteś? – zastanawiała się.

Leżysz na łące. Patrzysz na gwiazdy.

Noc jest ciepła. Powietrze czyste.

Na plecach czujesz chłód trawy.

W ciemności nie czają się żadne potwory.

Jak miło, pomyślała Kate w chwili, gdy kaplica przed nią zapadła się, posyłając w niebo kurzawę iskier.

W dali rozległo się wycie syren, a Kate wyprostowała się na ławce.

No to zaczynamy.

W ciągu kilku minut z dormitoriów wypłynął strumień uczennic, a wraz z nimi matka Alice, z bladą twarzą, na którą płonąca kaplica rzuciła czerwony cień. Zanim podjechał wóz strażacki i wszystko zagłuszył, Kate miała przyjemność usłyszeć, jak świątobliwa zakonnica wyrzuca z siebie serię nieprzyzwoitych słów.

Nawet katolickie szkoły mają ograniczoną cierpliwość.

Godzinę później Kate ze skutymi rękami siedziała na tylnym siedzeniu radiowozu z Des Moines. Samochód jechał nocą po ciemnym terenie tworzącym północno-wschodni róg Prawdziwości, oddalając się od bezpieczeństwa

peryferiów i zbliżając do stolicy.

Kate poruszyła się na siedzeniu, próbując znaleźć bardziej wygodną pozycję. Przejechanie terytorium Prawdziwości wszerz zajmowało trzy dni, a zgodnie z obliczeniami Kate znajdowali się w odległości dobrych czterech godzin od stolicy i jakąś godzinę od granicy Ziemi Jałowej – jednak nie wierzyła w to, by policjant wybrał się tym samochodem w taki teren. Auto nie posiadało zbyt wiele dodatkowego wyposażenia, jedynie żelazne wykończenie oraz wzmacniane ultrafioletem lampy, które przecinały ciemność.

Mężczyzna tak mocno ścisnął kierownicę, że knykcie wyraźnie mu zbieleły.

Myślała o tym, by powiedzieć mu, żeby się nie martwił, bo jest na to jeszcze za wcześnie – byli zbyt daleko od centrum; krawędzie Prawdziwości były wciąż relatywnie bezpieczne, ponieważ żaden ze stworów ze stolicy nie chciał przekraczać Ziemi Jałowej, skoro miał wystarczająco dużo ludzi do pożarcia w pobliżu miasta. Potem jednak mężczyzna popatrzył na nią spode łba i stwierdziła, że nie będzie go uspokajać.

Przekręciła głowę, przyciskając zdrowe ucho do skórzanego fotela, i wpatrywała się w mrok.

Droga przed nimi wydawała się pusta, a noc gęsta. Kate spojrzała na swoje odbicie w oknie. Dziwny widok – na ciemnym tle pokazywały się tylko najwyraźniejsze elementy: jasne włosy, ostry zarys szczęki, ciemne oczy. Nie dało się zauważyć blizny przypominającej wyschniętą w kąciku oka łzę ani tej biegnącej wzdłuż linii włosów od skroni w dół, przy uchu.

Wiele kilometrów z tyłu z Kaplicy Krzyża zostały pewnie dymiące zgliszcza.

Dziewczęta w piżamach, tworzące rosnący tłum, przeżegnały się na ich widok (Nicole Teak, której Kate niedawno złamała nos, uśmiechnęła się z satysfakcją, jakby Kate wreszcie się doigrała; a przecież ona *chciała* dać się złapać), a matka Alice pomodliła się za duszę Kate, gdy tę wyprowadzano poza teren szkoły.

Nie będe za tobą płakać, święta Agnieszko.

Policjant coś powiedział, ale słowa rozpadły się, zanim zdążyły do niej dotrzeć, zostawiając za sobą tylko stłumione dźwięki.

– Co? – zapytała, odwracając głowę z udawanym brakiem zainteresowania.

– Jesteśmy prawie na miejscu – mruknął mężczyzna, wciąż obrażony, że ktoś zmusił go do przejechania takiego kawału drogi, choć on wolałby zamknąć dziewczynę na noc w celi.

Minęli znak – 380 kilometrów do stolicy. Zbliżali się do Ziemi Jałowej, terenu buforowego między stolicą a resztą Prawdziwości. *Fosa ze swoimi własnymi potworami*, pomyślała Kate. Nie istniała wyraźna granica, jednak czuło się zmianę, niczym na wybrzeżu, ziemia zdawała się opadać, chociaż pozostawała płaska. Ostatnie miasteczka zniknęły, zastąpione przez nieużytki, a świat ze spokojnego zmieniał się w *pusty*.

Po kilku kolejnych boleśnie cichych kilometrach – policjant nie chciał włączyć radia – monotony krajobraz ciągnącej się bez końca głównej drogi przerwała odnoga, a radiowóz skręcił w nią. Koła zjechały z asfaltu na żwir, a potem się zatrzymały.

W piersi Kate zamigotało słabo podniecenie, kiedy światła omiotły auto. Nie byli sami; na poboczu wąskiej drogi stał czarny transportowiec. Jedynymi znakami życia było oświetlone podwozie, czerwone światła hamowania i warkot uruchomionego silnika. Światła radiowozu prześlizgnęły się po przyciemnianych szybach drugiego auta i zatrzymały się na metalowej siatce zdolnej porazić setką tysięcy woltów wszystko, co za bardzo by się zbliżyło. Ten samochód był zaprojektowany tak, by przetrwać podróż przez Ziemię Jałową – i spotkanie z każdym jej mieszkańcem.

Kate uśmiechnęła się w ten sam sposób, w jaki uśmiechnęła się do niej Nicole przed kaplicą – z satysfakcją i samozadowoleniem. To nie był uśmiech radości lecz triumfu. Policjant wysiadł, otworzył przed nią drzwi, a potem wyciągnął ją z tylnego siedzenia za łokieć. Rozpiął kajdanki, mrużąc coś pod nosem o polityce i przywilejach bogaczy, podczas gdy Kate rozmasowywała nadgarstki.

– Wolna? – Skrzyżował ramiona na piersi. Uznała to za odpowiedź twierdzącą i ruszyła w stronę drugiego auta, a potem odwróciła się i wyciągnęła rękę. – Ma pan coś, co należy do mnie – powiedziała.

Nie poruszył się.

Kate zmrużyła oczy. Pstryknęła palcami, a mężczyzna spojrzał na mrużący czołgo-samochód i zaraz wyciągnął z kieszeni srebrną zapalniczkę.

Dziewczyna oplotła palcami gładki metal i odwróciła się, jednak zdążyła jeszcze złapać zdrowym uchem słowo „dziwka”. Zignorowała to. Wsiadła do transportowca, zajęła miejsce na skórzanej kanapie i zaczęła wsłuchiwać się w odgłosy odjeżdżającego radiowozu. Jej kierowca właśnie rozmawiał przez telefon, ale popatrzył na nią w lusterku wstecznym.

– Tak, mam ją. Dobra, już. Proszę. – Podał jej komórkę przez okienko w ścianie działowej, a Kate podskoczyło ciśnienie. Przyjęła telefon i przyłożyła do lewego ucha.

– *Katherine. Olivio. Harker.*

Głos po drugiej stronie był cichym grzmotem, dudniącą ziemią. Niepodniesiony i nieznoszący sprzeciwu. Taki ton domagał się szacunku, jeśli nie wprost strachu. Takiego tonu Kate uczyła się od lat, niemniej poczuła, jak wstrząsa nią nieoczekiwany dreszcz.

– Witaj, ojciec – powiedziała, próbując zapanować nad swoim głosem.

– Jesteś z siebie dumna, Katherine?

Zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

– Bardzo.

– Święta Agnieszka to szósta szkoła.

– Aha – mruknęła, udając brak zainteresowania.

– Sześć szkół w pięć lat.

– No co, zakonnice mówiły, że mogę osiągnąć wszystko, jeśli tylko zechcę. A może to byli nauczyciele z Wild Prior? Zaczynam się już gubić...

– *Wystarczy.* – Słowo było jak uderzenie w splot słoneczny. – Musisz z tym skończyć.

– Wiem – odparła, starając się być tą właściwą Kate, tą, którą chciałby mieć

przy sobie, która zasługiwałaby na to, żeby być przy nim. Nie tą leżącą na łące albo tą płaczącą w samochodzie tuż przed wypadkiem. Tą, która niczego się nie bała. Nikogo. Nawet jego. Nie potrafiła przywołać tamtego triumfalnego uśmiechu, lecz wyobraziła go sobie i zachowała jego obraz w pamięci. – Wiem – powtórzyła. – Domyślam się też, że tuszowanie tego rodzaju wybryków staje się coraz trudniejsze. I bardziej kosztowne.

– Dlaczego w takim razie...

– Znasz powód, tato – rzuciła, przerywając mu. – Wiesz, czego chcę. – Słyszała, jak wypuszcza powietrze. Odchyliła głowę, kładąc ją na skórzanym oparciu. Szyberdach transportera był otwarty i mogła oglądać gwiazdy rozrzucone po niebie. – Chcę wrócić do domu.

August

Zaczęło się od wybuchu.

August przeczytał te słowa po raz piąty, wciąż nie rozumiejąc ich znaczenia. Siedział przy kuchennym blacie, tocząc po nim jabłko jedną ręką, a drugą przyciskając otwartą książkę o wszechświecie. Noc rozgościła się za metalowymi żaluzjami, a August czuł, jak miasto przyciąga go do siebie zza ścian. Zerknął na zegarek – spod podciągniętego rękawa widać było położone najniżej czarne kreski. Z drugiego pokoju dało się słyszeć głos jego siostry, chociaż jej słowa nie były przeznaczone dla niego, a z dziewiętnastu niższych kondygnacji docierał do niego wielowarstwowy hałas rozmów, dudnienia ciężkich butów, metaliczne trzaski ładowanej broni i tysiące innych rwanych dźwięków, które tworzyły swoistą muzykę kompleksu Flynn'a. August na powrót skupił się na książce.

Zaczęło się od wybuchu.

Słowa te przypomniały mu fragment „Wydrążonych ludzi” T.S. Eliota. *I tak właśnie kończy się świat. Nie hukiem a skomleniem*^[1]. Oczywiście w jednym chodziło o początek życia, a w drugim o jego koniec, lecz mimo to August zaczął się zastanawiać: nad wszechświatem, nad czasem, nad sobą. Myśli przewracały się w jego głowie jak domino, jedna wpadała na drugą, druga na trzecią...

Zadarł gwałtownie głowę tuż przed tym, jak otworzyły się stalowe kuchenne drzwi i do środka wszedł Henry. Henry Flynn, wysoki i szczupły, z dłońmi chirurga. Był ubrany w standardowy ciemny uniform oddziałów specjalnych, do którego przypiął srebrną gwiazdę. Należała niegdyś do jego brata, wcześniej do ojca, a jeszcze wcześniej do wuja i tak dalej, pięćdziesiąt lat wstecz, sięgając jeszcze czasów sprzed upadku i rekonstrukcji oraz utworzenia Prawdziwości, a może nawet jeszcze wcześniejszych, ponieważ jakiś Flynn zawsze znajdował się w sercu tego miasta.

– Cześć, tato – powiedział August, starając się nie zabrzmieć, jakby czekał na tę chwilę cały wieczór.

– August – odparł Henry, odstawiając HUV-a, silną latarkę UV, na blat kuchenny. – Co słychać?

August przestał bawić się jabłkiem, zamknął książkę i zmusił się do tego, by siedzieć nieruchomo, chociaż wszystko w nim buzowało dzięki kłębiącym się w głowie myślom; musiało mieć to coś wspólnego z potencjałem i energią kinetyczną, ale zgadywał. Tak czy inaczej, jego ciało pragnęło ruchu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Henry, nie doczekawszy się odpowiedzi.

August przełknął głośno ślinę. Nie mógł kłamać, więc dlaczego tak trudno mu

było powiedzieć prawdę?

– Nie mogę tak dalej – oznajmił.

Henry popatrzył na książkę.

– Masz dosyć astronomii? – zapytał z fałszywą swobodą. – Więc zrób sobie przerwę.

August spojrział swojemu ojcu w oczy. Henry Flynn miał łagodne spojrzenie i smutne usta albo smutne spojrzenie i łagodne usta; nigdy nie potrafił ich dopasować. Twarze mają tak wiele rysów, nieskończenie wiele wariacji, a jednak każda potrafiła wyrażać tak łatwe do zidentyfikowania uczucia, jak duma, obrzydzenie, frustracja, zmęczenie... August znowu odpływał gdzieś myślami. Walczył, by wrócić na brzeg.

– Nie mówię o książce.

– August... – zaczął Henry, ponieważ już wiedział, dokąd zmierzała ta rozmowa. – Nie będziemy o tym dyskutować.

– Ale gdybyś tylko...

– Oddziały specjalne nie wchodzi w grę.

Stalowe drzwi otworzyły się ponownie i do kuchni weszła Emily Flynn z pudłem zapasów, które zaraz postawiła na blacie. Była odrobinę wyższa od męża, szersza w ramionach, z ciemniejszą skórą i krótkimi włosami. Na biodrze miała kaburę. Emily poruszała się krokiem żołnierza, jednak podobnie jak Henry miała zmęczone oczy i ściągniętą twarz.

– A ty znowu o tym samym.

– Jestem otoczony przez OSF – zaprotestował August. – Gdzie bym nie szedł, ubieram się jak oni. Czy to taka duża różnica, gdybym stał się jednym z nich?

– Tak – odparł Henry.

– To niebezpieczne – dodała Emily, rozpakowując jedzenie. – Ilsa jest w swoim pokoju? Pomyślałam, że moglibyśmy...

Jednak August nie zamierzał odpuścić.

– Wszędzie jest niebezpiecznie – przerwał jej. – O to właśnie chodzi. Wasi ludzie ryzykują życiem każdego dnia, walcząc z *tamtymi*, a ja siedzę tutaj i czytam o gwiazdach, udając, że wszystko jest w porządku.

Emily pokręciła głową i wyciągnęła nóż ze stojaka na blacie. Zaczęła kroić warzywa, tworząc porządek z chaosu, jeden plaster po drugim.

– Kompleks jest bezpieczny, August. A przynajmniej bezpieczniejszy niż ulice.

– I właśnie dlatego powinienem być na zewnątrz, *pomagając* w czerwonej strefie.

– Masz swoje zadania – powiedział Henry. – To...

– Czego się tak bardzo boicie? – warknął August.

Emily odłożyła nóż z metalicznym stuknięciem.

– Naprawdę musisz o to pytać?

– Boicie się, że stanie mi się krzywda? – A potem, zanim zdążyła odpowiedzieć, August wstał. Jednym płynnym ruchem chwycił nóż i wymierzył sobie cios w dłoń. Henry wzdrygnął się, a Emily wciągnęła gwałtownie powietrze, jednak ostrze ześlizgnęło się z jego skóry, jakby była z kamienia,

a jego koniec wbił się w deskę do krojenia. W kuchni zapadła cisza.

– Zachowujecie się, jakbym był ze szkła i mógł się rozbić w każdej chwili – powiedział, puszczając nóż. – Ale nie jestem. – Chwycił jej rękę. Tak, jak nieraz robił to Henry. – Em – zaczął łagodnie. – *Mamo*. Nie jestem kruchy. Wręcz *przeciwnie*.

– Nie jesteś też niepokonany – odpowiedziała. – Nie...

– Nie wyślę cię na zewnątrz – wtrącił się Henry. – Jeśli ludzie Harkera cię złapią...

– Leo pozwalasz dowodzić całym oddziałem – odparował August. – Wszędzie wiszą zdjęcia jego twarzy, a mimo to wciąż żyje.

– To co innego – stwierdzili jednocześnie Henry i Emily.

– Dlaczego? – rzucił wyzywająco.

Emily podniosła rękę do twarzy Augusta, tak jak kiedyś, gdy był dzieckiem – chociaż to mylne określenie. Nigdy nie był dzieckiem, nie naprawdę, dzieci nie materializują się nagle na środku miejsca zbrodni.

– Chcemy cię chronić. Leo od pierwszego dnia brał udział w operacjach. To jednak oznacza, że stanowi *stały* cel. I im więcej terenu udaje nam się zdobyć w tym mieście, tym bardziej ludzie Harkera będą chcieli wykorzystać nasze słabości i skraść nasze atuty.

– A czym ja jestem? – zapytał August, odsuwając się od niej. – Waszą słabością czy atutem?

Na te słowa ciepłe brązowe oczy Emily otworzyły się szeroko.

– Jednym i drugim.

Zadawanie takich pytań było nie fair, jednak prawda zaboliała.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – zastanawiał się Henry, przecierając oczy. – Przecież nie chcesz walczyć.

Miał rację, August nie chciał walczyć – nie na ulicach w środku nocy i nie tutaj, z rodziną – jednak czuł potworną wibrację w kościach, coś próbującego wydostać się na zewnątrz, melodię grającą coraz głośniej i głośniej w jego głowie.

– Nie – przyznał – ale chcę *pomóc*.

– I tak już pomagasz – upierał się Henry. – Oddziały leczą wyłącznie objawy. Ty, Ilsa i Leo uderzacie w samą chorobę. Tak to działa.

„Ależ właśnie nie działa!” – chciał wykrzyknąć August. Rozejm między siłami w Mieście Prawdy – Harkera i Flynną – trwał zaledwie od sześciu lat i już rozchodził się w szwach. Wszyscy wiedzieli, że nie wytrzyma. Każdej nocy do miasta zakradało się coraz więcej śmierci. Było zbyt wiele potworów i za mało dobrych ludzi.

– Proszę – powiedział. – Mogę zrobić więcej, jeśli tylko mi na to pozwolicie.

– August... – zaczął Henry.

Chłopiec tylko podniósł rękę.

– Po prostu obiecajcie, że to przemyślicie.

Po tych słowach wycofał się z kuchni, zanim rodzice poczuliby się zmuszeni do wyznania mu prawdy.

Pokój Augusta był studium entropii i porządku, swoistym opanowanym chaosem. Niewielkie pomieszczenie nie posiadało okna i gdyby nie było tak dobrze mu znajome, czułby się w nim jak w klatce. Książki od dawna nie mieściły się na półkach i teraz stały w dziwacznych stertach na i wokół łóżka, wiele z nich leżało otwartych, grzbietem do góry, na pościeli. Niektórzy ludzie mają ulubione tematy albo gatunki, lecz Augusta interesowało wszystko, co nie było fikcją – chciał wiedzieć każdą rzecz o świecie takim, jaki był, jest i będzie. Jako ktoś, kto pojawił się na nim nagle, niczym w wyniku magicznej sztuczki, obawiał się niepewnej natury swojej egzystencji – że mógłby w pewnej chwili równie raptownie zniknąć.

Książki były poukładane według tematyki: astronomia, religioznawstwo, historia, filozofia.

August zamiast chodzić do szkoły, uczył się w domu, co w praktyce oznaczało, że zajmował się tym zupełnie sam. Czasami Ilsa próbowała mu pomóc, jeśli akurat jej umysł pracował w kolumnach zamiast w węzłach. Jego brat, Leo, nie miał cierpliwości do książek, zaś Henry i Emily byli zbyt zajęci, więc przez większość czasu August pracował sam. I przez większość czasu nie przeszkadzało mu to. Teraz się to jednak zmieniło. Sam nie wiedział, kiedy samodzielność stała się osamotnieniem.

Oprócz mebli i książek w jego pokoju znajdowały się jeszcze skrzypce. Leżały w otwartym futerale wspartym na dwóch stosach książek, a August instynktownie podążył w jej stronę, lecz oparł się chęci sięgnięcia po nie i zagrania. Zamiast tego zdjął egzemplarz Platona z poduszki i opadł na skotłowaną pościel.

W pokoju było duszno, więc podciągnął rękawy koszuli, odsłaniając setki czarnych kresek, które zaczynały się na lewym nadgarstku i biegły ku górze, aż do ramienia, a potem dalej, do obojczyka i żeber.

Dzisiaj było ich czterysta dwanaście.

August odgarnął ciemne włosy i wsłuchał się w głosy Henry'ego i Emily, którzy wciąż siedzieli w kuchni i rozmawiali w typowy dla siebie łagodny sposób. Rozmawiali o nim, o mieście, o rozejmie.

Co się stanie, jeśli rozejm faktycznie zostanie zerwany? Nie jeśli, lecz kiedy. Leo zawsze mówił *kiedy*.

August nie istniał jeszcze, kiedy po wydarzeniu zwanym Fenomenem wybuchły wojny o terytorium, słyszał jedynie historie o rozlewie krwi. Widział jednak strach w oczach Flynna za każdym razem, kiedy poruszano ten temat – co zdarzało się coraz częściej. Leo nie wydawał się zaniepokojony – twierdził, że Henry *wygrał* wojnę terytorialną, że rozejm jest ich zasługą i że mogą to powtórzyć.

„Kiedy przyjdzie czas – mówił Leo – będziemy gotowi.”

„Nie – odpowiadał zawsze Flynn z ponurym wyrazem twarzy. – Nikt nie jest gotowy na coś takiego”.

W końcu głosy z sąsiedniego pomieszczenia umilkły, a August został sam na sam ze swoimi myślami. Zamknął oczy, szukając ukojenia, lecz gdy tylko

zapadła cisza, zaraz została przerwana, odległy łomot wystrzeliwanych pocisków odbijał się echem w jego głowie jak zawsze – ten dźwięk zakłócał każdą spokojniejszą chwilę.

Zaczęło się od wybuchu.

Przewrócił się na drugi bok i wyciągnął odtwarzacz spod poduszki, włożył słuchawki do uszu i nacisnął przycisk „play”. Rozbrzmiała muzyka klasyczna, głośno, radośnie i cudownie, a August zanurkował w melodii, obracając w głowie cyframi.

Dwanaście. Sześć. Cztery.

Dwanaście lat od Fenomeny, kiedy przemoc zaczęła przybierać realny kształt, a stolica upadła.

Sześć lat odkąd powstała na nowo dzięki rozejmowi, jednak już nie jako jedno miasto lecz dwa.

I cztery od dnia, kiedy August obudził się pośrodku szkolnej stołówki, którą właśnie odgradzano taśmą policyjną.

„O, Boże – powiedziała jakaś kobieta, chwytając go za łokieć. – Skąd się tu wzięłeś?” A potem krzyknęła do kogoś innego: „Hej, znalazłam chłopaka!”. Uklękła, więc patrzyła mu prosto w twarz i August wiedział, że próbuje zasłonić mu coś. Coś potwornego. „Jak się nazywasz, skarbie?”

August popatrzył na nią beznamiętnie.

„Na pewno jest w szoku” – powiedział mężczyzna.

„Wprowadź go stąd” – polecił następny.

Kobieta wzięła go za rękę. „Skarbie, chciałabym, żebyś zamknął oczy”. I właśnie wtedy zobaczył to, co znajdowało się za jej plecami. Czarne worki, ułożone na podłodze jak przecinki.

Pierwsza symfonia wybrzmiała w uszach Augusta i chwilę później rozpoczęła się następna. Wyróżniał każdy dźwięk, każdy takt; niemniej, jeśli odpowiednio się skupił, wciąż mógł usłyszeć mrukliwy głos ojca i kroki maszerującej w kółko matki. I właśnie dlatego nie miał problemu z usłyszeniem trzech sygnałów dzwonka komórki Henry’ego. Poznał też odpowiedzi, wypowiedziane cichym i naznaczonym troską głosem.

– Kiedy? Jesteś pewien? Kiedy ją zapisano? Nie, nie. Cieszę się, że mi mówisz. Okej. Tak, wiem. Załatwię to.

Połączenie zostało zakończone, a Henry najpierw zamilkł, a potem znowu się odezwał, tym razem mówiąc do Leo. August tego jednego nie usłyszał – powrotu brata do domu. Właśnie rozmawiali o nim.

Wyprostował się i wyciągnął słuchawki z uszu.

– Daj mu to, czego chce – przemawiał właśnie Leo niskim i beznamiętnym głosem, jak zawsze. – Traktujesz go bardziej jak zwierzątko domowe niż syna, chociaż nie jest ani jednym, ani drugim. Jesteśmy żołnierzami, Flynn. Jesteśmy świętym ogniem...

August przewrócił oczami. Cieszył się z wiary, jaką pokładał w nim brat, jednak mógł to powiedzieć bez tego tonu przekonania o własnej słuszności.

– A ty go dusisz.

W tym mogłem się z nim zgodzić.

Emily dołączyła do rozmowy.

– Staramy się...

– Ochronić go? – dokończył za nią Leo. – Kiedy rozejm zostanie zerwany, ten kompleks nie zapewni mu bezpieczeństwa.

– Nie wyślemy go za linię wroga.

– Otrzymaliście szansę, ja tylko sugeruję, byście ją wykorzystali...

– Ryzyko...

– Nie jest takie duże, o ile będzie ostrożny. A korzyści...

August miał dosyć tego, że rozmawiali o nim za jego plecami, jakby nie *słyszał*, więc podniósł się z łóżka, przewracając przy tym jedną ze stert książek. Niestety spóźnił się – rozmowa skończyła się, kiedy otworzył drzwi. Leo zniknął, a jego ojciec stał z wyciągniętą ręką, jakby miał zapukać.

– Co się dzieje? – zapytał August.

Henry nie próbował niczego ukrywać.

– Miałeś rację. Zaslugujesz na szansę. I myślę, że znaleźliśmy sposób na to, byś mógł pomóc sprawie.

August się uśmiechnął.

– Cokolwiek to jest – oznajmił – wchodzę w to.

[1] Tłumaczenie cytatu pochodzi z przekładu Czesława Miłosza.



WERS 1

Potworze,
czy wogóle?

I

Zdecydowanie nie to August miał na myśli.

Szkolna torba leżała otwarta na łóżku, zawartość z niej wypadła, a mundurek był za ciasny. Emily twierdziła, że taka panowała teraz moda, lecz August czuł się, jakby ubrania próbowały go udusić. Mundury Oddziałów Specjalnych Flynna były elastyczne, zaprojektowane do walki, jednak mundurek Akademii Colton był sztywny, ciasny. Rękawy blezera kończyły się tuż przed nadgarstkami, a najniżej położone kreski – których teraz było czterysta osiemnaście – pokazywały się *za każdym razem*, kiedy zginał rękę. Przeczesał włosy grzebieniem, co nie powstrzymało jego czarnych loków przed zasłanianiem bladych oczu, ale przynajmniej próbował.

Wyprostował się i spojrzął na siebie w lustrze, lecz odbicie odwzajemniło spojrzenie z tak pustym wzrokiem, że aż zadrżał. Na Leo ta beznamietność sprawia wrażenie pewności siebie. U Ilsy – spokoju. Jednak August wydawał się po prostu *zagubiony*. Przyglądał się uważnie Henry’emu, Emily i każdemu, kto się nawinał, od kadetów OSF po grzeszników, próbując zapamiętać sposób, w jaki ich twarze ożywały pod wpływem ekscytacji albo wykrzywiały się od gniewu czy wyrzutów sumienia. Spędził długie godziny przez lustrem, starając się nauczyć niuansów tych wyrazów i odtworzyć je. Leo tylko spojrzął na niego czarnymi, beznamietnymi oczami.

„Tracisz czas”.

Jednak Leo się mylił; te godziny właśnie do czegoś się przydadzą. August zamrugał – kolejny naturalny akt, który akurat jemu wydawał mu się nienaturalny, afektowany – i nieznacznie zmarszczył brwi jak w zamyśleniu, a potem wyrecytował wyuczone na pamięć słowa:

– Nazywam się Freddie Gallagher.

Przed F jego głos delikatnie drgnął, imię drapało mu gardło. To nie do końca było kłamstwo – Freddie to pożyczone imię, podobnie jak August. Nie miał własnego. Henry wybrał mu imię August, a teraz August wybrał imię Freddie i oba należały i nie należały do niego w równym stopniu. Właśnie tak sobie powtarzał, raz za razem, aż uwierzył, ponieważ prawda to nie to samo co fakt. To była kwestia osobista.

Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz.

– Nie jestem...

Jednak słowa te ugrzęzły mu w ściśniętym gardle.

„Nie jestem potworem” – to chciał powiedzieć, lecz nie mógł. Nie potrafił

znaleźć sposobu na uczynienie tego stwierdzenia prawdziwym.

– Ale z ciebie przystojniak – odezwał się ktoś przy drzwiach.

August skierował wzrok odrobinę wyżej, by spojrzeć w lustrze na swoją siostrę, Ilsę, która opierała się o futrynę i posyłała mu cień uśmiechu. Była od niego starsza, lecz wyglądała jak laleczka: długie truskawkowo-rude włosy nosiła w luźnym koku, a jej duże niebieskie oczy były zaczerwienione, jakby nie spała (rzadko to robiła).

– Przystojny – powiedziała, popychając drzwi – ale nieszczęśliwy. – Weszła do środka, gładko poruszając się na bosych stopach między stertami książek, chociaż nawet raz nie spojrzała w dół. – Powinieneś być szczęśliwy, braciszku. Czy nie tego chciałeś?

Czyżby? August zawsze wyobrażał sobie siebie w mundurze OSF, patrolującego Szew i ochraniającego Południowe Miasto. Jak Leo. Słyszał żołnierzy mówiących o jego bracie jak o bogu, który potrafił zapanować nad mrokiem, uzbrojony jedynie w muzykę. Leo wzbudzał strach i podziw. August wyprostował kołnierzyk, przez co znów podniosły mu się rękawy. Ściągnął je w dół, a Ilsa go objęła. Zamarł. Leo unikał takiego kontaktu, a August nie wiedział, co o tym myśleć – zbyt często dotyk oznaczał odbieranie – jednak Ilsa od zawsze to lubiła, więc wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

Podczas gdy jego skórę pokrywały przekreślone czarne kreski zebrane po cztery, na ciele Ilsy znajdowały się gwiazdy. Wydawało mu się, że siostra ma na sobie całe niebo. Sam nigdy nie widział więcej niż garść prawdziwych gwiazd, kiedy zabrakło prądu. Słyszał jednak o miejscach, gdzie nie sięgały światła miasta i można tam było zobaczyć tyle gwiazd, że rozpraszały ciemność nawet w bezksiężycową noc.

– Marzysz – powiedziała Ilsa śpiwnym głosem. Oparła brodę na jego ramieniu i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. – Co ty masz w oczach?

– Słucham?

– Ta plamka. Tutaj. Czy to strach?

Odnalazł jej wzrok w lustrze.

– Może – przyznał. Nie postawił nawet stopy w szkole, nie spędził tam choćby sekundy, odkąd się zmaterializował, a teraz nerwy miał napięte jak postronki. Było też coś jeszcze, jakaś dziwna ekscytacja, że będzie udawał normalnego chłopaka. Za każdym razem, gdy próbował rozpracować swoje zawile emocje, te plątały się jeszcze bardziej.

– Uwalniają cię – stwierdziła Ilsa. Obróciła go ku sobie i pochyliła się, aż jej twarz znalazła się zaledwie centymetry od jego. Mięta. Ilsa zawsze pachniała miętą. – Bądź szczęśliwy, braciszku. – Wtedy jednak radość zniknęła z jej głosu, a błękitne oczy pociemniały, natychmiast zmieniając się z południowego nieba w zmierzch. – I ostrożny.

August z wysiłkiem przywołał na usta cień uśmiechu.

– Ja zawsze jestem ostrożny, Ilsa.

Jednak ona jakby go nie słyszała. Kręciła teraz głową powolnym ruchem, który nie zatrzymywał się wtedy, gdy powinien. Ilsa łatwo się gubiła, czasami

na kilka chwil, czasami na kilka dni.

– Będzie dobrze – powiedział łagodnie, próbując ściągnąć ją z powrotem.

– Miasto jest takie ogromne – odparła napiętym głosem. – Jest w nim pełno dziur. Nie wpadnij w jedną z nich.

Ilsa od sześciu lat nie opuszczała kompleksu Flynnna. Od dnia zawarcia rozejmu. August nie znał szczegółów, lecz wiedział, że siostra nie mogła wychodzić na zewnątrz, bez względu na wszystko.

– Będę uważał, gdzie chodzę.

Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu. A potem jej oczy pojaśniały i Ilsa wróciła.

– Oczywiście, że tak – stwierdziła z promiennym uśmiechem.

Pocałowała go w czubek głowy, a on uwolnił się z jej objęć i podszedł do łóżka, gdzie leżał otwarty futerał, a w nim piękny instrument. August chciał zagrać – to pragnienie ciążyło mu niczym głód – lecz pozwolił sobie tylko musnąć palcami drewno, a potem zamknął futerał.

Maszerując przez skąpane w ciemności mieszkanie, spojrzał na zegarek. Szósta piętnaście. Nawet tutaj, na dwudziestym piętrze, na szczycie kompleksu Flynnna, pierwsze światło dnia wciąż chowało się za budynkami na wschodzie.

W kuchni znalazł czarną torebkę na drugie śniadanie z przyczepioną do niej karteczką:

Miłego pierwszego dnia.

Poczęstowałam się. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz.

~ Em

Kiedy August zajrzał do środka, zobaczył, że wszystko – od kanapki po czekoladowy baton – było już na wpół zjedzone. To uroczy gest. Emily nie tylko zapakowała mu drugie śniadanie, ale też wymówkę. Gdyby ktoś zapytał, August mógł odpowiedzieć, że już jadł.

Tylko zielone jabłko leżało nieruszone na samym dnie.

Kiedy chował drugie śniadanie do szkolnej torby, włączyły się kuchenne światła i do środka wszedł Henry, trzymając w ręku kubek kawy. Wciąż wyglądał na zmęczonego. On *zawsze* tak wyglądał.

– Dzień dobry – powiedział, ziewając.

– Dobry, tato. Wczesnie wstałeś.

Henry w zasadzie żył w nocy. Często mawiał, że skoro potwory wychodzą na żer nocą, oni muszą postępować tak samo. Ostatnio jednak jego noce się przeciągały. August próbował sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać życie przed Fenomenem, zanim z przemocy narodzili się Corsaje, Malchajowie i Sunajowie, zanim nastąpiła anarchia, zanim zamknięto granice, zanim powstał chaos i wybuchła wojna domowa. Zanim Henry stracił rodziców, braci i pierwszą siostrę. Zanim stał się tym Flynnem, na którego liczyło całe miasto – twórcą OSF i jedyną osobą, która odważyła się sprzeciwić Harkerowi i *walczyć*.

August widział zdjęcia, lecz uwieczniony na nich mężczyzna miał błyszczące oczy i radosny uśmiech. Sprawiał wrażenie kogoś pochodzącego z innego świata.

– Twój pierwszy dzień. – Henry znowu ziewnął. – Chciałem się z tobą pożegnać.

To była prawda, lecz nie cała prawda.

– Martwisz się – zauważył August.

– Oczywiście, że się martwię. – Henry ścisnął kubek z kawą. – Musimy jeszcze raz przerobić zasady?

– Nie – odparł August, jednak Henry i tak mu je przypomniał:

– Jedziesz prosto do Colton. Wracasz prosto do domu. Jeśli coś wydarzy się po drodze, dzwonisz. Jeśli ochrona jest zbyt surowa, dzwonisz. Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, cokolwiek, nawet jeśli będziesz miał tylko *złe przeczucie*, August...

– Zadzwoń. – Henry zmarszczył brwi, a August się wyprostował. – Będzie dobrze. – W zeszłym tygodniu przerabiali plan sto razy, żeby wszystko było tak jak trzeba. August zerknął na zegarek. Znowu pokazały się kreski. I znowu je zakrył. Nie wiedział, po co w ogóle zawraca sobie tym głowę. – Muszę się związać.

Henry pokiwał głową.

– Wiem, że nie tego chciałeś, i mam nadzieję, że okaże się to niepotrzebne, jednak...

August zmarszczył brwi.

– Naprawdę myślisz, że rozejm upadnie?

Próbował wyobrazić sobie Miasto Prawdy takim, jakim było wcześniej, w postaci dwóch zwalczających się krwawo połówek. W Północnym Mieście – Harker. W Południowym – Flynn. Ci skłonni zapłacić za swoje bezpieczeństwo kontra ci gotowi o nie zawalczyć. Umrzeć za nie.

Henry potarł oczy.

– Mam nadzieję, że się utrzyma. Dla dobra nas wszystkich – rzekł, unikając prawdziwej odpowiedzi, ale August odpuścił.

– Odpocznij, tato.

Henry uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

– Nie ma spoczynku dla bezbożnych – rzucił, a August wiedział, że nie mówi o sobie.

Ruszył do windy, lecz ktoś już tam na niego czekał, ciemna postać otoczona światłem padającym z otwartych drzwi.

– Bracie.

Głos był niski i spokojny, niemal hipnotyzujący, a sekundę później cień poruszył się i wyszedł naprzód, zmieniając się w żyłastego mężczyznę z szerokimi ramionami – same mięśnie i długie kości. Mundur OSF leżał na nim jak ulał, a spod podciągniętych rękawów wystawały maleńkie krzyżyki, pokrywające oba przedramiona. Nad doskonale wyrzeźbioną szczęką, spod jasnych włosów, patrzyły oczy czarne jak węgiel. Jediną niedoskonałością była niewielka blizna biegnąca przez lewą brew – pamiątka z pierwszych lat – lecz mimo to Leo Flynn wciąż bardziej przypominał boga niż człowieka.

August poczuł, że odruchowo się prostuje, próbując naśladować pozę brata, lecz zaraz przypomniał sobie, że uczeń by się tak nie nosił. Znowu się rozluźnił,

tylko tym razem przesadził i nie pamiętał już, jak powinna wyglądać normalność. Cały ten czas nie opuszczało go mroczne spojrzenie Leo. Nawet w swojej cielesnej formie nie mógł udawać człowieka.

– Młody Sunaj idzie do szkoły. – Jego ton się nie wznosił, to nie było pytanie.

– Niech zgadnę – powiedział August, zdobywając się na krzywy uśmiech – też chciałeś mnie pożegnać? Życzyć mi dobrej zabawy?

Leo zadarł brodę. Nigdy nie radził sobie za dobrze z sarkazmem – żadne z nich sobie nie radziło, właściwie, ale August nauczył się tego i owego od chłopaków z OSF.

– Nie zaprzęgam sobie głowy tym, czy będziesz się dobrze bawił – stwierdził Leo. – Za to interesuje mnie, czy jesteś *skupiony*. Nie wyszedłeś jeszcze za drzwi, August, a już o czymś zapomniałeś.

Rzucił jakiś przedmiot, a August złapał go i skrzywił się. Był to medalion Północnego Miasta, z wygrawerowaną literą P z jednej strony i ciągiem cyfr z drugiej. Został wykonany z żelaza, więc szczypał mu nieprzyjemnie skórę dłoni. Czysty metal był dla potworów odpychający: Corsaje i Malchajowie nie mogli go dotykać, Sunajowie po prostu tego nie lubili (wszystkie mundury OSF miały wszyte metalowe nitki, tylko jego i Leo zawierały stop zamiast czystego metalu).

– Naprawdę muszę to nosić? – zapytał. Już robiło mu się niedobrze z powodu zbyt długiego trzymania wisiora.

– Jeśli chcesz udawać jednego z nich – odparł krótko Leo. – Chyba że wolisz zostać złapany i zaszlachtowany, wtedy śmiało, zdejmij go. August przełknął ślinę i założył medalion na szyję.

– To dobra podróbka – ciągnął dalej jego brat. – Przejdzie pobieżną inspekcję człowieka, ale nie daj się złapać po zmroku na północ od Szwu. Nie sprawdzałbym jakości wykonania tej podróbki przy jakimkolwiek stworze na smyczy Harkera.

Oczywiście nie sam metal chronił przed potworami. Chodziło też o pieczęć Harkera.

August zawiesił medalion na koszulce i schował pod kurtką OSF. Kiedy jednak ruszył do windy, Leo zablokował mu przejście.

– Jadłeś ostatnio?

August przełknął głośno ślinę, lecz odpowiedź już przeciskała mu się przez gardło. Istniała różnica między niemożnością kłamania a *potrzebą* mówienia prawdy, jednak milczenie było luksusem, na które nie mógł sobie pozwolić przy bracie. Kiedy Sunaj zadawał pytanie, domagał się odpowiedzi.

– Nie jestem głodny.

– August – strofował go Leo. – Ty zawsze jesteś głodny.

Chłopak się wzdrygnął.

– Zjem później.

Leo nie odpowiedział, jedynie popatrzył na niego zmrużonymi oczami i zanim zdążył powiedzieć cokolwiek innego – albo zmusić do tego Augusta – chłopak go wyminął. A przynajmniej spróbował. Był już w połowie drogi do windy, kiedy

ramię brata wystrzeliło do przodu i złapało go za rękę. Tę, w której trzymał futerał ze skrzypcami.

– W takim razie nie potrzebujesz tego.

August cały zeszywniał. Przez cztery lata nie wychodził z kompleksu bez swojego instrumentu. Na samą myśl zakręciło mu się w głowie.

– A co jeśli coś się stanie? – zapytał, czując wzbierającą w nim panikę.

Na twarzy Leo pojawił się cień rozbawienia.

– Będziesz musiał ubrudzić sobie rękę.

Z tymi słowami zabrał Augustowi futerał i pchnął brata w stronę windy. August potknął się, potem odwrócił i czuł, jak mrowią go palce, które przed chwilą ścisnęły futerał.

– Do zobaczenia, bracie – powiedział Leo, wciskając guzik parteru. – Baw się dobrze – dodał, gdy drzwi się zamknęły.

August wepchnął rękę do kieszeni, a winda zaczęła jechać dwadzieścia pięter w dół. Kompleks był częściowo drapaczem chmur, częściowo bazą operacyjną i jedną wielką fortecą. Betonowa bestia, stal, drut kolczasty i pleksiglas – ogromna część tego przeznaczona na baraki dla członków oddziałów specjalnych. Większość sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy OSF mieszkała w barakach w innych częściach miasta, jednak niemal tysiąc stacjonowało w kompleksie, co służyło głównie jako kamuflaż. Im mniej ludzi wchodziło i wychodziło z budynku, tym mniej zwracał na siebie uwagę. A Harker, który chciał wyniuchać trzech Sunai Flynna, jego tajemne bronie, śledził każdą twarz. Dla Leo i Ilsy nie stanowiło to dużego problemu, ponieważ on właściwie *był twarzą* całego OSF, a ona nigdy nie opuszczała kompleksu, jednak Henry z determinacją utrzymywał tożsamość Augusta w sekrecie.

Na parterze ludzie już tłoczyli się przy wyjściu (przy takiej godzinie policyjnej dzień zaczynał się wcześniej), a August przekroczył razem z nimi betonowe lobby, jakby był jednym z nich, a potem przeszedł przez strzeżone drzwi i na ulicę. Obmył go poranek, jasny i ciepły, a psuł go tylko drażniący metalowy dysk i brak skrzypiec.

Promienie słoneczne przeciskały się między budynkami, a August wciągnął głęboko powietrze i podniósł wzrok na górujący nad nim kompleks Flynna. Przez cztery lata rzadko go opuszczał, a nawet jeśli to praktycznie zawsze w nocy. A teraz? Proszę, znajdował się na zewnątrz i do tego zupełnie sam. W tym megamieście mieszkały, według ostatnich szacunków, dwadzieścia cztery miliony ludzi, a August był jednym z nich, zwyczajnym przechodniem w drodze do szkoły. Przez jedną olśniewającą, nieskończoną chwilę August czuł, że stoi na granicy między końcem jednego świata a początkiem drugiego, skomleniem i hukiem.

A potem zapiszczał jego zegarek, przywracając go do rzeczywistości, i August ruszył przed siebie.

II

Czarny sedan przecinał miasto niczym nóż.

Kate patrzyła, jak rzeźbił ulice i mosty, jak ruch rozchodzi się niczym tkanki ciała, przepuszczając samochód. Dzisiejszy poranek w Północnym Mieście był głośny i jasny, lecz z wnętrza samochodu przypominał stary film – przyciemnione szyby wyciągały z niego wszystkie kolory. Radio grało muzykę klasyczną, cicho lecz nieustannie, wzmacniając wrażenie spokoju, na które ludzie tak łatwo dawali się nabrać. Kiedy poprosiła kierowcę – mężczyznę o kamiennym wyrazie twarzy i imieniu Marcus – żeby zmienił stację. Zignorował ją, więc włożyła słuchawkę do lewego ucha i nacisnęła przycisk „play”. Jej świat stał się ciężkim bitem, rozgniewanym wokalem, a Kate zapadła się w obite skórą siedzenie i patrzyła na miasto przewijające się za szybą. Stąd wydawało się niemal normalne.

Znała stolicę tylko z przebłysków, urywek wspomnień z różnych lat, które dzieliła pustka. Za pierwszym razem odesłano ją stąd dla bezpieczeństwa, za drugim razem porwano w środku nocy, a za trzecim została wygnana za przewinienia matki. Jednak wreszcie wróciła do domu. Do miasta jej ojca, by zająć miejsce u jego boku.

I tym razem nigdzie się nie wybierała.

Kate bawiła się zapalniczką, patrząc na leżący na jej kolanach tablet, który wyświetlał właśnie mapę stolicy. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak samo jak każde inne megamiasto – gęsto zaludnione centrum rozciągające się na brzegach – kiedy jednak dotknęła ekranu palcem, pojawiła się nowa warstwa informacji.

Czarna linia przecinała obraz z lewej na prawą stronę, dzieląc miasto na pół. Szew. W rzeczywistości linia nie była prosta, jednak wyraźna. Stojąc na północnej stronie, znajdujesz się na terytorium Calluma Harkera. Na południowej jesteś gościem Henry’ego Flynna. Tak banalne rozwiązanie trwającej sześć lat brutalnej wojny, pełnej aktów sabotażu, zabijania i potworów. Wystarczyło narysować linię na piasku i trzymać się swojej strony. Nic dziwnego, że rozejm wisiał na włosku.

Flynn to idealista, a chociaż dobrze jest mówić o sprawiedliwości, dobrze jest mieć „misję”, w ostatecznym rozrachunku jego ludzie ginęli. Krew i kości kontra zęby i pazury.

Miasto Prawdy nie potrzebowało zasad moralnych. Potrzebowało kogoś, kto zdoła przejąć kontrolę. Kogoś skorego do wykonania czarnej roboty.

Potrzebowało Harkera. Kate nie oszukiwała się – zdawała sobie sprawę, że jej ojciec jest złym człowiekiem – jednak to miasto nie potrzebowało dobrego.

Dobry i *zły* to bezwartościowe słowa. Potworów nie interesują intencje czy ideały. Fakty były proste. Południe było pogrążone w chaosie. Na Północy panował porządek. Okupiony krwią i strachem, lecz nadal porządek.

Kate przesunęła palcem po Szwie, nad szarym prostokątem nazywanym Pustynią.

Dlaczego jej ojciec zgodził się wziąć tylko połowę miasta? Dlaczego pozwolił Flynnowi chować się za tym murem? Tylko dlatego, że ten drugi miał na smyczy kilka dziwnych potworów?

Przygryzła wargę, jeszcze raz dotknęła mapy i pokazała się trzecia warstwa informacji.

Trzy koncentryczne okręgi – niczym tarcza strzelnicza – pojawiły się na mapie. Wskazywały wysokość ryzyka, stworzone do oznaczania wzrastającej liczby potworów i zwiększającej się potrzeby ostrożności, jaką należało zachować, podróżując w stronę centrum miasta. Pas zieleni tworzył zewnętrzny okrąg, za nim znajdował się żółty, a w środku czerwony. Większość ludzi nie zwracała uwagi na strefy w ciągu dnia, lecz wszyscy znali ich granice. Wiedzieli, gdzie agresywna czerwień ustępowała miejsca czujnej żółci, która rozpraszała się, zmieniając w relatywnie bezpieczną zieleń. Oczywiście ryzyko spadało niemal do zera dla ludzi płacących za ochronę... dopóki pozostawiali w granicach Północnego Miasta. Za zielonym pasmem znajdowała się Ziemia Jałowa, gdzie Północ i Południe nie grały roli, ponieważ tam każdy walczył o siebie.

Jeśli pojedzie się wystarczająco daleko na południe, można ponownie znaleźć bezpieczną strefę: niedaleko granic, gdzie potwory pozostawały rzadkością, a gęstość zaludnienia niska. Tam mieszkańcy megamiasta nie byli mile widziani, na wypadek gdyby przynieśli ze sobą ciemność niczym zarazę. Tam dziewczyna mogła spalić kaplicę albo leżeć na łące obok mamy i uczyć się letnich gwiazd...

Gdzieś zabrzmiał klakson i Kate podniosła wzrok, a sielska wieś ustąpiła miejsca zatłoczonym ulicom. Dziewczyna patrzyła przez okienko w ścianie i dalej, przez przednią szybę, na srebrnego gargulca na masce. Samochód oryginalnie posiadał w tym miejscu anioła, lecz Harker wyłamał go i zastąpił bestią, skuloną, chwytającą kratownicę wlotu powietrza swoimi małąkami pazurami. „To jest miasto potworów” – powiedział ojciec, wyrzucając figurkę anioła do śmieci.

Miał w tej kwestii rację. Jednak potwory – *prawdziwe* potwory – nie wyglądały jak ten głupi bibelot. Nie, prawdziwe potwory były *znacznie* gorsze.

III

August wystawił twarz do słońca, rozkoszując się tym pięknym porankiem późnego lata, i maszerował, pozwalając ciału poruszać się, pozostawiając umysł w cudownym bezruchu. Niesamowite, jak łatwo przychodziło mu myśleć prostymi liniami – nawet bez skrzypiec – kiedy szedł po popękanych chodnikach, mijając budynki z zabitymi oknami. Połowa z nich była wypalonymi szkieletami, porzuconymi i rozszabrowanymi, pozbawionymi wszelkich użytecznych materiałów, którymi wzmocniono inne budynki. Południowe Miasto wciąż wyglądało jak wyniszczony przez chorobę trup, jednak znajdowało się w przebudowie. Wszędzie znajdowali się żołnierze OSF, stali na dachach, patrolowali ulice, z trzaskającymi od zakłóceń krótkofalówkami przyczepionymi do mundurów. Nocą polowali na potwory, lecz w ciągu dnia starali się nie dopuścić do stworzenia nowych. A to dokonywało się przez zbrodnie. One były przyczyną, zaś Corsaje, Malchajowie i Sunajowie – rezultatem.

August wmieszał się w tłum przechodniów, kierując się na północ, a miasto grało wokół niego jak muzyka, pełne harmonii i dysonansu, zgodnego rytmu i kolizji. Muzyka nawarstwiała się i nawarstwiała, aż popadła w chaos. Zachwyty zmienił się w dyskomfort i August musiał się skupić na drodze zamiast na wszystkim dokoła. Sama trasa była łatwa do zapamiętania, cztery przecznice prosto do Center Ave.

Najkrótsza droga do Szwu.

August zwolnił na jego widok.

Szew był ogromną, wysoką na trzy piętra barykadą przecinającą miasto ze wschodu na zachód przez centrum, zabezpieczoną pasmami czystego metalu i najeżoną kamerami. Mur stanowił rezultat trwającej sześć lat wojny terytorialnej, w czasie której każdy akt przemocy, śmierć każdego człowieka, przynosiła na świat kolejne potwory, a wszystko dlatego, że Flynnowie mieli miasto, a Harker chciał je zdobyć.

Dwie przecznice dalej na zachód znajdowało się Pustkowie – wypalona ziemia będąca upomnieniem dla każdej ze stron. Niegdyś znajdował się tutaj plac, plama zieleni w centrum miasta, lecz teraz nie było tu nic. Niektórzy mawiali, że wciąż dało się na chodniku dojrzeć cień zmarłych. Większość żołnierzy OSF twierdziła, że Harker ostatniego dnia wojny zdetonował tam broń, coś tak potwornego, że starło z powierzchni ziemi każdą oznakę życia. August w to nie wierzył – nie chciał w to wierzyć – jednak cokolwiek się wydarzyło tamtego dnia,

groźba powtórki wystarczyła, żeby Harker wezwał do rozejmu, zgadzając się na podział miasta.

Za dnia miasto było wciąż zjednoczone, przynajmniej w teorii. W Szwie wybito trzy bramy, żeby przepuszczać ludzi, jednak obserwowali ich uzbrojeni żołnierze i czerwone oczy kamer monitoringu, a każdy musiał pokazać dowód tożsamości, podczas gdy skanery weryfikowały ich przynależność do rodzaju ludzkiego.

Co stanowiło pewien problem.

August skręcił w wąską, na wpół zniszczoną uliczkę, która biegła równolegle do Szwu aż do biurowca, którego okna zastąpiły stalowe arkusze, a drzwi pilnowało dwóch OSF-owców. Kobieta w recepcji kiwnęła nieznacznie głową, kiedy minął ochronę i skierował się do oddzielnej windy jeżdżącej do piwnicy. Kropki neonowej farby na ścianie wskazywały drogę przez sieć zawilgoconych korytarzy aż do ściany – a przynajmniej czegoś, co *wyglądało* jak ściana. Wystarczyło odsunąć metalową osłonę, żeby odkryć wejście do tunelu. August ruszył w głąb niego aż do identycznie zakamuflowanego wyjścia na drugim końcu. Znalazł się w piwnicy mieszkania.

Było tu cicho, więc August zatrzymał się i z przykrością pomyślał, jak szybko poczuł ulgę, że znalazł się z powrotem sam. Dał sobie dziesięć sekund, czekając, aż jego serce i nerwy się uspokoją, a potem otrzepał się z kurzu i wspiał po schodach.

Paris paliła papierosa za papierosem i szykowała śniadanie.

Obecność Augusta w kuchni zupełnie jej nie zaskoczyła.

– Dobry, kochaniutki – zawołała. Jej żelazny medalion wisiał niebezpiecznie blisko smażącego się omletu. Sprzymierzeńcy po północnej stronie miasta byli nieliczni i niezwykle drodzy w utrzymaniu, a nawet wtedy ich posiadanie niosło ze sobą ryzyko. Jednak Henry i Paris byli starymi przyjaciółmi, w dodatku kobieta przeszła inspekcję Leo.

August się rozejrzał. Jej mieszkanie było... przytulne, jak ze zdjęć z magazynów sprzed Fenomenu. Płytki, drewno i szkło w oknach.

– Przepustka do metra leży na stole.

– Dzięki, Paris – powiedział, rozpinając kurtkę OSF, by powiesić ją na kołku przy drzwiach. Rękawy jego koszuli znowu podjechały do góry, pokazując wiele przekreślonych czarnych kresek. Poprawił materiał, chociaż Paris i tak nie mogła ich zobaczyć. Właściwie nic nie mogła zobaczyć.

Paris może i była ślepa, lecz nadrabiała pozostałymi zmysłami. Szybko zauważyła brak jego skrzypiec, których obecność zazwyczaj manifestowały ledwie słyszalne vibracje strun wewnątrz futerału. Wypuściła chmurę dymu.

– Dzisiaj nie będzie koncertu? – zapytała, sypiąc popiołem w jajka.

Palce Augusta zacisnęły się jak zawsze, gdy miał w ręku futerał ze skrzypcami, lecz tym razem chwycił tylko powietrze.

– Nie będzie – odparł, wyciągając z torby blezer Akademii Colton i zakładając go przed lustrem. Ze zdziwieniem zauważył, że jego czoło marszczy się niemal odruchowo.

– Flynn opowiedział mi o waszej muzyce – mruknęła Paris. – Zawsze się zastanawiałam, jak brzmi...

August zapiął blezer.

– Mam nadzieję, że nigdy jej nie poznasz – odparł, ruszając do wyjścia. – Wrócę przed zmrokiem.

– Miłego dnia w szkole – zawołała, gdy zamknęły się za nim drzwi. W przeciwnieństwie do Leo brzmiała szczerze.

August wyszedł na ulicę i westchnął z ulgą, gdy zobaczył Szew za swoimi plecami. Następnie pomaszerował na północ, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. Przygotował się na to, jednak różnica między dwiema częściami miasta i tak zaparła mu dech w piersi. Północne Miasto nie było zrujnowaną skorupą. Jeśli miało jakieś blizny, zostały zakryte, pomalowane. Tutaj budynki błyszcząły, całe z metalu, kamienia i szkła, zaś ulice zapełniały lśniące samochody i ładnie ubrani ludzie – jeśli Harker miał tutaj jakichś żołnierzy, wtapiali się w tłum. W oknie sklepu wystawiono tak kolorowe owoce, że August miał ochotę ich spróbować, chociaż wiedział, że będą smakować jak popiół.

Poczuł gniew, patrząc na to piękne i bezpieczne miasto – na tę *iluzję* pięknego i bezpiecznego miasta – a kreski na jego skórze zaszczypały ostrzegawczo, ich ciepło kontrastowało z chorobliwym zimnem medalionu na jego piersi. *No dalej, skup się.*

Najbliższa stacja metra znajdowała się przecnicę dalej. Południowe Miasto zamknęło tunele metra – stały się zbyt niebezpieczne, gdy w panujących tam ciemnościach zadomowili się Corsai – i zabili deskami wejścia najlepiej jak mogli, chociaż August wiedział, że OSF korzystało z tych tuneli, jeśli zaszła taka potrzeba.

Pokonywał po dwa stopnie schodów naraz. Czytał kiedyś, że Miasto Prawdy rozrosło się zarówno wszerz, jak i w górę, zaś budynki powstały *над* starą siatką ulic – tam, gdzie niegdyś były drogi, teraz znajdowały się tunele metra. Nie wiedział czy to prawda, lecz stacja metra okazała się równie czysta co ulice na powierzchni, wyłożone białym kamieniem, a gdzieś pośród odgłosów kroków dało się słyszeć muzykę klasyczną. Koncert fortepianowy. August nie widział nigdzie oznak walki czy cierpienia, żadnych śladów pozostawionych przez potwory wychodzące nocą na żer. To sztuczka, która miała przekonać mieszkańców Południa i przypomnieć tym z Północy, dlaczego tamci woleli zapłacić.

August dostał się na peron akurat w chwili, gdy odjeżdżał pociąg. Oparł się o słupek, czekając na następny skład, a jego uwagę przykuła najpierw para całująca się kilka kroków dalej, potem uliczny artysta grający na gitarze i w końcu stojąca przed nim dziewczynka, która ścisnęła dłoń matki. Popatrzyła na niego, a August odwzajemnił spojrzenie, zafascynowany widokiem tak małego dziecka. W kompleksie było niewiele dzieci, właściwie to w całym Południowym Mieście. Dziewczynka uśmiechnęła się, a August odpowiedział tym samym.

A potem mała zaczęła śpiewać.

– Monstra, monstra, małe, duże – nuciła radośnie. – Przyjdą ci odebrać życie.
Przeszedł go dreszcz.
Corsaj, Corsaj, zęby, szpony,
Potnie, pożre na surowo.
Malchaj, Malchaj, blady, chudy,
Wyssie krew, aż będziesz suchy.
August przełknął głośno ślinę, wiedząc, jak brzmi ciąg dalszy.
Sunaj, Sunaj, czarnooki,
Pieśń zanuci, porwie duszę.
Dziewczynka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
Monstra, monstra, małe, duże,
Przyjdą ci odebrać życie!
Pisnęła z radością, a Augustowi zrobiło się niedobrze. Odsunął się.
Kiedy pociąg przyjechał na stację, chłopak wybrał inny wagon.

III

Monstra, monstra, duże, małe...

Kate nuciła, a samochód parł do przodu. Dotknęła wyświetlacza tabletu, żeby wyłączyć mapę i otworzyć nowe okno. Zaczęła przeglądać foldery prywatnego dysku ojca – podkraśla kody dostępu pierwszej nocy po powrocie – dopóki nie znalazła tych, których szukała. Harker miał monitoring w całym Północnym Mieście, nie tylko na Szwie, lecz praktycznie na każdym budynku czerwonej strefy. Codziennie sprawdzano i usuwano nagrania, zostawiając tylko „incydenty” – te przechowywano, żeby mógł je obejrzeć i w razie potrzeby podjąć odpowiednie kroki. Te „incydenty” nigdy nie dostałyby się do wiadomości, oczywiście. Dobrze wiedzieli, że takich rzeczy nie można pokazywać w telewizji – zniszczyłyby iluzję normalności, bezpieczeństwa, a przecież właśnie za to ludzie płacili Harkerowi.

Jednak Harker musiał mieć potwory na oku. Musiał wiedzieć, kiedy pojawiały się nowe, kiedy stare łamały zasady. Zachowane nagrania zostały podzielone na kategorie. *Potwór. Człowiek. Narodziny.*

Kate przeglądała po kolei wszystkie filmy, odkąd tylko zyskała do nich dostęp. Starła się w ten sposób dowiedzieć jak najwięcej o *prawdziwych* potworach Prawdziwości. Otworzyła folder *Narodziny* i znalazła tam dwa podfoldery: *Corsaj* i *Malchaj* (nigdy nie udało się nagrać chwili stworzenia Sunaja). Wybrała *Corsaj* i poczuła się jak Alicja po wskoczeniu do króliczej nory. Na ekranie pojawiły się rzędy klipów, których miniaturki pokazywały tylko niewyraźne cienie. Palce Kate zawisły na moment nad tabletem. Zaraz potem uruchomiła nagranie.

Materiał filmowy został odpowiednio przycięty: usunięto cały tłuszcz, zostawiając czyste mięso, samą zbrodnię. Kamera nie była ustawiona pod dobrym kątem, jednak Kate i tak zobaczyła dwóch mężczyzn u wejścia do alejki, stojących w świetle ulicznej lampy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ogląda bójkę. Zaczęło się niewinne, od niefortunnej rozmowy, pchnięcia na ścianę, niezdarnego uderzenia. Jeden z mężczyzn upadł, a drugi zaczął go kopać – raz po raz – aż ten leżący zalał się krwią i przestał być człowiekiem, a stał się drżącą płataniną członków.

Napastnik odszedł i przez kilka długich sekund mężczyzna na chodniku z trudem próbował złapać powietrze. A potem, akurat gdy zaczął się podnosić, cienie wokół niego poruszyły się. Nie zauważył tego, zbyt skupiony na próbie dźwignięcia się, lecz Kate patrzyła, jak mrok się rozciąga i drży, jak odkleja się od ścian i ulicy, jak zbiera się i wznosi niczym dym, którego twarz zaznaczały

tylko upiorne białe oczy i błyszczące zęby. Usta potwora otworzyły się szeroko, a jego ciało się zatrzęsło, gładkie i lśniące, z członkami zwieńczonymi szponami.

A mężczyzna, wciąż na kolanach, popełnił błąd i ruszył do przodu, wychodząc poza bezpieczne światło.

Gdy tylko opuścił krąg, potwór zaatakował, a nawałnica zębów i pazurów rozerwała ludzkie ciało na strzępy.

„Przemoc rodzi przemoc” – powiedziała jedna z nauczycielek w Akademii Świętej Agnieszki po tym, jak Nicole Teak podstawiła Kate nogę, a Kate zrewanżowała się koleżance złamaniem nosa. Zakonnica ciągnęła dalej, by dać dziewczynie do zrozumienia, że w ten sposób nie rozwiąże problemu, lecz Kate przestała słuchać. Jej zdaniem Nicole sobie zasłużyła.

Jednak w jednej kwestii nauczycielka miała rację: *przemoc rodzi*.

Ktoś naciska spust, detonuje bombę, spycha autobus pełen turystów z mostu, a po wszystkim zostają łuski pocisków, wrak, ciała. Lecz także coś jeszcze. Coś złego. Następstwo. *Odrzut*. Reakcja do całego tego gniewu, bólu, całej tej śmierci. Tym właściwie był Fenomen – przelaniem się czary goryczy. W Prawdziwości zawsze istniała przemoc – było jej tu najwięcej ze wszystkich dziesięciu terytoriów – i tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy przekroczona zostanie masa krytyczna i całe to zło zacznie przybierać materialną formę.

Kate przejechała palcem po medalionie przyczepionym do jej mundurka, który miał ją chronić przed złem. Na ekranie potwór kontynuował swoją ucztę. Większość działa się w cieniu, lecz tu i tam dało się zauważyć błysk ostrego jak brzytwa zęba albo zakrzywionego pazura, a Kate patrzyła, jak krew pryska na krąg światła. Pisnęła cicho z obrzydzeniem, ciesząc się, że nagranie nie zawierało dźwięku.

Marcus machnął do niej z fotela kierowcy i Kate wyciągnęła słuchawkę z ucha, wracając do świata czerni i bieli, porannego światła i cichego plumkania fortepianu.

– Co jest? – zapytała zirytowana.

– Przepraszam, panno Harker – powiedział Marcus. – Jesteśmy na miejscu.

Akademia Colton znajdowała się w miejscu, gdzie żółć spotykała zieleni, a miasto przechodziło w przedmieścia, najbezpieczniejszą strefę stolicy, gdzie bogaci mogli budować swoje małe skorupy i udawać, że Prawdziwość nie jest pożerana żywcem. Skąpane w świetle rzeńskiego poranka budynki z bladego kamienia na tle żywozielonej trawy wyglądały jak na fotografii. Wystarczyło piętnaście minut jazdy od mrocznego serca Północnego Miasta, jednak nie dało się tego poznać. Kate pomyślała, że pewnie o to w tym wszystkim chodzi. Wolałaby uczyć się w szkole w centrum, w samym środku czerwieni, lecz większość takich placówek zamknięto. A nawet gdyby istniała taka możliwość, jej ojciec nigdy by się nie zgodził. Jeśli szkoła miała znajdować się w obrębie stolicy, był zdeterminowany wybrać jak najbezpieczniejszą, żeby „chronić” córkę. Czyli trzymać ją z dala od siebie, ponieważ tak naprawdę nigdzie nie było bezpiecznie, bez względu na to, którą połowę miasta uważało się za dom.

Marcus otworzył jej drzwi i Kate wysiadła, przeganiając wspomnienie

potwornego nagrania i opanowując mimikę. Wygładziła kołnierzyk szkolnej koszulki polo i przeczesła palcami jasne włosy. Były rozpuszczone, z przedziałkiem na środku, żeby przykryć blizny w miejscu, gdzie jej głowa zderzyła się z szybą. Mogło być gorzej – słuch straciła tylko częściowo – lecz wiedziała, że nie może jej pokazywać. To była oznaka słabości, a słabości się nie okazuje – tego nauczył ją Harker, kiedy miała dwanaście lat i rany jeszcze nie zdążyły się zabliznić.

– Dlaczego? – zapytała wtedy. Była młoda i głupia.

– Każda słabość eksponuje ciało – powiedział – a ciało przyciąga nóż.

– Jakie są twoje słabości? – zapytała, chcąc wiedzieć, lecz Harker wyciągnął usta w kształt czegoś, co przypominało uśmiech, lecz nim nie było.

Do dziś nie odpowiedział jej na to pytanie. Kate nie była pewna, czy to dlatego, że ojciec nie ufał jej na tyle, by podzielić się taką wiedzą, czy może dlatego, że ich nie miał. A może już ich nie miał. Zastanawiała się, czy w tych alternatywnych światach istniała taka wersja Calluma Harkera, która posiadała sekrety, słabości i miejsca przyciągające nóż.

– Panno Harker – powiedział kierowca. – Mam wiadomość od ojca.

Włożyła srebrną zapalniczkę do kieszeni koszulki.

– Jaką, Marcus? – zapytała beznamiętnie.

– Jeśli zostaniesz wyrzucona z tej szkoły, wywiezie cię z Prawdziwości. Na dobre.

– Nigdy w życiu – odparła z zimnym uśmiechem, spoglądając na szkołę. – Wreszcie jestem tam, gdzie chciałam być.

III

– Stacja Park – ogłosił spokojny, metaliczny głos.

August opadł głębiej na fotel, wyciągnął mocno podniszczony egzemplarz „Republiki” ze swojej torby, a potem otworzył go w połowie. Większość tekstu znał na pamięć, więc nie miało znaczenia, na której stronie wyląduje. Liczyło się to, że zyskiwał w ten sposób wymówkę, by spuścić wzrok. Wsłuchiwał się w nazwy zapowiadanych stacji, bojąc się rozglądać, żeby nie zwrócił na siebie uwagi kamery. Wiele czerwonych oczu szukało potworów, chociaż wszyscy wiedzieli, że wychodzą tylko nocą.

No, nie wszystkie, poprawił się August.

– Stacja Martin Center.

Trzy przystanki do Colton. W pociągu robiło się coraz tłoczniej i August wstał, żeby ustąpić miejsca starszej kobiecie. Cały czas pochylał głowę nad książką, lecz rozglądał się po pasażerach, ubranych w ładne sukienki, eleganckie spodnie, szpilki i garnitury, a nigdzie w zasięgu wzroku nie dało się zauważyć broni.

Mężczyzna trącił go łokciem, przeciskając się obok, i August cały się spał.

Facet wyglądał zupełnie zwyczajnie – pod krawatem, z odrobiną za luźną marynarką – lecz jego cień zwrócił uwagę chłopaka. Nie zachowywał się tak, jak zwykły cień powinien – w tak dobrze oświetlonym wnętrzu nie powinno go w ogóle być – tylko poruszał się, drżąc i przelewając się niespokojnie, nawet kiedy jego właściciel trwał w bezruchu. Nikt inny go nie widział, ale w oczach Augusta majaczył niczym duch ze zbyt wieloma szczegółami jak na cień, nie dość licznymi jak na człowieka. August wiedział, co to jest: echo przemocy, znamię grzechu. Gdzieś w mieście potwór narodził się i zabił jako następstwo czynu tego mężczyzny.

Palce Augusta zacisnęły się na drążku.

Gdyby byli w Południowym Mieście, poznałby nazwisko tego człowieka. On lub jego brat otrzymałby je na karteczce razem z adresem, a potem znalazłby go w nocy, uciszyłby echo i odebrał mu życie.

Jednak tutaj było Północne Miasto.

Gdzie złym ludziom wszystko uchodziło na sucho, o ile było ich na to stać.

August odwrócił wzrok od cienia, kiedy staruszka siedząca na fotelu pochyliła się do przodu.

– Zawsze chciałam występować na scenie – zwierzyła mu się. – Nie wiem, dlaczego nigdy tego nie zrobiłam. Obawiam się, że teraz jest już za późno...

August zamknął oczy.

– Stacja Union Plaza.

Dwa przystanki.

– Na pewno za późno – ciągnęła dalej kobieta – mimo to nadal o tym marzę...

Właściwie to nie mówiła do niego. Potwory nie mogły kłamać, lecz ludzie w pobliżu Sunai stawali się... szczerzy. August nie musiał ich do tego skłaniać – gdyby mógł skłonić ich do milczenia, zrobiłby to – po prostu zaczynali mu się zwierzać. Przez większość czasu nawet nie zdawali sobie z tego sprawy.

Henry nazywał to *wpływem*, lecz Leo miał lepsze określenie: *spowiedź*.

– Stacja Skrzyżowanie Lyle.

Jeszcze jeden.

– ...wciąż śnię...

Skłanianie do spowiedzi było bez wątpienia najmniej lubianą przez niego zdolnością. Leo ją uwielbiał, zachęcając wszystkich dokoła do wygłaszania wątpliwości, obaw, słabości. Tymczasem August czuł się w takiej sytuacji skrępowany.

– A pan marzy...?

– Stacja Colton – oznajmił głos.

Pociąg stanął, a August pomodlił się w myślach. Spowiedź kobiety towarzyszyła mu w drodze do wyjścia.

Północne Miasto było surrealistyczne, lecz nie umywało się do Colton. August nigdy wcześniej nie znajdował się tak daleko od czerwonej strefy. Akademia została otoczona wysokim płotem, lecz w przeciwieństwie do okolic Szwu, ściany wydawały się raczej po prostu ładne niż funkcjonalne. Za kutą bramą ciągnął się trawnik, a za budynkiem Akademii rosły drzewa. August widział już kiedyś drzewa, w zarośniętym parku trzy przecznice na południe od kompleksu, lecz te wyglądały inaczej. Było ich dość dużo, by utworzyły ścianę. Nie, *las*. Tak się nazywało skupisko drzew.

Jednak roślinności nie poświęcał tyle uwagi co *ludziom*.

Gdzie się nie obejrzał, widział ludzi, ale nie kadetów OSF czy mieszkańców Północnego Miasta, lecz nastolatki w charakterystycznym dla Colton błękitcie. Chłopcy i dziewczęta wchodzili przez bramę albo siedzieli na trawie. Podziwiał swobodę, z jaką rozmawiali i spędzali ze sobą czas, trącąc się łokciami, rzucając się sobie w ramiona, głowa przy głowie, biodro przy biodrze. Patrzył, jak ich usta wyciągają się w uśmiechu, zaciskają na znak irytacji albo otwierają, wypuszczając śmiech. W ich przypadku to wszystko wyglądało tak... naturalnie.

Co on tutaj robi?

Może Leo miał rację i August powinien był coś zjeść. Teraz na to za późno. Zdusił w sobie chęć wycofania się, przypominając sobie, że przecież sam chciał opuścić kompleks, że Leo ręczył za niego, że miał zadanie do wykonania, równie ważne co zadanie każdego innego żołnierza OSF. Zmusił się, by iść dalej, przy każdym kroku był pewien, że ktoś przejrzy jego mundurek i wystudiowany uśmiech i zauważy jego nieludzką naturę. Zupełnie jakby miał ją wymalowaną

na twarzy równie wyraźnie co kreski na ramieniu. Nagle godziny spędzone przed lustrem wydały mu się absurdalnie zmarnowanym czasem. Jak niby miałby to wszystko udawać? Jak ktokolwiek mógł myśleć, że August był w stanie podszywać się pod jednego z nich, tylko dlatego, że byli w tym samym wieku? Ta myśl go poruszyła. Przecież nie byli w tym samym wieku. Tylko wyglądali, jakby mieli tyle samo lat. Nie, to on wyglądał, jakby miał tyle lat co oni – te wszystkie nastolatki urodziły się, podczas gdy August tylko obudził się w ciele o kształcie dwunastoletniego chłopca, ponieważ tyle lat mieli *tamci*, których ciała leżały w czarnych workach, kiedy wszystko *zaczęło się z hukiem* – nie wszechświat, lecz ostre staccato wystrzeliwanych pocisków...

Zatrzymał się w pół kroku, nagle, pozbawiony tchu.

Ktoś trącił go w ramię, nie przyjacielsko, lecz złośliwie. August zatoczył się do przodu i odzyskał równowagę akurat na czas, by zobaczyć, jak tamten chłopak – blondyn z szerokimi ramionami – posłał mu harde spojrzenie.

– Masz jakiś problem? – rzucił August, zanim zdołał się powstrzymać.

Chłopak obrócił się w jego stronę.

– Stałeś mi na drodze – warknął, chwytając Augusta za kołnierz. – Myślisz, że pozwolę na to jakiemuś świeżakowi? To jest *mój* rok, dupku, i *moja* szkoła. – Koleś, ku przerażeniu Augusta, nie przestawał mówić. – Myślisz, że przestraszysz mnie tym dziwnym spojrzeniem? Nie boję się ciebie. Nikogo się nie boję. Nie... – Zadrżał, przyciągając Augusta bliżej. – Nie mogę spać. Widzę ich za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

– Hej, spokój – powiedział inny uczeń przez ramię Augusta. – Jakiś problem, Jack?

Blondyn, Jack, zamrugnął kilka razy i kiedy jego wzrok się wyostriżył, pchnął Augusta. Drugi uczeń złapał go za ramię. – Hej, nie musiałeś. Mój kolega przeprasza. Nie chciał cię wkurzyć. – Jego ton był przyjacielski, swobodny.

– Trzymaj go ode mnie z daleka, Colin – rzucił Jack, tym razem swoim normalnym głosem. – Inaczej zetrę mu ten uśmiezek w twarzy.

– Jasna sprawa. – Colin pokręcił głową. – Dupek – mruknął, gdy Jack już się oddalił. Odwrócił się do Augusta. Okazał się niskim, szczupłym chłopcem o ciepłym spojrzeniu. – Już pierwszego dnia znajdujesz sobie kolegów, co?

August wyprostował się i wygładził blezer.

– Kto powiedział, że to mój pierwszy dzień?

Colin roześmiał się, co zabrzmiało tak naturalnie jak oddychanie.

– To mała szkoła, stary – odparł, szczerząc zęby. – Nigdy wcześniej cię nie widziałem. Nazywasz się jakoś?

August przełknął ślinę.

– Frederick.

– Frederick? – powtórzył Colin, unosząc brew. August zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu, czy nie wybrał niewłaściwego imienia.

– Tak – powiedział powoli, a potem dodał: – Ale mówią do mnie Freddie.

Nikt nigdy nie zwracał się do niego imieniem Frederick ani Freddie, ale to była dobra odpowiedź. Twarz Colina znowu się przeobraziła, w jedną chwilę

sceptycyzm ustąpił miejsca radości.

– Dzięki Bogu. Frederick to strasznie pretensjonalnie imię. Bez urazy. Nie twoja wina.

Zaczęli iść w stronę głównego budynku, jednak dwóch uczniów zawołało Colina.

– Hej, widzimy się w środku – rzucił, biegnąc w ich stronę. W połowie drogi odwrócił się jeszcze z uśmiechem. – Postaraj się nie wkurzyć nikogo więcej przed rozpoczęciem.

August przywołał na twarz cień jego uśmiechu.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Nazwisko? – zapytała kobieta w biurze rejestracyjnym.

– Frederick Gallagher – odparł August, próbując wyciągnąć usta w nerwowym uśmiechu i przegarniając włosy z czoła. – Ale mówią na mnie Freddie.

– Aha – mruknęła kobieta, wyciągając folder z żółtą gumką. – Jesteś jednym z nowych uczniów.

Pokiwał głową, powtórzył uśmiech. Tym razem kobieta odpowiedziała tym samym.

– No, popatrz tylko – rzuciła. – Ciemne włosy. Ładne oczy. Dołeczki. Będziesz smakowitym kąskiem dla koleżanek.

August nie był pewien, co miały znaczyć te słowa.

– Mam nadzieję, że nie – odparł.

Zaśmiała się. Tutaj wszystkim to przychodziło tak łatwo.

– Potrzebujesz jeszcze legitymacji – poinformowała go. – Idź do pokoju obok i podaj im pierwszą kartkę z folderu. Zajmą się tobą. – Zawahała się, jakby miała powiedzieć coś jeszcze, coś osobistego. August wycofał się, zanim zdążyła to zrobić.

W pokoju obok w drzwiach utworzyła się krótka kolejka. August patrzył, jak pierwsza osoba podaje mężczyźnie kartkę, a potem staje przed bladezielonym tłem. Chłopak uśmiechnął się i sekundę później wystrzelił flesz. August się wzdrygnął. Kolejny uczeń zrobił to samo co poprzednik. I kolejny.

August się wycofał.

Reszta uczniów zdawała się kierować w stronę dużych drzwi na drugim końcu lobby, więc poszedł ich śladem i trafił do audytorium. Istniał tu jakiś niepisany system, naturalny porządek, który najwyraźniej wszyscy inni rozumieli. Uczniowie po kolei zajmowali miejsca, a August stanął z boku, starając się nie tamować ruchu.

– Która klasa? – zapytała kobieta. Odwrócił się i zobaczył nauczycielkę w spódnicy i z naręczem teczek w ręku.

– Pierwsza – odparł.

Pokiwała głową.

– Siedzisz na przodzie, po lewej.

Kiedy szukał swojego miejsca, audytorium wypełniało się ludźmi i hałasem, a ich liczba i natężenie przyprawiało go o zawroty głowy. Wszędzie dokoła setki głosów nakładały się na siebie jak dźwięki muzyki, jednak ich kadencja była

zupełnie pomyłona, nie przypominała muzyki klasycznej, bardziej jazz. A gdy August chciał porozdzielać poszczególne pasma, zamiast taktów otrzymał sylaby, śmiech i dźwięki, które nie miały sensu. A potem, litościwie, wszystko umilkło. August podniósł wzrok i zobaczył, że na scenę wchodzi mężczyzna w wyprasowanym granatowym garniturze.

– Witajcie – rzekł, stukając w mikrofon podium. – Nazywam się Dean i jestem dyrektorem Akademii Colton. Chciałbym serdecznie powitać nowych uczniów naszej szkoły, a także tych powracających na kolejny rok. Być może nie zauważyliście nowych twarzy, dlatego, ponieważ w Colton tworzymy społeczność, proszę, by nowi wstali, kiedy wywołam ich nazwiska, aby wszyscy mogli ich powitać.

August poczuł ucisk w żołądku.

– Mamy dwoje nowych uczniów drugiej klasy. Marjorie Tan... – Dziewczyna kilkanaście rzędów przed nim wstała, czerwieniąc się. Od razu chciała z powrotem usiąść, lecz dyrektor machnął ręką. – Proszę, nie siadaj – nalegał. – A teraz Ellis Casterfeld.

Podniósł się chudy chłopak i pozdrowił wszystkich dokoła.

– Drodzy uczniowie klas pierwszych, do was dołączy jeden nowy uczeń. – Serce Augusta zabiło szybciej. – Pan Frederick Gallagher.

August wypuścił wstrzymywane powietrze, ciesząc się, że nie wywołano jego nazwiska. A potem przypomniał sobie, że przecież to *było* jego nazwisko. Przełknął ślinę i wstał. Pierwszoklasiści ze wszystkich stron obrócili się w jego stronę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Zrobiło mu się ciepło na twarzy i po raz pierwszy chciał być *mniej* prawdziwy. Może nawet całkiem zniknąć.

A potem dyrektor wypowiedział jej imię i w pewnym sensie życzenie Augusta się spełniło.

– I wreszcie nowa uczennica ostatniej klasy, panna Katherine Harker.

W audytorium zrobiło się cicho, wszystkie inne świeżaki zostały zapomniane, kiedy na przedzie podniosła się dziewczyna. Każda głowa w sali obróciła się w jej stronę.

Katherine Harker.

Jedyne dziecko Calluma Harkera, „gubernatora” Północnego Miasta, człowieka znanego ze zbierania potworów niczym broni. A także jedyny powód, dla którego August znalazł się w Colton.

Wrócił myślami do rozmowy, którą przeprowadził z Henrym i Leo.

– *Nie rozumiem. Chcecie, żebym... poszedł do szkoły? Z nią? – Na samą myśl zmarszczył nos. Harker to wróg. Morderca. Katherine pozostawała tajemnicą, jeśli jednak choć trochę przypominała swojego ojca... – I co miałbym tam robić?*

– *Śledzić ją – odparł Leo.*

– *Colton jest za małe. Zauważy mnie.*

– *Nie będziesz sobą – rzekł Leo. – I chcemy, żeby cię zauważyła. Chcemy, żebyś się do niej zbliżył.*

– *Nie aż tak – wtrącił Henry. – Chcemy tylko, byś miał na nią oko. W razie gdybyśmy potrzebowali karty przetargowej...*

– Z tego samego powodu jej ludzie szukają ciebie – wyjaśnił Leo. – Kiedy rozejm upadnie...

– Jeśli rozejm upadnie – poprawił go Henry.

– Dziewczyna może się przydać.

– Nic o niej nie wiemy – powiedział August.

– Jest córką Harkera. Jeśli jemu na kimkolwiek zależy, to właśnie na niej.

August wpatrywał się w dziewczynę w pierwszym rzędzie. Katherine przypominała ojca: była szczupła i pełna ostrych krawędzi. Włosy miała inne niż na zdjęciu, które oglądał. Nadal w tym samym jasnym kolorze, lecz sięgające ramion, proste i zaczesane tak, by zakrywały połowę jej twarzy. Większość uczennic Colton wybrała mundurki ze spódnicami, jednak Katherine miała na sobie obcisłe spodnie. Wsunęła kciuki do kieszeni. Wszędzie dokoła dało się słyszeć szepty. A potem Katherine, która dotychczas patrzyła przed siebie chłodnym, pustym wzrokiem, obejrzała się przez ramię.

Wprost na niego.

Nie wiedziała – *nie mogła* wiedzieć – kim był, lecz jej ciemne oczy obdarzyły go powolnym, taksującym spojrzeniem, a w kącikach ust zamajaczył uśmiech. Wtedy dyrektor Dean kazał im usiąść. August opadł na fotel, czując się, jakby właśnie umknął śmierci.

– A teraz – ciągnął dalej dyrektor – jeśli nie otrzymaliście jeszcze swoich legitymacji, nie zapomnijcie odebrać ich do końca dnia. Nie tylko będziecie mogli za ich pomocą zapłacić za obiad i materiały szkolne, ale też potrzebujecie ich, by zyskać dostęp do pewnych części kampusu, w tym teatru, sali gimnastycznej i dźwiękoszczelnych sal muzycznych.

August gwałtownie podniósł głowę. Nie obchodziła go stołówka, nie interesowały go ćwiczenia teatralne czy fizyczne, ale miejsce, gdzie mógłby grać w spokoju? To powód, dla którego warto odebrać tę legitymację.

– Legitymacje będą wydawane w czasie przerwy obiadowej oraz przez pół godziny po zakończeniu zajęć... – Dyrektor rozwodził się jeszcze przez wiele minut, jednak August przestał już słuchać.

Kiedy apel się skończył, fala uczniów wypłynęła z audytorium do lobby, gdzie po jakichś trzydziestu sekundach August zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie ma się udać. W korytarzu kłębił się tłum tak samo ubranych ludzi; próbował zejść im z drogi, próbując znaleźć w torbie rozkład zajęć.

– Hej, *Frederick*. – August podniósł wzrok i zobaczył Colina przeciskającego się przez tłum. Złapał Augusta za rękaw i wyciągnął go ze strumienia ludzi. – Mam cię. – Jego spojrzenie ześlizgnęło na obnażone przed chwilą przedramię kolegi. Pełne ekspresji oczy otworzyły się szeroko. – O rany, stary, niesamowite tatuaże. Tylko nie pozwól, żeby dyrektor je zobaczył, bo oszaleje. Kiedyś miałem tymczasowy na twarzy, chyba pszczołę, i kazał mi go zetrzeć. Polityka szkoły.

August obciągnął rękaw, a Colin zerknął na kartkę w jego ręku.

– O, idealnie. Mamy razem angielski. Tak mi się wydawało, że widziałem twoje nazwisko na liście. Sprawdzam je zawsze z wyprzedzeniem, żeby zobaczyć, z kim będę musiał się mierzyć, wiesz? – August nie wiedział i nie potrafił

ocenić, czy to pod jego wpływem chłopak był taki gadatliwy, czy to naturalne zachowanie, jednak podejrzewał to drugie. – Tak czy inaczej chodź ze mną. – Colin pociągnął go w stronę klatki schodowej. – Znam skrót.

– Dokąd?

– Na angielski, oczywiście. Moglibyśmy iść korytarzem, ale za dużo się tu pęta przeklętych pierwszoklasistów! – zagrzmiał. Kilku drobniejszych uczniów popatrzyło na niego wielkimi oczami, a nauczycielka w spódnicy popatrzyła na niego spode łba.

– Idź do klasy, Stevenson.

Colin puścił do niej oko i wszedł na klatkę schodową, przytrzymując drzwi Augustowi, który nie był pewien, czy tamten chce mu pomóc, czy raczej porwać. Nie chciał jednak spóźnić się na pierwszą lekcję w swoim życiu, więc i tak ruszył jego śladem. Tuż przed tym, jak zatrzęsnęły się drzwi, Augustowi wydawało się, że widzi Katherine Harker, przed którą fala uczniów rozstąpiła się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

III

I

Kiedy ludzie mówią o pierwszym dniu szkoły, używają określeń typu „świeży start” czy „nowy początek” i zawsze zaznaczają, że to szansa, by zdefiniować siebie na nowo.

W oczach Kate pierwszy dzień był szansą i wykorzystała ją w każdej poprzedniej placówce, zaś wszystkie razem stanowiły swego rodzaju próbę generalną przed tym, co miało nastąpić teraz. Jej pierwszy dzień w Akademii Colton był szansą, by nadać ton, by zrobić *wrażenie*. Miała tę przewagę, że znajdowała się na własnym terenie; ludzie tutaj może jej nie znali, ale wszyscy o niej słyszeli, a to nawet lepiej. Na tym fundamencie mogła coś zbudować. Przed końcem tygodnia zdobędzie Colton. Przecież jeśli nie zdoła rządzić szkołą, nie zasługiwała na to, by rządzić miastem.

Właściwie nie zależało jej aż tak bardzo na rządzeniu czymkolwiek. Nie chciała jednak, by ojciec widział w niej kogoś słabego, bezbronnego, z kim łączy go tylko kilka rysów twarzy i kolor włosów. Chciała, żeby dostrzegł w niej kogoś, kto zasługuje na miejsce u jego boku. Bo nie zamierzała pozwolić się znowu odesłać.

Wywalczyła powrót do stolicy i wywalczy sobie pozostanie tu na stałe.

Jestem córką mojego ojca, pomyślała, maszerując korytarzem, z rękami wzdłuż ciała i głową zadartą wysoko, a medalion i metaliczne paznokcie błyszczały w świetle lamp (przypomniało jej się nagranie, na którym błyszczały zęby potwora, i to dało jej siłę). Wszyscy wodzili za nią wzrokiem. Szeptali, zakrywając usta dłońmi. Z każdej strony tłum rozstępował się przed nią, uczniowie czmychali jak ławica narybku.

„Musisz ich od razu złamać” – powiedział kiedyś ojciec. Oczywiście mówił o potworach, nie nastolatkach, lecz obie grupy sporo łączyło. Jedni i drudzy mieli umysły roju – myśleli i działali w grupach. Miasta i szkoły stanowiły mikrokosmosy życia, a *małe* szkoły posiadały własny, wrażliwy ekosystem.

Akademia Świętej Agnieszki była ze wszystkich najmniejsza – uczęszczała do niej zaledwie setka dziewcząt – podczas gdy Fischer, prywatna placówka, mieścił solidne sześć setek uczniów. W Colton było ich czterystu, wystarczająco mało, żeby panowała tu kameralna atmosfera, lecz jednocześnie dość wielu, by gwarantować przynajmniej krztynę oporu.

To naturalne – zawsze istnieją ludzie gotowi kwestionować hierarchię

i spróbować zyskać poważanie albo przejąć władzę, a Kate mogła ich wyłować w ciągu kilku dni. Stanowili zakłócenia w umyśle roju i musiała się nimi jak najszybciej zająć.

Potrzebowała tylko okazji, żeby ugruntować swoją pozycję.

A ta, ku jej zaskoczeniu, pojawiła się niemal natychmiast.

Wiedziała, że ludzie będą szeptać na jej temat. Plotki nie były złe same w sobie. Wręcz przeciwnie, niektóre z nich działały praktycznie propagandowo. Kiedy Kate chodziła po korytarzu w czasie przerw, zadzierała głowę i do jej uszu docierały najgłośniejsze.

„Słyszałem, że spaliła swoją poprzednią szkołę”.

„Słyszałam, że siedziała w więzieniu”.

„Podobno pije krew jak Malchaj”.

„Wiedziałaś, że rzuciła się na ucznia z siekierą?”

„Wariatka”.

„Zabójczyni”.

A potem, kiedy weszła do następnej sali, usłyszała to:

– Podobno jej matka zwariowała.

Kate zwolniła kroku.

– Serio – ciągnęła dalej dziewczyna, dość głośno. – Oszalała i próbowała zjechać z mostu. Kate odłożyła torbę na ławkę i zaczęła w niej czegoś szukać, wystawiając zdrowe ucho w stronę dziewczyny. – Słyszałam, że Harker ją odesłał, bo nie mógł na nią patrzeć. Przypominała mu zmarłą żonę.

– Charlotte – szepnęła inna. – Zamknij się.

Właśnie, Charlotte, pomyślała Kate. Zamknij się.

Jednak Charlotte nie zrobiła tego.

– Może odesłał ją, bo też jest wariatką.

„Nie wariatką” – chciała powiedzieć Kate. Nie, uznał ją za tak słabą jak jej matka. Jednak się mylił.

Wbiła mocno paznokcie w skórę dłoni i usiadła, skupiając wzrok na tablicy. Przesiedziała tak przez całą lekcję, z wysoko uniesioną głową, lecz nie słuchała, nie robiła notatek. Nie docierały do niej żadne słowa nauczyciela. Nie obchodziły ją zajęcia. Siedziała prosto i czekała, aż zadzwoni dzwonek, a kiedy zadzwonił, wyszła za Charlotte na korytarz. Następna lekcja nie była tak ważna jak to.

Kiedy dziewczyna skręciła do najbliższej łazienki, Kate ruszyła jej śladem, a potem zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę.

Charlotte, piękna na swój nudny sposób, stała przed lustrem, poprawiając makijaż. Kate zajęła miejsce obok i zaczęła spłukiwać krew z dłoni. Potem schowała włosy za ucho, pokazując bliznę biegnącą od skroni w dół. Charlotte podniosła wzrok, zobaczyła spojrzenie Kate w lustrze i miała czelność uśmiechnąć się z wyższością.

– Mogę w czymś pomóc?

– Jak się nazywasz? – zapytała Kate.

Dziewczyna uniosła rozjaśnioną brew i wytarła rękę.

– Charlotte – odparła, odwracając się już do wyjścia.

– Nie – rzuciła powoli Kate. – Pytam o nazwisko.

Charlotte zatrzymała się, podejrzliwa.

– Charlotte Chapel.

Kate wybuchnęła cichym, krótkim śmiechem.

– Co cię tak śmieszy? – warknęła ta druga.

Kate wzruszyła ramionami.

– Spaliłam jedną kaplicę^[2].

Charlotte skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Wariatka – mruknęła, odchodząc.

Nie zaszła zbyt daleko.

W jednej chwili Kate przycisnęła ją do ściany i oplotła jej gardło palcami, wpijając w skórę paznokcie pomalowane lakierem z domieszką metalu. Wolną ręką Kate wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę. Nacisnęła guzik po lewej stronie i z obudowy ze stłumionym kliknięciem wysunęło się srebrne ostrze.

Charlotte otworzyła szeroko oczy.

– Jesteś bardziej szalona niż się spodziewałam – wydyszała.

Przez chwilę Kate rozważała, czy ją skrzywdzić. Poważnie skrzywdzić. Nie dlatego, że miałyby w ten sposób osiągnąć określony cel, ale po prostu sprawiłoby jej to ogromną przyjemność. Jednak gdyby wyrzuciliby ją ze szkoły, zaprzepaściłaby wszystko, co zrobiła, żeby się tu dostać.

Wywiezie cię z Prawdziwości. Na dobre.

– Kiedy dyrektor o tym usłyszy...

– Nie usłyszysz – odparła Kate, przykładając ostrze do policzka Charlotte. – Bo nie piśniesz słówka. – Wypowiedziała te słowa tak samo, jak każde inne: cichym, spokojnym głosem.

Widziała kiedyś film dokumentalny o przywódcach sekt i cechach, które czyniły ich tak efektywnymi. Jedną z najważniejszych była charyzma. Zbyt wiele osób myślało, że chodzi o bycie głośnym, tymczasem człowiek naprawdę charyzmatyczny *nie musi* być głośny. To ktoś, kto potrafi dowodzić tłumem, nie podnosząc głosu. Ojciec Kate był kimś takim. Obserwowała go w tych krótkich chwilach, które spędzali razem, i Callum Harker nigdy nie krzyczał.

Dlatego Kate też nie.

Rozluźniła chwyt na gardle Charlotte, tylko trochę, a potem przysunęła ostrze do medalionu wiszącego na szyi dziewczyny, stukając wygrawerowaną na nim literę P.

– Chciałabym, żebyś coś zapamiętała, Charlotte Chapel. – Pochyliła się. – Ten wisiołek może chronić cię przed potworami, lecz nie ochroni przede mną.

Rozległ się dzwonek na lekcje i Kate odsunęła się, przywołując na twarzy swój najlepszy uśmiech. Ostrze zniknęło we wnętrzu zapalniczki, a dłoń Kate ześlizgnęła się z gardła Charlotte.

– Biegnij – rzuciła lodowatym tonem. – Inaczej się spóźnisz.

Charlotte złapała się za obolałą szyję i opuściła łazienkę.

Kate nie poszła za nią. Pochyliła się nad umywalką, jeszcze raz umyła ręce

i ułożyła włosy. Na moment spojrzała w oczy swojego odbicia w lustrze i zobaczyła inną wersję siebie za wzburzonym błękitem, tę należącą do innego, łagodniejszego świata. Tutaj nie było miejsca na tamtą Kate.

Wzięła głęboki wdech, rozprostowała szyję i poszła do klasy, pewna, że zrobiła solidne pierwsze wrażenie.

[2] Gra słów: *chapel* w języku angielskim znaczy „kaplica”.

III

II

August powinien być na sali gimnastycznej.

A przynajmniej każdy uczeń pierwszej klasy powinien być w tej chwili na sali gimnastycznej, jednak dzięki problemom zdrowotnym – astmie, jak napisano w jego papierach – wysłano go zamiast tego na świetlicę.

Oczywiście nie chorował na astmę. Za to na jego skórze było czterysta osiemnaście kresek biegnących wzdłuż jednego ramienia i wychodzących już na plecy i pierś. Henry martwił się, że to zwróciłoby uwagę.

Dlatego August udał się na świetlicę. Nie posiedział tam długo, bo chociaż taka przestrzeń może się przydać, to pierwszego dnia szkoły nie miał pracy domowej do odrabiania, więc zapytał opiekuna, czy może wyjść do łazienki, i już nie wrócił.

A teraz stał przed pokojem, w którym wydawano legitymacje.

Po drodze próbował wymyślić wymówkę, dzięki której mógłby wymigać się od zdjęcia – czytał kiedyś o plemieniu, które wierzyło, że fotografowanie kradnie duszę – ostatecznie jednak obeszło się bez tego.

Pokój okazał się pusty. Światła były zapalone, a kiedy August nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły. Rozejrzał się dokoła nerwowo, a potem wszedł do środka i zamknął za sobą. Na komputerze wciąż był otwarty formularz, więc wpisał swoje dane: Frederick Gallagher, szesnaście lat, pierwsza klasa, metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, brunet, szare oczy.

Po prawej stronie pusty kwadrat czekał na wypełnienie. August wiedział czym. Przełknął ślinę i uruchomił samowyzwalacz z opóźnieniem, a potem stanął przed bladym tłem, tak samo jak pozostali uczniowie. Popatrzył prosto w obiektyw aparatu i zaraz błysnął flesz. August zamrugał, oślepiiony, a potem wstrzymał oddech i powrócił do komputera, lecz na widok zdjęcia na ekranie ścisnęło go w żołądku. Wyraz jego twarzy był trochę zbyt nieobecny, lecz twarz posiadała niemal wszystkie odpowiednie komponenty – szczękę, usta, nos, kości policzkowe, włosy. Zwyczajny chłopak... gdyby nie jego oczy. Tam, gdzie powinny się znajdować, widać było tylko czarną smugę. Jakby ktoś narysował jego portret węglem, a potem go rozmazał.

„Sunaj, Sunaj, czarnooki” – zaśpiewała dziewczynka w jego głowie. Zrobiło mu się niedobrze.

„Powtórzyć?” – zapytał komputer.

Potwierdził kliknięciem. Tym razem nie patrzył bezpośrednio w obiektyw, lecz w miejsce tuż nad nim. Nic z tego. Taka sama czarna smuga zasłaniała mu oczy. August próbował raz po raz, za każdym razem przesuwając wzrok minimalnie w lewo lub w prawo, w górę lub w dół, a smuga przemieszczała się, czasami rzedła, lecz nie znikała. Flesz wypalił w jego polu widzenia mnóstwo białych plamek. Ostatnie zdjęcie gapiło się na niego z ekranu, z oczami zasłoniętymi tą samą czarną smugą, za to między brwiami pojawiła się mała, pełna frustracji zmarszczka. Nie powinien był w ogóle próbować, powinien od razu wiedzieć, że to nie zadziała, jednak liczył... no właśnie, na co?

Na to, że uda ci się udawać człowieka? – naigrywał się z niego brat.

Pieśń zanuci, porwie duszę.

Pokręcił głową.

Bum.

Zbyt wiele głosów.

„Powtórzyć?” – zapytał komputer.

Palec Augusta zawisł nad komendą „nie”, lecz po chwili chłopak zmienił zdanie. Jeszcze jeden raz. Stanął przed aparatem, wziął głęboki wdech i przygotował się na nieuchronny flesz i rozczarowanie. Jednak to pierwsze nigdy nie nadeszło. Usłyszał pstryknięcie, jednak coś musiało pójść nie tak i nie błysnął flesz. August podszedł do komputera z sercem walącym jak oszalałe. Spojrzał i zabrakło mu tchu.

Chłopiec na zdjęciu stał z rękami w kieszeniach. Nie patrzył w obiektyw, jego oczy były na wpół zamknięte, głowa odwrócona w bok, a zdjęcie trochę nieostre, uchwycone w ruchu. Ale to był on. Bez czarnej smugi. Bez nieobecnego wzroku.

August wypuścił wstrzymywane powietrze i kliknął „drukuj”, a po minucie maszyna wypluła gotową legitymację. Przez kilka długich sekund gapił się na swoje zdjęcie, zauroczony, a potem włożył dokument do kieszeni i wyszedł z pokoju akurat w chwili, gdy zadzwonił dzwonek. Był już w połowie drogi do swojej szafki, kiedy ktoś krzyknął jego imię. A raczej imię Freddiego.

Odwrócił się i zobaczył Colina w towarzystwie chłopaka i dziewczyny.

– Alex i Sam, przedstawiam wam Freddiego – oznajmił. – Freddie, to Alex i Sam.

August nie był pewien, kto był kim^[3].

– Hej – powiedziało jedno z nich.

– Hej – powtórzyło drugie.

– Cześć – rzucił August.

Colin objął go ramieniem, co nie było takie łatwe, bo był całe piętnaście centymetrów niższy. August spiął się pod wpływem tego nagłego dotyku, ale nie odsunął się.

– Wyglądasz na zagubionego. – Już miał pokręcić głową, kiedy Colin przerwał mu pytaniem: – Głodny? Bo ja umieram z głodu. Chodźmy na obiad.

– ...mam ciarki.

– ... impreza w ten weekend...

- ...co za dupek.
- ...Jack i Charlotte parą?

August gapił się w swój na wpół zjedzony posiłek.

Na stołówce panował hałas większy, niż się spodziewał. Starał się nie myśleć o nieustannym stukaniu tac i śmiechach, i krzykach jak wystrzały z karabinu, zamiast tego skupiając się na zielonym jabłku, które obracał w dłoniach. Jabłka były jego ulubionym jedzeniem, jednak nie ze względu na smak, lecz postać – lubił ich chłodną i gładką skórkę oraz ciężar. Niemniej czuł na sobie wzrok Sam – okazało się, że to dziewczyna – więc włożył owoc do ust i ugryzł, starając się nie skrzywić.

August mógł jeść, lecz nie sprawiało mu to przyjemności. Nie wywoływało w nim też wstępu, po prostu... ludzie dużo mówili o dekadencej słodkości ciasta czekoladowego, odświeżającej soczystości brzoskwiń, mięsistej rozkoszy dobrego steku. Dla nich każdy posiłek był *doświadczeniem*.

Dla Augusta wszystko smakowało tak samo – nijak.

- To dlatego, że to jedzenie *dla ludzi* – tłumaczył Leo. - Ty do nich nie należysz.

August wiedział, co jego brat miał na myśli. *Jesteś kimś więcej*. Niemniej on wcale tego nie czuł. Wydawało mu się, że tylko udaje.

Całą przyjemność, jaką ludzie czerpali z jedzenia, August czerpał z muzyki. Potrafił rozkoszować się każdym dźwiękiem, smakować melodię. Na samą myśl łaskotały go kreski na skórze, a palce domagały się dotyku strun. Po drugiej stronie stołu Colin właśnie opowiadał jakąś historię. August nie słuchał, za to obserwował. Kiedy chłopak mówił, jego twarz pokazywała akrobatyczną sekwencję emocji, jedna przechodziła płynnie w drugą. Znowu ugryzł jabłko, przeżuł, połknął i odłożył owoc.

Sam pochyliła się do przodu.

- Nie jesteś głodny?

Zanim August zdążył pokazać jej na wpół zjedzoną zawartość torebki śniadaniowej, wtrącił się Colin:

- Ja zawsze jestem głodny – oznajmił z pełnymi ustami. - Ale serio, zawsze.

Sam przewróciła oczami.

- Zauważyłam.

Ten drugi chłopak, Alex, nadział kawałek owocu na widelec.

- A więc, Fredericku – zaczął, akcentując każdą sylabę imienia. - W Colton nie ma zbyt wiele nowej krwi. Wyrzucili cię z innej akademii?

- Słyszałem, że *tamtą* wyrzucili – szepnął Colin. Nie musiał tłumaczyć, kogo miał na myśli.

- To nie jedyny powód, dla którego ludzie zmieniają szkoły – powiedziała Sam, odwracając się do Alexa. - Tylko dlatego, że ty wyleciałeś...

- Nie wyleciałem tylko przeniosłem się z własnej woli! – odparł Alex, zaraz skupiając swoją uwagę na Auguście. - No i? Wywalili cię? Przeniosłeś się? Sypiałeś z nauczycielką?

- Nie – odpowiedział odruchowo August, a potem, już wolniej, dodał: -

Uczyłem się w domu.

– Aha, nic dziwnego, że jesteś taki cichy.

– Alex – skarciła go Sam, kopiąc go pod stołem – to niemiłe.

– No co? Przecież mogłem powiedzieć, że dziwny.

Kolejny kopniak.

– Nic nie szkodzi – odezwał się August, zdobywając się na uśmiech. – Po prostu nie jestem przyzwyczajony do towarzystwa tak wielu ludzi.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał Colin z ustami pełnymi makaronu.

August znowu ugryzł jabłko, używając go, by zdusić słowa, które próbowały wydostać się z jego gardła. W czasie tych kilku ukradzionych sekund przemyślał swoją odpowiedź, szukając odpowiedniej wersji prawdy.

– Niedaleko Szwu – powiedział.

– Cholera – odparł Alex i zagwizdał. – W czerwonej strefie?

– Tak – odparł powoli August – ale to Północne Miasto, więc...

– Robi się strasznie dopiero wtedy, gdy nie masz medalionu – dokończył za niego Colin, stukając w wisiołek na szyi.

Sam kręciła głową.

– No nie wiem. Słyszałam, że ludziom w czerwonej przydarzają się paskudne rzeczy. Nawet tym pod ochroną Harkera.

Alex spojrzał w odległy kąt stołówki.

– Lepiej, żeby *tamta* cię nie usłyszała. Przekaze wszystko ojcu.

Colin wzruszył ramionami i zaczął mówić o koncercie – umysł chłopaka zdawał się działać jeszcze bardziej chaotycznie niż jego – lecz August powiódł za spojrzeniem Alexa. Katherine siedziała samotnie przy stole, lecz nie wydawała się samotna. Wręcz przeciwnie, na jej twarzy dało się zauważyć wyzywający uśmiech. Jakby *chciała* być sama. Jakby fakt bycia unikaną przez innych ludzi uważała za powód do dumy. August tego nie rozumiał.

– Chcesz iść, Freddie?

Patrzył, jak Katherine bawi się jedzeniem i owija łańcuszek wokół metalicznego paznokcia, a potem wstaje.

– Freddie?

Prąd w stołówce zmienił się wraz z tym ruchem, oczy wszystkich skierowały się w jej stronę. Jednak Katherine to nie przeszkadzało. Z podniesioną głową odstawiła tacę i wyszła.

– On cię nie słucha.

August szybko wrócił do rozmowy.

– Przepraszam, co?

– Koncert, sobota, chcesz iść?

– Przecież nikt z nas nie pójdzie – wtrąciła się Sam, oszczędzając Augustowi konieczności udzielenia odpowiedzi. – Jest *godzina policyjna*, Colin. A poza tym to praktycznie Ziemia Jałowa!

– I nikt z nas nie chce *umrzeć* – dodał Alex, przedrzeźniając ton, jakiego użyła Sam, machając przy tym rękoma.

– Mama obdarłaby mnie ze skóry – rzuciła Sam, ignorując wygłupy kolegi.

– Nie, jeśli Corsai zrobi to pierwszy – drażnił się z nią Alex. Sam spojrzała na niego przerażona i wymierzyła mu kuksańca w ramię.

– Ała!

– A ja uważam – zaczął Colin, pochylając się nad stolikiem – że życie jest krótkie, wiecie? – mówił konspiracyjnym szeptem. Potrafił sprawić, że August nie czuł się jak nowy; wręcz przeciwnie, jakby znał ich od dawna. – Nie można przez cały czas się bać.

August bezwiednie pokiwał głową, chociaż sam bał się przez większość czasu. Bał się tego, kim jest, kim nie jest. Bał się, że się zmieni w coś innego, stanie się nicością.

– Właśnie – wtrącił Alex – życie jest krótkie i stanie się jeszcze krótsze, jeśli zaczniecie się kręcić w nocy...

Colin uśmiechnął się przebiegle.

– Freddie nie boi się potworów, prawda?

August nie wiedział, co na to powiedzieć. Nie musiał.

– Totalnie widziałem jednego – dodał Colin.

– Ależ ty pieprzysz...

– Co zrobiłeś?

– Oczywiście uciekałem, aż się za mną kurzyło.

August się roześmiał. To było miłe uczucie.

A potem, między jednym kęsem jabłka a drugim, pojawił się głód.

Zaczęło się od niczego.

A raczej *prawie* niczego, jak przeziębienie, kiedy na ułamek sekundy zakręci ci się w głowie, ostrzegając o zbliżającej się gorączce. Zastanawiasz się wtedy – czy łaskocze mnie w gardle? Od jak dawna pociągam nosem? – tym samym tylko przyspieszając chorobę. August starał się zdusić przyływ paniki w zarodku.

Zignoruj to, powiedział sobie w duchu. *Umysł kontroluje ciało*. Tyle że umysł będzie działał, dopóki nie dosięgnie go głód ciała, a wtedy August będzie miał kłopoty. Skupił się na oddechu, wtłaczając siłą powietrze do gardła, a potem do płuc.

– Hej, Freddie, wszystko w porządku? – zapytał Colin, a August zdał sobie sprawę, że chwycił kurczowo kant stołu. – Coś źle wyglądasz.

– No – rzucił i wstał, omal nie przewracając się o nogi krzesła. – Muszę tylko... wyjść na świeże powietrze.

Zarzucił torbę na ramię, pozbył się resztek jedzenia i przeszedł przez drzwi stołówki, nie zastanawiając się, dokąd prowadzą, chciał tylko jak najszybciej wyjść.

Znalazł się za budynkiem szkoły. W oddali rosły drzewa w zielonym szeregu. Powietrze było chłodne i August zaczął je łykać łapczywie, mruczając pod nosem: „jest okej, jest okej, jest okej”, zanim zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

Ktoś chrząknął i August odwrócił się, a jego oczom ukazała się Katherine Harker. Opierała się o ścianę budynku, trzymając w dłoni papierosa.

– Zły dzień?

[3] W języku angielskim oba imiona mogą być zarówno żeńskie, jak i męskie.

HH

III

Kate chciała po prostu chwili spokoju. Chwili by odetchnąć, by pomyśleć, poza zasięgiem wzroku innych ludzi. Słowa Charlotte wciąż nie chciały jej opuścić.

„Podobno jej matka zwariowała. Oszałała i próbowała zjechać z mostu”.

To stwierdzenie przyniosło ze sobą kilka wspomnień. Dwa różne światy. Dwie różne Kate. Jedna leżąca na łące. Druga na chodniku. Jedna otoczona przez spokojny szelest wsi. Druga otoczona ogłuszającym hałasem.

Odruchowo podniosła rękę, by dotknąć blizny biegnącej wzdłuż linii włosów, przejechała metalicznym paznokciem po małżowinie ucha. Niepokojąco jest to poczuć, lecz nie usłyszeć.

I wtedy otworzyły się drzwi. Wybiegł przez nie chłopak. Kate opuściła szybko rękę. Chłopak wydawał się trochę zagubiony i trochę chory. Nie dziwiła mu się. Wyszedł ze stołówki, a tamto miejsce potrafiłoby każdego wytrącić z równowagi.

– Zły dzień?

Podniósł wzrok, zaskoczony, a ona go rozpoznała.

Frederick Gallagher. Jeden z nowych. Z bliska wyglądał raczej jak bezdomny pies, a nie uczeń. Spod czarnych rozczochranych włosów patrzyły szeroko otwarte szare oczy. Chłopak sprawiał wrażenie głodnego, pod skórą widać było kości.

Patrzyła, jak otwiera usta, zamyka je, a potem otwiera jeszcze raz, by wypowiedzieć tylko jedno słowo:

– No.

Kate strząsnęła popiół z papierosa i wyprostowała się.

– Jesteś tu nowy, nie?

Podniósł nieznacznie czarną brew.

– Ty też – odparował.

Odpowiedź zbiła ją z tropu. Spodziewała się jakiegoś mruka, może lizusa. Zamiast tego chłopak patrzył jej prosto w oczy i mówił pewnym, choć cichym głosem. Czyli może jednak nie bezdomny piesek.

– Katherine, prawda?

– Kate – powiedziała. – Frederick?

– Freddie – poprawił ją.

Zaciągnęła się papierosem. Zmarszczyła brwi.

– Nie wyglądasz jak Freddie.

Wzruszył ramionami i przez moment tylko stali i patrzyli na siebie, chwila przeciągała się, ich spojrzenia stawały się coraz bardziej krępujące i wreszcie szare oczy oderwały się, wybierając ucieczkę w ziemię. Kate uśmiechnęła się triumfalnie. Pokazała na chodnik, na granicę z zielenią trawy.

– Co sprowadza cię do mojego biura?

Rozejrzał się, zdeorientowany, jakby naprawdę jej w czymś przeszkodził. A potem podniósł wzrok i rzucił:

– Dla widoku.

Kate wyszczerzyła zęby.

– Czyżby?

Zaczerwienił się.

– Nie miałem na myśli ciebie – odparł szybko. – Mówiłem o drzewach.

– O rany, dzięki – odparła sucho. – Jak miałabym konkurować z sosnami i dębami?

– Nie wiem – powiedział Freddie, zadzierając głowę. Znowu ten bezdomny piesek. – Są świetne.

Założyła włosy za ucho i zauważyła, że Freddie się jej przygląda. Miał czerwone policzki, jednak nie tylko z zakłopotania. Naprawdę wyglądał na chorego.

– Zaproponowałabym ci krzesło – powiedziała, strzepując popiół na chodnik.

– Nie trzeba – odparł, opierając się o przyległą ścianę. – Potrzebuję tylko świeżego powietrza.

Patrzyła, jak jego pierś podnosi się i opada, szare oczy kierują się w stronę nisko wiszących chmur. Było w tych oczach coś niezwykłego, coś obecnego i nieobecnego jednocześnie.

Gdzie jesteś?, zastanawiała się, miała te słowa na końcu języka.

– Proszę. – Podała mu papierosa. – Wyglądasz, jakby ci się przydał.

Jednak Freddie machnął ręką.

– Nie, dzięki. Palenie zabija.

Zaśmiała się, cicho i bez radości.

– Nie tylko palenie zabija w tym mieście.

Smutny uśmiech.

– Prawda.

Rozległ się dzwonek i Kate odsunęła się od ściany.

– Do zobaczenia, Freddie.

– Muszę się zapisać na spotkanie? – zapytał.

Machnęła ręką.

– Moje biuro jest zawsze otwarte.

Z tymi słowami zgasiła papierosa i weszła do środka.

Do końca dnia Kate stała się nietykalna.

Najwyraźniej wieści o jej małej przygodzie z Charlotte się rozeszły – przynajmniej w ostatniej klasie. Większość uczniów jej unikała, cichła w jej obecności, jednak kilka osób przyjęło inną taktykę.

- Masz wspaniałe włosy.
- Chciałabym mieć taką cerę.
- Niesamowite paznokcie. Czy to żelazo?

Kate miała jeszcze mniej cierpliwości do tych klakierów niż do takich typów jak Charlotte. Widziała ludzi liżących stopy jej ojcu, próbujących pochlebstwami i błaganiem wkupić się w jego łaski. Powiedział jej kiedyś, że właśnie dlatego woli potwory. Potwory to prymitywne, obrzydliwe stworzenia, jednak niewiele ich interesuje i nie przejawiają żadnych talentów w kwestii zdobywania przychylności albo opowiadania kłamstw. Były głodne, jednak głód nie ma nic wspólnego z ambicją.

„Nigdy nie muszę się zastanawiać, czego chcą – powiedział jej ojciec – bo już wiem”.

Kate od zawsze nienawidziła potworów, lecz kiedy pół szkoły jej unikało, a pół próbowało się jej przypodobać, zaczęła rozumieć sympatię ojca. Była wykończona i z ulgą przyjęła ostatni dzwonek.

- Zobacz – rzuciła do Marcusa, wsiadając do czarnego sedana. – Nie wyrzucili mnie.

- Prawdziwy cud – odparł beznamiętnie kierowca, przytrzymując dla niej drzwi.

Pod osłoną przyciemnionych szyb wreszcie pozwoliła, by lodowaty uśmiech zniknął z jej twarzy, a samochód powoli wytoczył się spod Colton i ruszył w drogę powrotną do domu.

„Dom” – do tego słowa musiała się jeszcze przyzwyczaić.

Harkerowie mieszkali na najwyższym piętrze Allsway Building, które teraz ostentacyjnie przemianowano na Dom Harkera, ponieważ jej ojciec był właścicielem całego wieżowca, od chodnika po czubek iglicy. Marcus został w samochodzie, podczas gdy dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach otworzyło przed nią szklane drzwi i zaprosiło ją do środka. W powietrzu, niczym zapach perfum, unosiły się dźwięki muzyki klasycznej – doskonałe w małych dawkach, lecz szybko przynoszące znużenie. Całe wnętrze ociekało dekadencją: wysoki sufit lobby z kryształowymi żyrandolami, podłogi wyłożone ciemnym marmurem, ściany białym kamieniem ze złotymi wykończeniami.

Kate czytała kiedyś powieść fantastycznonaukową o błyszczącym mieście przyszłości, gdzie wszystko było wspaniałe na zewnątrz i gnijące od środka. Jak psujące się jabłko. Czasami zastanawiała się, czy jej ojciec też czytał tę książkę (a jeśli tak, to najwyraźniej jej nie doczytał).

Facet w ciemnym garniturze ruszył za nią przez lobby wypełnione po brzegi kobietami i mężczyznami w eleganckich strojach, z których wiele niewątpliwie liczyło na audiencję u Harkera. Pewna ślicznotka w kremowym płaszczu próbowała wcisnąć Kate kopertę, jednak ochroniarz jej nie przepuścił. (Szkoda. Kate mogłaby przyjąć łapówkę. Oczywiście nie przekazałaby jej ojcu.) Zamiast tego dziewczyna patrzyła przed siebie, aż dotarła do złotej windy. Dopiero wtedy obróciła się, rozejrzała po pomieszczeniu i posłała zebrany cień uśmiechu.

„Ludzie to wyzyskiwacze. Wykorzystaj ich, zanim oni wykorzystają ciebie”.

Kolejna złota rada od samego Calluma Harkera.

Dzięki takim maksymom Callum Harker wzniósł się na szczyt, a przynajmniej znajdował się w drodze na szczyt już od bardzo dawna. Był człowiekiem, który potrafił doskonale zdobyć trzy rzeczy: przyjaciół, wrogów i pieniądze, głównie nielegalnie. Na długo przed Fenomenem i chaosem, zanim wybuchły wojny terytorialne, zanim zakończyły się rozejmem, Harker już stawał się kimś na kształt króla. Nie oficjalnie, nie – ten tytuł należał do Flynnów, jednak każde miasto to góra lodowa, a prawdziwą władzę dzierżyli ci schowani pod powierzchnią, a nawet wtedy Harker miał pół stolicy w kieszeni. Dlatego kiedy ceniom wyrosły zęby, kiedy sąsiednie terytoria zamknęły swoje granice, kiedy panika wygoniła ludzi z miasta, a ci z zewnątrz zagonili ich z powrotem, kiedy wszyscy byli przerażeni, Harker to wykorzystał.

Posiadał wizję – *zawsze* posiadał wizję – i nagle zyskał też potwory. I wszystko nagle wydawało się takie proste: wybierz Flynna i żyj w strachu, wybierz Harkera i zapłać za bezpieczeństwo.

Jak się okazało, ludzie byli gotowi zapłacić naprawdę wiele.

Apartament Harkera został urządzony w minimalistycznym i eleganckim stylu: więcej marmuru i szkła, gdzieś tam ciemne drewno i stal. Żadnych służących tak wysoko. Żadnych ochroniarzy. Wszystko w tych pokojach było zimne, pełne ostrych krawędzi, nieprzyjazne dzieciom. A jednak mieszkali tu jako rodzina, we trójkę, w czasie tych kilku miesięcy po podpisaniu rozejmu i przed wypadkiem. Jednak gdy Kate przywoływała te wspomnienia, szukając *domu*, obrazy się mieszały, otwarte łąki i drzewa w oddali z potrząskanym szkłem i wygiętym metalem.

To nie miało znaczenia.

Była tutaj teraz. Uczyni to miejsce swoim.

– Halo? – zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Nie spodziewała się komitetu powitalnego ani „jak ci minął dzień, kochanie?”. To nigdy nie było w ich stylu. Prywatne biuro jej ojca znajdowało się przy apartamencie, jednak równie dobrze mogłoby służyć za oddzielne mieszkanie, oddzielny świat. Ogromne drzwi były zamknięte, a kiedy przystawiła do drewna zdrowe ucho, słyszała tylko cichy i ciągły szum. Dźwiękoszczelne. Kate odsunęła się od drzwi i odwróciła w stronę pozostałej części apartamentu.

Za wysokimi oknami roztaczał się widok na słońce chowające się już za wyższymi budynkami. Kate dotknęła interfejsu na ścianie i uruchomiła światła, które zalały pomieszczenie sztucznym blaskiem. Jeszcze jeden ruch palcem i ciężka cisza została przerwana przez muzykę wylewającą się z głośników rozmieszczonych po całym mieszkaniu. Kate nie spuszczała wzroku z drzwi prowadzących do biura ojca i trzymała palec na przycisku, a głośność rosła i rosła, aż dźwięki zaczęły rezonować w jej piersi i pusta przestrzeń wydała się pełna. Nie było słychać odgłosów jej kroków, kiedy poszła do kuchni, wspięła się na stołek przy blacie i zaczęła rozpakowywać torbę. Ilość pracy domowej z Colton była przytłaczająca, jednak Kate spędziła wiele lat w szkołach,

w których nie zajmowano się praktycznie niczym innym jak jej zadawaniem. Pośród papierów zobaczyła ulotkę na temat przygotowań do studiów, zatytułowaną „Życie po Colton” i pełną propozycji, w większości na terytorium Prawdziwości, lecz także kilku poza jej granicami. Granice zostały ponownie otwarte dwa lata temu, obwarowano to jednak bardzo surowymi zasadami – Prawdziwość w dalszym ciągu stanowiła zamkniętą strefę na podstawie Kodu Kwarantanny 53: Inne – lecz Kate domyślała się, że kilkoro dzieciaków z Colton posiadało wystarczające znajomości, żeby zdobyć papiery niezbędne do takiej przeprowadzki.

W końcu pozostałe terytoria chciały najbystrzejsze umysły Prawdziwości.

Nie życzyły sobie jedynie jej potworów.

Kate odrzuciła ulotkę na bok.

Na marmurowym blacie leżała sterta świeżo odlanych medalionów, ciężkich żelaznych dysków z ozdobnym P wygrawerowanym na froncie. Kate zaczęła bezmyślnie bawić się wisiorem. Żelazo. Prawda, że potwory go nienawidzą, jednak to nie metalem zdobywało się bezpieczeństwo, lecz dzięki Harkerowi. Każdy mógłby powiesić sobie na piersi kawałek metalu i liczyć na szczęście, ale te wisiory były wyjątkowe.

Z tyłu każdego medalionu znajdował się wygrawerowany numer, a każdy numer został – albo zostanie – przypisany konkretnej osobie; specjalna księga w biurze ojca zawierała nazwiska każdej osoby, która nabyła ochronę przed stworzeniami czyhającymi w mroku. To nie strach przed metalem zapewniał bezpieczeństwo, lecz strach przed Harkerem.

Zakręciła wisiorem jeszcze raz i patrzyła na szybko zmieniające się strony.

„Nie ma ochrony bez medalionu” – tak brzmiało prawo ustanowione przez Harkera.

Wisior zachybotał, a Kate poczuła jakiś ruch za plecami. Nie słyszała nic z powodu głośnej muzyki, lecz natychmiast instynktownie poznała, że nie jest już sama.

Sięgnęła dłonią pod blat i zacisnęła palce wokół pistoletu schowanego w przytwierdzonej do granitu kaburze. Zanim medalion upadł z brzękiem, Kate skoczyła na równe nogi i podniosła broń. Spojrzała przed siebie i zobaczyła parę wpatrzonych w nią krwistoczerwonych oczu.

Sloan.

Kiedy sześć lat temu przybyła do Miasta Prawdy, do swojego ojca, znalazła u jego boku właśnie Sloana. Ubrany w szyty na miarę garnitur, ulubiony Malchaj Harkera wyglądał niemal jak człowiek. Był wzrostu Calluma, choć nie budowy, i miał podobnie głęboko osadzone oczy, choć te Sloana płonęły szkarłatem, podczas gdy u Harkera błyszczały kobaltem. Jeśli jednak jej ojciec miał posturę byka, Sloan był zjawą, a jego czarne kości dało się dostrzec spod warstwy bladej pergaminowej skóry. Wyglądał na chorego. *Nie*, pomyślała Kate. *Wygląda na martwego. Jak trup zimnego dnia.*

Na policzku potwora wypalono literę H, tuż pod lewym okiem, w tym samym kształcie i rozmiarze, co na pierścieniu z college’u, który jej ojciec nosił na lewej

dłoni, nad obrączką.

Cienkie usta Sloana podniosły się, obnażając zęby z ostrymi czubkami, jak u rekina.

*Malchaj, Malchaj, blady, chudy,
Wyssie krew, aż będziesz suchy.*

Sloan coś do niej mówił, lecz jego słowa zagłuszała muzyka. Kate nie chciała go słuchać. Głos Sloana był zupełnie niewłaściwy, nie brzmiał jak grzechot albo warknięcie, lecz coś cichego i przesłodzonego. Nigdy nie widziała pożywiającego się Malchaia, jednak potrafiła go sobie wyobrazić, obryzganego posoką, wciąż mówiącego z przyprawiającą o mdłości słodyczą.

– Nie słyszę cię – powiedziała bezgłośnie, poruszając tylko ustami, licząc, że potwór odejdzie. Jednak Sloan był cierpliwy. Wyciągnął rękę i dotknął interfejsu na ścianie swoim ostrym paznokciem, a muzyka ucichła, pogrążając ich na powrót w ciszy.

Kate nie opuściła broni. Zastanawiała się, jakimi pociskami została naładowana. Srebrnymi? Żelaznymi? Ołowianymi? Na pewno takimi, które zdołałyby wyrzucić krzywdę.

– Jesteś w domu krócej niż tydzień – odezwał się głosem tak cichym w porównaniu do muzyki, że Kate musiała nadstawić uszu – a już znalazłaś broń.

– No cóż – rzuciła Kate z ponurym uśmiechem.

– Zamierzasz mnie zastrzelić? – zapytał, robiąc ukradkowy krok do przodu, a jego czerwone oczy zabłyszczały z zainteresowaniem, jakby to była jakaś gra.

– Zastanawiałam się nad tym – odparła, lecz nie nacisnęła spustu, a potem poczuła ciężar pistoletu i spojrzała w dół. Dłoń Sloana leżała swobodnie na lufie. Nie zauważyła ruchu. Właśnie tacy byli Malchajowie: powolni aż do ataku.

Sloan syknął, przysuwając język do ostrych zębów.

– Moja droga Kate. Nie jestem twoim wrogiem. – Jego palce przesunęły się do przodu, muskając jej dłoń. Kate poczuła zimną lepkość, niemal *gadzią*, i szarpnęła się, oddając broń. Sloan położył ją na blacie. – Widzę, że nie miałaś dzisiaj problemów.

Kate pokazała na siebie.

– Wróciłam cała i zdrowa.

– A jak szkoła? – Jakby go to obchodziło.

– Wciąż stoi. – Temperatura w kuchni spadała, jakby Sloan wysysał z niej całe ciepło. Kate skrzyżowała ręce na piersi. – Wcześniej wstałeś.

– Wampiryczny żarcik. Jakie to oryginalne. – Sloan nigdy się nie uśmiechał, lecz posiadał równie suche poczucie humoru jak jej ojciec. Tylko Corsaje były naprawdę stworzeniami nocnymi, uczulonymi na światło dnia. Malchajowie pili krew i czerpali swoją siłę z nocy, lecz nie byli wampirami, nie kurczyli się na widok krzyża, nie płonęli na słońcu. Chociaż kawałek czystego metalu wbity w serce skutecznie by ich powstrzymał.

Kate patrzyła, jak Sloan przygląda się stercie medalionów na blacie i wzdryga się nieznacznie, a potem odwraca w stronę wysokich okien i patrzy na znikające

resztki dnia.

Miała własną teorię na temat Sloana. Jej zdaniem był nie tyle służącym Harkera, lecz *jego* Malchajem – owocem jakiejś okropnej zbrodni popełnionej przez ojca, podobnie jak ci Corsaje na obejrzanym przez nią nagraniu. Czymś, co popełzło w ślad za Harkerem. Tylko kogo zabił jej ojciec, by zyskać taką kreaturę jak Sloan? I jak długo Malchaj znajdował się u boku Harkera, gdy Kate odesłano z dala od niego? Na samą myśl zapragnęła posłać kulę prosto w oko potwora.

Jej wzrok prześlizgnął się na piętno na policzku Malchaja.

– Powiedz mi coś, Sloan.

– Co takiego?

– Co zrobiłeś, że stałeś się ulubionym zwierzątkiem mojego ojca? – Twarz Malchaja zamarła, jakby zamrożona. – Nauczyłeś się jakichś nowych sztuczek? Potrafisz aportować? Robić siad? Prosić?

– Znam tylko jedną sztuczkę – odparł, podnosząc kościstą rękę na wysokość jej ucha. – Wiem, jak słuchać.

Pstryknął palcami obok jej chorego ucha. Kate rzuciła się po broń, lecz Sloan dotarł do niej pierwszy.

– No, no – ostrzegł ją, machając palcem. – Bądź grzeczna.

Kate podniosła ręce i cofnęła się o krok.

– Kto wie – powiedział Sloan, obracając broń. – Może w nagrodę Harker wreszcie i ciebie uzna za swoją.

HH

III

August czuł się paskudnie.

Kiedy wreszcie dotarł do metra i usiadł, zamykając oczy, wszystkie czterysta osiemnaście kresek na jego ciele buczało cicho. Krew uderzała mu do głowy w rytm odległych huków wystrzałów. Starał się o tym nie myśleć, jednak przypominało to próbę niedrapania swędzącego bąbla.

– Jak mogłeś? – warknęła kobieta naprzeciwko. Stała nad mężczyzną, który czytał coś na tablecie. Kiedy nie podniósł na nią wzroku, zasłoniła mu ekran dłonią. – *Spójrz na mnie.*

– Cholera jasna, Leslie.

– Ja z nią pracuję!

– Naprawdę chcesz o tym teraz rozmawiać? – burknął. – Dobra, zrobmy sobie tabelkę z punktami.

– Straszny z ciebie dupek.

– Był Eric, Harry i Joe. Liczymy też tych, którzy cię nie chcieli?

Spoliczkowała go, a w głowie Augusta zabrzmiało to jak łomot, jakby coś huknęło w pociągu. Ludzie obrócili głowy w stronę kłócącej się pary. Przełknął ślinę. Jego wpływ się rozprzestrzenił, promieniował nim jak ciepłem. Dwa fotele dalej jakiś mężczyzna zaczął szlochać.

– To wszystko moja wina, moja wina. Nie chciałem tego...

– Ależ z ciebie *suka*.

– Nie było warto.

– Powinna była odejść.

– To wszystko moja wina.

Hałas w pociągu przybierał na sile, a August złapał mocno za krawędź siedzenia, aż zbieleły mu knykie, i odliczał ostatnie przystanki do Szwu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Paris, kiedy dotarł do jej mieszkania. Miała dodatkowy zmysł, a ten mówił jej, kiedy coś było nie tak.

– Żyję – odparł, zmieniając blezer na kurtkę OSF.

Wyciągnęła do niego rękę i dotknęła jego policzka.

– Jesteś rozpalony.

Jego kości rozgrzewały się, skóra sprawiała wrażenie zbyt ciasno naciągniętej.

– Wiem.

Piwnica okazała się przyjemnie chłodna i ciemna, a Augusta kusiło, by

położyć się na wilgotnej podłodze i zamknąć oczy, lecz parł do przodu, przez tunel i dalej, do budynku po drugiej stronie miasta, w górę i na zewnątrz, a potem cztery przecznice na południe zrujnowanymi ulicami, aż do domu. W windzie zobaczył swoje odbicie i postarał się przygładzić włosy, opanować wyraz twarzy. Wyglądał na zmęczonego, lecz poza tym jego choroba jeszcze się nie ujawniła.

Henry czekał na niego w Wieży.

– August? Miałeś napisać, kiedy wyjdiesz ze szkoły – skarcił go.

– Przepraszam – mruknął.

– Wszystko w porządku?

Boże, nienawidził tego pytania.

– Będzie dobrze – wydusił z siebie. To nie było kłamstwo. W końcu kiedyś będzie dobrze.

– Nie wyglądasz, jakby miało być dobrze – zaprotestował Henry.

– Miałem długi dzień – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Henry westchnął.

– Ech, uszy do góry. Emily upichciła pyszny obiad, żeby uczcić twój pierwszy dzień w szkole.

– To absurd. Przecież my we troje nic nie jemy.

– Zrób to dla niej.

August potarł oczy.

– Idę pod prysznic.

Wszedł do łazienki, nie włączając światła, i rozebrał się w ciemności. Woda była zimna, ale nie przekręcił kurka z ciepłą. Wszedł pod strumień, wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy ten uderzył w jego nagą skórę. Stał tak w lodowatej wodzie, aż przestały go boleć kości, aż zimno zgasiło ogień w jego piersi i nie czuł się już, jakby z każdym oddechem połykał ogień. Oparł czoło o ściankę prysznicza. *Jest okej, jest okej, jest okej.*

Zanim wyszedł z łazienki, słońce zdążyło już zająść.

– No, w końcu jesteś – powiedziała Emily, obejmując go. – Zaczynaliśmy się martwić. – Jego skóra była wciąż chłodna od wody, więc nie zauważyła, że August ma gorączkę. Mimo to wyswobodził się i podszedł do stołu.

Wzdrygnął się, gdy dosięgło go zbyt jasne światło oraz zbyt głośne szuranie krzesel. Wszystko było spotęgowane, jakby ktoś podkręcił gałkę jego życia, lecz nie w ekscytującym sensie. Hałas był zbyt głośny, zapachy zbyt silne, a ból – który teraz naprawdę czuł – zbyt ostry. Jednak emocje okazały się gorsze niż zmysły. Niepokój i gniew paliły się pod jego skórą i w głowie. Każdy komentarz i każda myśl była jak iskra padająca na suche drewno.

Stół został zastawiony. Pojawiły się na nim dwa talerze z jedzeniem, pozostałe trzy przybrano serwetkami. Absurd. Marnowanie czasu. Dlaczego w ogóle próbują udawać, że...

– Usiądź obok mnie – powiedziała Ilsa, klepiąc siedzisko krzesła po swojej lewej stronie.

August opadł na nie i zacisnął pięści. Czuł na sobie wzrok Leo, ciężki jak

kamień, jednak to Henry się odezwał:

– Widziałeś ją?

– Oczywiście, że ją widziałem – odparł August.

– No i? – zapytała Emily.

– Wygląda jak normalna dziewczyna. Nie roztacza wokół siebie aury morderczej księżniczki. Oczywiście, że próbowała, jednak dostrzegając w tym przedstawieniu pewien fałsz. Jakby to był element stroju. Jego własne ubrania wydawały mu się za ciasne. August zamknął oczy, kropla potu spływała mu po plecach. Miał wrażenie, jakby składał się z żarzących się węgli, które ktoś delikatnie podsycił...

– Coś jeszcze?

Oboje patrzyli na niego tak wyczekująco. August próbował się skupić.

– Wydaje mi się, że... niechęć... zyskałem przyjaciela.

Ilsa uśmiechnęła się. Leo uniósł brew. Henry i Emily popatrzyli po sobie.

– August – powiedział powoli Henry. – To świetnie. Tylko bądź ostrożny.

– Przecież jestem – warknął. Słyszał irytację we własnym głosie, ale nie potrafił się uspokoić tak samo, jak nie potrafił się schłodzić. – Chcieliście, żebym się wtopił w tłum. Czy nie wyróżniałbym się, nie posiadając żadnych przyjaciół?

– Jestem za tym, żebyś nawiązywał *znajomości*, August – stwierdził spokojnie Henry – tylko nie zbliżaj się do nikogo za bardzo.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Gniew wzrósł w nim zbyt gwałtownie. – Naprawdę uważasz, że jestem aż tak głupi? To, że trzymaliście mnie pod kloszem przez cztery lata nie znaczy jeszcze, że nie mam za grosz rozsądku. Co niby miałbym zrobić, *tato*? Zaprosić ich na *obiad*? – Odsunął krzesło od stołu.

– August – rzuciła błagalnie Ilsa.

Uciekając z kuchni słyszał szuranie krzeseł rodziców, lecz to Leo wyszedł za nim na korytarz.

– Kiedy ostatni raz się pożywiałeś? – zapytał z naciskiem.

Kiedy August się zawahał, Leo dosłownie się na niego rzucił. Chłopak próbował się wycofać, ale jego brat był za duży, za szybki, i udało mu się zrobić pół kroku, zanim Leo przyszpilił go do ściany. Złapał go za brodę i zadął mu głowę do góry, wwiercając się w niego wzrokiem.

– *Kiedy*?

Wpływ Leo niósł się wraz z jego głosem i dotykiem jednocześnie, a odpowiedź wydostała się siłą z gardła Augusta:

– Kilka dni temu.

– *Jasna cholera, August* – powiedział Leo, robiąc krok do tyłu.

– No co? – rzucił wyzywająco, rozmasowując brodę. – Ty potrafisz nie jeść cały tydzień, czasami dłużej. A Ilsa jakby w ogóle tego nie potrzebowała. Dlaczego ja miałbym...

– Bo tak. Twoje wysiłki są głupie i daremne. Masz w sobie ogień, braciszku. Powinieneś pogodzić się z jego żarem, a nie próbować go zdusić.

– Nie chcę...

– Tu nie chodzi o to, czego *chcesz* – przerwał mu Leo. – Nie możesz zbudować sobie odporności, głodując. Wiesz, co się stanie, jeśli przestaniesz się pożywiać. Wszystkie te cenne kreseczki znikną i będziesz musiał zaczynać o początku. – Jednak nie tego bał się August i Leo o tym wiedział. Nie chodziło o utratę głupich znaczków. Chodziło o to, co straciłby wraz z nimi. Co Leo już stracił.

– Ile ich teraz masz, braciszku?

August przełknął ślinę.

– Czterysta osiemnaście.

– Czterysta osiemnaście dni – powtórzył Leo. – To imponujące. Ale nie możesz mieć ciastka i zjeść ciastko. Albo będziesz się pożywał, albo oddasz się ciemności. Ilu ludzi zmarło ostatnim razem? Ośmiu?

Liczba wydrapała sobie przejście przez gardło Augusta.

– Dziewięć – wyszeptał.

– Dziewięć niewinnych żyć. Wszystko dlatego, że nie chciałeś się pożywiać. – August otoczył ramieniem jego żebra. – Czego *chcesz*? – beształ go Leo. – Być zwyczajny? Być *człowiekiem*? – Wypluł te słowa, jakby plamiły mu język.

– Lepiej być człowiekiem niż potworem – mruknął.

Leo zacisnął zęby.

– Poddaj się, bracie – powiedział. – Nie stawiaj nas na równi z tymi prymitywnymi stworzeniami. Nie jesteśmy Corsai, rojącymi się jak insekty. Nie jesteśmy Malchajami, pożywiający się jak bestie. Sunajowie są sprawiedliwością. Sunajowie są równowagą. Sunajowie są...

– Wywyższającymi się bucami, którzy lubią mówić o sobie w trzeciej osobie?

Czarne oczy Leo zmrużyły się, jednak jego spokój pozostawał niezłamany. *Zawsze* taki pozostawał. Wyciągnął telefon i wybrał numer. Ktoś odebrał.

– Powiedz Harrisowi i Phillipowi, żeby poszli na spacer – powiedział i rozłączył się. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i wcisnął ją Augustowi w dłoń. – Idź się pożywić, zanim całkiem stracisz panowanie nad sobą. – Leo złapał brata za kark i przyciągnął go do siebie. – Udawaj, że to kurczak – rzucił cicho. – Udawaj, że jesteś normalny. Udawaj, co tylko zechcesz, braciszku. Nie zmienisz w ten sposób tego, *kim jesteś*.

I z tymi słowami Leo puścił go, a potem wrócił do stołu.

August nie ruszył jego śladem. Został w korytarzu, dopóki jego serce się nie uspokoiło, a później poszedł po swoje skrzypce.

HHH

HHH

Kiedy drzwi biura Harkera wreszcie się otworzyły, po słońcu nie było już śladu, a niebo przecinały ostatnie promienie światła. Kate w dalszym ciągu siedziała przy kontuarze, nie tyle z chęci pilnej nauki – pracę domową już skończyła – lecz z upartej determinacji, żeby być tutaj, gdy pojawi się jej ojciec. Unikał jej cały tydzień, odkąd czarny transporter przywiózł ją przed świtem.

Gdy żegnali się po raz pierwszy – kiedy miała pięć lat, miasto rozpadało się na kawałki, a Harker wsadził ich siłą do samochodu i Kate płakała, bo nie chciała jechać – Harker ujął ją za brodę i powiedział: „Moja córka nie płacze”.

I Kate przestała, natychmiast. Kiedy jednak wróciła po rozejmie, jego pierwsze słowa brzmiały: „Spraw, żebym był z ciebie dumny”. I wtedy go rozczarowała. A teraz wróciła do miasta i tym razem go nie zawiedzie.

Słowa Charlotte odbijały się echem w jej głowie.

Nie mógł na nią patrzeć.

To nie była prawda. On po prostu nie rozumiał jeszcze, że Kate nie była tą samą dziewczynką, którą odesłał dwanaście lat temu, która wypuszczała owady, zamiast je zabijać, która bała się ciemności. Nie była też już dziewczynką, która wróciła sześć lat później – która płakała po koszmarach i mdlała na widok krwi. Nie była słaba jak matka, nie złamie się i nie spróbuje zniknąć w środku nocy.

Kate była córką swojego ojca.

Siedziała nieruchomo przy kuchennym stole, z głową odwróconą tak, by mogła słyszeć ciężkie kroki Harkera na wyłożonej panelami podłodze. Czekala, nasłuchując kroków, które oddalały się od niej zamiast przybliżyć. Nasłuchiwała dźwięku wzywanej windy, jej przyjazdu i odjazdu. Kiedy to się stało, Kate wstała i odwróciła się, żeby ruszyć śladem ojca, lecz w progu zobaczyła Sloana.

Zrobiło się już ciemno i Malchaj wydawał się bardziej *prawdziwy*, twardy w sposób, który budził w niej niepokój. Jego szkielet odznaczał się pod skórą niczym siniaki, a zęby sprawiały wrażenie dłuższych, ostrzejszych i srebrzystych jak ostrza noży.

– Głodna?

Kate pokręciła głową.

– Gdzie on poszedł?

– Kto? – zapytał Sloan, mrużąc czerwone oczy. Z pewnością miał lepsze rzeczy do roboty, niż niańczenie jej. Niewątpliwie właśnie to sugerował jego wyraz twarzy.

– Tak Harker każe ci spędzać czas? – zakpiła.

– Zagrajmy w grę – powiedział łagodnie. – Możesz mi kazać usunąć się z drogi. Możesz nazwać mnie potworem, ja nazwę cię rozpieszczonym bachorem, a potem się pokłócimy. To całkiem niezła zabawa. Może po wszystkim pomaszerujesz do swojego pokoju i zatrzaśniesz za sobą drzwi jak zwyczajna nastolatka.

Kate posłała mu zimny uśmiech.

– Nie jestem zwyczajną nastolatką.

Sloan westchnął.

– Czyżby.

– Powiedz mi, gdzie...

Sloan skoczył do przodu, przyciskając ją do baru. Nagła siła tego ruchu wycisnęła jej powietrze z płuc.

– Waruj, psie – warknęła, próbując trzymać strach z dala od swojego głosu.

Malchaj nie ruszył się. Zlustrował ją spojrzeniem swoich szkarłatnych oczu.

– Nie rozumiesz – szepnął – że Harker cię tu nie chce.

– Nie wiesz tego...

– Ależ oczywiście, że wiem. – Jeden zimny palec znalazł się na jej policzku. Paznokciec został spiłowany w szpic.

Przełknęła głośno ślinę.

– Nie jestem już dzieckiem.

– Zawsze będziesz naszą małą Katherine – mruknął Sloan. – Płaczącą przed snem. Błagającą matkę, by ją zabrała.

– To mama chciała wyjechać, nie ja.

– Siebie możesz okłamywać, mnie nie.

Kropelka krwi wzbiera nad paznokciem potwora, lecz Kate się nie odsuwa.

– Jestem Harker – powiedziała powoli. – To jest mój dom. A teraz mów, gdzie jest ojciec.

Malchaj westchnął i odwrócił wzrok, patrząc na gęstniejący za oknem wzrok.

– W piwnicy. Kate przełknęła ślinę i ruszyła w stronę windy. – Ale nie powinnaś tam iść.

Drzwi się otworzyły. Kate weszła do windy i odwróciła się w stronę Malchaja.

– Dlaczego nie?

Posłał jej dziki uśmiech.

– Bo tam są prawdziwe potwory.

Harris i Phillip dołączyli do Augusta w drodze na dół.

Winda zatrzymała się na piętnastym piętrze i do środka weszło dwóch krzepkich chłopaków w czarnych mundurach. Harris miał osiemnaście lat, ciemne włosy wystawały mu spod czapki. Phillip był dwa lata starszy, miał krótko przycięte włosy i, podobnie jak większość młodych chłopaków

w Południowym Mieście, skorzystał z szansy dołączenia do OSF. Obaj należeli do tego rodzaju ludzi, którzy zamiast uciekać po pierwszej oznace kłopotów, biegli w ich stronę. Tego rodzaju, którzy przybijali sobie piątki po pozbyciu się Corsajów promieniem silnego światła albo po przebiciu serca Malchaja metalowym kołkiem.

– No i słuchaj, jesteśmy na poziomie trzecim, znasz tamten korytarz, gdzie kamery nie pokrywają całej powierzchni i... O! Cześć, August!

– Uratowany przez windę – powiedział Phillip. Posłał Augustowi ciepły uśmiech. – Trzymasz się?

August pokiwał sztywno głową. Emanował gniewem, co nie było dobrym znakiem. To, co następowało później, było gorsze.

– Wyglądasz, jakby przydało ci się wsparcie – oznajmił Harris, ściągając czapkę i kładąc ją na czarnych lokach Augusta. Tylko kilku starannie wybranych członków OSF wiedziało kim, a w szczególności *czym*, był August. – Właśnie opowiadałem Phillipowi o tej pięknej...

– Za wysokie progi.

– Auć.

– Nie w tym rzecz – rzucił Phillip, kiedy dotarli do lobby. – Ja mówię, że ona jest kapitanem drugiej klasy, a ty? Czy przypadkiem nie zdegradowali cię do roli bezmyślnego szeregowca?

Harris przewrócił oczami.

– A co z tobą, August? Taki przystojny pot... – Phillip spojrzał na niego z ukosa – ...chłopak jak ty powinien kogoś mieć.

– Wyobraź sobie – odparł August, gdy wyszli w noc – że mam ograniczony wybór.

– E tam, po prostu musisz poszerzyć swoje horyzonty. Szukać poza...

Phillip chrząknął.

– Komu składamy dzisiaj wizytę? – zapytał, rozglądając się po ulicy.

August poprawił pasek na ramieniu – włożył skrzypce do innego futerału, który wyglądał jak zrobiony na broń, a nie instrument muzyczny – i wyciągnął kartkę wręczoną mu przez Leo. Znajdowały się na niej informacje na temat pewnego człowieka. Ofiary. August starał się nie używać tego słowa – ofiary są niewinne, ten człowiek nie – jednak wciąż pojawiała się w jego głowie.

– Albert Osinger – odczytał na głos. – Ferring Pass 259, mieszkanie 3B.

– To niedaleko – stwierdził Phillip. – Możemy iść pieszo.

August przyjrzał się kartce, ruszając za żołnierzami. Pod informacjami wydrukowane zostało ziarniste zdjęcie, klatka nagrania.

Czasami ludzie zgłaszali się z takimi przypadkami do Henry'ego, oczekując sprawiedliwości, jednak większość celów zdobywano dzięki monitoringowi. Południowe Miasto posiadało własny system kamer, a Ilsa większość czasu poświęcała na przeglądanie nagrań, szukając cieni, których inni ludzie nie potrafili dostrzec, których nie powinno tam być. Taki cień to piętno człowieka, którego przemoc przybrała realny kształt. Piętno grzesznika.

Corsaje żywiły się ciałem i kośćmi, Malchajowie krwią, i nie interesowało ich,

od kogo pochodziła. Jednak Sunajowie pozywiali się wyłącznie grzesznikami. Właśnie to ich od siebie różniło. To był ich najpilniej strzeżony sekret i przyczyna wywyższania się Leo, a także powód, dla którego wszyscy żołnierze OSF musieli być pozbawieni cienia. Dlatego też w czasie pierwszych dni Fenomeny i postępującego chaosu Leo wybrał stronę Henry'ego, a nie Calluma Harkera, człowieka o tak wielu cieniach, że nie sposób ich zliczyć.

„Jesteśmy najczarniejszym mrokiem, który stał się światłem” – lubił mówić Leo.

August podejrzewał, że stanowili swego rodzaju kosmiczną ekipę sprzątającą, stworzoną do tego, by uderzyć w samo źródło potwornego problemu.

Zaś Albert Osinger został oficjalnie uznany za jedną z tych przyczyn.

Odgłosy ciężkich kroków ucichły, więc August złożył kartkę i podniósł wzrok. Znaleźli się na rogu wybebeszonej ulicy, gdzie większość lamp zgasła albo szwankowała. Phillip i Harris wyciągnęli swoje HUV-y, przecinając chodnik pasmami światła. Patrzyli na niego z wyczekiwaniem.

– No co?

Phillip zadarł głowę. Harris wycelował palcem w budynek.

– Jesteśmy na miejscu.

Blok mieszkalny wyglądał na zdewastowany, każda z pięciu kondygnacji miała odłazącą farbę i popękane cegły. Kawałki potrzaskanych szyb leżały na krawężniku, a okna zabito deskami, używając do tego żelaznych gwoździ. Nory – tak nazywano miejsca, gdzie ludzie chowali się, jakby chcieli przeczekać burzę.

Nie dało się poznać, ilu ludzi zaszyło się w środku.

– Chcesz, żebyśmy weszli z tobą? – zapytał Harris.

Zawsze to proponowali, lecz August widział, że woleliby zachować dystans. Muzyka nie mogła ich skrzywdzić, jednak nie uniknęliby jej wpływu. Pokręcił głową.

– Pilnujcie wejścia – powiedział, odwracając się do Phillipa – i schodów przeciwpożarowych.

Pokiwali głowami, rozdzielili się, a August ruszył do drzwi. Ktoś przybił do nich metalowy znak X, jednak nie była to czysta stal, a nawet gdyby, to nie powstrzymałaby go. Wyciągnął z kieszeni kartę dostępu – narzędzie OSF z uniwersalnym kodem. Przeciągnął ją przez czytnik, w środku odblokował się zamek, lecz drzwi prawie się nie ruszyły. Albo mechanizm nie działał, albo zostały zabarykadowane. August przystawił ramię do metalu i pchnął. Poczuł, że dolna część z chrobotem przesuwają się o kilka centymetrów, po czym wreszcie – i nagle – drzwi puszczają.

W środku klatka schodowa okazała się przysypana różnymi pudłami i skrzyniami, praktycznie wszystkim, co mogłoby powstrzymać noc, gdyby ta spróbowała się tu wedrzeć. Z sufitu spływało ostre światło UVR, nadając pomieszczeniu upiornego wyglądu, a w kącie mrugała pojedyncza czerwona kropka. Kamery monitoringu w Południowym Mieście zostały przyłączone do tego samego, zamkniętego systemu, lecz August i tak naciągnął czapkę na oczy

i ruszył na trzecie piętro, z futerałem na ramieniu.

Sunaj, Sunaj, czarnooki,

Pieśń zanuci, porwie duszę.

Słyszał głosy dochodzące zza ścian, niektóre ciche, niektóre głośne, niektóre zniekształcone – płynące z odbiorników telewizyjnych albo radiowych – a inne zwyczajne i prawdziwe.

Kiedy dotarł przed mieszkanie 3B, przycisnął ucho do drzwi. Im silniejszy głód, tym bardziej wyostrzone zmysły. Słyszał cichy szum telewizora, podłogę skrzypiącą pod ciężarem kroków, bulgoczącą potrawę na kuchence, wdechy i wydechy jednej osoby. Osinger był w domu, sam. August wycofał się; w drzwiach nie było judasza. Wziął głęboki oddech, wyprostował się i zapukał.

Dźwięki w mieszkaniu natychmiast ucichły. Kroki zamarły. Telewizor zgasł. A potem August usłyszał chrobot przesuwanego bolca, drzwi się otworzyły i wyjrzał zza nich wychudzony mężczyzna w zapiętej do połowy koszuli. Za jego plecami wił się cień. Za cieniem znajdował się labirynt zbudowany ze stert gazet i książek, poprzewracanych pudełek, worków śmieci, ubrań i jedzenia, także zgniłego.

– Czy mogę wejść, panie Osinger? – zapytał August.

Kiedy Albert Osinger spojrział mu w oczy, już wiedział. W jakiś sposób oni zawsze wiedzieli. Mężczyzna zbladł, a potem zatrzasnął drzwi przed nosem Augusta. A przynajmniej próbował. Chłopak złapał dłonią ich krawędź i pchnął je do przodu, a Osinger w panice odwrócił się i uciekł, przewracając stertę książek i zrywając półkę z konserwami. Jednak nie miał dokąd uciec.

August westchnął i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

HH

HH

I

Drzwi windy się rozsunęły i natychmiast ulotniły się wszystkie pozory bogactwa. Wyżej Dom Harkera był wyłożony marmurami i wykończony złotem, lecz tutaj, w piwnicy, podłóg nie polerowano, na sufitach nie błyszczały kryształowe żyrandole, zaś z głośników nie płynęły kojące dźwięki Bacha. Tamto było tylko warstwami, woskową skórką jabłka. Tutaj znajdował się gnijący środek.

Piwnica Budynku Allsway była miejscem przeznaczonym na „wydarzenia”. Dekadę wcześniej bomba zerwała ze ścian farbę i pozbawiła życia siedemnastu ludzi, lecz stalowo-betonowa konstrukcja nie została naruszona. I właśnie tutaj, gdzie terror kładł się cieniem na ścianach i wsiąkł w podłogę, Callum Harker udzielał audiencji. Nie swoim obywatelom – swoim *poddanym* – lecz potworom.

Kate trzymała się z tyłu, obserwując wszystko spod wind. Światła piwniczne skierowano z dala od ścian i w stronę środka potężnego pomieszczenia, gdzie iluminowały wzniesioną platformę. W ciemnych kątach zebrały się dziesiątki Corsai. Wszędzie dokoła wzdłuż ścian potwory szeleściły jak liście albo kamienie na skalnym rumowisku, śmiercionośny grzechot w mroku, chrapliwy chór szeptów, których głosy stapały się w jeden.

gryź łap bij tłucz lej siep łój skuj

To były stworzenia nocy, czarne charaktery bajek, czające się pod łózkami kreatury, którym dano życie, zęby, i pazury. „Bądźcie ostrożni – mówili rodzice dzieciom – bądźcie grzeczni, inaczej przyjdą Corsaje”. Prawda była taka, że Corsai nie interesowało, czy ktoś był ostrożny albo grzeczny. Pławiły się w ciemności i karmiły strachem, ich ciała przybierały chore, rozdęte kształty, które wydawały się ludzkie tylko wtedy, gdy widziało się je kątem oka. A wtedy już i tak zazwyczaj było za późno na ucieczkę.

Kate patrzyła wprost na najbliższego potwora, a kiedy jej oczy przyzwyczyły się do piwnicznego półmroku, potrafiła dostrzec mleczne źrenice, zacienione brzegi i ostre zęby. Niemal nie dało się ich zabić. Promień światła słonecznego w głowę – wszystko inne tylko je rozpraszało – jednak najpierw trzeba było tę głowę znaleźć, co było trudniejsze, niż się mogło wydawać, ponieważ ich krawędzie nachodziły na siebie, rozmazując się w mroku.

Corsaje posiadały inteligencję roju – rządziło się albo nimi wszystkimi, albo żadnym – i w jakiś sposób Harker zdołał je złamać. Najwyraźniej zwabił je do podziemi i odciął światła, jednak dalsze wydarzenia stały się legendą. Niektórzy mówią, że przestraszyli się jego nieustraszoneści. Zdaniem innych podłączył spryskiwacze do zbiornika z płynnym metalem, a kiedy po wielu dniach – może nawet tygodniach – Corsaje doszły do siebie, pokłoniły się przed nim.

Malchajowie stali bliżej platformy, swoje kościste ręce skrzyżowali na kościstych piersiach, a czerwone oczy żarzyły się w ich wychudzonych twarzach. Większość wyglądała męsko, część z lekka kobieco, lecz żaden nie przypominał człowieka. Wydawali się emanować zimnem, pochłaniając całe ciepło z powietrza (Kate zadrżała, wspominając lodowaty dotyk Sloana), a każdy z nich miał na twarzy to samo piętno – literę H na lewym policzku. Niedaleko jakiś Corsaj za bardzo się zbliżył i Malchaj zasyczał, pokazując rzędy zaostrzonych zębów. W tłumie stali też rozproszeni ludzie, kobiety i mężczyźni, zbiry z twardymi ciałami i bliznami na policzkach – ich obecność była pokazem siły, lecz przy nich Malchajowie wydawali się jeszcze bardziej potworni niż ludzcy.

W kolekcji Harkera brakowało jedynie Sunajów. Te rzadkie stworzenia – najmroczniejsze kreatury, które wyczołgały się z Fenomenu – przeszły na stronę Flynna w Południowym Mieście. Niektórzy twierdzili, że Sunajowie nie dawali się kontrolować; zdaniem innych jedynie odmawiali słuchania rozkazów Harkera. Tak czy inaczej, Harker miał pod sobą rzesze potworów, zaś Flynn garstkę, więc nieobecność tych kilku nie stanowiła wielkiej różnicy. Gdzie się nie obejrzała, Kate widziała stwory nocy, a każda para oczu – białych, czerwonych czy ludzkich – skupiała wzrok na platformie, gdzie pośrodku plamy światła stał człowiek.

W twarzy Calluma Harkera cienie były wyraźnie widoczne.

Jego oczy były głęboko osadzone i niebieskie – nie jasnoniebieskie, błękitne czy szaroniebieskie, lecz ciemne, kobaltowe, które nocą wydawały się czarne – a towarzyszył im orli nos i kwadratowa szczeka. Tatuaze ułożone w tribalowe wzory wystawały spod jego kołnierzyka i mankietów, czarny tusz wił się na wierzchu jego dłoni i w górę szyi, kończąc się tuż pod linią włosów. Właśnie włosy Harkera były jedyną częścią, która nie pasowała. Miały jasny kolor, jakby liźnięty słońcem blond i, tak jak u Kate, opadały mu na czoło i zwisały wzdłuż policzków. Ta jedna cecha sprawiała, że wyglądał jak Cal. Jednak tylko Alice, matka Kate, zwracała się do niego tym imieniem. Dla wszystkich innych był Panem. Gubernatorem. Szefem. Nawet Kate w myślach nazywała go Harkerem, chociaż starała się mówić do niego per tato. Wtedy jego twarz krzywiła się – z zakłopotania? pogardy? strachu? – a Kate traktowała to jako małe zwycięstwo.

Harker nie był na platformie sam. Klęczał przed nim mężczyzna i błagał o życie.

– Proszę, proszę – mówił drżącym głosem. – Zdobędę pieniądze. Przysięgam.

Dwóch Malchajów trzymało się za plecami Harkera i gdy ten dał im znak,

podnieśli mężczyznę do pozycji stojącej. Ich szpony wbiły się w jego skórę i człowiek wydał stłumiony szloch, podczas gdy Harker wyciągnął rękę do przodu i chwycił metalowy medalion wiszący na jego szyi.

– Nie możesz – błagał tamten. – Zdobędę pieniądze.

– Już za późno. – Harker zerwał wisior.

– Nie! – wrzasnął mężczyzna, kiedy jeden z przytrzymujących go Malchajów ziewnął szeroko, pokazując rzędy zaostrzonych zębów. Już miał je wbić w gardło człowieka, kiedy Harker pokręcił głową.

– Czekaj.

Mężczyzna zapłakał z ulgą, lecz Kate wstrzymała oddech. Znała swojego ojca i patrzyła, jak przygląda się medalionowi, a potem mężczyźnie.

– Dajcie mu chwilę przewagi – powiedział, odrzucając wisior na bok. – Pięć minut.

Potwory puściły człowieka, a ten padł na podłogę i złapał Harkera za nogi.

– Błagam – szlochał. – *Nie możesz tego zrobić!*

Harker popatrzył na niego lodowato.

– Lepiej zacznij uciekać, Peter.

Mężczyzna zbladł. A potem podniósł się, chwiejnie zszedł z platformy i rzucił się do biegu. Tłum ludzi i potworów, uciszony rozkazem Harkera, teraz rozbudził się kakofonią śmiechu, syczenia i szyderczych pokrzykiwań, jednocześnie rozchodząc się na boki, by przepuścić uciekającego. Kilka stworzeń oderwało się od reszty i ruszyło za nim w stronę betonowych stopni prowadzących na ulicę, w ciemność.

Na scenie – tym właściwie była platforma, sceną niezbędną do spektaklu – Harker podniósł żelazną laskę, której czubek miał kształt gargulca, podobnie jak rzeźba na masce samochodu (przywódcy kultów, przeczytała Kate w tej samej książce, lubili dramatyczne gesty oraz mieli skłonność do pompatyczności). Teraz, zamiast podnieść głos, żeby uciszyć tłum, Harker uderzył laską w betonową platformę. Dźwięk odbił się echem od ścian pomieszczenia, a harmider nagle ucichł.

– Następny – oznajmił.

Kate otworzyła szeroko oczy, patrząc, jak na platformę wprowadzono Malchaja. Potwór wił się i szarpał, jego siłę ograniczały żelazne łańcuchy wokół nadgarstków. Tam, gdzie powinno być piętno, na policzku miał rozdrapaną skórę – najwyraźniej zdarł z siebie znak Harkera.

– Olivier – powiedział, a jego głos potoczył się po pomieszczeniu – rozczarowałeś mnie.

– Czyżby? – warknął chrapliwie potwór. – To *my* jesteśmy rozczarowani. – Po tłumie rozeszła się fala pomruków. *My*. Corsaje grzechotały, a Malchajowie zaczęli szeptać między sobą. – Dlaczego mamy głodować z powodu interesów, które prowadzisz? Corsaje może i mówią jednym głosem, lecz Malchajowie nie są twoją własnością.

– Mylisz się – odparł Harker, przystawiając żelaznego gargulca do szyi Malchaja. Uśmiechnął się, kiedy potwór się wzdrygnął i uciekł przed dotykiem

metal. – Daję każdemu z was wybór. Pozostań w Północnym Mieście, pod moim dowództwem, albo idź na południe i daj się zamordować oddziałom Flynn. Wybrałeś *moje* miasto, przyjąłeś *mój* znak, a potem postanowiłeś wykrwawić całą rodzinę. Rodzinę, która znajdowała się pod moją ochroną. – Oczy Malchaja żarzyły się wściekłością, lecz uśmiech Harkera nie zniknął nawet na chwilę. Podniósł wzrok i przemówił do tłumu: – Mam swój system. Wszyscy wiecie, co się dzieje, kiedy ktoś złamie zasady. Ci, którzy podążają za mną, zbierają owoce swojego posłuszeństwa. Zaś ci, którzy mi się sprzeciwiają – Harker spojrzał wymownie na Malchaja – giną.

W tłumie znowu podniosły się głosy, pełne nerwowej energii i agresywnego podniecenia. Tymczasem Malchaj szarpał swoje łańcuchy. Nawet potwory bały się śmierci. Malchaj przynajmniej nie błagał o litość. Nie prosił. Podniósł tylko wzrok na Harkera, pokazał mu ostre zęby i oznajmił:

– Zbliź się tylko, a rozerwę ci gardło.

Harker cofnął się o krok i odwrócił. Blisko krawędzi platformy znajdował się stół, a na nim pełno różnorodnej broni. Przejechał po niej palcami, zastanawiając się, którą wybrać.

– Wysłuchajcie mnie! – warknął Malchaj za jego plecami, a jego głos odbił się echem od ścian pomieszczenia, chociaż gardło potwora paliło się pod metalem. – Nie jesteśmy służącymi! Nie jesteśmy niewolnikami! Jesteśmy wilkami pośród owiec. Potworami pośród ludzi. Twój czas się kończy, Harker! – ryczał Malchaj. – A nasz się zaczyna.

– No cóż – powiedział Harker, wybierając ostrze. – Twój właśnie się skończył.

Wyciągnął nóż z pochwy, a Kate zauważyła szansę dla siebie.

– Ja to zrobię – zawołała dość głośno, by ojciec ją usłyszał.

Tłum zamarł, szukając źródła głosu. Rozsunęli się między windami a platformą na środku pomieszczenia, tworząc pasmo pustej przestrzeni. Kate wkroczyła z cienia w plamę światła.

Trzymała głowę wysoko, skupiając wzrok na ojcu i nie patrząc na tłum. Dzięki temu zauważyła zaskoczenie, które pojawiło się na jego twarzy na ułamek sekundy – liczyła na dumę, lecz dobre i to.

Patrzył na nią przez chwilę, najwyraźniej analizując dokładnie jej ruch – ostentacyjny, publiczny, tak odważny, że aż bezczelny. Oboje wiedzieli, że będzie musiał przystać na jej udział albo ukarać za nieposłuszeństwo. Niebezpieczna gra – może Kate przyjdzie jeszcze za to zapłacić, jednak, ku jej uldze, ojciec uśmiechnął się i wskazał gestem na stół z narzędziami, jakby zapraszał ją do posiłku.

– Śmiało.

Kate ruszyła powoli i pewnie przed siebie, przy każdym kroku pilnując swoich emocji, nie poddając się nerwom. Naśladowała chłodny uśmiech ojca, a zbliżając się do niego uważała, by nie spojrzeć na widownię. Kiedy dotarła do platformy, Harker wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu córki, a potem ścisnął nieznacznie. Tym drobnym gestem nie chciał jej wesprzeć, lecz ostrzec. Następnie odsunął się na bok, żeby obserwować.

– Co to ma być? – wysyczał skutymy Malchaj. – Wysyłasz *dziecko*, by się mnie pozbyć?

– Wysyłam swoją córkę – odparł Harker lodowatym tonem. – A jeśli myślisz, że to oznaka litości, to się mylisz.

Kate uśmiechnęła się, słysząc tę pochwałę, nawet jeśli była tylko częścią przedstawienia. Zaraz mu pokaże. Potrafi być silna. Potrafi być przebiegła. Potrafi być okrutna.

– Wyślij mi dziewczynę – powiedział Malchaj – a odeślę trupa.

Kate stała zwrócona zdrowym uchem w stronę potwora, lecz udała, że go nie słyszy. Spojrzała na stół, odwrócona tyłem do tłumu. Jej palce tańczyły po narzędziach, gdy wyobrażała sobie gładką kościaną płytę w piersi Malchaja w miejscu mostka i żeber. Odrobiła pracę domową. Ignoranci próbowaliby przebić tę tarczę, wbijając w nią ostrze lub pocisk.

– Nie śpiesz się, mała Katherine – rzucił Malchaj, a Kate przypomniały się słowa Sloana.

Zawsze będziesz naszą małą Katherine.

Dłoń Kate zacisnęła się na łomie. Potrzebowała do niego więcej siły niż w przypadku ostrza, lecz większa długość zadziałała na jej korzyść. Złapała łom z jednej strony i zdjęła od niechcienia ze stołu, pozwalając, by metal zachrobotał o metal; przez chwilę przeciągała broń tak, jak zrobiłby to Harker.

Wzięła też nóż i zbliżyła się do potwora.

W jej czwartej szkole, Pennington, wprowadzono politykę zera tolerancji dla przemocy, jednak czas spędzony w pozostałych okazał się owocny. W Fischer uczyła się karate, potem kendo w Leighton, szermierki w Dalloway i wreszcie kickboxingu w Wild Prior. Święta Agnieszka nie prowadziła żadnych tego typu zajęć, za to dużo czasu poświęcali na ćwiczenie uspokajania umysłu, by zrobić w nim miejsce na Boga. A w przypadku Kate, by popracować nad skupieniem. Obróciła łom w dłoni. W piwnicy zapadła cisza.

– Pochyl się, maleńka – powiedział Malchaj. – Pokaż mi swoje gar...

Kate wbiła rękojeść noża między zęby potwora, a łom wprowadziła pod żebra i pociągnęła do góry. Rozległ się mokry dźwięk oraz szuranie metalu o kość, a za chwilę Malchaj przeraźliwie zadrżał, wypluł czarną krew na bluzkę Kate i po chwili zwiotczał. Odepchnęła go, a jego czerwone oczy patrzyły na nią, nie widząc. Uwolniła łom z wilgotnym chrupnięciem i wróciła do stołu, by odłożyć narzędzia na miejsca, zostawiwszy za sobą krwawy ślad.

A potem spojrzała ojcu w oczy. I uśmiechnęła się.

– Dziękuję – powiedziała. – Potrzebowałam tego.

Jej ojciec uniósł brew, a Kate wydawało się, że dostrzegła iskrę szacunku, zanim pokazał gestem na widownię.

– Chcesz, żebym znalazł ci następnego?

Kate rozejrzała się po sali, wciąż wypełnionej cichymi, zszokowanymi twarzami, żarzącymi się oczami i wijącymi cieniami.

– Dzięki – odparła, wycierając ręce – ale mam pracę domową.

I po tych słowach wymaszerowała z piwnicy.

Kiedy stalowe drzwi windy zamknęły się za nią, zobaczyła swoje odbicie. Wciąż miała na sobie szkolny mundurek. Jej twarz znaczyły kropelki czarnej krwi, która zboczyła jej bluzkę i ręce. Spojrzała we własne zimne, niebieskie oczy i nie odwracała wzroku, mijając piętro za pięтром Dworu Harkera, aż dotarła na ostatnie.

Po Sloanie nigdzie nie było śladu. Kate cicho przemknęła przez puste mieszkanie do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Dłonie jej drżały, kiedy włączała radio, a potem podkręciła, aż dźwięki muzyki zaczęły odbijać się od ścian pomieszczenia, zatapiając wszystkie inne.

I wtedy, dopiero wtedy, bezpieczna za zasłoną hałasu, Kate padła na podłogę, z trudem łapiąc powietrze.

HH

HH

II

Pierwszy raz, kiedy August zabił człowieka, stało się to zupełnie przez przypadek.

Pojawił się – narodził, ucieleśnił, zmaterializował – w szkole, w której leżały czarne worki ze zwłokami, a zaniepokojona kobieta próbowała je zasłonić, wkładając mu na wąskie ramiona swój płaszcz do czasu, aż zaprowadzi go do samochodu. To auto zabrało go do budynku, z którego rodziny odbierały pozostałe dzieci. Jednak on nie miał rodziny i wiedział z dziwnym, absolutnym przeświadczeniem, że nie powinien się tam znajdować, więc wymknął się przez tylne drzwi i wyszedł na ulicę.

I właśnie wtedy usłyszał muzykę – pierwsze piękno na tym brzydkim świecie, jak powiedziałyby Ilsa. Piosenka brzmiała słabo, niewyraźnie, lecz wystarczająco dobrze, by podążać jej śladem. Nie minęło wiele czasu i August odnalazł jej źródło: zmęczonego mężczyznę na drewnianej palecie, owiniętego dziurawym kocem. Majstrował przy instrumencie, a August podszedł do niego i zobaczył cień, który rozciągał się na ścianie z tyłu i poruszał nawet wtedy, gdy mężczyzna siedział nieruchomo.

Cień miał zbyt wiele rąk, zbyt wiele zębów.

A potem mężczyzna podniósł instrument do światła.

– Kto wyrzuca skrzypce? – mruknął, kręcąc głową.

Wcześniej, w tamtym budynku, August dostał paczkę ciastek i kartonik soku. Jedzenie nie miało żadnego smaku, więc schował resztę do kieszeni płaszcza kobiety. Teraz wyciągnął je i zaoferował nieznajomemu. Musiały mu lepiej smakować, ponieważ pożarł je w mgnieniu oka, a potem spojrzął w niebo. August zrobił to samo. Zapadał zmrok.

– Powinieneś iść do domu – powiedział mężczyzna. – Południowe Miasto nie jest bezpieczne nocą.

– Nie mogę – odparł August.

– Ja też nie – stwierdził tamten, puszczając skrzypce. Przy upadku wydały okropny dźwięk, lecz nie połamały się. – Zrobiłem coś złego – szepnął, podczas gdy jego cień wił się na ścianie. – Coś bardzo złego.

August ukląkł, żeby podnieść instrument.

– Wszystko będzie dobrze – rzucił, owijając palcami drewnianą szyjkę.

Nie pamiętał, co stało się potem. Chociaż może i pamiętał, jednak jako następujące po sobie urywki, jakby zdjęcia zamiast pełnego filmu. Trzymał skrzypce, przesuwając kciukiem po strunach. Pojawiło się światło. Pojawiła się ciemność. Pojawiła się muzyka. Pojawił się spokój. A potem także ciało. Jakiś czas potem pojawił się Leo, który znalazł Augusta siedzącego po turecku na palecie, bawiącego się strunami, podczas gdy trup leżał u jego stóp, z otwartymi ustami i wypaloną czernią zamiast oczu. Wiele czasu zajęło Augustowi zrozumienie, jak ważna rzecz dokonała się w momentach, których nie pamiętał.

– Panie Osinger? – zawołał, wchodząc do zagraconego mieszkania. Futerał zahaczył o stertę gazet i zrzucił część na podłogę. Po przeciwnej stronie pokoju Albert Osinger przebijał się przez wąskie schody niemal zupełnie zawałone śmieciami. August nawet nie próbował za nim iść. Zamiast tego ściągnął futerał z ramienia i otworzył. Wyćwiczonym ruchem wyjął ze środka skrzypce i umieścił je pod brodą. Jego palce znalazły odpowiednie pozycje.

Wypuścił powietrze, przystawił smyczek do strun i zaraz popłynął pierwszy dźwięk.

Gdy tylko zaczął grać, wszystko się uspokoiło. Ból głowy zelżał, gorączka spadła, napięte mięśnie się rozluźniły, a w odgłosy wystrzałów – które nieustannie mu towarzyszyły – wreszcie ucichły, zagłuszone muzyką płynącą ze strun i wypełniającą przestrzeń pokoju. Muzyka nie była głośna, lecz August wiedział, że dosięgnie celu. Oprócz wygrywanej przez siebie melodii słyszał też, że kroki Osingera nagle ucichły, a potem zaczęły na powrót przybierać na sile, już nie tak gorączkowo, lecz wolniej i spokojniej. August grał, a Osinger zszedł po schodach równym krokiem, przyciągany przez muzykę.

Melodia wznosiła się i opadała, a August wyobrażał sobie ludzi rozsianych po budynku, ich ciała zatrzymujące się w chwili, gdy dotarły do nich wygrywane przez niego dźwięki, ich dusze podpływające pod powierzchnię, większość jasna, lecz niedotykalna. August nadal miał zamknięte oczy, jednak czuł, że Osinger znajduje się teraz z nim w pokoju; nie chciał jeszcze przestać grać, chciał dokończyć piosenkę – nigdy nie miał na to szansy – jednak choroba wciąż toczyła jego ciało, więc pozwolił melodii się urwać, umrzeć na jego smyczku, a sam podniósł głowę. Albert Osinger stał przed nim. Jego cień zamarł, a dusza emanowała spod skóry.

Była zabarwiona na czerwono.

August odłożył skrzypce na krzesło, pod baczny spojrzeniem Osingera, który patrzył na niego wielkimi i pustymi oczami. A potem przemówił:

– Kiedy to się stało po raz pierwszy, byłem splukany – wyznał cicho. – Ćpałem. Nigdy wcześniej nie miałem w ręku broni. – Słowa wypływały z niego niepowstrzymywane, a August słuchał. – Chciałem zdobyć trochę szmalu. Nawet nie pamiętam strzałów. A drugi raz... – Mężczyzna uśmiechnął się ponuro. – Cóż, wiedziałem, co robię. Wiedziałem nawet, ile poszło kul. Cały czas miałem otwarte oczy, kiedy pociągałem za spust, ale po wszystkim trząsałem się jak osika. – Mdlący uśmiech rozszerzył się w czerwonym świetle. – Do trzech razy sztuka. Z czasem robi się łatwiej. Nie żyć, ale zabijać. Zrobiłbym to jeszcze

raz. Może zrobię.

Kiedy skończył, zapadła cisza. Czekał.

Leo pewnie wygłaszał jakąś mowę, jednak August nigdy nic nie mówił. Po prostu pokonał dzielący ich dystans, wymijając i przestępując śmieci, a potem przycisnął dłoń do obojczyka Osingera, gdzie jego na wpół rozpięta koszula obnażała zwiędłe ciało. Kiedy tylko palce Augusta zetknęły się ze skórą, czerwone światło popłynęło do przodu. Usta Osingera otworzyły się i August wydał stłumiony krzyk, łapiąc oddech mężczyzny w chwili, gdy przeszła go energia, chłodząc jego ciało i karmiąc wygłodniałe żyły. Krew i powietrze, woda i życie. August spijał ją i przez chwilę czuł ulgę.

Spokój.

Wspaniałe, otulające uczucie ukojenia. Równowagi.

A potem światło zniknęło.

Ręka Augusta opadła wzdłuż jego boku, a ciało Alberta Osingera osunęło się bez życia na ziemię. Skorupa. Łupina bez światła, bez cienia, z oczami wypalonymi na czarno.

August stał nieruchomo, podczas gdy energia mężczyzny przetaczała się przez niego. Nie przesywała jak prąd, nie sprawiała, że czuł się naładowany siłą. Jeśli już, czyniła go bardziej... prawdziwym. Gniew, choroba i napięcie zniknęły, wymyte, a August po prostu czuł się *pełny*.

Czy właśnie tak to jest być człowiekiem?

A potem spojrzał w dół na ciało mężczyzny i poczuł dreszcze. Nagle uczucie normalności stało się bardzo odległe. *To okrutny żart wszechświata* – pomyślał August, że czuł się człowiekiem dopiero po zrobieniu czegoś potwornego. Przez co zaczął się zastanawiać, czy to ulotne wrażenie człowieczeństwa nie jest jedynie iluzją, echem odebranego życia. Ukradzione doznanie.

Usłyszał słowa Leo, proste i miarowe:

Taka jest twoja natura. Tym jesteś.

Na ich spotkanie przyszły słowa Ilsy:

Znajdź w tym dobroć.

August wziął głęboki wdech i odłożył skrzypce do futerału. Może i nie był człowiekiem, jednak żył. Głód zniknął. Gorączka opadła, jego skóra była chłodna, a w głowie nie kłębiły się myśli. Kupił sobie kilka dni. Kilka następnych kresiek. I wymierzył sprawiedliwość. Uczynił świat nieco lepszym, a przynajmniej nie pozwolił, by stał się gorszy. Taki był jego cel. O to w tym wszystkim chodziło.

Ktoś miał przyjść po ciało.

Już szedł do wyjścia, kiedy usłyszał cichy szelest w kącie pokoju. Jakieś pudełko przewróciło się na bok, puszka potoczyła się po podłodze, jednak August niczego nie widział. A potem w cieniu pod starym krzesłem zabłyszczała para oczu.

August spał się, lecz kiedy stworzenie ruszyło do przodu, zdał sobie sprawę, że to nie potwór.

To był kot. Cały czarny, nie licząc małej białej łatki nad parą zielonych oczu.

Zwierzę poruszało się po zagraconej przestrzeni z kocią gracją, by zatrzymać się kilka kroków przed Augustem. Chłopak gapił się na stworzenie, a ono gapiło się na niego. Zerknął na szczątki jego właściciela, które leżały na podłodze. Kot zrobił to samo.

– Przepraszam – powiedział.

Widział już zwierzęta instynktownie atakujące potwory (co nie kończyło się dobrze dla zwierząt), jednak kot nawet nie zasyczał. Obszedł ciało i otarł się o nogę Augusta. Chłopak założył futerał na ramię i ostrożnie kucnął, żeby pogłaskać kota, a ten, ku jego zdziwieniu, zamruczał. Nie wiedział, co robić. Podniósł się i otworzył okno prowadzące na schody przeciwpożarowe.

– No idź – rzucił, jednak kot tylko na niego patrzył. Zwierzę nie było głupie. Niewiele bezdomnych zwierząt biegało po mieście. Corsaje o to zadbały.

August niechętnie podszedł do drzwi frontowych. Tym razem kot ruszył jego śladem.

– Zostań – rozkazał.

Przecisnął się na korytarz i zamknął za sobą, zanim zwierzak zdążył wyjść. Zaczął się oddalać, jednak usłyszał żalosne miauczenie kota, który drapał drzwi, by się wydostać. Zatrzymał się w pół kroku w nadziei, że głos ucichnie, lecz to się nie stało, więc po dłuższej chwili westchnął i cofnął się.

Harris stał na krawężniku, opierając się o jedną z na wpół działających lamp ulicznych i nucąc coś pod nosem.

Monstra, monstra, duże, małe.

Przestał, kiedy zauważył Augusta.

– Hej.

– Hej – odpowiedział chłopak.

– Co tam masz? Kota? – zapytał Harris.

August włożył zwierzątko pod kurtkę OSF; jego główka wystawała u góry.

– Nie mogłem go zostawić – powiedział. – Nie po tym, jak... – Wrócił wzrokiem do budynku.

Harris wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Ale musisz wiedzieć, że nie to miałem na myśli, gdy mówiłem o poszerzeniu horyzontów.

August zaśmiał się z wyraźnym zmęczeniem.

– Wracamy?

Pokiwał głową.

– Wracamy. – Podniósł wzrok, żałując, że nie może zobaczyć gwiazd, a potem usłyszał kroki podbiegającego Phillipa.

– Załatwione?

– Załatwione – powiedział Harris.

– No, to musimy iść – odparł Phillip. – Właśnie usłyszałem przez radio, że jest jakaś draka niedaleko Szwu.

– Powinniśmy im pomóc? – zapytał August, prostując się.

– Nie – odparł Phillip, zerkając na kota schowanego pod kurtką. Nawet nie

zapytał. – Musimy cię zabrać z powrotem.

August już miał zaprotestować, ale nie było sensu. Phillip i Harris mieli swoje rozkazy – zaciągnęliby go siłą z powrotem do kompleksu, gdyby zostali zmuszeni – więc zapiął tylko kurtkę i ruszył za nimi.

Henry był w kuchni, kiedy August wrócił do domu, i pochylał się nad planami rozłożonymi na stole, a w jego rękę trzeszczała krótkofalówka. Wśród zakłóceń dało się rozróżnić głos Leo.

– *Pod kontrolą...*

Henry podniósł krótkofalówkę do ust.

– Jakież straty?

– *Dwóch... Nie możemy zignorować... Znaków...*

– Wracajcie.

– *Henry...*

– Nie teraz. – Henry wyłączył urządzenie i rzucił je na bok. Przeczesał palcami włosy, które siwiały na skroniach.

August zaszurał butami i Henry gwałtownie podniósł głowę. Przez chwilę na jego twarzy gniew i zaskoczenie walczyły o miejsce z frustracją i strachem. Potem jednak jego rysy się wygładziły, a cienie schowały się pod powierzchnią.

– Hej – powiedział. – Lepiej się już czujesz?

– O wiele – odparł August, ruszając w stronę swojego pokoju.

– To dlaczego twój brzuch się rusza?

August zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na swoją kurtkę, która faktycznie wybrzuszała się i opadała.

– O, zapomniałem.

Rozsunął nieco zamek, a zza kurtki wysunęła się mała, kudłata główka.

Henry otworzył szeroko oczy.

– Co to?

– Kot – odparł August.

– To wiem – powiedział Henry, pocierając kark. – Widziałem już koty. Tylko co ten robi pod twoją kurtką?

– Należał do Osingera – wyjaśnił August, uwalniając zwierzę. – Poczułem, że jestem za niego odpowiedzialny i nie mogłem... Próbowałem go zostawić, ale...

– *August.*

Zmienił taktykę.

– Sam przygarnąłeś więcej niż jedną przybłądę. Pozwól mi przygarnąć tę.

Tym zasłużył sobie na łagodny uśmiech.

– Kto będzie się nim zajmował? – zapytał Henry.

I wtedy ktoś wydał dźwięk – coś między stłumionym krzykiem a radosnym piskiem – i między nimi znalazła się Ilsa, biorąc zwierzątko w ręce. August kiwnął na Henry'ego, jakby dawał mu znak, że zna taką osobę. Henry tylko westchnął, pokręcił głową i wyszedł.

Ilsa podniosła kota przed twarz i spojrzała mu w oczy. Zwierzę odpowiedziało, wyciągając małą czarną łapkę i kładąc ją dziewczynie na nosie. Kot wydawał się nią zauroczony. Jak większość stworzeń.

– Jak się wabi? – szepnęła.
– Nie wiem – przyznał August.
– Każdy potrzebuje imienia – zamruczała, siadając po turecku na kuchennej podłodze. – Każdy zasługuje na imię.
– No to wybierz jakieś.
Ilsa obrzuciła kotka taksującym spojrzeniem. Przysunęła go do ucha.
– Allegro – oznajmiła.
August uśmiechnął się.
– Podoba mi się – powiedział, siadając naprzeciwko niej. Wyciągnął rękę i podrapał kota po uszach. Mały zamruczał pod jego palcami.
– Lubi cię – stwierdziła Ilsa. – Koty potrafią odróżnić dobrego człowieka od złego, wiesz? Tak samo jak my. – Allegro próbował wspiąć się w jej włosy, a ona delikatnie zdjęła go i położyła sobie na kolanach.
– Zaopiekujesz się nim w czasie, gdy ja będę w szkole?
Ilsa złożyła się w kłębek wokół kota.
– Oczywiście – szepnęła. – Będziemy się opiekować sobą nawzajem.
Wciąż siedzieli z Allegro na podłodze, kiedy wrócił Leo ze stalową gitarą na plecach i plamą krwi – nie swojej – na policzku. Spojrzał na kota i zmarszczył brwi. Allegro zerknął na niego tylko raz i od razu położył uszy. Ilsa zaczęła się śmiać, uroczo jak pozytywka, i wtedy August zrozumiał, że musi zatrzymać kota.

HH

HH

III

Kate siedziała na podłodze swojego pokoju, dopóki muzyka nie ucichła.

Ręce jej drżały, kiedy zapalała papierosa; zaciągnęła się mocno, odchyliła głowę do tyłu i oparła ją o drzwi, a potem się rozejrzała. Jej pokój, podobnie jak reszta apartamentu, był urządzony niezbyt przytulnie, wszędzie znajdowały się ostre krawędzie i twarde powierzchnie. Nie zostały żadne ślady jej dzieciństwa, żadnych nacięć na futrynie, odmierzających jej wzrost, żadnych pluszowych zwierzaków albo starych ubrań, żadnych czasopism o modzie albo plakatów. Za oknem nie było widać łąki.

Kiedy miała dwanaście lat, pokój sprawiał wrażenie sterylne, zimne, lecz teraz starała się docenić jego surowość. *Ucieleśnić* je. Przejść puste ściany i niezachwiany spokój.

Jednym z niewielu ozdobnych przedmiotów w tym pomieszczeniu była składana ramka z dwiema fotografiami w środku. Zdjęła ją ze stolika. Na pierwszym zdjęciu pięcioletnia Kate stoi, obejmując jedną ręką ojca, a drugą matkę. Nad jej głową Callum Harker całuje żonę w skroń. Alice Harker była piękna – i ten zachwyty Kate nie był zachwytem każdego dziecka każdej mamy; Alice była faktycznie, niezaprzeczalnie *śliczna*, z włosami muśniętymi słońcem i dużymi orzechowymi oczami, które błyszczały przy każdym uśmiechu. Zdjęcie zostało zrobione dwa miesiące przed Fenomenem.

Druga fotografia była rekonstrukcją pierwszej i pochodziła z dnia ich powrotu do stolicy po podpisaniu rozejmu. Znowu razem. Ponownie zjednoczona rodzina. Kate przejechała palcem po twarzach. Jedenastoletnia Kate obejmująca rodziców po sześciolatej rozłące. Sześciu latach chaosu i walk. Sześciu latach ciszy i spokoju.

Każde z nich się wyraźnie zmieniło. Kate nie była już dzieckiem o pulchnej twarzy lecz piegowatą nastolatką. Na twarzy jej matki pojawiły się maleńkie zmarszczki, jakich dostaje się od śmiechu. A ojciec nadal patrzył na Alice z taką intensywnością, jakby bał się, że gdy tylko odwróci na chwilę wzrok, ona zniknie.

I zniknęła.

„Wstawaj, Kate. Musimy jechać”.

Sloan się mylił. Kate chciała wrócić do V-City, chciała tu zostać.

„Chcę do domu” – szeptała.

„Chcę do domu” – błagała.

To jej matka nie potrafiła się dostosować. To matka wyciągnęła ją z łóżka w środku nocy, z zaczerwienionymi oczami i rozmazaną szminką.

„Ciii, musimy być cicho”.

To matka wsadziła ją do samochodu.

„Gdzie jedziemy?”

To matka wjechała na drugi pas.

To matka uderzyła samochodem w betonową barierkę.

To matka zmarła z głową na kierownicy.

A po wypadku to jej ojciec nie chciał na nią spojrzeć. Budziła się i zasypiała, i budziła znowu, widząc go stojącego w progu, lecz okazywało się, że to wcale nie on, że to potwór z ciemnymi kośćmi, czerwonymi oczami i rekinim uśmiechem.

Gdy wreszcie poczuła się lepiej, to właśnie ojciec ją odesłał. To on najpierw pogrzebał jej matkę, a potem ją. Nie w ziemi, lecz w szkole z internatem. W Fischer. Dalloway. Leighton, Pennington, Wild Prior i Świętej Agnieszce.

Z początku prosiła i błagała, żeby pozwolił jej wrócić, jednak z czasem przestała. Nie dlatego, że przestała tego chcieć, po prostu przekonała się, że prośenie nie działa w przypadku Calluma Harkera. W jego oczach prośenie jest oznaką słabości. Dlatego nauczyła się ukrywać wszystkie takie oznaki. Wszystko, co upodabniało ją do matki. Odłożyła ramkę na stolik przy łóżku i spojrzała na swoje dłonie. Płuca bolały ją od palenia, ale ręce przestały się jej trząść i patrzyła na plamy czarnej krwi na palcach nie z przerażeniem, lecz z ponurą determinacją.

Była córką swojego ojca. Zastępowała na nazwisko Harker.

I zrobi wszystko, żeby to udowodnić.



WERS 2

*Potwór widzi,
potwór robi*

I

– Męstwo, Dobrobyt, Niezłomność, Prawdziwość – wyrecytował pan Brody, nauczyciel w średnim wieku, pokazując cztery centralne terytoria na mapie. Razem zajmowały ponad połowę terenu, a pozostałe sześć terytoriów znajdowało się na ziemiach dookoła. – To oczywiście cztery największe z Dziesięciu Terytoriów, z populacją liczącą od dwudziestu trzech do dwudziestu sześciu milionów ludzi. Czy ktoś może mi wskazać najmniejsze?

Gracja – pomyślał August, rysując szkic mapy w zeszytach i dzieląc ją na dziesięć części, naśladowując granice z tablicy.

– Fortuna? – zapytała dziewczyna, pokazując na północno-zachodni róg.

– Mówię o populacji, nie obszarze, więc nie. Fortuna ma prawie siedemnaście milionów mieszkańców.

Miało też góry. August wyjrzał przez okno i spróbował wyobrazić sobie niebieskawy cień gór w oddali. Nie potrafił.

– Miłosierdzie? – zgadywał chłopak z tyłu, pokazując na południowo-wschodni róg, który z dwóch stron graniczył z oceanami. Góry. Oceany. Tymczasem Prawdziwość miała tylko równiny, poznaczone tu i tam wzgórzami, które na mapie topograficznej wyglądały jak drobne fale.

– Dziewięć milionów trzysta tysięcy. Bliżej.

– Gracja? – zaproponowała dziewczyna na przodzie, pokazując na terytorium przy północno-wschodnim wybrzeżu.

– Bingo. Czy ktoś mi powie, ile...

– Sześć milionów trzysta piętnaście tysięcy według ostatnich danych – powiedziała Kate, nie podnosząc ręki. Siedziała w ławce przed nim.

Ze wszystkich zajęć, na których mogli wylądować razem, wylądowali w ławce na historii. Cóż za ironia.

– Bardzo dobrze, panno Harker – powiedział Brody, szczerząc się jak głupi do sera (August nauczył się tego tekstu od Harrisa). – Całe szczęście dla reszty z was, na tych zajęciach skupimy się głównie na bogatej historii naszego terytorium...

August mógłby uznać obecną sytuację za zwyczajnie śmieszna – siedział w klasie z córką wroga, ucząc się o równowadze władzy i polityce w Prawdziwości – gdyby nie musiał poświęcać całej swojej uwagi temu, by trzymać język za zębami, kiedy nauczyciel zaczął rozwodzić się o ich szanowanej stolicy, nie wspominając nawet słowem o potworach, które rządziły nią w dzień lub przejmowały ulice nocą. August oczywiście nie spodziewał się

obiektywności, mimo to trudno słuchało mu się tej mocno wypaczonej historii. Za każdym razem, kiedy nauczyciel posługiwał się nazwą „Miasto Prawdy” zamiast „Północne Miasto”, jakby nie warto było wspominać o jego południowej części, jakby kończyło się na Szwie, August czuł, że go ściska w żołądku. Ludzie nie mogli aż tak bardzo się oszukiwać, prawda?

Nie tylko te zajęcia sprawiały, że był spięty. Rano podsłuchiwał rozmowę Henry’ego z Leo. Kłócili się zaciekle o ostatnie incydenty przy Szwie. Kilku Corsai zdołało znaleźć przejście i nikt nie wiedział, czy wysłał ich Harker, czy może potwory po jego stronie robiły się niespokojne. August stał pod drzwiami biura, żeby wszystkiego się dowiedzieć.

„Nie ma znaczenia, dlaczego się tu znaleźli – mówił Leo. – Nie ma znaczenia, kto ich wysłał. Albo zrobił to Harker, łamiąc tym samym porozumienie, albo zbuntowali się przeciwko niemu, a w takim razie Harker nie potrafi ich kontrolować, więc rozejm staje się nieważny”.

„Tak wiele osiągnęliśmy – odparł Henry. – Nie dopuszczę do kolejnej wojny”.

„Złożyliśmy obietnicę...” – zaczął Leo.

„Chyba *groźbę*”.

„...że jeśli Harker złamie zasady, jego imperium zostanie starte z powierzchni ziemi”.

„To były twoje słowa, Leo. Nie moje”.

„Musimy mu przypomnieć, jaką bronią dysponujemy”.

„Ludzie zginą” – zaprotestował Henry.

„Ludzie zawsze giną”.

August zadrżał pod wpływem lodowatego tonu, z jakim jego brat wypowiedział te słowa.

Tymczasem pod tablicą pan Brody ciągnął dalej:

– ...stało się początkiem trwającego czterdzieści lat okresu od upadku rządu, jak wszyscy powinniście już wiedzieć, jaki nastąpił po wojnie w... – zawiesił głos, czekając, aż któryś z uczniów dokończy.

– Wietnamie – oznajmił jakiś chłopak.

– Zgadza się – powiedział nauczyciel. – Niepokoje społeczne, problemy ekonomiczne i osłabione morale zaowocowały rozpadem federacji i późniejszej rekonstrukcji Stanów Zjednoczonych. – Postukał w sam środek mapy. – A teraz, czy ktoś może mi powiedzieć, ile dawnych stanów tworzy dzisiejszą Prawdziwość?

August w dalszym ciągu zajmował się swoją mapą, powtarzając w głowie nazwy stanów. *Kentucky. Missouri. Illinois. Iowa.* Brzmiały jak słowa pozbawione znaczenia.

– A co z następstwami tych okrutnych wydarzeń?

August był w połowie opisywania mapy, kiedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Podniósł głowę i zobaczył, że Kate wpatruje się w jego kartkę. Nie zmienił opisu mapy, za to w rogu zeszytu zaczął zapisywać jego zdaniem bardziej odpowiednie nazwy.

Chciwość, Złośliwość, Obżarstwo, Przemoc.

Kate zmarszczyła nieznacznie czoło. August wstrzymał oddech. Dokoła w dalszym ciągu trwały zajęcia, lecz jemu wydawało się, że wszystko odpłynęło, zostawiając tylko ich dwoje.

– ...stany połączyły siły, aby stworzyć mniej liczne, lecz niezależne terytoria – powiedziała dziewczyna z przodu.

– Doskonale. – Pan Brody odwrócił się, żeby zapisać odpowiedź na tablicy, a Kate wyciągnęła rękę w stronę Augusta. Spiął się, nie znając jej zamiarów, a ona dopisała drugie ramię do litery P, które zaczynało słowo Prawda. Zmarszczył brwi, zdezorientowany.

Zanim nauczyciel się odwrócił, Kate siedziała już prosto, z obiema rękami na swojej ławce.

– Co dalej?

– Stany zaczęły rządzić autonomicznie – dodał chłopiec.

– By później zjednoczyć się w Dziesięć Terytoriów.

– Władza skupiła się w stolicach.

– Ludzie również.

Za każdym razem, kiedy ktoś zgłosił się z odpowiedzią, nauczyciel odwracał się do tablicy, a Kate pochylała się nad zeszytem Augusta i zostawiała kolejny znak – poszarpaną linię, dwie kropki. Połowę zajęć zajęło mu zrozumienie, co ona robi, a potem, między jedną kreską a drugą, wreszcie to pojął.

Ciało. Usta. Pazury.

Kate zmieniła Prawdziwość w potwora.

Popatrzył na nią, a potem, nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnął się.

II

Kate cieszyła się krótkimi przerwami między lekcjami – te pięć minut, które Colton dawało uczniom na dostanie się z punktu A do punktu B. Siedzenie na zajęciach było wykańczające: połowa nauczycieli traktowała ją jak naładowaną broń, a druga jak księżniczkę. Przejście z sali do sali stanowiło dla niej jedyny czas, kiedy mogła naprawdę oddychać. Właśnie dlatego była więcej niż zła, kiedy jedna z dziewczyn z historii złapała ją pod ramię w drodze do sali gimnastycznej.

– Cześć – zawołała zdecydowanie zbyt radośnie jak na dziesiątą rano. – Jestem Rachel.

Kate nie zatrzymała się, ale też nie powiedziała ani słowa.

– Słyszałam, co zrobiłaś Charlotte Chapel.

– Nic jej nie zrobiłam – odparła Kate. *Jeszcze nie.*

– Hej, ja uważam, że to super – oznajmiła tamta beztrąsko. – Już dawno trzeba było utrzyć nosa tej suce.

Kate westchnęła.

– Czego chcesz?

Rachel wyszczerzyła zęby.

– Ja tylko chcę pomóc. Jesteś tutaj nowa i pomyślałam, że przyda ci się przyjaciółka.

Kate uniosła jasną brew. Bycie lubianą to dodatkowa korzyść, nie coś niezbędnego. Przyszło jej do głowy, że mogłaby przyjąć inną taktykę, spróbować się dopasować do towarzystwa, stać się królową szkoły, zdobyć bardziej tradycyjną formę popularności, ale wszystko wydawało się takie... dziecinne. Wciąż czuła krew pod paznokciami. Czy można martwić się takimi rzeczami jak popularność w szkole, kiedy Malchajowie rozrywają gardła w czerwonej strefie? Z drugiej strony, właśnie dlatego mieszkali w Północnym Mieście. Właśnie za to płacili ich rodzice. Za luksus ignorancji.

– Nie chcesz być moją przyjaciółką, Rachel.

Wesołość dziewczyny zmieniła się w coś wyraźnie chłodniejszego, bardziej wyrachowanego.

– Posłuchaj, Katie.

– *Kate.*

– Każdy potrzebuje sprzymierzeńca. Może i jesteś harda, ale założę się, że chciałybyś być lubiana.

– Czyżby? – zapytała sucho Kate.

Rachel pokiwała z przekonaniem głową.

– Wszyscy wiemy, kim jest twój ojciec, ale ty nie musisz być taka jak on. – Złapała Kate za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy, jakby miała zaraz powiedzieć coś bardzo ważnego. – Nie jesteś twoim ojcem.

Kate niedostrzegalnie się spięła, a potem zdołała wyciągnąć usta w okrutny uśmieшек.

– Mogę ci coś wyznać?

– Oczywiście – odparła Rachel.

Kate pochyliła się i przystawiła usta do ucha dziewczyny.

– Jestem o wiele gorsza.

Odsunęła się, rozkoszując się przez chwilę miną Rachel, i odeszła.

W pierwszym tygodniu zajęć fizycznych mieli przejść kurs samoobrony i Kate miała z tym kilka problemów. Największy z nich był taki, że nie używali żadnej broni. Kate nie wyobrażała sobie, by ktoś mógł być tak głupi, by kręcić się po ulicach stolicy, nie mając przy sobie przynajmniej noża, jednak władze Colton upierały się przy – zaczynała nienawidzić tego słowa – „bezpiecznej” przestrzeni.

Mogłaby opuścić te zajęcia, lecz przyglądanie się uczniom, którzy próbują się bronić przed zmyślonymi napastnikami, dawało jej większą frajdę. Dlatego siadała na trybunie razem z resztą klasy i udawała, że słucha.

– Kto mi powie, co to znaczy SING? – zapytał jeden z instruktorów.

– Śpiewać? – rzuciła dziewczyna, żując gumę. Parę osób zaśmiało się pod nosami. Kate miała nadzieję, że prowadzący żartuje, lecz obawiała się czegoś przeciwnego.

– No tak, ale co oznacza ten skrót?

Stomach. Instep. Nose. Groin. Czyli kolejno: brzuch, stopa, nos, krocze.

Krzepki chłopak rzucił:

– Taka taktyka?

– Bardzo dobrze!

Kate chciała zauważyć, że Corsaje nie posiadały brzuchów, stóp, nosów, ani kroczy, a jeśli ktoś zbliży się do Malchaja na tyle, by uderzyć w któreś z tych miejsc, pewnie skończy z gardłem rozerwanym na strzępy. Wszystkie te spostrzeżenia zachowała dla siebie i skupiła się na *prawie* najbardziej frustrującej rzeczy w tym niby-kursie samoobrony: niekompetencji nauczycieli.

Ruchy, które demonstrowali, prawdopodobnie nie powstrzymałyby nawet człowieka, nie wspominając o potworze. Mieli złą postawę, jakby tak naprawdę nie chcieli wcale nauczyć dzieciaków w Colton, jak walczyć. To było wszystko na pokaz i służyło temu, by uczniowie – i zapewne ich rodzice – poczuli się bezpieczniej.

Pięć z sześciu szkół Kate – wyłączając Świętą Agnieszkę – uczyło samoobrony, ponieważ wiele uczęszczających do nich dzieciaków miało wpływowych rodziców: ambasadorów, właścicieli dużych biznesów, czy to nowych czy odziedziczonych: takich, których potomkowie staliby się świetnymi celami porwaczy. Nikt nie miał dość odwagi, żeby próbować porwać Kate, ale

z czasem skompletowała prawdziwy arsenał technik samoobrony – a także ataku – przez co wysiłki prowadzących zajęcia w Colton wydawały jej się jeszcze bardziej żałosne.

Kiedy jeden z nauczycieli zademonstrował sposób rozbrojenia napastnika, zrobił to tak wolno i nieporadnie, że Kate aż się zaśmiała. Niezbyt głośno, lecz doskonała akustyka sali gimnastycznej poniosła śmiech dziewczyny do uszu prowadzącego.

– Czyżbym zrobił coś zabawnego? – zapytał, rozglądając się po uczniach. Nie dowiedziałby się, skąd pochodził śmiech, gdyby ktoś blisko Kate się nie poruszył.

Westchnęła.

– Nie – powiedziała, podnosząc głos. – Ale forma jest zupełnie skopana.

– Cóż, panienko – rzucił tamten, pokazując na nią. – Może zejdziesz i pokażesz nam, jak to się powinno robić?

Przez klasę przeszedł szmer. Instruktor najwyraźniej nie wiedział, kim jest Kate. Jeden z pozostałych nauczycieli spojrział na niego spode łba, lecz Kate tylko się uśmiechnęła i wstała.

Dziesięć minut później siedziała w gabinecie pedagoga. Nie za śmianie się z instruktora, lecz za złamanie mu obojczyka. Właściwie nie próbowała go skrzywdzić. To nie jej wina, że miał złą postawę i równie złe wyobrażenie o swojej sprawności.

– Panno Harker – powiedział pedagog, pulchny mężczyzna o nazwisku Landry, w okularach i z rosnącą łysiną. – W naszej szkole staramy się zapewnić uczniom *bezpieczne* warunki do nauki. – Znowu to słowo. – Prowadzimy politykę zera tolerancji dla przemocy.

Kate zdusiła śmiech. Landry zacisnął usta. Kate chrząknęła, przełknęła ślinę.

– To były zajęcia z samoobrony – odparła. – A instruktor poprosił mnie o wzięcie udziału w prezentacji.

– Miałaś zademonstrować technikę obronną i robiąc to *przypadkiem* złamałaś prowadzącemu obojczyk?

– Zgadza się.

Landry westchnął.

– Przeczytałem twoje akta, panno Harker. To nie pierwszy tego typu incydent. Kate odchyliła się do tyłu, spodziewając się, że pedagog przeczyta listę jej wykroczeń, zupełnie jak na filmach. Jednak Landry tylko zdjął okulary i zaczął je wycierać.

– Skąd bierze się ta agresja? Jak myślisz? – zapytał.

Kate popatrzyła mu w oczy.

– To jakiś żart?

Landry raczej nie żartował. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie boleśnie poważnego. Wysunął szufladę i wyjął z niej fiolkę małych białych tabletek. Kate nie wyciągnęła po nie ręki.

– A te po co?

– Na lęki.

Kate wyprostowała się, dbając o to, by jej ramiona były równe, twarz beznamiętna.

– Nie mam lęków – odparła sztywno.

Landry posłał jej dziwnie znaczące spojrzenie.

– Panno Harker, stukasz palcami o kolana odkąd tylko usiadłaś. – Kate przycisnęła dłonie płasko do ud. – Jesteś spięta. Poirytowana. Nieustannie w pozycji obronnej. Nieustannie starasz się zachować dystans.

Kate posłała mu lodowaty uśmiech.

– Żyję w świecie, w którym cienie mają zęby. To nie jest szczególnie relaksujące otoczenie.

– Wiem, kim jest twój ojciec...

– Jak każdy.

– ...czytałem też o twojej matce. O wypadku.

Oczami wyobraźni ujrzała jej twarz, oświetloną przez lampy nadjeżdżającego samochodu. Te orzechowe oczy, ten pisk opon, ten odgłos miazdzonej stali – Kate wbiła paznokcie w materiał spodni i zdusiła w sobie chęć odwrócenia się do pedagoga chorym uchem.

– No i?

– No i wiem, że musi ci być trudno. Najpierw ogromna strata. Później alienacja. A teraz to: nowa szkoła, nowy początek, ale także, jak się domyślam, wielka dawka stresu. – Pokazał głową na pigułki. – Nie musisz ich zażywać. Ale zabierz je ze sobą. Są mniej szkodliwe od papierosów i kto wie, może naprawdę pomogą.

Kate popatrzyła na fiolkę. Ilu uczniów brało takie tabletki? Ilu mieszkańców Północnego Miasta? Czy kupiony lekami spokój zapobiega wybuchom przemocy? Czy dzięki nim mogli udawać, że świat jest *bezpieczny*? Czy dzięki temu się jakoś trzymali? Czy dzięki nim mogli zasnąć w nocy?

Skrzywiła się, lecz sięgnęła po fiolkę. Wątpiła, by cokolwiek było w stanie jej pomóc, jeśli jednak w ten sposób udobrucha Landry'ego i cały incydent nie trafi do akt (a wieści o nim nie dotrą do ojca), było warto.

– Mogę już iść? – zapytała. Landry kiwnął głową, a Kate uciekła przed jego wzrokiem i wyszła na pusty korytarz.

Wytrząsnęła jedną białą tabletkę na dłoń. Spojrzała na nią i zawahała się.

Gdzie jesteś? – zapytała samą siebie.

Daleko. Cała. Przy zdrowych zmysłach. Szczęśliwa. Wiele różnych Kate z wieloma różnymi życiami, lecz ona nie żyła żadnym z nich. Musiała być *tutaj*. Musiała być silna. I jeśli doktor Landry dostrzegł w niej słabość, dostrzeże ją także ojciec.

Kate połknęła tabletkę bez popijania.

Rozejrzała się po pustym korytarzu. Za późno, żeby wrócić do klasy. Zbyt wcześnie, żeby iść gdziekolwiek indziej. Przez otwarte drzwi dało się zobaczyć odkrytą trybunę, skąpaną zachęcająco w promieniach słońca. Kate schowała leki do kieszeni i poszła odetchnąć świeżym powietrzem.

III

August usłyszał, jak idzie.

Ludzie składają się z części – spojrzeń i zapachów, pewnie, ale też dźwięków. Wszystko w Emily Flynn brzmiało *staccato*. W Henrym każdy dźwięk płynął gładko. Kroki Leo były równe jak puls. Włosy Ilsy nieustannie szeleściły jak pościel.

A Kate? Brzmiała jak pomalowane paznokcie wystukujące rytm.

August opierał się o ciepły metal trybuny, z głową odchyloną w stronę słońca, kiedy Kate usiadła za nim. Stalowa rama zadudniła pod nagłym obciążeniem, a August uznał, że nawet gdyby się nie odezwała, poznałby, że to ona. Zajmowała przestrzeń w taki charakterystyczny sposób. Czuł na sobie jej spojrzenie, lecz nie otwierał oczu. Powiew wiatru przeczesuje mu włosy i August uśmiecha się, niemal naturalnie. Jakiś cień zakrył czerwono-biały blask słońca i chłopak podniósł powieki. Kate stała nad nim i patrzyła. Z tej perspektywy jej rysy wydawały się miękkie, a oczy wyglądały jak błękitne niebo poznaczone chmurami.

– Hej – powiedział.

– Hej – odparła, a potem dodała z roztargnieniem: – Gdzie byłeś?

Zmrużył oczy.

– Słucham?

Ale Kate już zaczęła kręcić głową.

– Nieważne.

August podniósł się i odwrócił powoli, żeby na nią spojrzeć.

– Ważne – rzucił, od razu żałując tego słowa. Widział, jak jej spojrzenie traci ostrość, odpowiedź zbliża się do ust. – Albo nie – dodał szybko. – Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz.

Kate zamrugała, jej oczy znowu znalazły skupienie.

– To tylko taka gra. Gram w nią, kiedy chcę się znaleźć gdzieś indziej.

– Gdzie na przykład?

Niewielka zmarszczka pojawiła się między jej brwiami.

– Nie wiem. Ale chyba mi nie powiesz, że gdybyś miał wybór, wybrałbyś trybuny Colton?

August się uśmiechnął.

– Jest tu całkiem niezłe. – Pokazał na boisko, na rosnące w oddali drzewa. – No i widok ładny.

Przewróciła oczami. Z bliska wyglądały na niebieskie. Nie błękitne jak niebo,

lecz ciemne, w kolorze koszulki Colton. Miała włosy zebrane z jednej strony i August mógł znowu zobaczyć bliznę przypominającą łzę w kącie oka, a także linię biegnącą wzdłuż linii włosów i przy uchu. Zastanawiał się, ilu ludzi zbliżyło się do Kate na tyle, by to zobaczyć. A potem, zanim zdążył zapytać, dziewczyna odchyliła się do tyłu, wyciągając nogi przed siebie i opierając je na ławce.

– Nie powinieneś być na lekcji? – rzuciła.

– Mam teraz świetlicę – odparł, chociaż było oczywiste, że go tam nie było. – A ty?

– Powinna być na sali gimnastycznej, ale wyrzucili mnie za *złe zachowanie*.

– August podniósł brwi tak, jak widział u Colina, udając zaskoczenie. – Wiedziałaś, że uczą tutaj samoobrony? – ciągnęła dalej. – Jakiś żart. Uczą taktyki SING, czaisz? Nie słyszałam, żeby dało się powstrzymać Corsaja kopniakiem w krocze.

– Prawda – stwierdził August, opierając łokcie o ławkę z tyłu. – Ale na świecie jest też pełno złych ludzi. *Takich jak twój ojciec*. – Czyli wyrzucili cię za pouczanie instruktora?

– Nawet lepiej – powiedziała, przeczesując palcami piaskowe włosy. – Wyrzucili mnie za złamanie mu obojczyka.

Jakiś nieartykułowany dźwięk wydostał się z gardła Augusta, jakby cichy śmiech. Zaskoczyło go to.

– Zdaniem pedagoga – kontynuowała Kate – mam problemy z agresją.

– Jak wszyscy, nie?

Żadne z nich nie wspomniało jego szkicu mapy albo potwora, jakiego Kate zrobiła z Verity, i wkrótce na trybunach zapanowała cisza, przerywana jedynie przez stukanie paznokci Kate, którymi wygrywała stały rytm, a także odległe krzyki uczniów biegnących po torze.

To nie tak miało wyglądać – pomyślał August. Nawet nie metr dzielił go od córki okrutnego tyrana, spadkobierczyni Północnego Miasta. Powinien czuć niechęć, obrzydzenie. A przynajmniej niepokój. Było zupełnie inaczej.

Nie wiedział, co dokładnie czuł. Harmonię. Zgodność. Jakby słuchał dwóch pasujących do siebie dźwięków.

„Nie odpychaj jej” – mówił jeden głos, podczas gdy inny ostrzegał: „Nie zbliżaj się”. Jak miał pogodzić jedno z drugim?

– A więc, Freddie – powiedziała, prostując się. – Co cię sprowadza do Colton?

– Uczyłem się w domu – wyjaśniłem, a potem, szukając słów, które nie byłyby kłamstwem, dodałem: – Moja rodzina chyba myślała, że... nadszedł czas, żebym znalazł przyjaciół.

– Ciekawe, bo za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś sam.

August wzruszył ramionami.

– Chyba nie jestem zbyt towarzyski. A ty?

Otworzyła szeroko oczy w udawanym zaskoczeniu.

– Nie słyszałaś? Spaliłam szkołę. Albo brałam narkotyki. Albo sypiałam z nauczycielem. Albo zabiłam dzieciaka. Zależy, kogo zapytasz.

– Czy cokolwiek z tego jest prawdą?
– Faktycznie spaliłam szkołę – przyznała. – No, właściwie tylko część szkoły. Kaplicę. Ale nie ze złości czy coś. Chciałam po prostu wrócić do domu.

August zmarszczył czoło.

– Wydostałaś się z Miasta Prawdy. – Co nie było łatwe, z zamkniętymi granicami i Ziemią Jałową do pokonania. – Dlaczego chciałaś wrócić?

Kate nie odpowiedziała od razu. Co było dziwne – przez większość czasu ludzie w otoczeniu Augusta mówili aż *za dużo* – tylko odchyliła głowę i spojrzała w niebo. Dzień był bezchmurny i przez chwilę sprawiała wrażenie zagubionej, jakby spodziewała się tam zobaczyć i nie zobaczyła.

– Tylko tyle mi zostało. – Powiedziała to cicho, jakby się spowiadała, lecz nie zwracała na to uwagi. Za chwilę wróciła na ziemię. – Prawdziwe?

August spojrzał w dół i zdał sobie sprawę, że ma podciągnięte rękawy i spod mankietów wystają położone najniżej szeregi kresek. Czteryście osiemnaście.

– Tak – odparł. Prawda wymknęła mu się zanim zdążył ją powstrzymać.

– Co oznaczają?

Tym razem August zdusił odpowiedź i przejechał palcem po najstarszym znaku na nadgarstku.

– Każda – wyjaśnił powoli – to jeden dzień bez wypadki.

Ciemne oczy Kate zrobiły się wielkie pod wpływem szczerzego zaskoczenia.

– Nie wyglądasz jak uzależniony.

– Cóż – rzucił zamyślony – nie wyglądałem ci też na Freddiego.

Uśmiechnęła się.

– Więc czym się trujesz?

Westchnął teatralnie, a potem pozwolił, by prawda wytoczyła się z jego ust:

– Życiem.

– Ach – rzuciła smutno – to cię zabije.

– Nie tak szybko jak papierosy.

– To prawda, ale...

Czyjś krzyk nie pozwolił jej dokończyć. August się spał, a ręka Kate wystrzeliła od razu do plecaka, ale to tylko jakiś chłopak dla żartu gonił swoją dziewczynę. Znowu pisnęła, szczerząc zęby z radości.

August wypuścił powietrze. Nigdy nie rozumiał, dlaczego ludzie krzyczą dla zabawy.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kate, a on zdał sobie sprawę, że trzyma kurczowo ławkę, aż zbieleły mu knykie. Z tyłu głowy usłyszał odległe, ledwo słyszalne strzały. Puścił.

– Tak, spoko. Nie lubię głośnych dźwięków.

Kate zacisnęła usta i posłała mu spojrzenie, które mówiło: „To urocze”, a potem pokazała na jego futerał.

– Skrzypce?

August spuścił wzrok, pokiwał głową. Przemycił instrument, wychodząc tego ranka z kompleksu zanim Leo zdążył go zobaczyć. Nie mógł się doczekać, kiedy zagra. Poszedł do sali prób, ale dowiedział się, że nie wystarczy legitymacja,

żeby tam poćwiczyć. Już miał wejść do środka, kiedy za jego plecami chrząknęła jakaś dziewczyna.

– Przepraszam – powiedziała – ale sala jest moja.

August nie zrozumiał.

– Twoja?

Pokazała na rozpiskę na tabliczce. Była na niej tabelka z nazwiskami.

– Teraz mój czas – wyjaśniła. August poczuł, jak ściska go w sercu. Przytrzymał drzwi i wpuścił dziewczynę, a potem przyjrzał się liście nazwisk i godzin. Była środa, a do piątku brakowało już wolnych miejsc. August nie powinien zostawać po szkole – Henry upierał się, by przekraczał Szew, zanim bramy zostaną zamknięte wraz z nadejściem zmierzchu, nawet jeśli właściwie z nich nie korzystał – jednak w rzadkiej chwili buntu chłopak postanowił się zapisać.

– Zawsze lubiłam muzykę – powiedziała Kate, skubiąc lakier z metalem, którym miała pomalowane paznokcie. August czekał, aż dziewczyna powie coś więcej, ale zabrzmiał dzwonek i tylko pokręciła głową, zakrywając na powrót jedno oko włosami. – Umiesz grać?

– Tak – odparł bez wahania.

– Zagrasz coś dla mnie?

August pokręcił głową, a spojrzenie, jakim go obrzuciła, było jednoznacznie – rzadko ktokolwiek jej czegoś odmawiał.

– Trema? – zapytała beznamiętnie. – Daj spokój.

Patrzyła na niego przez blond zasłonę, wyczekująco, a on nie mógł jej przecież wyjaśnić, że gra tylko dla grzeszników. Przełknął ślinę, szukając kłamstwa, które byłoby wystarczająco blisko prawdy.

– No mów – nalegała. – Obiecuję, że...

– Freddie! – krzyknął ktoś, a gdy August się odwrócił, zobaczył Colina machającego do niego ze stołówki. Z wdzięcznością podniósł się z ławki.

– Muszę iść – rzucił, podnosząc futerał tak swobodnie, jak tylko potrafił.

– Jeszcze dla mnie zagrasz! – zawołała, gdy schodził po metalowych schodach. – Tak czy inaczej.

Nic nie odpowiedział, nie odważył się nawet na nią spojrzeć, zamiast tego pobiegł do Colina, który otwarcie się gapił. Kiedy August do niego dotarł, chłopak zaczął go oklepywać.

– To żyje! – oznajmił z udawanym szokiem.

August pomachał tylko, a Colin zaczął iść obok niego.

– Ale poważnie, Freddie – powiedział, oglądając się na trybuny. Na Kate. – Czy ty chcesz się rozstać z życiem? Jestem pewien, że znalazłyby się szybsze, mniej bolesne sposoby...

III

Kate przez resztę dnia udało się nikogo nie skrzywdzić, więc to już było coś. Nie wiedziała, czy to kwestia szczęścia, czy zasługa Freddiego. Chociaż się z nim drażniła, przez chwilę na trybunie odpowiedź na pytanie: „Gdzie jesteś?” zabrzmiałaby: „Tutaj”. Nie była pewna przyczyny, może poza tym, że po raz pierwszy od bardzo dawna, kiedy siedzieli w tamtej dziwnej, lecz nie krępującej ciszy, czuła się sobą. Nie Kate, która szczyrzyła zęby do plotek albo przystawiała nóż do szyi koleżanki, albo wbiła potworowi łom w serce.

Była taką Kate jak kiedyś. Taką, która żartuje, zamiast grozić. Taką, która uśmiecha się wtedy, kiedy naprawdę tego chce.

Jednak tamta Kate nie nadawała się do tego świata.

Gdy rzuciła torbę na łóżko, wytoczyła się z niej fiolka od doktora Landry’ego.

Może to pigułki wygładzały jej ostre brzegi. A może... A może to Freddie. Było w nim coś takiego... rozbijającego, zaraźliwego, znajomego. W audytorium pełnym spojrzeń to jego wzrok ją przyciągnął. W klasie pełnej uczniów bez mrugnięcia okiem przyswajających kłamstwa, on zapisał prawdę na marginesie. W szkole, która kurczowo trzymała się iluzji bezpieczeństwa, on nie bał się mówić o przemocy. Nie pasował do tego miejsca tak samo jak ona, a przez tę łączącą ich siłę Kate czuła, że go zna.

Jednak nie znała.

Jeszcze nie.

Usiadła przed biurkiem, włączyła komputer i zalogowała się do systemu Akademii Colton.

– Kim jesteś, panie Gallagher? – powiedziała, wchodząc do katalogu uczniów i przeglądając profile, dopóki nie znalazła tego, którego szukała. Kliknęła na podstronę Fredericka Gallaghery. Po lewej stronie znajdowały się typowe informacje – wzrost, wiek, adres – jednak fotografia po prawej była dziwna. Kate zrobiono już niejedno zdjęcie, w każdej kolejnej szkole, i zawsze życzyli sobie ujęcia *en face*, z uśmiechem i wzrokiem skierowanym do przodu. Jednak chłopak na zdjęciu nie patrzył na nią.

Jego twarz była widoczna z profilu, wzrok spuszczonej, kontury niewyraźne, a usta otwarte, jakby migawka opadła nie tylko w trakcie ruchu, ale także w czasie wdechu. Gdyby nie ledwo widoczne kreski wystające spod mankietu, nie byłaby pewna, czy to w ogóle Freddie.

Dlaczego nie powtórzono zdjęcia?

Drećzyło ją coś w tej poruszonej fotografii i nagle zapragnęła zobaczyć inne

zdjęcie. Zaprażyła spojrzeć na kogoś, kto nie mógł spojrzeć na nią. Otworzyła nową kartę w przeglądarce i weszła na jeden z serwisów społecznościowych, których używali wszyscy uczniowie, i wpisała imię.

Pojawiły się dwa profile chłopaków z Prawdziwego Miasta, jednak żaden z nich nie był Freddie. To dziwne, jednak Freddie nie chodził do szkoły, tylko uczył się w domu. Może nigdy nie zarejestrował się w serwisie. Otworzyła trzecią kartę i wpisała jego nazwisko w wyszukiwarkę. Otrzymała kilka wyników – mechanika, bankiera, ofiarę samobójstwa i farmaceutę, lecz wciąż nie tego Freddiego.

Kate odchyliła się na oparcie i postukała paznokciem o zęby.

W dzisiejszych czasach *wszyscy* istnieją w sieci. Każdego dnia w Colton ktoś robi zdjęcia, nagrywa najbardziej prozaiczne momenty swojego życia, jakby warto je było zachować, zapamiętać. Więc gdzie się podziewał Freddie?

W jej głowie właśnie zakiełkowała pewna myśl. Może miała paranoję, szukała skomplikowanej odpowiedzi, chociaż prostsza – że był jednym z niewielu nastolatków, którzy trzymali się z dala od serwisów społecznościowych – była bardziej prawdopodobna.

Zapewne. Mimo to myśl przypominała ukąszenie komara, które – raz podrapane – zaczęło swędzić.

Jednak to nie było jedyne źródło informacji w Północnym Mieście. Kate zalogowała się do prywatnej sieci ojca, kliknęła na archiwum pod tytułem „Ludzie”. Na monitorze pojawiły się tysiące miniaturek, każda opatrzona nazwiskiem i datą. Freddie wyróżniał się wśród uczniów Colton i może nie tylko Kate to zauważyła. Wpisała jego nazwisko w wyszukiwarkę, w głębi duszy licząc na to, że jego twarz pojawi się w związku z jakimś incydentem, choćby anomalią, jednak – nic.

Zirytowana wróciła do folderu szkolnego i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, gapiąc się na nie przez długie minuty, jakby liczyła na to, że chłopak ożyje, dokończy ruch i popatrzy jej w oczy. Kiedy to się nie stało, przejrzała jego profil, spisała adres i wstała od biurka.

Nie szukała jeszcze w jednym miejscu.

– Halo? – zawołała, przechodząc przez apartament. Nikt nie odpowiedział. Szybko zrobiła rekonesans. Ani śladu po Sloane albo Harkerze. Drzwi do biura jej ojca były zamknięte, ale kiedy przytknęła zdrowe ucho do drewna, nie usłyszała szumu systemu izolacji akustycznej, który Harker aktywował zawsze, gdy znajdował się w środku. Wpisała kod – drugiego dnia zainstalowała kamerę, nagrała ruch i ułożenie palców – a sekundę później zamki zostały otwarte.

Światła automatycznie się zapaliły.

Biuro Calluma Harkera było ogromne i dziwnie klasyczne, z szerokim, ciemnym biurkiem, ścianą wypełnioną półkami oraz szeregiem okien z widokiem na miasto. Podeszła do regału i przesunęła ręką po stojących tam dużych czarnych woluminach. Księgi.

Harker był bardzo skrupulatnym człowiekiem; posiadał zarówno fizyczne, jak

i cyfrowe kopie informacji na temat wszystkich mieszkańców. Komputer był zablokowany – Kate nie udało się złamać hasła – jednak cudowną cechą książek był fakt, że mógł je otworzyć każdy. Zapiski prowadzono alfabetycznie i przepisywano je co dwanaście miesięcy. Kiedy ktoś stracił prawo do ochrony Harkera w danym roku, jego nazwisko skreślano. Jeśli *zyskiwał* prawo do ochrony, zapisywano je na końcu.

Kate ściągnęła księgę z literą G i położyła ją na biurku, kartkując, dopóki nie znalazła nazwiska Gallagher.

Jedenastu Gallagherów z Północnego Miasta zapłaciło za ochronę Harkera, była także niejaka Paris Gallagher, której adres pasował do tego zapisanego w profilu Freddiego, jednak sam Freddie się nie pojawiał. A przecież na własne oczy widziała medalion na jego szyi. Przekartkowała sam koniec w nadziei, że znajdzie jego nazwisko wśród ostatnich dopisków.

Bez powodzenia.

– Gdzie się podziewasz? – szepnęła tuż przed tym, jak ktoś głośno chrząknął.

Podniosła gwałtownie głowę. Jej ojciec stał w progu, wycierając ręce kawałkiem czarnego jedwabiu.

– Co ty tu robisz, Katherine?

Powietrze ugrzęzło w płucach Kate. Siłą wypchnęła je na zewnątrz, licząc, że sprawi to wrażenie pełnego irytacji westchnienia.

– Szukam nazwiska – odparła, opierając się o biurko, jakby miała pełne prawo przebywać w tym pomieszczeniu. – W szkole jest taka jedna dziewczyna, która doprowadza mnie do szału. Nosi medalion, ale miałam nadzieję, że jest ukradziony albo przeterminowany, niestety – oznajmiła, zamykając księgę – wciąż jest pod twoją ochroną.

Nie opuszczało jej ciemne spojrzenie Harkera. Starła się ignorować krwawe ślady na mankietach.

– Przepraszam – dodała – powinnam była poczekać, aż wrócisz, ale nie wiedziałam, kiedy to się stanie.

– Nie wydaje mi się, bym zostawił drzwi otwarte.

– Nie zostawiłeś – odparła chłodno Kate, odchodząc od biurka i kierując się do wyjścia. Z ulgą zauważyła, że ojciec nie poszedł jej śladem.

Kiedy wróciła do pokoju, opadła na fotel, patrząc na profil Freddiego, który wciąż wyświetlał się na monitorze. Teraz miał jeszcze mniej sensu: rozmazane zdjęcie obok nazwiska, które nie istniało w zapiskach ojca. Może używa pseudonimu. Tylko dlaczego?

Ukrywali się tylko ci, którzy mieli coś do ukrycia.

Więc co ukrywał Frederick Gallagher?

III

August nienawidził krwi – nienawidził jej widoku, jej zapachu, jej zbyt gęstej konsystencji. Szkoda, ponieważ w tej chwili był nią pokryty.

Oczywiście nie była to jego krew.

Należała do Phillipa – żołnierza OSF z ciepłym uśmiechem i krótko przyszczyżonymi włosami, który traktował Augusta jak przyjaciela i patrzył krzywo na Harrisa za każdym razem, gdy ten nazywał go potworem.

– Przytrzymajcie go mocno – rozkazał Henry. – Muszę założyć opaskę uciskową.

Ramię Phillipa zostało wyrwane ze stawu. Jego mundur został porwany na kawałki, a August mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć palcami śladów po pazurach Corsai – a może zębach? Zawsze trudno ocenić – gdyby Phillip nie szarpał się tak na stole operacyjnym.

August siedział przy stole i odrabiał pracę domową, a Allegro bawił się jego sznurówkami, kiedy dostali telefon. Kolejny atak. Tylko że do tego nie doszło przy Szwie. Ten nie był przypadkowy. To była pułapka. Potwory Harkera wiedziały dokładnie, gdzie i kiedy znajdują się patrole OSF. Ktoś im wszystko powiedział. A teraz czterech żołnierzy zginęło, zaś Phillip był na dobrej drodze, by dołączyć do nich cały we krwi i w akompaniamencie przekleństw.

– Na Boga, przytrzymajcie go.

Leo i August próbowali przycisnąć Phillipa do stołu, podczas gdy Henry ostrożnymi i zdecydowanymi ruchami starał opatrzyć paskudną ranę. Partner Phillipa, Harris, stał z boku, z krwią na twarzy, otępiały pod wpływem szoku, podczas gdy Emily zszywała mu dziurę w bicepsie. Brakowało jej chirurgicznej gracji Henry’ego, lecz tak samo doskonale panowała nad rękami.

Henry sięgnął po strzykawkę pełną morfiny i wbił igłę w zdrową rękę Phillipa. Przekleństwa wykrzykiwane przez chłopaka ucichły, a głowa opadła na bok – ból i napięcie wreszcie go opuściły.

– Tak nie może być, Henry – powiedział Leo; na jego szczęce było widać smugę krwi Phillipa. – Dość już tych upokorzeń. Nadszedł czas, żeby...

– *Nie teraz* – warknął Henry, wyciągając parę rękawiczek i biorąc się do pracy. August spojrział w dół na szczątki ramienia Phillipa, na czerwoną krew zbierającą się na stalowym stole, i zrobiło mu się niedobrze. W ostrym świetle jarzeniówek chłopak wyglądał bardzo młodo, krucho. Ludzie są zbyt delikatni do tej walki, lecz Sunajów jest za mało, żeby dali sobie radę sami. A nawet gdyby troje mogło stanąć przeciwko tysiącom, Malchajowie i Corsaje mieli dość

rozumu, żeby trzymać się z dala, wybierając łatwiejsze ofiary. Dlatego Sunajowie skupili się na polowaniu na grzeszników, aby zatrzymać przepływ przemocy, zaś zabijanie potworów przypadło w udziale ludziom, a ci nieustannie przegrywali. Była to spirala jęków i strzałów, makabrycznych początków i krwawych zakończeń.

Wzrok Augusta prześlizgnął się po śladach pazurów. Brudne. Brutalne. Tak działają potwory. Utrzymujący się jeszcze zapach Corsai – zatęchłego powietrza, starego dymu i śmierci, zawsze śmierci – wciąż trzymał się ciała i przyprawiał o mdłości. Leo miał rację. August w niczym nie przypominał stworzenia, które to zrobiło. W niczym.

– August – powiedział Henry minutę później. – Możesz już puścić.

Spojrzał w dół i zdał sobie sprawę, że przyciskał do stołu zwiotczone ciało Phillipa. Jego dłonie się ześlizgnęły – poszedł umyć je w znajdującym się nieopodal zlewie, podczas gdy Henry wziął się do pracy.

Krew spływała po umywalce, a August odwrócił wzrok, starając się znaleźć coś, cokolwiek, na czym mógłby się skupić, jednak ona była wszędzie, na ścianach, na blacie, na podłodze. Czerwony ślad prowadził przez drzwi do stalowych wind oznaczonych numerem 19.

Dziewiętnaste piętro kompleksu Flynnów żołnierze o bardziej makabrycznym poczuciu humoru nazywali Kostnicą. Chociaż była to prawie najwyższa kondygnacja, znajdująca się bezpośrednio pod mieszkaniem Flynnów, nie można było liczyć na zapierające dech widoki. Wszystkie okna zamurowano, a meble wyniesiono, żeby stworzyć sterylną przestrzeń. Na dziewiętnastym piętrze znajdowały się dwie bardzo istotne sale: prywatna sala przesłuchań (pozostałe były zlokalizowane pod ziemią, razem z celami) oraz sala ostrego dyżuru.

– Gdzie on jest? – zapytał Henry, podnosząc wzrok znad zrujnowanego ramienia Phillipa. Miał na myśli zdrajcę. Człowieka, który sprzedał informacje Harkerowi. Był kuzynem członka OSF, a po wydaniu organizacji próbował uciec przez Szew i upomnieć się o swego rodzaju azyl w Północnym Mieście. Jednak Harker nie trzymał szczurów^[4], więc go wyrzucił. Oddział OSF wytropił go i sprowadził do kompleksu, jednak wcześniej mężczyzna wystrzelił dwukrotnie do kapitana. Dwie minuty z Leo i zdrajca wszystko wyśpiewał.

Teraz Leo stał przed lustrem, wycierając z twarzy ślady krwi. Jego czarne spojrzenie powędrowało do blizny przecinającej jego brew i zaraz uciekło, jakby Leo brzydził się jej tak samo, jak August brzydził się krwi.

– Cella A – odparł głucho Harris. Cały jego chłopięcy urok znikł. Został mu odebrany.

– Jest winny – dodał Leo beznamyślnie i wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. Czerwona dusza. Żniwa.

– Dobra. – Henry dał znak żonie. – Idź po Ilesę.

Mężczyzna w celi A nie wyglądał najlepiej.

Miał złamany nos, a ręce związane na plecach. Leżał na boku i oddychał

z wyraźnym trudem. August stał i gapił się na niego, próbując zrozumieć, co sprawia, że ludzie dają się tak złamać. Nie fizycznie – ich ciała były kruche – lecz w sercu. Dlaczego decydowali się skoczyć, wiedząc, że nie mają na czym bezpiecznie wylądować.

Poczuł podmuch powietrza, a potem miękkie ciepło dłoni Ilsy, która zaglądała przez pleksiglasowe okienko w drzwiach celi.

– Czujesz to? – zapytała ze smutkiem. – Jego dusza jest taka ciężka. Kto wie, jak długo jeszcze wytrzyma podłoga...

Zabrała dłoń i weszła do pomieszczenia z bosymi stopami. August zamknął za nią drzwi, jednak nie odszedł. Rzadko mógł oglądać innego Sunaja odbierającego komuś życie. A Ilsa miała talent czynienia wszystkiego pięknym. Nawet śmierci.

Za jego plecami rozbrzmiały czyjeś kroki, ciężkie i równe. Leo.

– Henry głupio robi, nie wypuszczając jej z kompleksu.

August zmarszczył brwi.

– Kogo? Ilsy?

Leo podniósł rękę i położył ją na drzwiach.

– Naszej siostry, anioła śmierci. Wiesz, czym ona jest? Co potrafi?

– Nie mam pojęcia – powiedział sucho August.

– Owszem, nie wiesz, braciszku. Obecna w celi Ilsa padła na kolana obok zdrajcy.

– Henry o niczym ci nie mówi, ale ja uważam, że zasługujesz na to, by poznać prawdę o jej naturze, o tym, kim może mógłbyś się stać, gdybyś tylko sobie na to pozwolił.

– O czym ty mówisz, Leo?

– Nasza siostra ma dwie strony – odparł. – Które do siebie nie pasują.

Jego słowa brzmiały jak zagadka, a przecież to nie Leo miał zwyczaj mówienia naokoło.

– Co...

– Wiesz, ile ma gwiazd?

August pokręcił głową.

Leo rozcapierzył palce.

– Dwa tysiące sto sześćdziesiąt dwa.

August zaczął liczyć. Sześć lat. Sześć lat minęło, odkąd Ilsa poddała się ciemności. Sześć lat, odkąd coś zakończyło wojny terytorialne.

Leo musiał zauważyć zrozumienie na mojej twarzy. Narysował kółko palcem wskazującym.

– Kto twoim zdaniem stworzył Pustkowie, braciszku?

Za drzwiami zdrajca wyznawał swoje grzechy łamiącym się szeptem. Ilsa ujęła jego twarz w dłonie i położyła jego głowę na podłodze. Sama położyła się na boku, głaszcząc go po włosach.

Gdzieś w mieście znajdowało się miejsce, gdzie nic nie rośnie.

– To niemożliwe – szepnął August. Ostatnim razem, kiedy poddał się ciemności, zginęło kilkoro ludzi. A Ilsa mogła zniszczyć cały park? Pozostawić

bliznę na powierzchni ziemi? Jeśli to prawda, nic dziwnego, że Henry nie chciał, by rozejm upadł. OSF myślało, że Flynn ma bombę.

I mieli rację.

Oczami wyobraźni zobaczył wypaloną ziemię w centrum miasta. Czy Ilsa... Czy Ilsa chciała to zrobić? Oczywiście, że nie – August też nie chciał nikogo skrzywdzić – jednak w ciemności można się zagubić. Kiedy Sunaj się jej poddaje, ludzie tracą życie. Nie ma żadnych zasad, żadnych granic: winnych i niewinnych, potworów i ludzi – wszyscy giną.

Leo nazwał to *odstrzałem*.

Ilu zginęło tamtego dnia na placu? Ilu niewinnych wśród grzeszników? To się więcej nie stanie. Nie może. Musiało istnieć jakieś inne rozwiązanie.

– Jej uwięzienie było jednym z warunków rozejmu – ciągnął dalej Leo. – Ale pamięć ludzka jest zawodna i wygląda na to, że Północne Miasto potrzebuje małego przypomnienia.

Sposób, w jaki mówił o Ilsi, przyprawiał Augusta o ciarki.

– Ona nie jest *narzędziem*, Leo.

Brat spojrział na niego tymi przerażającymi czarnymi oczami o zbyt płaskiej, zbyt gładkiej powierzchni.

– My wszyscy jesteśmy narzędziami, August.

We wnętrzu celi Ilsa zaczęła nucić. Dźwięki ledwo do nich docierały, lecz nawet przytłumiona pieśń sprawiała, że czuł drżenie w kościach. W przeciwieństwie do Augusta, który grał na skrzypcach, i do Leo, który potrafił stworzyć muzykę na praktycznie wszystkim, Ilsa jako instrumentu używała jedynie swojego głosu.

August patrzył, a przez jego ciało przetoczył się głuchy głód, kiedy czerwony blask podniósł się ze skóry mężczyzny i obmył Ilsę niczym fala. August dopiero co się pożywiał, a i tak czuł ból, tę nieustanną potrzebę, pustkę, która, jak się obawiał, zniknie dopiero wraz z nim.

Bliźniacze smużki dymu wydostały się z pustych oczu mężczyzny w chwili, gdy opuszczały go resztki życia. Trup przestał świecić.

– Pewnego dnia zrozumiesz – powiedział spokojnie Leo. – Prawdziwy głos naszej siostry jest piękny i straszny.

Za pleksiglasem i stałą Ilsa pogłaskała mężczyznę po głowie niczym matka układająca dziecko do snu.

Augustowi zrobiło się niedobrze. Wycofał się, odwrócił i pomaszerował z powrotem do skrzydła medycznego. Harris stał tam, gdzie przedtem, a Henry wciąż pracował nad ramieniem Phillipa, który wyglądał, jakby był już jedną nogą w grobie. Nagle August poczuł się nieznośnie zmęczony.

Już miał zapytać, czy Leo mówił prawdę na temat Ilsi, lecz właściwie już wiedział.

Zamiast tego powiedział:

– Musimy coś zrobić.

Henry podniósł wzrok znad stołu, wykończony.

– I ty też?

– Żeby rozejm się utrzymał – ciągnął dalej August. – Żeby zapobiec kolejnej wojnie.

Henry zaczął pocierać oczy, lecz nic nie odpowiedział. Harris też się nie odezwał. Leo, który stanął w progu, milczał.

– Tato...

– August. – Emily położyła mu rękę na ramieniu i chłopak zdał sobie sprawę, że cały się trzęsie. Kiedy przemówiła, jej głos był cichy i spokojny. – Już późno – rzekła, wycierając rozmazaną krew na jego policzku. – Idź na górę. W końcu jutro szkoła – dodała.

Zduszony dźwięk próbował wydostać się z jego gardła.

August miał ochotę śmiać się z absurdalności tego życia, ze wszystkich jego fars. Chciał wziąć skrzypce i grać, i grać, i grać, aż przestanie mu doskwierać głód, aż przestanie się czuć jak potwór. Chciał krzyczeć, ale zaraz pomyślał o głosie jego siostry zmieniającym miasto w popiół i ugryzł się w język tak mocno, że jego usta wypełniły się bólem i krwią.

– No już – nalegała Emily, popychając go w stronę windy.

I podążył za śladami krwi, jak za okruszkami, do wyjścia.

[4] Gra słów: w języku angielskim szczurem nazywa się donosiciela (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

III

I

– Ciężka noc? – zapytała Kate, wspinając się na trybuny.

Głowa Freddiego była pochylona nad książką, ale Kate i tak widziała cienie pod jego oczami, zaciśniętą szczękę.

Nie podniósł wzroku.

– Aż tak widać?

Rzuciła torbę.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

– O rany, dzięki – odparł sucho, przeczesując palcami wciąż wilgotne włosy. Nadal wpatrywał się w książkę, lecz długo nie przewracał strony.

Pytania kłębiły się w jej głowie, każde próbowało przebić się na powierzchnię, lecz nie pozwalała im na to. Zaczęła stukać paznokciami, a potem przypomniała sobie uwagi doktora Landry’ego i przestała. Zamierzała poruszyć temat skrzypiec, ale Freddie nie miał przy sobie futerału. Chciała zobaczyć, co czyta albo udaje, że czyta – niestety litery były zbyt małe, więc usiadła obok niego, próbując odtworzyć atmosferę z poprzedniego dnia, przyjemną ciszę, którą cieszyli się oboje. Ale nie mogła usiedzieć w miejscu. W końcu zirytowana wyciągnęła słuchawki i już miała je założyć, kiedy Freddie się odezwał:

– Co zrobiłaś? – zapytał, przewracając stronę.

Kate nieznacznie się spięła. Cieszyła się, że Freddie tego nie widział.

– Co masz na myśli?

Wreszcie odłożył książkę. Platon. Kto w tym wieku czyta Platona dla rozrywki?

– Znowu wyrzucili cię z zajęć na sali gimnastycznej.

– A, o to chodzi – powiedziała, dotykając podbrzusza. – Okropnie boli mnie brzuch.

Rozbawienie zagościło na chwilę w jego bladych szarych oczach.

– Czyżby?

– Mam nadzieję, że niczym się nie zaraziłam – rzuciła, rozsiadając się na ławce i uśmiechając się szelmowsko. – Ale wiesz, co mówią.

– Co mówią?

– Świeże powietrze to najlepszy lek.

Byłaby zbyt hojna, nazywając jego wyraz twarzy uśmiechem, ale sprawiał wrażenie dość ciepłego. Schowała kosmyk włosów za ucho i poczuła, że Freddie od razu popatrzył na bliźnę. Nie pierwszy raz zwrócił na nią uwagę, lecz po raz

pierwszy zapytał:

– Co się stało?

Stabość zaprasza nóż. Jednak odpowiedź wydostała się z niej, zanim zdążyła zareagować.

– Wypadek samochodowy.

Freddie nie powiedział odruchowo „Przykro mi” (nie cierpiała tego). Kiwnął tylko głową i przejechał palcami po czarnych kreskach na nadgarstku.

– Chyba wszyscy nosimy na sobie jakieś ślady.

Wyciągnęła rękę i musnęła palcami najbliższą kreskę, czując, jak Freddie spina się pod wpływem jej dotyku.

– Ile już dni jesteś trzeźwy?

Delikatnie się wyswobodził.

– Wystarczająco – odparł, obciągając rękaw, żeby przykryć znaki.

Pytania kłębiły się w jej głowie.

Kim jesteś?

Co ukrywasz?

Dlaczego to ukrywasz?

Wszystkie próbowaly się wydostać i już miała im na to pozwolić, kiedy odezwał się Freddie:

– Mogę ci zdradzić sekret?

Z wrażenia aż się wyprostowała.

– Tak – powiedziała to szybciej, niż planowała, ale Freddie nie zwrócił na to uwagi. Popatrzył jej w oczy i jego spojrzenie wydawało się ciężkie. Jakby opierał się na niej. – Co to za sekret? – ponagliła go.

Pochylił się w jej stronę.

– Nigdy nie widziałem lasu z bliska. – I wtedy, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pociągnął ją na schody i dalej, w stronę drzew.

– Pachną jak świece – stwierdził Freddie, rozkopując liście.

– Jestem pewna, że to świece pachną jak one – odparła Kate. – Jakim cudem nigdy nie widziałeś drzew?

Podniósł czerwony liść, zwinął go między palcami.

– Mieszkam w czerwonej strefie i mam bardzo opiekuńczych rodziców.

Puls Kate przyśpieszył na wzmiankę o rodzinie, jednak starała się nie dać tego po sobie poznać.

– Opowiedz mi o nich.

Freddie tylko wzruszył ramionami.

– To dobrzy ludzie. Chcą dobrze.

Jak się nazywają? – chciała zapytać.

– Czym się zajmują?

– Mój tata jest chirurgiem – powiedział, przechodząc nad powalonym konarem. – Mama urodziła się w Fortunie. Niestety znalazła się po złej stronie granicy, kiedy ją zamknięto.

– Okropne – odparła Kate i mówiła szczerze. Stało się wystarczająco źle, kiedy

obywatele Prawdziwości zostali uwięzieni w jej granicach, ale zupełnie zapomniała o przyjezdnych. Znaleźli się w złym miejscu w złym czasie, ich życia zostały wymazane z powodu pecha.

– Udaje, że jest okej – wyjaśnił mimochodem. – Ale wiem, że jej to ciąży.

Wspomnienie ciężaru sprawiło, że Kate powędrowała myślami do żelaznego medalionu i czarnych ksiąg.

Skąd wzięłaś swój wisior?

Przełknęła ślinę.

– Czyli jesteś jedynakiem?

– A ty ciekawska, nie? – odparował, ale potem, ku jej uldze, odpowiedział: – Najmłodszy z rodzeństwa. A ty?

Podobało jej się, że zapytał, chociaż musiał znać odpowiedź.

– Jedynaczka.

W oddali rozległo się bicie dzwonu i Kate zawahała się, ale Freddie nie przejawiał najmniejszej chęci zawrócenia. Zamiast tego oparł się plecami o pień drzewa. Kate zrobiła podobnie. Chłopak wyjął z torby świeże, zielone jabłko i podał je dziewczynie.

Kim jesteś?

Wyciągnęła rękę po owoc, celowo muskając palcami jego dłoń, i raz jeszcze miała okazję cieszyć się jego reakcją – przeszedł go niewielki dreszcz, jakby kontakt fizyczny był dla niego czymś zupełnie nowym.

Ugryzła jabłko i oddała mu. Zaczął się nim bawić, obracając owoc w rękę.

Co ukrywasz?

– Szkoda, że reszta miasta tak nie wygląda – powiedział cicho.

– Szkoda, że nie jest pusta? Zielona?

– Spokojna – odparł, podając jej jabłko. Nie ugryzł go.

Przesunęła palcem po śladach jej własnych zębów.

– Widziałeś z bliska jakiegoś potwora?

Freddie przygryzł wargę.

– Tak, a ty?

Kate uniosła brew.

– Mój ojciec trzyma Malchaja jako zwierzątko domowe.

Zmrużył oczy, ale powiedział tylko:

– Wolę koty.

Kate prychnęła i rzuciła mu z powrotem jabłko.

– Ja też.

Przez chwilę nic więcej nie mówili i pojawiła się ta wyczekiwana swobodna cisza. Wiatr szeleścił koronami drzew, strącając z nich deszcz umierających liści, a kiedy jeden z nich, złoty, utknął we włosach Freddiego, wyglądał bardziej jak obraz niż chłopak.

Kim jesteś, Fredericku Gallagherze? – chciała zapytać.

Zamiast tego sięgnęła po jabłko i ponownie ugryzła.

Pytania dręczyły ją całe popołudnie. Im dłużej siedzieli w lesie, tym więcej

dopadało ją wątpliwości. O niej. O nim. Może istniało proste wytłumaczenie. Może nie miał innego wyjścia, jak przyjąć pseudonim. Może czasami ludzie mieli dobry powód, żeby się ukrywać. Żeby kłamać.

Jednak Kate chciała poznać prawdę.

Była już w połowie korytarza, kiedy usłyszała skrzypce.

Wyszła z zajęć kilka minut wcześniej, bo skończyła sprawdzian przed czasem, i właśnie zabijała czas, czekając na ostatni dzwonek. Zwolniła kroku, nasłuchując z założeniem – nadzieją – że to Freddie. Nadzieję na przebłysk prawdy w mroku tajemnic. Muzyka dochodziła z sali w głębi korytarza. Kiedy Kate dotarła do drzwi, muzyka się urwała, a za chwilę dało się słyszeć szuranie krzesel. Zajrzała przez szklane okienko i zobaczyła pakujących się członków szkolnej orkiestry. Zadzwoił dzwonek i kiedy uczniowie wychodzili, Kate szukała pośród nich Freddiego, lecz go nie zobaczyła.

– Hej – rzuciła do chłopaka, który ciągnął coś, co wyglądało jak wiolonczela. Trochę zbladł, kiedy zdał sobie sprawę, że mówi do niego. – Czy macie w klasie Gallaghera?

– Kogo?

– Freddiego Gallaghera. Wysoki, chudy, ciemne włosy, gra na skrzypcach?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Przykro mi, nigdy go nie widziałem.

Kate zaklęła pod nosem, a wiolonczelista wykorzystał tę chwilę na ucieczkę.

Tłum na korytarzu przerzedzał się, więc wycofała się do szafek. Dotarła na miejsce akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Freddie pakuje torbę. Spojrzała groźnie na dziewczynę przy szafce obok i gdy tamta uciekła, Kate oparła się o metal.

– Hej.

– Hej – odpowiedział, przekładając książki. – Ciągłe znajduję na ciuchach jakieś listki i gałązki.

– Ja się wyczyściłam zaraz po powrocie. Nie chciałabym, żeby ktoś sobie coś pomyślał.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli?

Gapiała się na niego. On na nią. A potem jego policzki się zaczerwieniły.

– Aha.

Przewróciła oczami i zaraz przypomniała sobie, po co tu przyszła, i kiwnęła głową w kierunku szafki.

– Nie masz skrzypiec?

– Zostawiłem w domu.

– Myślałam, że grasz z orkiestrą.

Freddie zadarł głowę.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Więc po co nosisz skrzypce?

– Słucham?

Wzruszyła ramionami.

– Po co przynosisz skrzypce do szkoły, skoro nie jesteś w orkiestrze?

Freddie zamknął szafkę, delikatnie i zdecydowanie, nie zatrzasnąjąc jej siłą jak wszyscy.

– Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, nie mogę grać w domu, bo mamy zbyt cienkie ściany. W Colton są sale muzyczne, takie z wygłuszeniem. Dlatego noszę ze sobą skrzypce.

Kate poczuła, że ogarniają ją wątpliwości.

– Okej – rzuciła, siląc się na lekki ton. – Ale skoro nie jesteś w orkiestrze, jak mam cię posłuchać?

Twarz Freddiego stężała.

– Nie posłuchasz.

Jakby ją spoliczkował.

– Dlaczego? – zapytała, czując rosnący gniew.

Zarzucił torbę na ramię.

– Już ci mówiłem, Kate. Nie gram dla nikogo.

– Ale ja jestem Kate Harker – warknęła, czerwieniąc się, nagle urażona.

Freddie popatrzył na nią lekceważąco.

– No i co z tego?

– Mnie się nie odmawia.

Roześmiał się – krótko i lodowato – a potem pokręcił głową.

– Naprawdę w to wierzysz, co? Że całe to miasto jest na twoje skinienie, bo masz pieniądze i władzę i wszyscy za bardzo się boją, żeby ci odmówić. – Nachylił się. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, Kate, ale nie jesteś pępkiem świata. – Zrobił krok w tył. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Najwyraźniej myliłem się.

Kate wzdrygnęła się, zdumiona. Paliła ją twarz, a gniew przetoczył się po jej ciele niczym gorąca lava. Freddie odwrócił się, by odejść, lecz dłoń Kate uderzyła w szafkę obok jego głowy, blokując mu przejście.

– Kim jesteś?

Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

– Słucham?

– Kim. Jesteś? – Próbował odepchnąć jej rękę, ale złapała go za nadgarstek i przycisnęła do szafki. Dosyć. Miała już dosyć tych gier. Dosyć owijania w bawełnę. – Dobrze wiesz, co mam na myśli, Freddie. – Przystawiła pomalowane metalem paznokcie do medalionu na jego szyi. – Naprawdę nie wyglądasz jak Freddie. Ani jak Frederick. Ani jak Gallagher.

Zmrużył oczy.

– Puść mnie, Kate.

Przysunęła się bliżej.

– Nie wiem, kim naprawdę jesteś, ale się dowiem – szepnęła.

I w tej samej chwili jakieś inne ciało dołączyło do nich, obejmując Freddiego za ramiona.

– Tu jesteś! – zawołał głośno chłopak. – Wszędzie cię szukałem! – Posłał Kate przepaszające spojrzenie, jednocześnie uwalniając Freddiego. Pozwoliła mu na

to. – Spóźnimy się. Wiesz na co. Tę imprezę i w ogóle. – Pociągnął Freddiego za sobą. – Nie zapomniawsz, prawda? Chodź...

Drugi chłopak pomachał na pożegnanie, nawet nie oglądając się za siebie, podczas gdy Freddie posłał Kate ostatnie, trudne do zinterpretowania spojrzenie, zanim we dwóch zniknęli za rogiem.

Wzburzona Kate wymaszerowała gniewnym krokiem ze szkoły.

Wytrząsnęła kolejną tabletkę z fiołki od doktora Landry'ego i połknęła, wyrzucając sobie, że ze wszystkich ludzi akurat Freddiemu pozwoliła się wyprowadzić z równowagi. Głupia, głupia, głupia. A wydawało jej się, że ją lubi, że ją *rozumie*, opuściła przy nim gardę. Idiotka. Jeśli nauczyła się czegokolwiek od ojca to tego, że panowanie nad sobą oznacza panowanie nad sytuacją. Nawet jeśli tylko iluzoryczne.

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie jesteś pępkim świata.

Gniew palił ją od środka.

Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

Za kogo on się miał?

Najwyraźniej myliłem się.

Kim on był?

Kate wyszła na podwórze, lecz nie widziała jeszcze czarnego sedana. Zaczęła krążyć w kółko i próbowała wziąć kilka głębszych oddechów, niestety nie pomogły jej się uspokoić. Czuła, że cała się trzęsie. Usiadła na ławce, wyciągnęła paczkę papierosów z torby i wsadziła jednego do ust, patrząc na wychodzących ze szkoły uczniów jak mrówki.

– Panno Harker! – zawołał dyrektor w chwili, gdy sięgała po zapalniczkę. – Na kampusie obowiązuje ścisły zakaz palenia.

Kate obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Miała ochotę na kłótnię, jednak rozsądek podpowiadał, że to nie jest najlepszy moment.

– Niech zgadnę – powiedziała, odkładając papierosa do paczki. – To groźne dla...

Chciała powiedzieć „zdrowia”, ale coś przykuło jej uwagę.

Maszerowali przez trawnik, Freddie z tamtym chłopakiem i jeszcze jakąś nieznaną jej dziewczyną. Chłopak i dziewczyna się uśmiechali, a Freddie kiwał głową jak ktoś, kto udaje, że pilnie słucha.

A potem na oczach Kate dziewczyna wyprzedziła kolegów o kilka kroków i odwróciła się, podnosząc telefon, żeby zrobić im zdjęcie. W ostatniej chwili Freddie zakrył twarz dłonią. Zrobił to z uśmiechem, ale z tym gestem coś było nie tak, a kiedy dziewczyna spróbowała jeszcze raz, Freddie zamknął oczy i odwrócił głowę. Zupełnie jak na zdjęciu legitymacyjnym.

W sumie szczegół.

Lecz kiedy Kate patrzyła na jego uniki, na cień paniki pojawiający się na jego twarzy, jedno słowo zasyczało w jej głowie.

Potwór.

To był absurdalny i paranoiczny pomysł, niemniej za chwilę Kate nie mogła się już opędzić od gonitwy myśli, pędząc od rozmazanej fotografii na stronie

Akademii Colton do braku zdjęć w sieci i fałszywego nazwiska, i zapisków na marginesach w zeszycie, i nadopiekuńczych rodziców, i ukradzionego medalionu, i odmowy grania dla niej, i jego nagany, i tego, jak na nią patrzył, jakby łączyła ich tajemnica. Albo jakby jakąś ukrywał.

Sunaj, Sunaj, czarnooki,

Pieśń zanuci, porwie duszę.

Kate sięgnęła po telefon. Dziewczyna nie próbowała już robić zdjęć, a Freddie uwolnił się od chłopaka, pomachał im na pożegnanie i ruszył w innym kierunku. Kate nie wahała się ani chwili. Uruchomiła aparat na komórce i przytrzymała przycisk, wykonując sekwencję zdjęć, a potem odwróciła się.

Za jej plecami rozległ się klakson. Podjechał czarny sedan.

Kate wsiadła do samochodu, serce waliło jej jak młot, a palce mocno ścisnęły telefon. Nie spojrzała, nie od razu. Poczekała, aż auto odjedzie spod Colton. Poczekała, aż świat za oknami stanie się tylko rozmazaną plamą.

A potem powoli spojrzała na wyświetlacz.

Zdawała sobie sprawę, że jej teoria była kompletnie szalona, i przeglądała zdjęcia nie spodziewając się zobaczyć nic poza patrzącą w jej stronę twarzą Freddiego. W pierwszych kilku ujęciach spoglądał gdzieś indziej, a Kate gorączkowo przesuwiała kolejne pliki, aż do chwili, w której jego głowa była odwrócona na tyle, by dało się zobaczyć twarz.

Jej wzrok prześlizgnął się po spodniach od mundurku i wyprasowanej koszulki polo z logo Colton do torby na ramieniu i ciemnych włosów spadających mu na policzki, a stamtąd do oczu... lecz tam iluzja się kończyła. Ponieważ jego oczy nie miały normalnego szarego koloru.

Na zdjęciu były tylko czarną smugą, plamą mroku, którego aparat nie potrafił uchwycić.

Widziałeś kiedyś z bliska jakiegoś potwora?

Kate opadła głębiej na fotel.

Freddie Gallagher nie był zwyczajnym uczniem.

Nie był nawet człowiekiem.

HH

II

Kim jesteś?

Głos Kate podążył za nim do metra.

Nie wyglądasz jak Freddie.

Towarzyszył mu w drodze przez miasto.

Nie wiem, kim naprawdę jesteś, ale się dowiem.

Śledził go na ulicy.

August poczuł ulgę, kiedy dotarł na najwyższe piętro kompleksu Flynnna i okazało się, że nikogo nie ma. Rzucił torbę na łóżko zaraz obok Allegro i opadł na fotel. W jego głowie kłębiły się myśli.

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie jesteś pępkim świata.

Dlaczego to powiedział?

Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

Co on narobił?

Nie z hukiem, ale skomleniem.

Pytanie.

Kim jesteś?

Kimkolwiek jesteś...

Nie wiem, kim naprawdę jesteś, ale się dowiem.

Zerwał żelazny wisior z szyi i rzucił nim o ścianę z taką siłą, że wybił dziurę w tynku. August schował twarz w dłoniach.

Kim jesteś?

Kim jesteś?

Kim jesteś?

Ktoś zapukał do drzwi i August podniósł gwałtownie głowę. W progu stanął Leo, wypełniając sobą całą przestrzeń.

– Bierz kurtkę – oznajmił. – Wychodzimy.

August spojrział w okno i zdziwił się, że słońce już zaszło.

– Gdzie? – zapytał.

Leo pokazał mu kartkę papieru.

– A jak myślisz?

August potarł oczy.

– Nie jestem głodny.

– Nie obchodzi mnie to. Phillip jest w stanie krytycznym, a Harris na

przymusowym urlopie, więc dzisiaj ty idziesz ze mną.

August nie wiedział, czym sobie zasłużył na uwagę brata, ale nie chciał jej, nie teraz, nie w ten sposób. Leo miał pewną reputację, jeśli chodzi o polowanie.

– Wszyscy znają twoją twarz – powiedział August, podnosząc się. – Jeśli zobaczą mnie z tobą...

– Założą, że jesteś moim podwładnym. Rusz się.

August przełknął ślinę i stanął na równych nogach. Już sięgał po futerał ze skrzypcami, kiedy Leo go powstrzymał.

– Zostaw.

Chłopak zamrugał ze zdziwienia.

– Nie rozu...

– Nie będziesz ich dzisiaj potrzebował.

Zawahał się. Jego brat też nie miał przy sobie żadnego instrumentu.

– Leo...

– Chodź – rozkazał.

Dłoń Augusta ześlizgnęła się z futerału. Wychodząc za bratem z mieszkania, rozejrzał się w nadziei, że zobaczy Henry'ego albo Emily, jego koło ratunkowe. Mogliby ich zatrzymać. Niestety rodziców nigdzie nie było, a drzwi do pokoju Ilsa pozostawały zamknięte.

Nie pytał brata, gdzie idą. W przeciwnym kierunku do Szwu i centrum miasta, to było pewne. Weszli między płataninę ciemnych uliczek, zrujnowanych domów, których nie udało się uratować. Idealne miejsce dla narkomanów i byłych kryminalistów, którzy ukrywali się przed OSF i Sunajami.

– Milczysz – powiedział Leo, kiedy szli w dół ulicy. – Nad czym się tak zastanawiasz?

August nie cierpiał, kiedy jego brat zadawał pytania w ten sposób, nie dając mu szansy na wymijającą odpowiedź. W jego głowie panował bałagan, a Leo był ostatnią osobą, którą chciałby dopuścić do tego bałaganu. Mimo to słowa przysły same:

– O Kate Harker.

– Co z nią?

Trudniejsze pytanie, ponieważ nie był pewien. Wszystko układało się świetnie, a potem nagle równowaga została zachwiana i runęło. Dlaczego wszyscy muszą niszczyć ciszę, zadając pytania? Prawda niszczy.

– August – nalegał Leo.

– Kate wie, że coś ukrywam.

Brat popatrzył na niego uważnie.

– Ale nie wie, co to za sekret?

August zaczął się nerwowo poruszać.

– Jeszcze nie.

– Dobrze – rzekł Leo irytująco spokojnym głosem.

– Niby jak dobrze?

– Każdy ma jakieś sekrety. To normalne.

– Żaden z moich sekretów nie jest normalny, Leo. – Wcisnął ręce do kieszeni

kurtki. – Chyba powinienem odejść z Colton.

– Nie.

– Ale...

Leo się zatrzymał.

– Jeśli nagle odejdziesz ze szkoły, domyślą się dlaczego. Twoja tożsamość będzie spalona. Nie zamierzam pakować nas w pewne kłopoty tylko dlatego, że być może pojawią się inne.

– Ona nie przestanie drażnić – ostrzegł August.

Leo znowu ruszył.

– Jeśli dowie się prawdy, będziesz wiedział. Sama ci o tym powie. Do tego czasu masz normalnie chodzić do szkoły.

– A jeśli odkryje prawdę? Co wtedy?

– Załatwimy to.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, przyprawił Augusta o ciarki.

– Ona jest niewinna.

Leo popatrzył na niego czarnymi oczami.

– Nie, ona należy do Harkerów.

Kate po powrocie do domu nie włączyła muzyki.

Choć raz nie chciała zagłuszać swoich myśli. Potrzebowała słyszeć je wszystkie głośno i wyraźnie. Pomaszerowała prosto do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Odłożyła telefon, wyciągnęła z torby tablet i podłączyła do sieci.

Sunaj, Sunaj, czarnooki.

Całą drogę do domu jej myśli krążyły wokół tego, jak niewiele wiedziała na temat trzeciego rodzaju potworów.

Jak niewiele ktokolwiek wiedział.

Sunaj – na sam dźwięk tej nazwy inne potwory burzyły się, a jej ojciec irytował. Jednak kryło się w nim coś więcej. Sunajowie pojawiali się bardzo rzadko – nieporównywalnie rzadziej niż Corsaje czy Malchajowie – a i tak grały Harkerowi na nerwach. Wyglądało na to, że powodem był katalizator. Corsaje materializowały się przy brutalnych, lecz nie śmiertelnych przestępstwach, zaś Malchajowie rodzili się dzięki mordercom. Z kolei Sunajów uważano za owoce najmroczniejszych aktów: ataków bombowych, strzelanin, rzezi. Wydarzeń, w wyniku których nie ginęła jedna osoba lecz *wiele*. Całe to cierpienie i śmierć materializowały się w postaci czegoś wyjątkowo potwornego. Jeśli katalizator narodzin monstrum świadczył o jego naturze, Sunajowie byli najgorszymi stworzeniami, na jakie można trafić w nocy.

Nie pomagało też to, że Południowe Miasto zapewne podsycalo plotki. Niektórzy mówili, że Flynn trzymał Sunajów na smyczy jak wściekłe psy. Zdaniem innych traktował ich jak członków rodziny. Pojawiały się też głosy, że Sunajowie kryją się w szeregach OSF. Kolejna teoria, jeszcze bardziej frustrująca, mówiła, że mogli zmieniać rysy twarzy. Kontrolować umysły. Sprawiać, że ludzie zapominali o spotkaniu z nimi... o ile mieli szczęście je

przeżyć.

Sunajowie byli sadystami. Sunajowie byli złem. Sunajowie byli niepokonani.

A na dodatek *wyglądali jak ludzie*.

Te szczątkowe informacje, które Harker i jego podwładni posiadali na temat Sunajów, dotyczyły jednego potwora. Tylko tego jednego udało im się uchwycić na kamerze.

Kate zalogowała się do prywatnej sieci ojca i wpisała imię do wyszukiwarki nagrań.

LEO

Potwór ten brał udział w pierwszych walkach, stanął u boku Flynnna dwanaście lat temu, kiedy Harker próbował przejąć władzę nad miastem. I nie ukrywał się. Kate przejrzała kilkanaście miniaturek, które wyświetliły się na ekranie, wszystkie opatrzone datami sprzed rozejmu. Podzielono je na dwie kategorie:

„Leo_Muzyka” i

„Leo_Tortury”.

Przygryzła usta i wahała się przez chwilę, a potem wybrała jeden z klipów podpisanych „Leo_Muzyka”. Nagranie miało już ponad dekadę i pochodziło z kamery monitoringu ustawionej pod dziwnym kątem, ale potwór znalazł się w kadrze i nie chował się w cieniu ani za zaułkiem. Zamiast tego usiadł na krześle w świetle reflektora. Leo znajdował się na scenie w jakimś barze, z jedną nogą opartą na szczebli wysokiego krzesła i gitarą na kolanie. Nawet pod tym kątem widziała, że jest wysokim i przystojnym blondynem, a nie licząc jego oczu – które rozmazywały się na czarno za każdym razem, kiedy podnosił głowę – nie wyglądał w ogóle jak potwór.

Kate domyślała się, że właśnie to czyniło go tak niebezpiecznym.

Nagranie nie zawierało dźwięku, jednak kiedy Sunaj zaczął grać, Kate i tak odruchowo odwróciła się zdrowym uchem do ekranu, pragnąc usłyszeć muzykę. I mimo panującego na sali półmroku i mimo ziarnistości obrazu, widziała reakcję publiki.

Tylko że teraz nie było już tak ciemno. Z początku myślała, że uruchomiły się górne lampy, ale kiedy przyjrzała się, zdała sobie sprawę, że to słuchacze zaczęły świecić. Zdawali się przy tym zupełnie tego nie zauważać. Siedzieli tak nieruchomo, że nagranie sprawiało wrażenie zastopowanego. Ale to niemożliwe, bo palce Leo wciąż szarpały strunami gitary.

Jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Dwoje ludzi podniosło się ze swoich miejsc, jednak nie szybko, jak do ucieczki, lecz powoli, jakby płynęli. Ich blask był inny, słaby. Oboje podeszli do sceny równymi, pewnymi krokami, jak w transie. Poruszali ustami, ale ich twarze pozostawały bez wyrazu.

Kiedy już prawie znaleźli się na scenie, Leo przestał grać.

Podniósł się z krzesła, odłożył gitarę i zszedł z podwyższenia, żeby przywitać dwie świecące postaci, jakby byli jego fanami.

A potem zacisnął dłonie na ich gardłach.

Tamci dwoje nie walczyli, nie szarpali się, nawet wtedy, gdy podniósł ich tak,

że czubki ich butów ledwo stykały się z podłogą. Kate patrzyła, jak blask emanujący z ich skóry migocze, a potem zaczyna się unosić z ich ciał i płynąć do Leo, napełniając go tym upiornym światłem. Patrzyła, jak resztki tego blasku gasną, jak ich oczy wysychają i czernieją. Nawet wtedy Leo nie puszczał. Stał tam z zamkniętymi oczami i odchyloną głową, sprawiając wrażenie wręcz spokojnego, podczas gdy dwa ciała zwiotczały, a dwoje ludzi zmieniło się w skorupy. W końcu Leo pozwolił im upaść na podłogę, wrócił na scenę po gitarę i wyszedł.

Blask widowni bladł i jedno po drugim znowu zaczęli się poruszać, jakby budzili się ze snu, z początku powoli, lecz zaraz gorączkowo, gdy zauważyli ciała leżące pod sceną.

Kate zamarła. To nie sam akt zabijania tak ją zmroził – nie tylko potwory to robiły – a nawet nie upiorny spokój na twarzy Sunaja. Zmroziło ją to, że pozbawił ich życia za pomocą *muzyki*. Ci ludzie byli martwi, gdy tylko zaczął grać. Byli jego marionetkami, a on pociągał za ich sznurki.

Pomyślała o skrzypcach Freddiego i nagle była wdzięczna, że nie zechciał dla niej zagrać, chociaż nie wiedziała dokładnie dlaczego. Czy chciał ją oszczędzić? Czy tylko czekał na sygnał Flynna?

Znów popatrzyła na ekran. Nie przypominała tych ludzi w tłumie, maszerujących prosto w objęcia śmierci. Nie, Kate miała przewagę – znała twarz potwora, jego broń. Teraz tylko musiała poznać jego słabość.

Zamknęła okno z nagraniem i już miała wyjść z katalogu, kiedy przypomniała sobie drugą kategorię.

„Leo_Tortury”.

Jeśli Sunajowie używali muzyki, by zwabić ofiary, o co chodziło tutaj?

Zgarnęła włosy do tyłu, zapaliła papierosa i włączyła kolejne nagranie.

HH

III

– Na kogo polujemy? – zapytał August.

Stali przed kilkoma domami szeregowymi, które miały zabite deskami okna i odkształcony *siding*. Na drzwiach napisano czerwoną farbą: ODEJDŹ.

Jakby słowa miały aż tyle mocy.

– Dwóch mężczyzn – powiedział Leo, podciągając rękawy i tym samym odkrywając drobne czarne krzyżyki, które wiły się wokół jego przedramion. Było ich zbyt mało, znikwały za każdym razem, kiedy Leo poddawał się ciemności. Rzecz nie w tym, że brakowało mu samokontroli – miał jej całe pokłady. Leo po prostu lubił ciemność, lubił to uczucie. *Jak zdjęcie płaszcza w ciepły dzień*. Na samą myśl Augusta przeszły ciarki.

– Bracia – ciągnął dalej Leo. – Odpowiedzialni za śmierć sześciorga ludzi. Gang. Narkotyki. Spodziewam się, że będą uzbrojeni.

– I kazałeś mi zostawić skrzypce w domu?

Leo sięgnął pod kurtkę. August założył, że zaraz wyciągnie jeden ze swoich instrumentów, lecz w jego ręce pojawił się długi i cienki nóż. Podał go Augustowi.

– A po co mi to? – zapytał chłopak.

Leo nie odpowiedział. Gapił się na swoją dłoń, teraz pustą. Za chwilę ciemność zaczęła owijać jego palce i pięć się wyżej. August odruchowo się wzdrygnął, jednak tylko dłoń Leo przybrała postać cienia. Sunaj potrafił tak płynnie przechodzić z jednej formy w drugą, ponieważ zdołał zburzyć dzielące je mury. August próbował sobie wyobrazić, jaki musiał być Leo, zanim wypalił swoje człowieczeństwo, ale nie potrafił. Patrzył, jak Leo wyciągnął swoją cienistą rękę i złapał za zardzewiałą gałkę drzwi. Metal zachrzęścił i pokruszył się. Drzwi stanęły otworem.

– Rób, co ci każe, braciszku – powiedział ciszej i dziwniej, rezonująco.

– Skąd wiesz, że tu będą? – szepnął August.

– Czuję zapach krwi na ich rękach – odparł Leo. Ciemność cofała się z jego skóry, głos wracał do normalności. Wszedł do środka pewnym krokiem, a August ruszył jego śladem, zamykając za nimi drzwi.

W środku panowała ciemność i śmierdząco stęchlizną oraz alkoholem, a kiedy się ruszali, podłoga skrzypiała. August wzdrygnął się. Leo nie. Weszli na środek pomieszczenia i zatrzymali się. Leo zadarł głowę, wytyżając słuch. Za

chwile August też to usłyszał. Podłoga znowu zaskrzypiała. Obaj stali nieruchomo.

Pierwszy mężczyzna pojawił się znikąd. Rzucił się na Leo, ten jednak był zbyt szybki; złapał mężczyznę w powietrzu i pchnął go na gnijące deski tak mocno, że pękły. Facet wił się i wypluwał z siebie przekleństwa, ale Leo spokojnie kucnął nad nim jak kot nad upolowaną myszą, jednak bez swawolnej wesołości.

– Jak się nazywasz? – zapytał, a powietrze drżało pod wpływem jego woli.

– Foster – rzucił tamten. Jego cień wił się, drapiąc zniszczoną podłogę.

– Foster – powtórzył Leo. – Jesteś tutaj sam?

Mężczyzna szarpał się, kaszlał, ale odpowiedział:

– Nie.

August odruchowo chwycił mocniej nóż, jednak jego brat nie wydawał się zaniepokojony, kiedy podniósł Fostera i postawił na nogi, a potem obrócił plecami do siebie i przycisnął.

– Posłuchaj mnie, August – zaczął. – Istnieje więcej niż jeden sposób, żeby wyciągnąć duszę na wierzch.

Z tymi słowami Leo wykręcił Fosterowi rękę i mężczyzna krzyknął. August wzdrygnął się, ale Leo pozostawał spokojny i niewzruszony. Ciągnął za ramię, dopóki nie dało się słyszeć odgłosu pękającej kości i zaraz po tym wrzasku.

– Dlaczego to robisz? – zapytał August.

– Żeby cię czegoś nauczyć – odparł krótko Leo. Pociągnął jeszcze mocniej i Foster się rozplakał. Kolejne kości łamały się, a przerażony August patrzył, jak na twarz mężczyzny wystąpił pot, a potem jego skóra zaczęła świecić na czerwono. Blask wypłynął na powierzchnię jak krew, by zaraz powędrować z ciała Fostera na ciało Leo.

– Przepraszam – wydyszał mężczyzna, jego spowiedź przerywana była nierównym oddechem. – Przepraszam. Zrobiłem to, co musiałem zrobić. Gdybym ich nie zabił, oni zabiliby mnie. – Leo pociągnął mocniej, a Foster załkał przy akompaniamencie pękających kości. Augustowi zrobiło się niedobrze.

– Przestań, Leo – powiedział. – Dlaczego każesz mu cierpieć?

Łzy płynęły po twarzy mężczyzny, a wraz z nimi umykało jego życie.

– Przepraszam – zapłakał. – Błagam, tak mi przykro...

Leo pozostawał niewzruszony.

– Dlaczego miałby nie cierpieć? – zapytał prowokacyjnie, spoglądając Augustowi w oczy, podczas gdy mężczyzna skomlał z bólu. – To źli ludzie, braciszku. Robią złe rzeczy. Krzywdzą i mordują, i plamią ten świat krwią i mrokiem. – Musiał podnieść głos, żeby nie zagłuszyły go krzyki Fostera. – Dlaczego mieliby odchodzić z niego w spokoju? Dlaczego nie mieliby cierpieć za swoje grzechy?

– Przepraszam... – Foster mówił coraz ciszej, a jego blask stawał się coraz bledszy. Jego oczy płonęły, zapadając się do środka.

– Naszym celem nie jest dawanie ukojenia – powiedział Leo, puszczając

wiotkie ciało na podłogę. – Naszym celem jest wymierzanie kary. – August już otworzył usta, żeby zaprzeczyć, kiedy Leo rzucił: – Uważaj.

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Drugi mężczyzna skoczył na Augusta od tyłu. Chłopak nie miał czasu się zastanowić, żeby zatrzymać się, puścić nóż i zejść z drogi. Odwrócił się akurat na czas, by ostrze zdążyło wbić się w brzuch atakującego. August spojrzał w dół na stal znikającą między żebrami i z mieszaniną szoku i przerażenia słuchał, jak mężczyzna wydaje zduszony okrzyk bólu. Jego życie wypłynęło na wierzch i August wciągnął gwałtownie powietrze, gdy energia uderzyła w niego niczym struga lodowatej wody, jaskrawa i boleśnie zimna. Zaciśnął palce wokół rękojeści, a mężczyzna spróbował złapać go za gardło, lecz zabrakło mu sił, wbił tylko bezużytecznie paznokcie w skórę chłopaka.

– Zasłużyli na to – wykaszała, a jego usta już splamiła krew. Nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, ale August podtrzymał go, gdy życie mężczyzny płynęło między nimi, ostre i elektryczne. – Wszyscy na to zasłużyli. Ten popieprzony świat... wszyscy... wszy... zgi...

Jego ostatnie słowa rozpadły się, gdy trafił w objęcia śmierci, a August stał w ciemności, drżąc pod wpływem energii tego wydarzenia. Miał wrażenie, jakby razem z życiem mężczyzny przejął też jego złe uczynki. To było zupełnie przeciwieństwo spokoju. Czuł się żywy – tak bardzo żywy – ale też splamiony, jego zmysły wrzeszczały, zaś w głowie kłębiły się czarne myśli i emocje, i moc, a on tonął w nich i drżał, i spalał się żywcem. Musiał zamknąć oczy i wtłoczyć siłą powietrze w płuca, dopóki wszystkie wrażenia nie zbladły, dopóki umysł nie uspokoił się i mógł wreszcie wrócić do swojej głowy, do swojej skóry. Kiedy pomieszczenie wokół znowu przybrało kształty, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był zakrwawiony nóż. Poczul czyjaś dłoń na ramieniu i przekonał się, że Leo stoi przy nim, dumny.

Co tylko pogorszyło sprawę.

– Z czasem będzie łatwiej – obiecał Leo, zabierając nóż.

August spojrzał na wykręcone ciała, na ich nieruchome cienie.

– A powinno?

Kate gapiła się w ekran, który pokazywał ciało mężczyzny leżące w nienaturalnej pozycji na podłodze, zakrwawione, pokrzywione. Umierał długo. A raczej to Leo nie śpieszył się z zabiciem go. Użył do tego tylko swoich rąk, co oznaczało, że nie potrzebowali muzyki, by skraść czyjaś duszę. Jak to się mówi? Nie kijem go, to pałką.

Nigdy tak dobrze nie rozumiała tego powiedzenia.

Jedyne, czego wciąż nie potrafiła pojąć, to znaki. Leo też je miał, układały się w wąskie paski wokół jego nadgarstków.

„Jeden na każdy dzień bez wpadki” – tak powiedział Freddie. Co oczywiście nie było całą prawdą, lecz nie mogło też być kłamstwem. Potwory nie kłamią.

– Nasza Kate, jak zawsze marzycielka.

Podskoczyła i zobaczyła Sloana stojącego w progu, z diabelskim uśmiechem

na bladej twarzy. Nie miała pojęcia, jak długo tam sterczał – albo jak długo ona siedziała i gapiła się w nieruchomy obraz Leo pośród ciał, myśląc o Freddie. Wyłączyła sieć i odłożyła tablet.

– O co chodzi? – zapytała.

Przejechał w roztargnieniu długim paznokciem po drewnianej futrynie, powodując tym nieprzyjemny dźwięk. Kate zdusiła odruch dotknięcia miejsca, w którym jego szpon naciął jej skórę.

– Twój ojciec nie wróci dzisiaj do domu.

Zacisnęła mocniej palce na fotelu.

– Czyżby? – Myśl, że spędzi wieczór w apartamencie z Malchajem, przyprawiała ją o dreszcze, ale wiedziała, że nie może dać tego po sobie poznać. Gdyby Sloan wiedział, jaki wzbudza w niej niepokój, jeszcze bardziej zdręczałby ją swoją obecnością. – Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Nic, z czym nie potrafiliby sobie poradzić – odparł Sloan.

Patrzyła, jak odchodzi, zawahała się, a potem chwyciła telefon i rzuciła się za nim.

– Hej! – zawołała, ruszając za Malchajem do drugiego pomieszczenia, lecz nie znalazła go tam. – Sloan? – Cisza. A za chwilę chłodny oddech na jej szyi.

– Tak, Kate? – powiedział z ustami przy jej chorym uchu. Nie podskoczyła ze strachu, ale odwróciła się, ostrożnie wycofując się poza jego zasięg. Skupiła się na wypalanej literze H zamiast na jego czerwonych oczach, przypominając sobie, że potwór był własnością jej ojca. Był jej własnością.

– Chcę cię o coś zapytać.

Martwe usta Sloana skrzywiły się z niesmaku.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła – oznajmił beznamiętnie.

– Co wiesz na temat Sunajów?

Malchaj zamarł. Cień zamigotał na jego twarzy, lecz zaraz wróciła do beznamiętnego wyrazu. Przekrzywił głowę, obrzucając Kate badawczym spojrzeniem. Jednak nie mógł kłamać.

– Różnią od nas – powiedział – tak jak my różnimy się od Corsai. – Zmarszczył nos, mówiąc o cienistych stworach. – Wyglądają jak ludzie, jednak to nie jest ich prawdziwe oblicze.

Kate zastanowiła się. Nie widziała żadnych nagrań tych potworów w innej postaci. Jak *naprawdę* wyglądał Sunaj?

– To prawda, że pożywiają się duszami?

– Pożywiają się *siłą życiową*.

– Jak można ich zabić?

– Nie da się – odparł krótko Sloan. – Sunajowie wydają się niezniszczalni.

– Nie istnieje coś takiego – rzuciła Kate. – Każdy ma jakąś słabość.

– Być może – zgodził się – ale jeśli oni też jakąś mają, jeszcze jej nie odkryliśmy.

– To dlatego pozostałe potwory się ich boją?

– Tu nie chodzi o *strach* – warknął Sloan. – Unikamy ich, ponieważ nie możemy się nimi żywić. Tak jak oni nie mogą się żywić nami.

– Ale was da się zabić. – Zmrużył czerwone oczy, lecz nie odezwał się, więc kontynuowała: – Ilu ich jest?

Malchaj westchnął, wyraźnie zmęczony przesłuchaniem.

– O ile dobrze nam wiadomo, troje.

Czyli jesteś jedynakiem?

Najmłodszy z rodzeństwa.

– Pierwszego, Leo, znają wszyscy – powiedział Sloan. – Uważa się za sędziego i kata.

– Spotkałeś go? – zapytała Kate.

Oczy Sloana zmatowiały.

– Nasze ścieżki się skrzyżowały. – Rozpiął koszulę i odchylił poły, żeby pokazać sinoniebieską skórę poznaczoną bliznami, jakby ktoś próbował zedrzeć z niego skórę szponami, by dostać się do klatki piersiowej.

– Wygląda na to, że wygrał – stwierdziła Kate.

– Być może. – Na twarzy Sloana pojawił się grymas uśmiechu, gdy dotknął ostrym paznokciem miejsce nad okiem. – Ale zostawiłem swój ślad.

Widziała zrobione niedawno zdjęcie Leo, widziała wąską bliznę przecinającą jego lewą brew, która wyglądała jak pęknięcie w posągu, jedyna skaza na doskonałej twarzy.

– A pozostałych dwoje?

– Druga Sunaja stworzyła Pustkowie. – Oczy Kate otworzyły się szeroko. Widziała martwą przestrzeń w centrum miasta, słyszała o katastrofie, o setkach ofiar, ale zakładała, że był to rezultat wybuchu potężnej broni, a nie dzieło jednego potwora. – Jej uwięzienie było jednym z warunków rozejmu. Trzeci Sunaj pozostaje tajemnicą. *Nie dla mnie* – pomyślała Kate, ściskając telefon.

Widziała, że rozejm się rozpada i tylko kwestią czasu był jego koniec. Potwory stawały niespokojne, a Szew znowu przykuwał uwagę jej ojca. Sunajowie zawsze stanowili najlepszą broń Flynn'a. Gdyby udało się ich upolować, gdyby udało się ich *zabić* – nawet tylko uwięzić – Południowe Miasto nie miałyby szans.

Sloan bacznie się jej przyglądał.

– Jesteś dzisiaj bardzo ciekawską małą Katherine.

Spojrzała mu w oczy.

– Wiedza to skarb – rzuciła lekko, nalewając sobie coś do picia przed powrotem do pokoju. Kiedy znalazła się w środku, zamknęła drzwi na klucz i spojrzała na telefon.

Mogłaby pokazać to ojcu, zdradzić mu tożsamość trzeciego Sunaja... albo mogła dać mu coś lepszego. Mogła mu dać Freddiego Gallaghery.

Udowodnić mu, że zasługuje na swoje nazwisko.

Słowa Sloana rozbrzmiewały w jej głowie.

Zawsze będziesz naszą małą Katherine.

Kate przytrzymała palec nad ikonką kosza i patrzyła, jak zdjęcia po kolei znikają.

Już nie.

HH

III

August najchętniej wyszedłby ze skóry.

W drodze powrotnej już nie rozmawiali. August milczał. Leo wygłaszał kazania. Właśnie tak odbierał to August, kiedy brat wykładał mu naturalny porządek świata. Jakby w ich istnieniu było cokolwiek naturalnego. W tym, co właśnie zrobili. Krew mężczyzny wysychała mu na palcach. Czuł w głowie jego duszę.

– Twój problem, August, polega na tym, że opierasz się prądowi. Walczysz z falą, zamiast pozwolić, by cię poniosła... – Czarne oczy Leo błyszczały zapałem. Chociaż tyle, że kiedy wpadał w ten stan, nie zmuszał Augusta do opowiadania o swoim głodzie, myślach i potrzebie czucia się człowiekiem. – Walczysz ze swoim wewnętrznym ogniem, a mógłbyś płonąć tak jaskrawo, braciszku.

August zadrżał, zmrożony do szpiku kości.

– Nie... chcę... – powiedział, szcękając zębami. To uczucie było przeciwieństwem głodu i znacznie od niego gorsze.

– Przestań być samolubny – odparł Leo. – Nie zostaliśmy stworzeni do tego, by czegoś *chcieć*. Wola dla nas nie istnieje.

Nie istnieje dla ciebie – chciał powiedzieć August. *Bo ją spaliłeś.*

Dotarli do kompleksu, minęli strażników i weszli do windy. Zacisnął szczęki, kiedy ruszyli do góry, bo bał się, że gdy tylko otworzy usta, coś się z nich wydobędzie. Może szloch, może krzyk. Życie tamtego mężczyzny brzęczało w nim jak rój pszczół.

Coś ty mi zrobił?

Coś ty mi kazał zrobić?

Gdy tylko drzwi windy się otworzyły, pomaszerował prosto do swojego pokoju.

– Gdzieście się podziewali? – zapytał Henry.

– Czy to krew? – zapytała Emily.

August się nie zatrzymał.

– Leo?

– Nauczyłem go czegoś.

– Co...

– Nie martw się, Henry. Nic mu nie będzie...

August zatrzasnął za sobą drzwi i opadł, opierając się o drewno. Nie miały

zamka, więc siedział tam, żeby mieć pewność, że nikt nie wejdzie do środka. Wstrząsnął nim dreszcz. Zerwał z siebie kurtkę, zostawił zgaszone światło i padł na łóżko. Wbił sobie palce między żebra, próbując powstrzymać bzyczenie, ale to nie zadziało i gdy tylko zamknął oczy, bzyczenie zmieniło się w krzyki. Wiercił się w zmiętej pościeli, dopóki nie znalazł odtwarzacza i nie włożył słuchawek do uszu.

Coś wylądowało na łóżku i przewrócił się na bok, by zobaczyć idącego w jego stronę Allegro, jednak kot zatrzymał się tuż poza zasięgiem jego rąk, patrząc na niego podejrzliwie zmrużonymi oczami. Kiedy August spróbował go pogłaskać, zwierzę uciekło.

Koty potrafią odróżnić dobrego człowieka od złego, wiesz.

– Przepraszam – szepnął w ciemność. – Nie miałem wyboru.

Słowa pozostawiły nieprzyjemny posmak w jego ustach. Ile razy ktoś inny mówił tak do niego? To nigdy nie miało znaczenia. Spowiedź nie zmywa winy, nic nie może tego zrobić, więc August skulił się i podkreślił muzykę, aż zagłuszyła wszystko inne.

Był już środek nocy, ale August nie mógł zasnąć.

Bzyczenie wreszcie ustało, niestety miał zszargane nerwy. Poszedł do kuchni i nalał sobie wody do szklanki. Nie chciało mu się pić, ale sama czynność go uspokajała i sprawiała, że czuł się normalny.

Jego uwagę zwróciła sterta aktówek na blacie i już miał po nie sięgnąć, kiedy usłyszał w ciemności jakieś drapanie. Odstawił wciąż pełną szklankę i znalazł Allegro, który chodził w kółko pod drzwiami Ilsy.

Drzwi nie były zamknięte i otworzyły się, gdy zapukał. W pokoju nie paliło się światło i pierwsze, co zobaczył, to gwiazdy. Każda powierzchnia w środku została pokryta nimi przez Ilsę. Maleńkie kropki światłowodów rozprysnęły się na suficie, ścianach i podłodze. Siostra stała przed oknem, jej jasne włosy były rozpuszczone i dziwnie zwiewne, plątały się wokół jej twarzy. Rozcapierzyła na szybie palce, była ubrana w koszulkę bez rękawów, a na rękach i ramionach miała własne maleńkie czarne gwiazdy.

Dwa tysiące sto sześćdziesiąt trzy.

August nie potrafił dopatrzeć się w stojącej przed nim siostrze, łagodnej i dobrej, z potworem, którego prawdziwy głos potrafił zrównać z ziemią kawałek świata razem z przebywającymi na nim ludźmi.

Nasza siostra, Anioł Śmierci.

Chciał zapytać o tamten dzień. Chciał wiedzieć, co się stało, jak się czuła i jak to jest żyć z tyloma ofiarami na sumieniu. Chciał, ale nigdy o to nie zapyta.

Allegro poszedł do łóżka, a August już miał się wycofać, kiedy jego siostra odezwała się tak cicho, że omal jej nie usłyszał.

– Rozpada się – szepnęła. Jej palce na szybie drżały. August ostrożnie zbliżył się do niej. – Kruszy się – ciągnęła dalej. – Nie naturalnie, bo z popiołu powstaniesz i w proch się obrócisz, ale źle, jak wtedy, gdy kamień pęka w środku i to pęknięcie rośnie i rośnie, i rośnie, a ty nic nie wiesz, aż któregoś

dnia... – Nacisnęła na szkło i wokół jej palców pojawiła się pajęczyna cieniutkich pęknięć.

August wyciągnął rękę i nakrył swoją dłonią dłoń siostry.

– Czuję te pęknięcia. Ale nie wiem... – Zacisnęła powieki, a potem otworzyła szeroko oczy. – Nie wiem, czy te pęknięcia są na zewnątrz czy we mnie czy tu i tam jednocześnie. Czy to egoistyczne, że mam nadzieję na to pierwsze, August?

– Nie – odparł łagodnie.

Stali przez chwilę w ciszy. Kiedy znowu przemówiła, jej głos już tak nie drżał.

– Trzyście. Dwadzieścia sześć. Dwieście siedemnaście.

August zmarszczył czoło.

– Słucham?

– Trzynastu Malchajów. Dwudziestu sześciu Corsai. Dwustu siedemnastu ludzi. Tyle osób zginęło na Placu Lyle. – Zamarł i nie zdawał sobie sprawy, że wciąż trzymał jej rękę, dopóki jej nie zabrała z szyby. – Tak się nazywał, zanim stał się Pustkowiec. Mieli właśnie wiec, dlatego było tam aż tyle osób. Nie chciałam tego zrobić, August. Ale musiałam coś zrobić. Leo tam nie było, a wiec zmieniał się, a... Chciałam pomóc. Nigdy wcześniej nie poddałam się ciemności. Nie wiedziałam, co się stanie. Gdy Leo o tym mówi, wszystko wydaje się takie proste. Myślałam, że wszyscy płoniemy w ten sam sposób, ale nasz brat płonie jak pochodnia, a ja...

Żar Ilsy zapłonął żywym ogniem.

A August?

„Mógłbyś płonąć tak jaskrawo” – powiedział mu Leo. „Gdybyś tylko sobie na to pozwolił”.

– Była noc – szepnęła Ilsa – ale wszyscy rzucali cień. – Kiedy spojrzała mu w oczy, jej własne wydały się nawiedzone, ciemne. – Nie chcę znowu płonąć, August, jeśli jednak rozejm nie przetrwa, będę do tego zmuszona i zginą kolejni ludzie. – Zadrżała. – Nie chcę, by przeze mnie umierali.

– Wiem – szepnął, odciągając ją od pękniętej szyby. – Znajdziemy inny sposób.

Jeśli przyjdzie wojna – pomyślał August – ile żyć odbierze, by Ilsa nie musiała tego robić?

Jak jaskrawo mógł płonąć? Pomyślał o nożu, o przepływającym przez niego życiu, o chorobie i obietnicy Leo, że będzie lepiej. Łatwiej.

Ilsa usiadła na łóżku. Allegro wskoczył jej na kolana. Nawet nie zwróciła na niego uwagi.

– Zostanę z tobą – powiedział August. – Dopóki nie zaśniesz.

Zwinęła się w kłębek, a August usiadł na podłodze, opierając się o łóżko. Ilsa w zamyśleniu bawiła się jego włosami.

– Czuję pęknięcia – szepnęła.

– Będzie dobrze – odparł równie cicho. Allegro zszedł, popatrzył na niego zielonymi oczami i położył mu się na kolanach. Augustowi jakby ciężar spadł z serca.

– Wszystko pęka – mruknęła jego siostra.

- Ciii, Ilsa – rzucił, patrząc na gwiazdy na suficie.

- ...rozpada się...

- Ciii.

Zasnął w ten sposób, otoczony szeptem Ilsy, mruczeniem kota i setkami gwiazd.

HHH

HHH

Kate rozłożyła na łóżku swoje przybory.

Taśma klejąca (której przydatność była nieoceniona), kilka powlekanych miedzią trytytek, a także zestaw żelaznych szpikulców długości jej przedramienia (w najgorszym przypadku powinny go spowolnić). Popatrzyła na tę mizerną zbieraninę, czując się, jakby szła na bitwę z wykałaczką, a potem spakowała wszystko do plecaka i ruszyła do wyjścia.

Była już w połowie kuchni i zakładania kurtki, kiedy zauważyła Calluma Harkera siedzącego na kanapie.

Prawie nie widywała swojego ojca od czasu procesów w piwnicy, ale teraz miała okazję zobaczyć go z rękami rozciągniętymi na oparciu skórzanej sofy. Zrobiła krok w jego stronę i zdała sobie sprawę, że ojciec nie jest sam – Sloan klęczał u jego boku, z pochyloną głową i sztywny jak posąg albo trup. Harker mówił coś do niego szeptem, ale Kate nie rozróżniała słów. Zawahała się, czując się jak intruz. Ale przecież to także jej dom. Wyciągnęła kubek z szafki i naląła sobie kawy, nie starając się być cicho. Harker wyraźnie ją usłyszał. Dał Sloanowi znak i Malchaj stanął przy oknie. Poranne światło wpadało do środka i sprawiało wrażenie, jakby przechodziło też przez sinobiałą skórę potwora.

– Dzień dobry, Katherine – powiedział ojciec, podnosząc głos.

Kate upiła duży łyk kawy, nie zważając na to, jaka jest gorąca.

– Dobry.

Wyobrażała sobie scenkę, w której on pyta, jak jej idzie aklimatyzacja, a ona odpowiada, że nie potrzebuje niańki w postaci Sloana. Może zapytałby ją też o szkołę, a ona odparłaby, że poznała pewnego chłopaka i planuje przyprowadzić go do domu. On oczywiście nie zadał żadnego z tych pytań, więc nie mogła odpowiedzieć. Zamiast tego rzuciła:

– Wcześniej wstałam.

– Właściwie to nie spałem całą noc. – Jego ręce zsunęły się z oparcia i wstał. – Pomyślałem, że zostanę jeszcze chwilę, żeby cię pożegnać.

Na chwilę napełniło ją to nadzieją, lecz zaraz zaczęła nie dowierzać.

– Dlaczego? – rzuciła prowokująco, dmuchając w kawę.

Harker podszedł do niej, poruszając się z pewnością siebie kogoś, kto oczekiwał, że świat zejdzie mu z drogi.

– Bo jestem twoim ojcem – odparł, jakby to wszystko tłumaczyło. – Poza tym

chciałem ci coś wręczyć. – Wyciągnął rękę. – Coś, co bardziej pasowałoby do członka rodziny Harkerów.

Kate spojrzała w dół i zobaczyła nowy wisior błyszczący na jego dłoni. Wyglądał jak duża moneta na cienkim łańcuszku, z wygrawerowaną literą P i ozdobiona dziewięcioma granatami, które lśniły jak kropelki krwi.

– To srebro – powiedział. – Delikatniejsze niż żelazo, a jednak czysty metal.

Kate próbowała pojąć znaczenie tego prezentu. Szukała pułapki.

– Należał do matki?

– Nie – odparł srogo Harker. – Należał do mnie. A teraz jest twój. – Stał za nią, zsunął jej włosy na jedną stronę i rozpiął jej medalion. – A pewnego dnia... – rzucił, układając srebrny łańcuszek na jej szyi. – Może dostaniesz więcej niż mój wisior.

Odwróciła się w jego stronę. Ten człowiek dał jej swoje oczy, swoje włosy i niewiele więcej. Był cieniem na obrzeżach jej życia, bardziej legendą niż prawdziwym ojcem. Rycerzem z opowieści, silnym, stoickim i zawsze gdzieś indziej. Teraz został jej tylko on. Czy jemu została tylko ona?

Za plecami Harkera stał Sloan. Spojrzała w jego czerwone oczy.

– Wiem – odparła, nie odwracając wzroku – że nie chcesz mnie tutaj.

Czekała, w głębi duszy licząc, że Harker zaprzeczy, lecz nie zrobił tego.

– Żaden ojciec nie chciałby, żeby jego córka się narażała – stwierdził. – Straciłem już twoją matkę, Katherine. Nie chcę stracić też ciebie.

Straciłeś moją matkę przez strach – chciała powiedzieć. Przez twoje własne demony, nie te, które cię słuchają.

– Ale zasługujesz na szansę – ciągnął dalej. – Tego właśnie pragniesz, prawda? Móc udowodnić, że pasujesz tutaj, że należy ci się miejsce u mojego boku.

Malchaj zmrużył oczy.

– Pragnę szansy, żeby ci pokazać – odparła, odnajdując spojrzenie ojca – że jestem twoją córką.

Harker uśmiechnął się. Nie pokazał zębów, jedynie uniósł kąciki ust.

– Lepiej już idź. Spóźnisz się do szkoły.

Winda już na nią czekała. Kiedy drzwi się zamknęły, Kate popatrzyła na swoje odbicie i dotknęła wisiora.

Ja też coś dla ciebie mam – pomyślała, ściskając go.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy wyraz twarzy ojca na widok Sunaja u jego stóp. Wtedy będzie wiedział – bez cienia wątpliwości – że była godna swojego nazwiska.

– Hej, podwieźć cię?

Powietrze z rana było ciężkie i duszne, a August stał na schodach przed mieszkaniem Paris, próbując wcisnąć kurtkę Colton do torby, kiedy podniósł wzrok i zobaczył czarnego sedana. Opierała się o niego Kate Harker. Ścisnęła mocniej uchwyt futerału i obejrzał się.

– Skąd wiedziałaś, że tu mieszkam?

Posłała mu spojrzenie, które mówiło „Przecież jestem Harker”, i otworzyła drzwi.

– No dalej, wsiadaj.

Wtedy August zrobił krok do tyłu. Niewielki, mógł zostać doczytany jako przestąpienie z nogi na nogę, ale i tak zaklął pod nosem.

– Nie no, nie trzeba... – Wzruszył ramionami.

– Nie żartuj – przerwała. – Jedziemy w to samo miejsce. Dlaczego masz cierpieć w metrze, skoro możesz się przejechać całkiem niezłym samochodem? *Bo ten całkiem niezły samochód idzie w parze z całkiem niebezpieczną dziewczyną* – pomyślał, ale zdołał powstrzymać się przed powiedzeniem tego na głos. Zawahał się, nie wiedząc, co robić. W samochodzie mogły być kamery. To mogła być pułapka. To mogła...

– Chryste, Freddie. To tylko podwózka do szkoły.

Odwróciła się i wsiadła do auta, nie zamykając za sobą drzwi, co stanowiło oczywiste zaproszenie. A może rozkaz.

Zły pomysł zły pomysł zły pomysł. Jego serce dudniło, gdy zbliżał się do sedana. Zatrzymał się przy otwartych drzwiach, wziął głęboki wdech, wsadził głowę do środka i wsiadł, zamykając za sobą z cichym stuknięciem, które przyprawiło go o palpacje.

Jesteś potworem – pomyślał, potem szybko i odruchowo: *Nie jesteś potworem*, później rozpaczliwe: *Spokój spokój spokój*, ponieważ jego myśli wymykały się spod kontroli.

Na tyle samochodu znajdowały się dwie przeciwległe kanapy, a Kate zdążyła już usiąść przodem do kierunku jazdy. Odwracając się plecami do kierowcy czuł się niemal tak samo nerwowo jak siadając przodem do Kate, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, cokolwiek zrobić, samochód włączył się do ruchu i kilka chwil później budynek Paris zniknął z pola widzenia. August czuł na sobie wzrok Kate, jednak kiedy podniósł wzrok, zdał sobie sprawę, że dziewczyna wpatruje się w jego koszulkę.

– Nie założyłeś wisiora – zauważyła.

Tętno Augusta poszybowało. Nie musiał nawet patrzeć, żeby wiedzieć, że ma rację. Nie czuł szczypania żelaza ani jego ciężaru, ponieważ medalion nadal leżał na podłodze jego pokoju, gdzie rzucił go wieczorem poprzedniego dnia.

Jęknął i położył głowę na oparciu.

– Ojciec mnie zabije – mruknął.

Kate wzruszyła ramionami.

– Nic się nie stało – powiedziała, posyłając mu cień uśmiechu. – Ale pamiętaj, żeby wrócić do domu przed zmrokiem. Nie potrafił ocenić, czy żartowała.

Auto pędziło przez ulice, miasto za oknami zmieniło się w smugi. Kate, która zazwyczaj wystukiwała rytm swoimi pomalowanymi metalem paznokciami, teraz zaciskała pięści.

Jeśli pozna prawdę, będziesz wiedział.

Patrzył, jak jej pierś się unosi, a usta rozchylają.

Sama ci powie.

August przygotował się na najgorsze, lecz kiedy Kate przemówiła, rzuciła tylko:

– Chciałabym przeprosić.

– Za co? – zapytał, a dziewczyna posłała mu znaczące spojrzenie. – A, masz na myśli ten atak na korytarzu.

Kate pokiwała głową i otworzyła usta, ale zaraz znowu je zamknęła. Spiał się. Wydawała się mieć problem ze znalezieniem odpowiednich słów. Czy próbowała coś ukryć? I czy w ogóle była w stanie to zrobić? Patrzył, jak bawi się własnym medalionem. Był nowy, z wypolerowanego srebra i z krwistoczerwonymi kamieniami.

– Posłuchaj – wydusiła z siebie w końcu – jak się ma takie dzieciństwo jak ja, człowiek wyrasta na...

– Paranoika?

Zmrużyła ciemne oczy.

– Chciałam powiedzieć: ostrożnego człowieka. Ale tak, trochę też paranoika. – Jej dłoń ześlizgnęła się z wisiorka. – W mojej rodzinie nie ma zbyt wiele zaufania. Nie oczekuję, że to zrozumiesz.

August chciał jej powiedzieć, że rozumie, ale nie mógł, bo to nie była prawda. Chociaż tak wiele ich różniło, Ilsa i Leo byli dla niego jak rodzina, podobnie jak Flynnowie. Ufał im.

– Kiedy cię poznałam, od razu wyczułam, że jesteś inny.

August wbił palce w kolana, błagając w myślach, żeby nic więcej nie mówiła, nie wyznawała mu tego.

– Tak jak ja – dodała.

Ugryzł się w język i skupił na oddechu.

– Nie pasujemy do otoczenia – ciągnęła dalej. – Nie tylko dlatego, że jesteśmy nowi w szkole. Widzimy świat takim, jakim jest naprawdę. Nikt inny tego nie dostrzega.

– A może dostrzegają – wtrącił – ale za bardzo się boją, żeby to przyznać.

Kate posłała mu słaby uśmiech i pokręciła głową.

– Wzbudzam w nich niepokój, ponieważ przypominam im, że ich świat nie jest prawdziwy. Że jest tylko – machnęła ręką – atrapą. Wolą zamknąć oczy i udawać. Ale nasze oczy... – zrobiła pauzę, a jej ciemnoniebieskie spojrzenie ciążyło Augustowi. – Nasze oczy są szeroko otwarte.

A potem uśmiechnęła się do niego dziwnie, intymnie, i myślami wrócił do szkolnego korytarza.

Nie wiem, kim naprawdę jesteś, ale się dowiem.

Zakręciło mu się w głowie. Słowa Kate wydawały się prawdziwe i musiały takie być, a jednak czuł się, jakby próbowała go złapać na haczyk. Jej przemowa była jednocześnie zbyt jednoznaczna i niejednoznaczna. Czy ona z nim flirtowała? A może chciała dać mu do zrozumienia, że wie? Czy miała na myśli to, co powiedziała, czy może coś innego? August próbował znaleźć jakieś oparcie, kiedy w samochodzie znowu zapadła cisza.

– Masz rację – odezwał się w końcu chrapliwym głosem. – Faktycznie jesteśmy

inni... Ale ja wolę umieć dostrzegać prawdę, niż żyć w kłamstwie.

– Co czyni cię jedyną względnie znośną osobą w szkole. – Jej uśmiech powiększył się, kiedy to powiedziała, zmieniając w szczerę, zaraźliwe szczerzenie zębów. Patrzenie na nią było jak patrzenie na migoczący obraz, który zmieniał się w zależności od tego, jak obrócisz głowę. Czekał, aż wypłynie z niej spowiedź, lecz tak się nie stało.

– Myślałam o twoich znakach – oznajmiła, stukając paznokciem o wisiołek. August przełknął ślinę, potarł nerwowo nadgarstek.

– Co myślałaś?

– Powiedziałaś, że oznaczają dni trzeźwości, ale są przecież trwałe.

– No i?

Zadarła głowę, odkrywając bliznę.

– Więc co, jeśli zaliczysz wpadkę?

Spojrzał na nią, nie mrugając oczami.

– Będę miał przerabane.

Roześmiała się, lecz cały czas nie spuszczała go z oka – nie zamierzała dać się spławić – więc jeszcze raz głośno przełknął ślinę, zastanawiając się, jak powiedzieć prawdę.

– Gdybym po prostu mógł je zetrzeć na koniec dnia, nic by nie znaczyły. A znaczą. Byłem kiedyś w pewnym mrocznym miejscu i nie chcę tam wracać, nigdy. Wolałbym umrzeć, niż zaczynać od nowa.

Wpatrywała się w niego intensywnie ze zmarszczonym czołem, a August wyobrażał sobie, że myśli: „Więc tak to jest, kiedy mówi prawdę”, a sam pomyślał: *Czyli tak to jest, kiedy ona mi wierzy.*

Co było niemal śmieszne, ponieważ on nigdy nie skłamał, ale też straszne, bo po raz pierwszy widział u niej taki wyraz twarzy, a wszystkie inne nagle wydały mu się puste w porównaniu do tego.

Wiesz już wszystko? Wiesz? Czy nie wiesz?

Mógłby ją zapytać. Zmusić ją do odpowiedzi. Ale to pytanie było zbyt ważne, samochód zbyt mały, a August nie wiedziałby, co począć, gdyby powiedziała „Tak”.

Skrzypce w futerale leżały na podłodze między jego stopami i Leo miał rację – jak się postarał, czuł zapach krwi na dłoniach kierowcy, jednak nie u Kate, a jej cień był spokojny...

– Freddie?

Zamrugął. Patrzyła na niego wyczekująco. Samochód właśnie parkował przed Colton.

– Przepraszam – rzucił. Wysiadł jako pierwszy i przytrzymał drzwi dla Kate. W ostatniej chwili podał jej rękę, żeby jej pomóc, a ona, ku jego zaskoczeniu, przyjęła ją. Opanował dreszcz, kiedy jej paznokcie otarły się o jego skórę.

– Hej, Marcus. – Włożyła na chwilę głowę z powrotem do wnętrza samochodu.

– Mam po lekcjach spotkanie z pedagogiem, więc mogę się trochę spóźnić.

Kierowca tylko skinął głową i odjechał.

Kate ruszyła w stronę głównej bramy, oglądając się za siebie, by zobaczyć, czy

August idzie jej śladem.

– Idziesz?

– Znajdę cię później – powiedział, kiwając na przypadkową grupę nastolatków, jakby byli jego przyjaciółmi.

Znowu uniesienie brwi, półuśmieszku i ostrożne opanowanie, które, jak zdał sobie teraz sprawę, oznaczało u niej niedowierzenie.

– Cieszę się, że pogadaliśmy, Freddie – odparła, a jej głos prześlizgnął się gładko po imieniu.

– Ja też – stwierdził i gdy tylko się odwróciła, wyciągnął telefon z kieszeni.

Wybrał numer Henry'ego, ale odebrał Leo.

– Gdzie tata?

– Flynn właśnie kogoś zszywa. O co chodzi?

– Ona wie.

– Co wie? – naciskał Leo.

– Coś. Wszystko. Nie mam pojęcia. Ale *wie*, Leo.

Głos jego starszego brata był sztywny, niecierpliwy.

– Co się zmieniło?

– Nie wiem, ale wczoraj pchnęła mnie na szafkę, a dzisiaj chce być moją przyjaciółką. Coś tu nie gra, mocno nie gra, a do tego kiedy wypowiedziała moje imię, to znaczy nie moje, Freddiego, zrobiła to tak dziwnie i gdy patrzę na nią, widzę dwie różne osoby i nie wiem, która jest prawdziwa i...

– Zachowuj się normalnie, August.

– Ale...

– Zachowuj. Się. Normalnie.

August wbił paznokcie w skórę dłoni.

– Zapomniałem medalionu.

Westchnienie.

– No to staraj się trzymać z dala od potworów – powiedział powoli Leo. – A tymczasem...

– Leo...

– Dajesz się ponieść emocjom. Gdyby Kate Harker wiedziała, kim jesteś, czułaby nieodpartą chęć wyznania ci tego.

– Wiem, ale... – August zamknął oczy. Właściwie mu to powiedziała. Czyż nie? Czy nie to próbowała dać mu do zrozumienia? – Mam złe przeczucie. Mógłbyś po prostu poprosić Henry'ego, żeby zadzwonił do mnie, kiedy już skończy? Muszę z nim porozmawiać.

– Dobra – zgodził się Leo. – Ale na razie, braciszku, weź głęboki wdech i postaraj się nie tracić głowy.

– Okej, tylko... – zaczął, lecz Leo zdążył się już rozłączyć.

Kate uderzyła dłonią w kontuar i popatrzyła groźnie na swoje odbicie w łazienkowym lustrze.

– Co jest z tobą nie tak?

Dziewczyna stojąca za nią aż podskoczyła.

– Eee, nic! – pisnęła i szybko uciekła.

Kate wypuściła powietrze z płuc, kiedy zamknęły się drzwi, a potem kucnęła, opierając głowę o chłodne kafelki.

– Cholera, cholera, cholera...

Nie zrobiła tego.

Siedział na wyciągnięcie ręki, ale za każdym razem, kiedy pomyślała o zbliżeniu się do niego, o sięgnięciu po miedziane trytytki schowane w kieszeni, nie mogła się zdecydować. Próbowwała wyobrazić sobie czarnookiego Leo torturującego człowieka, ale widziała tylko Freddiego, który siedział skulony, jakby to ona była potworem.

Te dwa obrazy nie pasowały do siebie.

Ale przecież widziała zdjęcia na swojej komórce, wiedziała, kim on jest i że postać siedząca z nią w samochodzie była tylko iluzją, fasadą.

Freddie tylko wyglądał na niewinnego.

Był Sunajem.

Niemniej nie miał pojęcia, że Kate poznała prawdę. Wciąż miała przewagę, wciąż niczego się nie spodziewał. Ale jak długo jeszcze?

Wszystko w porządku, przecież przygotowała się na to, dała sobie kolejną szansę. Po prostu zaoferuje mu podwiezienie do domu. Tak naprawdę nie miała żadnego spotkania po szkole, za to widziała jego nazwisko na liście przy sali prób, zapisane eleganckim, pochyłym pismem.

Frederick Gallagher, 16:00.

– Co ty robisz? – jęknął ktoś. *Rachel*. Dziewczyna, która osaczyła ją w drodze na salę gimnastyczną.

Kate wysiłkiem woli poluzowała dłoń, którą trzymała za kontuar.

– Modłę się – rzuciła, powoli się prostując i opanowując wyraz twarzy.

Rachel podniosła brew.

– O co?

– O wybaczenie za to, co zrobię, jeśli nie zejdziesz mi z drogi. – Rachel miała dość rozsądku, żeby się wycofać i bez słowa wypuścić Kate z łazienki.

HH

HH

I

Pod koniec dnia August zaczął myśleć, że zareagował zbyt mocno. Kate siedziała obok niego na historii, rysując potwory na marginesach, tym razem w swoim zeszycie. Minęli się w korytarzu, kiwnęli do siebie i uśmiechnęli się niezręcznie, mrucząc pod nosem „Hej”, i tyle. Czekał na trybunach w czasie zajęć na świetlicy – zdał sobie sprawę, że chciałby ją tam spotkać – ale nie przyszła. Na stołówce August wysłał Leo krótką wiadomość – „Już lepiej” – i odebrał równie lakoniczną odpowiedź: „To dobrze”.

Po ostatnich zajęciach ucieszył się, że nie wrócił do domu – wreszcie przyszła jego kolej na ćwiczenia w sali prób. Gdy tylko zadzwonił dzwonek, zabrał skrzypce z szafki i ruszył prosto do tamtego pokoju. Kiedy dotarł na miejsce, brakowało mu tchu, serce waliło mu pod wpływem panicznego strachu, że sala okaże się zamknięta albo zajęta, ale okazało się inaczej – na dole listy znajdowało się tylko jego imię.

Zdawał sobie sprawę, że powinien wracać do domu, porozmawiać z Henrym, i robi to, ale Leo zapewne miał rację i August przesadzał. Z kolei szansa, żeby zagrać – *naprawdę* zagrać – była zbyt kusząca. Poza tym im dłużej zostanie, tym mniej prawdopodobne będzie, że wpadnie jeszcze na Kate. Podwójne zwycięstwo, powiedział sobie. I wierzył w to.

August wsunął legitymację do czytnika i drzwi piknęły, a potem się odblokowały. Sala prób była pomieszczeniem tak białym, że jego kąty znikały i August czuł się w środku jak w otchłani. Pustkę naruszał jedynie czarny stółek, pulpit na nuty i ławkę. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, sala została uszczelniona i August nie tylko usłyszał, ale też poczuł, że uruchomił się system wygłuszania – delikatne wibracje, a potem nagła i absolutna cisza.

Oczywiście w jego głowie nigdy nie było cicho. Jego serce zdążyło zabić raz czy dwa, zanim pojawiły się odgłosy wystrzałów, odległe lecz nieustępliwe. Nie mógł się doczekać, kiedy je zagłuszy. Położył futerał na ławce i wyciągnął komórkę, żeby ustawić budzik na czterdzieści pięć minut później – wciąż będzie miał dość czasu, żeby wrócić do domu przed zmrokiem. Futerał otworzył się z cichym, rwanym kliknięciem. Chwycił instrument i smyczek, a potem usiadł na stołku.

Wziął głęboki wdech i przystawił skrzypce do brody, a smyczek do strun i... zawahał się. Nigdy wcześniej tego nie robił. Tyle dni marzył o graniu na

skrzypcach, ale nigdy nie mógł. Sunaj nie gra dla samego grania. Muzyka jest bronią, paraliżującą wszystkich, którzy ją słyszą.

Chciałby mieć taką salę w kompleksie, niestety nie mieli na to środków, a każdy metr powierzchni przekazali na potrzeby OSF – na baraki, magazyny, sale szkoleniowe. Poza tym Leo powiedział, że nie musi ćwiczyć; jeśli chciał więcej grać, musiał tylko częściej polować na ludzi. Raz czy dwa August wyobrażał sobie, że kradnie samochód, mija czerwoną, żółtą i zieloną strefę, wyjeżdża daleko w Ziemię Jałową, gdzie ciągną się puste łąki, otwarta przestrzeń. Zaparkowałby przy drodze i ruszył dalej pieszo, aż zyskałby pewność, że żaden człowiek nie usłyszy jego muzyki.

Jednak to marzenie było ryzykowne. Brak ludzi oznacza brak dusz, a gdy August policzył, ile czasu zajęłaby podróż w jedną stronę i z powrotem, zdał sobie sprawę, że za długo.

„Weź coś na wynos” – rzucił lekceważąco Leo.

August chciał mu wtedy powiedzieć kilka słów i żadne nie było miłe.

Ale teraz...

Teraz został tylko on, białe ściany i skrzypce. Zamknął oczy i zaczął grać.

Kate została po zajęciach i patrzyła, jak szkoła się wyludnia. Uczniowie opuszczali kampus jedną falą, ruszając w stronę stacji metra albo wybiegając, jakby ścigali się z ciemnością, co w sumie było prawdą. Teoretycznie godziną policyjną był zachód słońca – tego dnia akurat 19:23, zgodnie z użyteczną rozpiską przy gabinecie dyrektora – ale nikt nie chciał ryzykować spóźnienia, nawet nauczyciele. Dopóki mieli medalion, byli bezpieczni, jednak nikt nie chciał tego sprawdzać na własnej skórze. Dlatego dwadzieścia minut po dzwonku o szesnastej na terenie kampusu została garstka drugoklasistów poprawiających test i dwóch trzecioklasistów wałęsających się po parkingu. A także potwór w sali prób.

Kate usiadła na ławce przed bramą, czekając na czarnego sedana. Czuła, jak pokryte miedzią trytytki kłują ją przez materiał kieszeni, przypominając jej, co powinna zrobić. Obejrzała się na szkołę – samochód powinien pojawić się, zanim przyjdzie Freddie.

Trzydzieści minut po dzwonku nie było śladu ani jednego, ani drugiego.

Kate stuknęła paznokciami o ławkę. Powiedziała wcześniej Marcusowi, że się spóźni, i starała się zdusić nerwowe klucie w piersi, ale piętnaście minut później, kiedy wokół zrobiło się zupełnie cicho, a sedan nadal nie zajechał pod bramę, złamała się i zadzwoniła do kierowcy.

Nie odebrał.

Obleciał ją strach, nagły i niepowstrzymany.

Była już prawie siedemnasta.

Robiło się coraz ciemniej. Kate podniosła się i zaczęła maszerować w tę i z powrotem. Pomyślała, żeby zadzwonić do ojca, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Nie była przecież dzieckiem. Ale Freddie ciągle siedział w środku, a bez samochodu nie miała jak namówić go na pójście z nią. Porzucając misję,

poprawiła plecak na ramieniu i ruszyła w stronę wejścia do metra naprzeciwko kampusu.

Kiedy dotarła na miejsce, było już zamknięte.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Chwyciła metalowe pręty.

Coś tu nie grało. Metro miało jeździć aż do zapadnięcia zmroku, a jednak ktoś zdążył już zamknąć kraty i zabezpieczyć je kłódką. Przez przyspieszony puls zaczęło jej dzwonić w chorym uchu. Zamknęła na chwilę oczy i próbowała się uspokoić, jednak serce raz po raz nakazywało jej uciekać.

Nie. Kate wzięła głęboki wdech. *Myśl, myśl.* Puściła pręty i poszła z powrotem w kierunku szkoły, wydając telefon i dzwoniąc po taksówkę.

Dyspozytor nie chciał przyjąć zlecenia i nie dziwiła mu się, ale było już po piątej i słońce schodziło coraz niżej, a Kate nie chciała zostać sam na sam z potworem po zmroku.

– Nazywam się Kate Harker – warknęła. – Proszę podać swoją cenę. I przyjechać jak najszybciej. – Rozłączyła się i wyjęła z plecaka żelazne szpikulce; dźwięk stukania metalu o metal przypomniał jej, jak cicho zrobiło się w Colton. Wsunęła jeden szpikuliec w skarpetkę, a drugi chwyciła bliżej niezaostrzonego końca i wycelowała jak nóż.

Ruszyła w stronę głównych drzwi, lecz okazały się zamknięte; użyła na nich legitymacji, jednak nie doczekała się żadnej reakcji. Szarpnęła dla pewności klamką, a potem przez szybę zobaczyła ciało.

Leżało wykręcone na podłodze, z głową odchyłoną do tyłu tak, że widziała twarz.

To był pan Brody, nauczyciel historii. Miał skręcony kark i wypalone oczy.

Po raz pierwszy od bardzo dawna August dokończył swój utwór.

A potem zagrał go jeszcze raz.

I jeszcze.

Jego melodia – ta dziwna, niesamowita melodia, która przyszła mu do głowy tamtego dnia w alejce i nigdy go nie zostawiła, ciągle rozbrzmiewała w jego głowie jako akompaniament odgłosów wystrzałów, zawsze pragnęła wydostać się na zewnątrz – wylewała się teraz z niego przez pory skóry, przez smyczek i struny. Dudniła w jego mięśniach i kościach, przeszywała serce i żyły, dając mu poczucie bycia człowiekiem, pełnym życia człowiekiem.

Może to wcale nie duszami się karmił.

Może właśnie tym.

Każdy akord unosił się w powietrzu, błyszcząc jak drobinki kurzu w promieniach słońca, a kiedy pieśń skończyła się po raz trzeci i melodia uleciała, August wstał, delektując się idealną chwilą.

Odezwał się telefon, roztrzaskując ostatnie nuty, i przywrócił go do rzeczywistości, do wszystkich jej problemów. Westchnął i chwycił komórkę, wyłączył alarm, a potem zachmurzył się. Wysłał Henry'emu wiadomość, że nieco się spóźni, jednak nie otrzymał odpowiedzi. Nawet od Leo.

W tej samej chwili zauważył, że w sali prób nie ma sygnału. Cholera.

Niechętnie odłożył skrzypce do futerału, zarzucił go na ramię i ruszył do drzwi.

Nie otworzyły się.

August próbował pchnąć je z całej siły, lecz te ani drgnęły.

Zostały zablokowane.

Rozejrzał się, szukając jakiegoś mechanizmu po tej stronie sali, ale nic nie znalazł. Czytnik znajdował się na zewnątrz. Ogarnęła go panika, jednak przełknął ślinę i przycisnął twarz do szybki, próbując cokolwiek zobaczyć. I wtedy zauważył, że mechanizm zamka został zniszczony, a ze środka wystawały – niczym wnętrzości – porwane kable.

Znalazł się w pułapce.

Kate chwiejnym krokiem odsunęła się od głównego wejścia pod czujnym, czarnym okiem trupa. Powstrzymała dreszcze, koncentrowała się. Trzech Sunajów. Logika podpowiadała, że za śmierć nauczyciela odpowiedzialny był Freddie. Ale jeśli to był on, jak mógł wyjść na zewnątrz i zamknąć wejście do metra, pozostając niezauważonym? A jeśli to nie był Freddie, a drugi Sunaj nigdy nie opuszczał kompleksu, pozostawał tylko... Leo.

Dwóch Sunajów na terenie szkoły, krążących wokół niej jak rekiny. Poczowała ucisk w piersi, ale nie pozwoliła sobie na panikę. Panika niczemu nie służyła. Mąciła myśli i prowadziła do fatalnych w skutkach decyzji. Jestem Kate Harker, pomyślała, ściskając żelazny szpikulce. Znajdzie wyjście. Ruszyła za róg budynku, dusząc w sobie chęć do biegu, skierowała się do głównej bramy, wyjmując wolną ręką komórkę z kieszeni i...

Coś ją uderzyło. Mocno.

Komórka poleciała na ziemię, a Kate zachwiała się, coś ścisnęło jej ramię jak imadło. Nie zawahała się, od razu pchnęła szpikulcem do tyłu i w dół, w udo stworzenia. Potwór syknął i poluźnił chwyt na tyle, że dziewczyna mogła opaść na jedno kolano i przerzucić napastnika przez ramię. Ciało uderzyło w ziemię, przekoziołkowało i odwróciło się z dziwną gracją. Szpikulce nadal tkwił w udzie.

Kate zamarła.

To nie był Sunaj.

To był Malchaj.

Wychudzona postać, czerwone oczy obracające się w czaszce, która prześwitywała na czarno spod bladej skóry. Pół twarzy potwora pokrywały liczne ślady – piętno na jego zapadniętym policzku zostało wydrapane, podobnie jak u tamtego Malchaja, którego zabiła w piwnicy. Jego usta wyciągnęły się w krzywym uśmiechu, a głos zabrzmiał jak mokre grzechotanie.

– Witaj, mała Harker.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć, że jej ojciec skróci go o głowę, ale nie zdążyła. Drugi kształt rzucił się do przodu, zbyt szybko, żeby mogła zrobić unik, i trafił ją w pierś, pchając na ceglana ścianę szkoły. Usłyszała trzaśnięcie, coś w niej pękło i wydusiło z niej krzyk chwilę przed tym, jak drugi Malchaj ścisnął jej gardło, odcinając dopływ powietrza.

Usta potwora rozsunęły się, ukazując rzędy ostrych zębów.

– Ale będzie zabawa.

Brak sygnału.

Oczywiście, że brak sygnału. August wcisnął komórkę z powrotem do kieszeni, wziął głęboki wdech i uderzył ramieniem w drzwi. Osiągnął tylko tyle, że poczuł echo bólu. Wyłącznie dlatego, że nie krwawił i nie dał się złamać jak człowiek, nie oznaczało, że da sobie radę ze stalowymi drzwiami. Nie był przecież taranem.

Spojrzał na dłonie i pomyślał o Leo z zeszłej nocy, o ciemności liżącej jego palce, gałce rozpadającej się pod wpływem jego dotyku, jednak August nie posiadał takiej kontroli. U niego było wszystko albo nic.

Przejechał dłonią po kreskach na nadgarstku.

Czterysta dwadzieścia jeden dni.

Ale to nie kreski bał się stracić.

Musiał istnieć jakiś inny sposób. Wycofał się do wnętrza pomieszczenia, rozejrzał po ścianach, podłodze, suficie. Wszystko gładkie. Wszędzie płytki. Kiedy stanął na stołku, sięgał akurat dość wysoko, by dostać się do wytłumionych kwadratów nad głową; były ciężkie, ale gdy nacisnął wystarczająco mocno, udało mu się podnieść jeden i przesunąć w bok.

Wciągnął powietrze i wzdrygnął się, czując stęchliznę. Sięgnął po futerał i podciągnął się, a potem wszedł w brudną ciemność.

Kate poczuła na gardle stalowy chwyt zimnych palców i zanim udało jej się uwolnić, została rzucona o chodnik. Silne uderzenie wypchnęło jej powietrze z płuc, a dłonie zapiekły w miejscach, gdzie otarły się o beton. Podniosła się na czworaka, ale Malchajowie byli zbyt szybcy i zaraz jeden z nich rzucił się na jej plecy i powalił ją z powrotem na ziemię.

Jej ramię eksplodowało bólem, kiedy potwór przycisnął ją do chodnika.

– Zdziorna małolata – mruknął, kiedy drugi Malchaj wyrwał szpikulca z uda z mokrym plaśnięciem i rzucił go na bok. Przytrzymujący ją potwór miał takie same głębokie szramy na policzku – wyciął sobie piętno Harkera aż do kości. Ślady wydawały się świeże.

– Zabiła Oliviera – powiedział ten drugi, strzepując palce piekące po kontakcie z metalem.

– Zgadza się – szepnął pierwszy, przysuwając usta do jej policzka. Odwróciła głowę i poczuła zimny oddech na twarzy, gdy tamten powiedział coś do jej chorego ucha, zbyt cicho, by mogła usłyszeć. Wbiła kolano w jego krocze, ale potwór tylko się zaśmiał. No to tyle, jeżeli chodzi o techniki samoobrony.

Byli silni, niemniej słońce jeszcze do końca nie zaszło, więc gdyby tylko podniosła się i stanęła na równych nogach, plecami do ściany...

– Słyszę pulsowanie twojej krwi – powiedział leżący na niej Malchaj, kiedy jej palce z trudem powędrowały do drugiego szpikulca ukrytego w skarpetce. – Założę się, że jesteś słodka. – Potwór otworzył szeroko paszczę, pokazując ostre, srebrzyste kły.

– Bez zębów – ostrzegł drugi, a ten zmarszczył brwi, ale zaraz zamknął usta z głośnym kłapnięciem. Drugi Malchaj wyciągnął mały, ręczny palnik. Płomień zasyczał, a Kate zaczęła się szarpać, dopóki paznokcie potwora nie wbiły się w jej skórę do krwi.

– Zabiję cię – warknęła.

– *Ludzie, ludzie, zawsze kłamią* – zanucił leżący na niej Malchaj, a w oczach tańczyły mu czerwone iskry radości. – Mamy ją najpierw zabić, jak tamtych?

Ten z palnikiem zastanowił się.

– Nie. Nikt jej nie usłyszy. Nie śpieszmy się. On by się nie śpieszył.

Żle.

Bardzo, bardzo źle.

Drapała palcami trawę, próbując dosięgnąć drugi szpikulec. Potwór nad nią uśmiechnął się, a ten z palnikiem podkręcił płomień i przystawił do ostrza noża, które zaraz rozpalilo się do białości.

– Ma oczy po ojcu – powiedział, a Kate zadrżała, wspominając ciało nauczyciela na podłodze, jego wypalone oczodoły. – Trzymaj ją mocno.

August wyskoczył z przewodu wentylacyjnego na podłogę korytarza, jego mundurek był cały w kurzu i pajęczynach. Jego buty wylądowały na wypolerowanej podłodze Akademii Colton i wyprostował się, jednak ulga szybko zmieniała się w strach. To nie był zwyczajny żart. Ktoś chciał go zatrzymać w tamtym pomieszczeniu. Tylko kto? I dlaczego?

W tej chwili ważniejsze było opuszczenie szkoły. Ruszył do najbliższego wyjścia, wyciągając telefon z kieszeni, ale zaraz zatrzymał się w pół kroku, widząc ciało dziewczyny. Była młodziutka, z pierwszego roku, jej głowa leżała pod dziwnym kątem, jednak to widok twarzy sprawił, że August wydał zduszony krzyk. Nie miała oczu. Ktoś je wypalił.

Wybrał numer Henry'ego, uruchamiając awaryjne otwieranie drzwi i wyskakując z budynku.

– No dalej – mruknął, słuchając kolejnych sygnałów. Poczekał na trzeci, czwarty, a potem się rozłączył i już miał zadzwonić do Leo, kiedy rozległ się zduszony wrzask.

To nie był piskliwy skowyt, raczej stłumiony okrzyk. August wybiegł za róg i stanął jak wmurowany. Dwie kreatury dręczyły jakąś dziewczynę, ich ciała były zbyt wydłużone i wychudzone, ich skóra zbyt blada, a kości zbyt ciemne. Nigdy wcześniej nie widział żadnego Malchaja. Nie twarzą w twarz. Nie rzucali żadnego cienia, lecz powietrze wokół nich drżało, ich srebrzyste zęby miały ostre końcówki.

Wyglądali... potwornie.

A dziewczyną pod nimi – która przed chwilą krzyknęła – okazała się Kate.

Na ułamek sekundy cały świat zamarł, czas zwolnił, tak jak między akordami, moment przeciągał się jak nuta.

Musiał jej pomóc.

Nie powinien jej pomagać.

Jeśli to zrobi, wszystko się wyda.
Jeśli tego nie zrobi, dziewczyna umrze.
Oni ją zabiją.
I oskarżą o to jego.
Kate była niewinna.
Kate była córką Harkera.
A potem nagle chwila się skończyła, a August padł na kolana i otworzył futerał ze skrzypcami.

Płomień palnika rozgrzewał powietrze nad twarzą Kate.
Szpony Malchaja wpijały się w jej szczękę, a z jej gardła wydostał się dźwięk podobny do skomlenia. Jego obcość, jego niezwykła żalność, wystarczyła, by Kate otrząsnęła się z szoku.

Jej palce musnęły końcówkę szpikulca. A potem to usłyszała.
Muzykę.
Pojedynczy dźwięk, który rozszedł się po ziemi i wypełnił powietrze, zajmując jakby więcej przestrzeni niż powinien. A potem kolejny i kolejny. Splatały się, tworząc pieśń. Muzyka była niesamowita, niepokojąca i piękna, zaś Kate musiała całą siłą woli skupić się na zakryciu zdrowego ucha, lecz jakimś cudem nadal mogła ją słyszeć, głośno i wyraźnie. Malchaj upuścił palnik i zachwiał się, jakby uderzony, zaś drugi zamarł i trzymał się za głowę, krzycząc z bólu, aż ciemna plama rozlała się po jego skórze.

Palce Kate wreszcie znalazły szpikulca w bucie. Wbiła go w klatkę piersiową Malchaja, przez czarną substancję roszącą jego skórę niczym pot, pod kościaną pokrywą i prosto w serce. Potwór wrzasnął, zaczął orać szponami swoje ciało, ale było już za późno. Szpikulca znikł w jego tkankach aż po tępy koniec, palce Kate pokryły się czarną mazią wypływającą z jego ust i Malchaj padł na nią bez życia. Zrzuciła go z siebie i z trudem się podniosła, zataczając się pod wpływem bólu, gdy muzyka mąciła jej myśli.

I wtedy nagle się urwała, gdy Freddie krzyknął:
– Uważaj!

Odwróciła się zbyt wolno i znalazła się twarzą w twarz z drugim Malchajem. Potwór złapał ją za nadgarstek, chociaż z jego skóry sączyła się oleista substancja, i zanim Kate zdołała się uwolnić, jego ostre jak brzytwy zęby zatopiły się w jej ramieniu.

Przeszył ją ból. Jednak chwilę później szczęki potwora puściły ją, gdy został pociągnięty do tyłu. To Freddie złapał go za ramiona i przytrzymał płasko dłońią za blade gardło; Kate stała jak zakłęta, myśląc o tym, jak młodo wyglądał – jak drobno – zanim przypomniała sobie, że jej kolega ze szkoły też jest potworem. Freddie miał zamknięte oczy i zaciśnięte zęby, a ciemność sącząca się z ciała Malchaja plamiła jego skórę.

Kate wreszcie oprzytomniała, szybkim ruchem chwyciła porzucony szpikulca i wbiła go w serce potwora. Nie walczył. Już tracił siły, czerwone światło blakło w jego oczach jeszcze zanim szpikulca przebił jego ciało.

Freddie puścił go, a Malchaj padł na ziemię między nimi, jak worek kości, i przez chwilę patrzyli tylko na siebie, unurzani we krwi i z trudem łapiąc powietrze.

Żadne się nie poruszyło.

Wzrok Freddiego prześlizgnął się po niej i po trupach, by na koniec spocząć na skrzypcach, porzuconych w trawie. Palce Kate zacisnęły się mocniej na szpikulcu.

Uciekaj – podpowiadał głos w jej głowie.

Nie zrobiła tego.

Freddie popatrzył jej w oczy i zachwiał się nieco.

– Co się... – zaczęła Kate, lecz nie dokończyła, bo chłopak zgiął się w pół i zwymiotował.

Wydostawało się z niego coś czarnego i błyszczącego jak olej. Próbował się wyprostować, lecz stracił równowagę, upadł na czworaka i wyrzucał z siebie atramentowy płyn na jasny chodnik Akademii Colton.

Odsuń się! – nalegał głos, ale Kate już uklękła przed Freddiem.

– Co się stało?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zakrztusił się kolejną falą czarnej mazi, która wylądowała na betonie. Kiedy podniósł wzrok, jego oczy nie były już szare, lecz czarne. Czarne i pełne bólu. Żyłki uwidoczniły się na jego dłoniach i wiły się jak czarne kable pod skórą, wspinając się do gardła.

Co powiedział Sloan?

My nie możemy się żywić nimi. Oni nie mogą się żywić nami.

Dlaczego to zrobił? Chciała go o to zapytać, ale oczy Freddiego traciły ostrość widzenia, jego ciałem wstrząsały dreszcze. Sięgnął resztkami sił po skrzypce, jednak leżały zbyt daleko i za chwilę upadł na chodnik. Nie ruszał się. Czy umarł? Czy chciała, żeby umarł? Gdzieś w głębi duszy pomyślała, że właśnie tak zabija się Sunaja, ale nie, jego pierś unosiła się i opadała z płytkim, nierównym oddechem.

Rozdzwoniła się jej komórka. Wciąż leżała w miejscu, gdzie wylądowała po tym, jak została wytrącona z jej rąk. Kate podbiegła i odebrała połączenie.

– Halo? – rzuciła bez tchu. Ale to nie był jej ojciec. Ani Marcus. Dzwonili z firmy taksówkarskiej. Samochód czekał przed szkołą. A licznik bił.

Kate rozejrzała się na opłakane skutki walki: dwa trupy Malchajów, palnik rysujący czarną linię na chodniku, nieprzytomnego Sunaja u jej stóp. Sama miała na sobie wysychającą krew i smugi czarnawej posoki. Przełknęła głośno ślinę.

– Proszę poczekać – rzuciła do taksówkarza. – Już idę.



WERS 3

*Biegnij, potworze,
biegnij*

I

Kiedy August się przebudził, wszystko go bolało. Ból zawsze istniał dla niego jako mgnienie, coś przemykającego po powierzchni zmysłów, jednak ten przeszywał go do szpiku kości. Ostatnim razem, kiedy poddał się ciemności, ból palił go jak gorączka, lecz teraz było inaczej. Teraz czuł się pusty w środku. Bolał oddech. Bolało samo istnienie. I po raz pierwszy w życiu chciał wczołgać się z powrotem w mrok swoich snów.

Zamiast tego pociągnął swój umysł na powierzchnię, gdzie czekało jego ciało, i otworzył oczy.

Siedział na betonowej podłodze, oparty o niedokończoną ścianę, za plecami miał płataninę metalowego szkieletu i drewnianych belek. Kręciło mu się w głowie, odpływał i wracał do przytomności raz po raz. Próbował się ruszyć, ale jego nadgarstki zostały przywiązane do metalowych prętów za pomocą trytytek.

Kate Harker siedziała na środku betonowej podłogi i obserwowała go, obejmując rękami kolana. Miała na sobie szkolny blezer na zakrwawionej koszulce polo. Na jej szczęce zaczynał wykwitać siniak, a jedną rękę trzymała pod nienaturalnym kątem przed sobą, rękaw był podarty w miejscu, gdzie wbiły się zęby potwora. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale kiedy zauważyła jego wzrok, zeszywniała i przybrała trudny do odczytania wyraz twarzy.

– Witaj w moim nowym biurze – powiedziała chłodnym tonem. Może to wynik szoku. Widział już żołnierzy OSF w podobnym stanie po tym, jak otarli się o śmierć. – Zaczynałam się zastanawiać, czy w ogóle się obudzisz.

August oderwał od niej wzrok i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie byli tu sami. W kącie leżał nieprzytomny mężczyzna ze związanymi rękami i ustami zaklejonymi taśmą. Na koszulce miał logo firmy taksówkarskiej.

Kate podążyła za jego spojrzeniem.

– Jesteś cięższy niż wyglądasz – wyjaśniła. – Sama bym cię tutaj nie wniosła. A potem... cóż... uznałam, że nie powinnam go puszczać. Ale wcześniej wręczyłam mu sowity napiwek, zanim... no wiesz.

August próbował przełknąć ślinę. Jego gardło wydawało się posypane piachem.

– Moje skrzypce.

Kate zastukała paznokciami o futerał leżący obok niej. August odetchnął z ulgą, a dziewczyna posłała mu spojrzenie, którego nie mógł zrozumieć. Popatrzyła zaraz na okna, puste ramy zabezpieczone folią. Nawet przez nią dało

się zobaczyć, że robiło się już ciemno. Powinien był już wrócić do domu. Gdzie się podział jego telefon? Nie czuł go w kieszeni. Czyżby gdzieś go zgubił?

– Gdzie jesteście? – zapytał.

– Mój ojciec ma bezpieczne kryjówki w różnych częściach miasta.

Fala paniki przetoczyła się po nim niczym mdłości.

– I zabrałaś nas do jednego z nich? Po tym, jak jego Mal...

Kate popatrzyła na niego groźnie.

– Nie służyli już mojemu ojcu – powiedziała lodowato. – Ale nie jestem głupia. Znajdujemy się w odrestaurowywanym budynku za rogiem od bezpiecznej kryjówki. Mam mnóstwo pytań, Freddie.

Znowu przełknął ślinę.

– August – rzucił z trudem. – Nazywam się August.

– August – odparła, jakby testowała to imię. – Lepiej ci pasuje. August Flynn.

Czyli wiedziała.

– Jak długo? – zapytał i musiała zrozumieć pytanie, ponieważ odpowiedziała:

– Od wczoraj.

August pokiwał głową. Miał rację. Pewnie poczułby zadowolenie z faktu, że miał rację, gdyby tylko nie cierpiał tak bardzo.

– Myślałam, że twój gatunek jest niepokonany – stwierdziła, a słowo „gatunek” w jej ustach zabrzmiało jak przekleństwo.

Skrzywił się.

– Nikt nie jest niepokonany.

Na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiezek.

– Tak właśnie pomyślałam.

– Kate...

– Nie – przerwała mu – nie pozwalałam ci jeszcze mówić. Masz tylko odpowiadać na moje pytania.

Zamilkł. Krew dudniła mu w uszach.

Kate zeszkrobywała czarną posokę z paznokci.

– Dlaczego mi pomogłeś? – zapytała szybko i ostro, jakby chciała to zrobić od dawna.

Zamknął oczy.

– To była pułapka. Ci Malchajowie nie próbowali cię tylko zabić. Próbowali upozorować to na egzekucję w wykonaniu Sunaja. Wrobiliby w to morderstwo mnie i moją rodzinę, a potem wykorzystali ją do zerwania rozejmu. – Z wysiłkiem podniósł powieki. Słabość wreszcie, litościwie odchodziła. – Wtedy w lesie nie kłamałem. Naprawdę chcę pokoju.

– I ja mam uwierzyć w potwora-pacyfistę?

– Nigdy cię nie okłamałem.

– Ale nie powiedziałaś prawdy.

– A niby jak miałem to zrobić? Ty byś na moim miejscu powiedziała?

Kate zamilkła. Gapiła się na podłogę, jej twarz wykrzywił ból.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho.

Zadarła gwałtownie głowę.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

August skulił się, zdezorientowany.

– Ja tylko...

– Milcz. – Wstała, odkrywając żelazny szpikulec, który chowała pod kolanem.

– Wiem, co robią tacy jak ty. Widziałam nagrania, widziałam, jak bawicie się ze swoimi ofiarami w kotka i myszkę... – August nie miał pojęcia, o jakie nagranie mogło chodzić. – A ja nie jestem myszką, Augustcie Flynnie, rozumiesz? Wiem, czym jesteś.

Szła w jego stronę. Metalowy pręt, do którego go przywiązała, biegł prostopadle do podłogi, więc podniósł się i podsunął nadgarstki w górę, dopóki w pełni się nie wyprostował.

– Uratowałem ci życie – oznajmił.

W odpowiedzi Kate przystawiła czubek żelaznego szpikulca do jego gardła. Broń wciąż nosiła ślady krwi Malchaja, a zapach przyprawiał Augusta o mdłości. Oczy Kate błyszczały gorączką, ale ręka jej nie drżała.

– Wystarczyłoby podziękować – rzucił.

– Dlaczego pojawiłeś się w Colton?

– Ojciec mnie wysłał.

– Masz na myśli Flynnna.

– Tak.

– Chciał, żebyś mnie zabił?

– Nie. Chciał, żebym był blisko ciebie na wypadek upadku rozejmu. Nie ma zbyt wiele rzeczy na tym świecie drogich Callumowi Harkerowi, a Leo uważał, że możesz się okazać cenna jako karta przetargowa. – August pochylił się do przodu, naciskając na metalowym szpikulec. – Musisz też wiedzieć, że potrzebujesz znacznie więcej niż to, żeby mnie skrzywdzić. – Jakby w odpowiedzi na prowokację Kate pchnęła mocniej, ale szpikulec nie przebił skóry.

I właśnie wtedy rozdzwonił się telefon leżący na betonowej podłodze obok futerału. Kate odwróciła się, a Augusta ogarnęło przerażenie.

– Nie wyłączyłaś go?

– Wyjęłam GPS – wyjaśniła, kucając, żeby sięgnąć po komórkę. Zachmurzyła się, patrząc na wyświetlacz.

– Kate – powiedział, próbując rozerwać trytytki. Zaklął. Były powleczone metalem. – Kto dzwoni?

Wyprostowała się.

– Numer domowy.

– Nie odbieraj – odparł, po raz pierwszy żałując, że nie potrafi wpływać na czyjeś decyzje zamiast tylko skłaniać ich do spowiedzi. Palec Kate zawisł nad ekranem. – Ktoś musiał wysłać tych Malchajów, żeby cię zabili.

Kate gapiła się na telefon. Przestał dzwonić. A potem zaczął znowu.

– Złamali swoje przyrzeczenie – oznajmiła. – Zupełnie jak Olivier.

– Kim jest Olivier?

– Są głodni i niespokojni – ciągnęła dalej, a jej głos zagłuszało dzwonicie

telefonu. – I mają dosyć słuchania rozkazów.

August szarpał więzy.

– To nie był przypadkowy atak. Wszystko było wykalkulowane. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żebyś zginęła i żeby to na mnie spadła wina.

Kate wysyczała coś pod nosem. Komórka cały czas dopominała się o uwagę, ale Kate wyjęła baterię. Ucichło. Powtórzyła tamto słowo i August zdał sobie sprawę, że to imię.

– Sloan.

Słyszał je już. Leo mówił o nim tak, jak mówił zawsze o potworach, tylko gorzej.

Mój ojciec trzyma Malchaja jako zwierzątko domowe.

– Czy ten Sloan chciałby rozpętać wojnę?

Kate popatrzyła na niego spoде łba.

– Śmierć i przemoc, czy nie tego chcą wszystkie potwory? – August nie złapał przynęty. – Słuchaj, nie wiem – dodała zaraz, maszerując w kółko – ale jestem pewna, że chętnie by się mnie pozbył, a jeśli przy okazji mógłby zrobić Flynna... Nie wyobrażam sobie, by ktoś inny potrafił planować tyle kroków do przodu. Większość Malchajów jest skupiona na zabijaniu. Sloan jest... inny.

– Inni Malchajowie go słuchają?

– Wróciłam do domu dziewięć dni temu, August. Nie widziałam zbyt wiele. Na razie odniosłam wrażenie, że jego ulubionym zajęciem jest dręczenie *mnie*.

– Jeśli jest w to zamieszany, nie możesz wrócić do domu. Musisz...

Nie dokończył, ponieważ usłyszał odgłos hamującego samochodu i wyłączanego silnika. Dźwięki niosły się nisko, było stłumione i nie dotarły jeszcze do Kate. Wciąż chodziła w tę i z powrotem.

– Kate.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

– Kate.

Rozległy się kroki.

– *Kate*.

Odwróciła się w jego stronę.

– No co?

– Musisz mnie uwolnić – powiedział, próbując wyswobodzić ręce. Trytytki były zbyt mocno zaciągnięte i chociaż metalowa powierzchnia nie sprawiała mu bólu, uniemożliwiała mu rozerwanie więzów.

– Niby dlaczego?

– Bo ktoś tu idzie.

Piętro niżej rozsunęły się drzwi wystarczająco głośno, żeby wreszcie usłyszała.

– Musieli cię wysledzić.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Wyjęłam GPS z telefonu.

W kącie pomieszczenia poruszył się taksówkarz. Z jego kieszeni wypadła komórka.

– Cholera.

Na schodach dało się słyszeć kroki. Kate podbiegła do okna, zarzucając

plecak na ramiona. Wyciągnęła zapalniczkę z kieszeni, wysunęła srebrny nożyk i rozcięła folię małym, ale bezwzględnym ostrzem, odkrywając sine niebo. Przez chwilę Augustowi wydawało się, że go tu zostawi skrępowanego przy ścianie na łaskę ludzi Harkera, jednak zaraz po niego wróciła.

– Chciałam oddać cię ojcu – powiedziała. – Wtedy, gdy wsiadłeś do samochodu. – Wsunęła nóż między trytytki a skórę. – To byłoby takie łatwe.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

Podniosła wzrok. Przełknęła ślinę.

– Nie wyglądałeś jak potwór.

August popatrzył jej w oczy. Chciał powiedzieć, że nim nie jest, lecz słowa utkwily mu w gardle.

– A teraz?

Kate pokręciła głową i pociągnęła ostrzem po więzach.

Jednak trytytki nie puściły.

Zachmurzyła się i spróbowała jeszcze raz. Nic.

August zbladł.

– Proszę, powiedz, że masz jakiś sposób, żeby je zdjąć.

– Nie planowałam ich zdejmować – warknęła. August zaczął się szarpać spanikowany, ale Kate tylko podniosła nogę i uderzyła butem w jeden z prętów. Hałas był duży – zbyt duży – ale metal poddał się i puścił, a August zdołał wyswobodzić swoje wciąż skrępowane trytytkami ręce. Kate kopnęła drugi pręt, lecz ten albo był mocniejszy, albo źle wymierzyła kąt. Zgiął się, lecz nie złamał. Kroki były coraz głośniejsze. August oplótł dłońmi pręt i Kate zrobiła to samo, a potem wspólnymi siłami zdołali wyrwać go ze ściany i oboje wylądowali na podłodze.

Kate spadła na zraniony bok i wrzasnęła z bólu, ale kiedy August chciał jej pomóc, odsunęła się, jakby jego dotyk był trujący, i sama sobie poradziła. Podeszła do okna, a August chwycił jeszcze futerał ze skrzypcami i ruszył jej śladem, spodziewając się zobaczyć jakieś schody przeciwpożarowe. Niestety jego oczom ukazała się tylko piętnastocentymetrowa kładka nad trzema kondygnacjami budynku.

Z wrażenia zaparło mu dech.

– Tylko mi nie mów, że masz lęk wysokości – rzuciła.

– Wysokości nie. Tylko spadania – mruknął.

Rozejrzał się, próbując rozpracować sposób na zejście, kiedy Kate wzięła głęboki wdech i skoczyła.

II

Kate rzuciła się do przodu, odpychając się od ściany i przeskakując nad liczącą dwa metry przerwą między budową a dachem sąsiedniego budynku. Wylądowała, potknęła się i pokonała kilka niestabilnych kroków, a potem pobiegła, nie oglądając się za siebie. Wiadomość była jasna: utrzymuj tempo albo zgiń. August wziął głęboki wdech, ścisnął rączkę futerału i skoczył. Pokonał krawędź dachu i poślizgnął się, a udało mu się odzyskać równowagę akurat w chwili, gdy Kate zniknęła za rogami. Pobiegł za nią, a ona złapała go za ramię i przycisnęła do ściany obok niej, poza zasięg wzroku pościgu.

– Często to robisz? – szepnął. – Skaczesz między budynkami, biegasz po dachach?

Kate uniosła brew.

– A ty nie? – Prawie się uśmiechnęła, chociaż mógł to być grymas; kiedy pochyliła się do przodu, zobaczył poszarpany ślad po zębach Malchaja na jej ramieniu.

Rozejrzał się po budynkach dokoła.

– Gdzie jesteśmy?

– Na granicy czerwonej strefy.

– Znam sposób na pokonanie Szwu. Możemy przedostać się do Południowego Miasta...

– My? – Pchnęła drzwi na klatkę schodową i ruszyła w dół. – Uratowałeś mi życie. Ja uratowałam twoje. Moim zdaniem jesteście kwita.

August zmarszczył brwi.

– Nie zostawię cię.

– A ja nie pójdę do Flynna.

– Moglibyśmy cię ochronić.

Wydała dźwięk podobny do śmiechu, ale bardziej lodowaty.

– Och, nie wątpię.

Poszedł jej śladem.

– Okej, nie musisz mi wierzyć, ale tutaj na pewno nie jest bezpiecznie.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – warknęła, zdając sobie sprawę z tego, jak wygląda sytuacja. – Nie mogę wrócić do domu, bo znajduje się w samym środku czerwonej strefy, a bez względu na to, czy będzie tam mój ojciec czy nie, na pewno znajdę tam Sloana i...

August poczuł zapach krwi i zakrył jej usta dłonią, przekrzywiając głowę w stronę ulicy. Kate zaczęła protestować, ale musiała zauważyć odpowiedź

w jego oczach, bo umilkła. August nasłuchiwał.

- ...w budynku pusto...
- ...zgłoś to...
- ...sprawdźcie wszystkie kamery...
- ...sygnał...

August i Kate stali na klatce schodowej, zupełnie nieruchomo, aż głosy ucichły, mieszając się z pomrukiem silników i innych dźwięków miasta. Kiedy August opuścił rękę, Kate wytarła twarz rękawem.

- Co powiedzieli? - zapytała.
- Daj mi swój telefon.

Wyciągnęła komórkę z kieszeni i podała mu. August położył ją na stopniu i zmiażdżył stopą. Kate skrzywiła się.

- To konieczne? - szepnęła.
- Na pewno nie zaszkodzi - odparł równie cicho. - Całe Północne Miasto jest monitorowane?

Kate pokiwała głową.

- Kamery są niemal wszędzie.
- Niemal?

Kate popatrzyła na niego.

- Są pewne wyjątki.
- Pewnie ich nie zapamiętałaś, co?

Uniosła brew.

- Miałam tylko tydzień.

August upadł na duchu. A potem jej usta drgnęły, wyciągając się w sugestię uśmiechu, pełnego zmęczenia, lecz ostrego jak brzytwa.

- Nauczyłam się wszystkich w czerwonej strefie.

August wyprostował się.

- Jeśli chcesz uciec, nie będę cię zatrzymywał, ale najpierw pozwól, że pomogę ci znaleźć drugi telefon.

Słońce schowało się za horyzontem i miasto zaczęło się w sobie zapadać. Zupełnie inaczej niż w Południowym Mieście, gdzie wszystko było zabite deskami a ludzie chowali się w uzbrojonych skorupach, ale nawet tutaj ulice opustoszały, ponieważ każdy bez ochrony Harkera wracał do domu, a nawet ci z medalionami nie wychodzili na zewnątrz. Restauracje i bary były pełne ludzi dość odważnych, by pozwolić sobie na noc poza domem, jednak nikt nie spacerował po chodnikach. W praktyce oznaczało to, że nawet unikając kamer August i Kate zwracali na siebie uwagę samą obecnością na ulicy.

August podążył za Kate przez sieć alejek, aż trafili do kawiarni.

Dziewczyna stanęła w kolejce do toalety i wyszła kilka minut później ubrana w czyjeś ciuchy i trzymając czyjs telefon. Podała mu blezer z Colton.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale trochę pobrudziłam cię krwią.

August zmarszczył nos.

- Dzięki - rzucił, zakładając marynarkę. Kate podała mu telefon i zatrzymali

się w ciemnym korytarzu między kuchnią a stolikami, z dala od kamery, a August wybrał numer. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał.

– OSF.

To go zbiło z tropu. Był tak przyzwyczajony do dzwonienia z własnego telefonu, z którego połączenie od razu szło do linii rodzinnej. Jednak przerobili ten scenariusz, razem z każdą inną możliwą strategią ratunkową, zanim poszedł do Colton.

– Flynn – powiedział August.

– Hasło?

– Siedem osiemnaście trzy.

– Status?

– Czerwony.

– Czekaj.

Zrobiło się cicho i zaczął się martwić, że został rozłączony, ale zaraz usłyszał kliknięcie i odezwał się głos Henry'ego, pełen niepokoju.

– August? August, to ty?

Zabolało go serce.

– To ja, tato.

Coś mignęło na twarzy Kate, kiedy usłyszała to słowo.

– Gdzie się podziewasz? Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest, ale coś się wydarzyło i muszę...

– August – wtrącił się inny głos. Leo.

– Leo, w tej chwili muszę porozmawiać z Henrym. Oddaj mu telefon.

– Jesteś sam? – Głos jego brata był niski i spokojny, siła jego woli niezaburzona.

Odpowiedź wyrwała mu się, zanim zdążył się powstrzymać.

– Nie.

– Kto jest z tobą?

– Kate – odparł, próbując się skupić. – Leo, posłuchaj, ktoś próbował zabić ją dzisiaj w szkole. Zginęły też inne osoby. Odpowiedzialnych było dwóch Malchajów, ale starali się wrobić nas. Udało nam się uciec, tylko że nadal jej szukają i wydaje mi się...

– Zostaw ją.

Pozostałe słowa Augusta utknęły mu w gardle.

– Co?

– Zostaw ją i wróć do domu.

– Nie, nie zrobię tego.

Słyszał głos Henry'ego w tle i desperacko chciał, by Leo oddał telefon ojcu, ale Sunaj nie przestawał mówić:

– Byłeś nadgorliwy i zagroziłeś swojej pozycji. Twoja tożsamość została odkryta, więc naszym priorytetem jest w tej chwili zapewnienie ci bezpieczeństwa.

– A co z nią? – rzucił. Czuł na sobie spojrzenie Kate.

– Ty jesteś ważniejszy – odparł gładko Leo. – Gdzie jesteś, August?

Pytanie było jak cios w splot słoneczny. Musiał odsunąć telefon od ucha, żeby nie odpowiedzieć. Siłą wtłoczył powietrze do płuc. Nie chciał zdradzać swojego położenia i nie był pewien dlaczego.

– *Gdzie. Jesteś?* – powtórzył Leo, a z jego głosu zniknęła cała cierpliwość.

August schylił głowę i zaciska zęby, ale i tak czuł, jak odpowiedź próbuje wydostać się z gardła, więc rozłączył się.

– Co to miało być, do cholery? – zapytała Kate, kiedy chłopak gapił się w telefon. – August?

Pokręcił głową. W głosie Leo usłyszał coś dziwnego, co nie przypadło mu do gustu. Pomyślał o tym, co jego brat mówił o Kate, jakby zasługiwała na to, by cierpieć za przewinienia Harkera tylko dlatego, że była jego córką. Jakby zbrodnie dziedziczyło się niczym cechy genetyczne.

– Nie mogę cię zabrać na Południe – powiedział ponuro.

– Świetnie – rzuciła Kate, zabierając mu telefon. – No to wszystko ustalone.

Nieprawda. Nic nie było ustalone. Wszystko wymykało się spod kontroli.

Zamknął oczy, żeby oczyścić umysł, i usłyszał, jak Kate wpisuje coś szybko do telefonu.

– Co robisz?

– Muszę przekazać wiadomość ojcu. Dać mu znać, że to była zasadzka.

– A co jeśli Sloan ją zobaczy?

Kate pokazała mu wyświetlacz. Znajdował się na nim szereg liter z rozsianymi między nimi myślnikami.

– Kiedy wróciliśmy do miasta po podpisaniu rozejmu, nauczył mnie szyfru.

– To... urocze?

– Hej, dzieciaki – rzuciła do nich kelnerka. – Zamówcie coś albo wyjdźcie.

– Jasne – odparła Kate. – Czekamy tylko na kolegę.

Kobieta chyba nie uwierzyła, ale zostawiła ich w spokoju.

– Co napisałaś? – zapytał August.

– Porwał mnie straszny Sunaj. Proszę, wywołaj wojnę w moim imieniu. – August zachmurzył się. W tym samym momencie odezwał się dzwonek nad drzwiami. – Uspokój się, to tylko moje imię i numer tej komórki.

Zapach i dźwięki uderzyły w niego jednocześnie. Zabrakło mu tchu.

– Do kuchni.

– Co? – zapytała Kate, wyłączając GPS. – Jesteś głodny?

August pokręcił głową.

– Idź w stronę kuchni – szepnął.

Przez salę przeszły odgłosy gwałtownie wciąganego powietrza. Kate obróciła się w ich stronę, ale August zaraz wciągnął ją z powrotem w głąb korytarza.

– Niech wszyscy zostaną na miejscach – powiedział ktoś głosem przywodzącym na myśl stukanie mokrych kamyków. Malchaj.

– Nie powinniście tu wchodzić – zawołał menadżer. – Mieliśmy umowę i...

Trzask przetrącanego karku.

Szuranie krzesel i zduszone okrzyki; ludzie zaczęli wstawać.

– *Stop* – rozkazał Malchaj. – Wszyscy. Na. Miejsca.

August postąpił kolejny ukradkowy krok w stronę kuchni. Jego futerał stuknął o składany stolik i przewróciłby go, gdyby nie Kate, która skoczyła i złapała w ostatniej chwili za krawędź. Gdy tylko przeszli przez kuchenne drzwi, August odwrócił się i przełożył przez uchwyty jakiś przyrząd do gotowania.

– Hej! – zawołał donośnym głosem jeden z kucharzy. – Nie możecie tu być.

Krzyk odbił się echem, a August złapał Kate za rękę i pobiegł. Dopadli do tylnego wyjścia akurat w chwili, gdy pierwszy Malchaj uderzył w drzwi do kuchni. Utworzona naprędce barykada wytrzymała wystarczająco długo, by mogli uciec do alejki.

– Nie możemy tu zostać – powiedziała Kate, rozglądając się w poszukiwaniu kamer.

– Istnieje w ogóle jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać? – zapytał August, popychając śmietnik przed drzwi.

Kate pokręciła głową, ale już ciągnęła go do wyjścia z alejki i za róg, jak najszybciej oddalając się od restauracji. Kiedy dotarli na ulicę, wzięła go pod ramię od zdrowej strony i przyciągnęła blisko do siebie, wtulając się w niego. August był zaskoczony, ale się nie odsunął. Z początku nie rozumiał, lecz zaraz wszystko pojał. Jedyni ludzie na ulicy chodzili parami albo grupami, a oni nagle wyglądali mniej jak rozgorączkowane nastolatki w trakcie ucieczki, a bardziej jak młoda para. Zwracali na siebie mniejszą uwagę.

August niezobowiązująco pochylił głowę, jakby chronił dziewczynę przed podmuchem wiatru.

– Musimy się wydostać z czerwonej strefy zanim mój ojciec się odezwie – powiedziała.

Zwrócił uwagę, że użyła liczby mnogiej.

– I jak mamy to zrobić?

– Nie wiem – odparła, opierając się o niego. – Na każdym budynku w Północnym Mieście są zainstalowane kamery, a wkrótce na ulicach zaroi się od potworów i Bóg jeden wie, ile z nich pracuje dla Sloana.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, zatrzymała się.

– Co jest?

Odwróciła się w jego stronę i popatrzyła wielkimi oczami.

– Malchajowie pracują dla Sloana.

– Myślałem, że już to ustaliliśmy.

– No tak, ale to oznacza, że musimy się dostać tam, gdzie nie dostaną się Malchajowie. – August otworzył usta, żeby zapytać, jakie niby miejsce ma na myśli, ale potem powiódł za jej wzrokiem i spojrzał pod swoje stopy. Nad kratką przy chodniku unosiła się smużka pary.

– A niech mnie.

III

– Chciałem zaznaczyć – powiedział August, kiedy schodzili po rurach i prętach do wnętrza tunelu metra – że moim zdaniem to okropny pomysł.

– Malchajowie nienawidzą Corsai – odparła Kate, zeskakując ostatnie metry – i, z tego, co widziałam, to uczucie jest odwzajemnione.

– No cóż – zaczął August, łądując obok niej – Sunajowie nie przepadają za żadnymi.

– Chciałeś iść ze mną, to nie marudź – rzuciła Kate, chociaż w głębi duszy czuła ulgę, że jednak jej towarzyszy. Na samą myśl, że miałaby to robić sama, ogarniały ją mdłości. Ramię bolało przy każdym oddechu, a August może i był potworem, ale nie chciał jej śmierci. W tunelu panowały niebezpieczne ciemności; słaby blask z ulicy sączył się przez kraty, a od czasu do czasu mijali lampy. Nie dawały światła wysokiej gęstości czy fluorescencyjnego, były zwyczajnymi prostokątami świecącymi na czerwono.

Podłoga po ich nogami nie była jednolita – środkiem i pod ścianami biegingły szpary, ziemia pod nimi znikwała w ciemności. August posłał kamień w dół i minęły dobre trzy sekundy, zanim usłyszeli plusk.

– Co jest tam na dole?

Kate wyciągnęła z plecaka latarkę i włączyła, celując promieniem w szparę. Daleko w dole płynęła woda.

– Wygląda na rzekę. – Zaszurała butem o beton. – Myślę, że tutaj kiedyś był most.

August zaczął coś mówić, ale Kate obróciła się, a światło jej latarki przecinało skompresowany mrok tunelu pojedynczą linią. W prawym uchu słyszała tylko szumy, lecz lewe wychwytywało płynący z daleka szelest cieni, drapanie szponów o beton i nieustanne szepty. Sądząc po wyrazie twarzy Augusta, też to słyszał.

gryź łap bij tłucz lej siep tój skuj

Krażyły plotki, że Corsaje zdradzały sekrety, że ich nonsensowne mamrotanie nabierało sensu tuż przed śmiercią ofiary. Inni twierdzili, że potwory tylko papugowały grzechy, które ich stworzyły, wyszeptując okropności, naśladowując obrzydliwy dźwięk metalu tnącego skórę, łamanych kości, zduszonych krzyków.

Teraz nie była dobra chwila, by tracić panowanie nad sobą. Kate skoncentrowała się na oddechu, powtarzając w myślach, że Corsaje karmią się strachem. Stała przodem do tunelu, światło latarki wgryzało się w ciemność, i próbowała skupić wzrok na samym środku, na najgęstszym mroku, akurat

w chwili, gdy ten zaczął się *ruszać*.

– Jestem córką Calluma Harkera – zawołała w ciemność.

– *Harker, Harker, Harker* – zawtórował jej mrok.

A potem słowo zostało poniesione dalej i gdy wróciło, brzmiało już inaczej:

– *Nie nasz Harker, Harker, Harker*.

Kate zadrżała, zdusiła w sobie chęć wycofania się, cały czas wpatrując się w miejsce, gdzie kończył się strumień światła połknięty przez czerni.

August uklęknął obok niej i otworzył futerał.

– Masz jeszcze jedną latarkę? – zapytała cicho.

– Nie – odparł – ale mam coś o wiele lepszego. – Wyjął skrzypce. – Poza tym chciałaś usłyszeć, jak gram.

Pamiętała upiorne akordy i to, jak Malchajowie krzywili się, kulili i zakrywali uszy, a ją pokryła warstwa spokoju, jak płatki śniegu.

Za ich plecami czerwone światło wydobywało błysk zębów i szponów, a ciemność zaczęła się burzyć.

– Pamiętasz, kiedy powiedziałem, że to zły pomysł? – mruknął August, zarzucając sobie zamknięty futerał na ramię.

– Dobra wiadomość jest taka, że wątpię, by powiedzieli Sloanowi o naszej obecności tutaj – rzuciła, ściskając latarkę.

– A zła? – zapytał August, kładąc skrzypce pod brodą.

Kate narysowała łuk światłem latarki i coś zatrzepotało jak skrzydła, a Corsaje rozdzieliły się i zmieniły kształt.

– Zła wiadomość jest taka, że nie wydaje mi się, by cieszyli się na nasz widok.

Machnęła jeszcze raz i promień musiał trafić w głowę potwora, ponieważ pojedynczy cień wrzasnął i oderwał się od masy, błyskając białymi oczami, rozrzucając zęby na wilgotną podłogę niczym kamyki.

– Na co czekasz? – warknęła Kate, a Corsaje syczały i kłapały szczękami.

– Artysty nie można pośpieszać – rzekł August i umieścił smyczek na strunach. Ciemność zbliżała się do nich jak pędzący pociąg, krawędzie mroku szarpały powietrze, ale gdy Kate akurat poddała się i cofnęła o krok, August wreszcie zaczął grać.

Pojedyncza, odbijająca się echem nuta rozbrzmiała wewnątrz tunelu i wszystko zamarło.

Dźwięk wibrował jeszcze w powietrzu, kiedy August zagrał drugi i zaraz trzeci, by splotły się ze sobą w akord. Muzyka była jak ostrze przecinające mrok. Melodia wypełniła umysł Kate, a Corsaje wycofały się jak jeden mąż, jakby odparci ogromnym promieniem światła. Syczeli wściekle i rozdzielili się, upadając pod naporem muzyki, a Kate czuła, jak jej myśli również zaczynają opadać i płynąć z akordami jak wtedy w Colton.

Teraz, w ciemności, mogła też ją *zobaczyć*. Przesączała się przez powietrze jak kosmyki światła słonecznego, wstążki koloru wijące się i prężące, nie dopuszczając mroku do niej i Augusta. Kate zachwiała się pod wpływem nagłych zawrotów głowy, a jej stopy zatrzymały się i nie chciały ruszyć. Nie mogła się odwrócić, nie mogła nie patrzeć. Jej zmysły wplątały się w akordy,

pieśń pochłonęła jej umysł i wzrok.

A potem popatrzyła w dół i zobaczyła, że ona też świeci, że dziwny blady blask podpłynął pod powierzchnię jej skóry. Jak urzeczona przyglądała się mu, jak tańczył niczym opary dymu, chociaż znajdował się pod powierzchnią. Srebrzysty dym, pulsujący słabo zgodnie z uderzeniami jej serca.

Czy to było jej życie?

Czy to była jej dusza?

Z oddali dotarł do niej głos Augusta, miękki i płynny, spleciony z muzyką.

– Chodź, Kate.

Pieśń osłabła, ucichła, pozostawiając po sobie tylko echo. August złapał ją za rękę i w tej chwili oprzytomniała na tyle, żeby się wystraszyć.

– Nie – powiedziała, próbując odepchnąć go, zanim skradnie jej duszę. Zrobiła to zbyt wolno, ale kiedy jego palce chwyciły jej nadgarstek, nic się nie stało.

– Spokojnie – rzekł ostrożnie, z napięciem w głosie. – Nie mogę cię skrzywdzić... Spojrzała na miejsce, gdzie jej skóra spotykała się z jego skórą, na srebrzysty blask, który zdawał się uginać wokół jego palców niczym strumień opływający kamień.

– Ale musisz trzymać się blisko. – Przyciągnął jej dłoń do siebie i powrócił do grania pieśni od miejsca, w którym skończył, zanim ostatnie wstęgi muzyki rozproszyły się zupełnie w powietrzu. – Chodź ze mną.

I prawda była taka, że Kate prawdopodobnie skoczyłaby za nim w przepaść, byle nie przestawał grać. Słowa wydostały się z jego ust, splotły się z muzyką i stały się rzeczywistością, stały się prawdą. Szli we dwoje przez tunel, stanowili ruchome centrum sfery melodii i światła. Umysł Kate tonął. Próbowwała podpłynąć do powierzchni, lecz ta ciągle jej umykała. Zupełnie jakby znalazła się na granicy jawy i snu, gdzie nie możesz pochwycić własnych myśli. Nie możesz chwycić się niczego.

Lecz ona chwyciła Augusta.

Ciemność przerzedziła się, kiedy dotarli do stacji, tunel rozciągnął się w pomieszczenie zwieńczone wysokim łukowym sufitem, pojawiły się perony. Płytki błyszcząły jak zęby, kiedy odbijało się od nich światło pieśni Augusta.

W upiornym blasku zamigotał znak „Caster Way”. Kierowali się na północny wschód.

Tunele metra zwięzały się i rozszerzały, zaś tory łączyły i rozdzielały, i znowu łączyły. Minęli zajezdnię z pociągami, które czekały na poranną zmianę.

Kate nie była pewna, jak długo trwała pieśń. Nie potrafiła policzyć minut, czuła, że coś mówi, że jej usta formują jakieś słowa, które ulatują z niej. Nie słyszała jednak własnego głosu, tylko muzykę, a jeśli August ją słyszał, nie odpowiedział, nie odwrócił się. Szedł cały czas do przodu, z podniesionymi skrzypcami i poruszając rękoma.

Nie był już chłopakiem z trybun albo tym skulonym na tylnym siedzeniu samochodu. Nie był już potworem krztuszącym się czarną mazią albo przypiętym do niedokończonej ściany.

To był zupełnie inny August Flynn.

Pewny siebie.

Hipnotyzujący.

Kate poczuła, że jej usta formułują także te słowa, lecz przerwał jej ostry brzdęk, kiedy pękła jedna ze strun. August zachwiał się, na jego twarzy pojawiła się panika. Znowu zaczął grać i melodia wróciła, wciąż wprawiająca w trans, lecz jednocześnie jakby... rzadsza. Mniej wstążek światła plotło się wokół nich, a kiedy blask oświetlił twarz Augusta, dojrzała na niej troskę.

A potem, zbyt szybko, pękła druga struna. Augustowi brakowało tchu. Teraz pieśń brzmiała wyraźnie słabiej. Czuła, jak jej obecność wycofuje się z jej umysłu, i brała to za zły znak.

– August – powiedziała ostrzegawczo.

– Nigdy nie gram tak długo – wyjaśnił, mrużąc oczy w skupieniu. – Moja pieśń potrzebuje czterech strun.

Widziała napięcie na ostatnich dwóch, miejsce spotkania smyczka i strun emanowało blaskiem jak ciepłem. Nici światła w powietrzu zaczynały blednąć, a ciemność – i wszystko, co się w niej wiło – ruszyła do przodu.

Nad nimi tunel ponownie się rozszerzył. Pośrodku coś błysnęło. Nie oczy czy zęby, ale metalowe rogi wagonu.

Coś chrobotło o ściany tunelu za plecami Kate, drapanie przebijało się przez cichnącą pieśń Augusta. Nie odwróciła się. Nie zrobi tego. Patrzenie nie pomoże. Sprawi jedynie, że stanie się to prawdą.

– Kate – powiedział August tuż przed tym, jak pękła trzecia struna.

– Co?

– *Biegnij.*

III

Biegli.

Tak szybko, jak tylko potrafili, a ostatnie kosmyki pieśni i światła ciągnęły się za nimi jak serpentyny, szybko rozpraszając się w ciemności. Muzyka nie pozwalała potworom się zbliżyć, lecz były cierpliwe, czekali przez cały ten czas i gdy pieśni zabrakło, ruszyli do przodu masą szponów i zębów.

August patrzył przed siebie, a Kate przecinała mrok promieniem latarki, próbując powstrzymać goniące ich maszki, dopóki nie dobiegną do wagonu. Dotarli do drzwi wejściowych chwilę przed tym, jak dosięgła ich najbliższa kreatura.

August wskoczył po schodkach, ale Kate zachwiała się i krzyknęła, zanim zdążył ją wciągnąć. Otoczył ją ramionami i zasłonił własnym ciałem, podczas gdy Corsai uderzyli w wagon falą *gryź łap bij*. Syczeli i wyciągali szpony, drapali stal, ale nie chcieli dotykać Augusta, więc nie mogli też dobrać się do Kate.

– Drzwi! – krzyknął, kiedy Corsaje próbowały wyrwać mu skrzypce z rąk. – Szybko!

Kate trzęsła się i zbladła, ale obróciła się w ramionach Augusta, chwyciła i pociągnęła.

Metal przesunął się z niechętnym stęknieniem. Wpadli do środka i próbowali siłą zamknąć drzwi. Widmowa ręka wepchnęła się do wnętrza wagonu, lecz gdy August ją dotknął, potwór cofnął się jak oparzony i drzwi się zsunęły.

Kate i August stali w ciemnym przedziale, ledwo dysząc, a na zewnątrz kłębiły się cienie, drapiąc i obijając się o pleksyglasy, ale ściany były pokryte pasami metalu, więc niedługo potwory wycofały się z powrotem w mrok tunelu. Zostawiły za sobą zapach – mieszaninę popiołu i wilgotnej stęchlizny.

Kate rzuciła się na siedzenie.

– Miałaś rację – powiedziała. – Najgorszy plan świata.

– Mówiłem – odparł August, padając na kolana. Obejrzał skrzypce, krzywiąc się na widok dużego zadrapania biegnącego wzdłuż instrumentu. Przetrzepał futerał w poszukiwaniu zestawu zapasowych strun i zajął się ich zmianą w świetle latarki Kate.

– Dlaczego skrzypce? – zapytała drżącym głosem.

August nie podniósł wzroku.

– Sunajowie używają muzyki, żeby wydostać duszę na powierzchnię – powiedział, wymontowując zerwane struny.

– To już wiem. Ale dlaczego akurat skrzypce? Możesz użyć czegoś innego? –

Zastukała palcami w obicie fotela. – Jeśli wybijesz rytm, będzie się liczył jako muzyka?

August pokręcił głową.

– Możesz przytrzymać światło trochę wyżej?

Zaczepił pierwszą strunę i przeciągnął przez kołek.

– Każde z nas ma swoją pieśń – wyjaśnił. – Utwór, który należy tylko do nas, coś, z czym się urodziliśmy, jak odcisk palca. – Naciągnął strunę. – Leo potrafi wygrywać swoją pieśń na praktycznie wszystkim, na gitarze, fortepianie, flecie, ale Ilsa wykorzystuje wyłącznie swój głos. A moja pieśń udaje się tylko wtedy, gdy używam tego. – Zagrał na świeżo założonej strunie. – Moja siostra uważa, że chodzi o piękno. Że nasza muzyka nawiązuje do pierwszego pięknego dźwięku, jaki usłyszeliśmy. Ja usłyszałem skrzypce. Ona usłyszała czyjś śpiew.

– A Leo?

August się zawahał. Zgodnie z logiką założenia Ilsy, Leo najwyraźniej potrafił odnaleźć piękno we wszystkim. Jednak chłopak nie potrafił sobie wyobrazić, by jego brat widział w świecie cokolwiek innego niż coś, co należy udoskonalić, naprawić.

– Kto wie...

Pracował przez chwilę w ciszy, zakładając drugą i trzecią strunę.

– Wiesz, jest duża różnica – rzuciła Kate – między tym, czego nie możesz, a czego nie chcesz.

– Słucham? – Obrócił się. Nawet w niemal absolutnej czerni panującej w wagonie wydawała się blada.

– Kiedy wzięłeś mnie za rękę, kazałeś mi się nie martwić. Nie powiedziałeś, że nie zamierzasz mnie skrzywdzić. Powiedziałeś, że *nie możesz* mnie skrzywdzić.

August skupił się znowu na skrzypcach. To nie był dobry moment.

– Widziałam nagrania – ciągnęła dalej, jej głos dziwnie drżał – pożywiającego się Leo. Dotyka ludzi i zabiera im dusze. Ale kiedy ty mnie dotknąłeś, nic się nie stało. Dlaczego?

August zawahał się, naciągając ostatnią strunę.

– Możemy zabierać dusze tylko tych, którzy skrzywdzili innych ludzi.

– Ja też skrzywdziłam innych ludzi – powiedziała Kate obronnym tonem, jakby była z tego dumna.

– Nie w ten sposób.

– Skąd wiesz?

– Bo twój cień nie żyje własnym życiem, a twoja dusza nie świeci na czerwono. Kate zamilkła na kilka chwil, a potem zapytała:

– Co naprawdę oznaczają te kreski na twojej skórze?

August szarpnął każdą ze strun po kolei, próbując je nastroić.

– Dni.

Odłożył skrzypce do futerału, a Kate wyłączyła latarkę, pogrążając ich oboje w słabą czerwoną poświatę oświetlenia tunelu.

– Lepiej, żeby się nie rozładowała – rzuciła.

August nie protestował. Usiadł na podłodze naprzeciw Kate, opierając się

o siedzenie, i zaczął pocierać kreski na przegubie. Nawet wcześniej, kiedy oddał się pieśni, poczuł pojawienie się najświeższego znaku jako linię ciepła na skórze. Nastął nowy dzień.

– Ile ich jest?

– Czteryście dwadzieścia dwa.

– Odkąd?

Przełknął ślinę.

– Odkąd ostatni raz upadłem.

– Co masz na myśli?

– Tak się dzieje, gdy Sunaj przestaje się pożywiać. Wtedy staje się... ciemnością. Traci umiejętność rozróżniania dobra od zła, potwora od człowieka. Po prostu zabija. Zabija wszystkich. Nie chodzi nawet o zaspokojenie głodu. Tylko... – urwał, wstrząsnął nim dreszcz. Nie powiedział, że za każdym razem, kiedy Sunaj stawał się ciemnością, tracił kawałek swojej duszy. O ile mieli dusze; kawałek tego, co sprawiało, że czuł się człowiekiem. Za każdym razem, kiedy upadali, coś nie wracało.

– Jak to wygląda? – dopytywała Kate. – Kiedy stajesz się ciemnością?

– Nie wiem – odparł krótko. – Nie widzę siebie.

– Ale powiedziałaś wcześniej, że wolałbyś umrzeć, niż dopuścić znowu do tego. Bez wahania.

– Tak.

Oczy Kate tańczyły w słabym świetle.

– Ile razy to się stało, August?

Jej pytania były łatwiejsze do zniesienia, kiedy jej nie widział.

– Dwa. Pierwszy raz kiedy byłem o wiele młodszy, a drugi...

– Czteryście dwadzieścia dwa dni temu – dokończyła za niego. – Więc co się stało?

August zawahał się. Nie rozmawiał na ten temat. Nigdy. Nie miał z kim. Henry i Emily tego nie rozumieli – nie potrafili zrozumieć – a Leo uważał, że dusza tylko rozprasza, swoją celowo spalił. Z kolei Ilsa, cóż, ostatnim razem, kiedy stała się ciemnością, najwyraźniej zabrała ze sobą kawałek Miasta Prawdy.

– Przestałem jeść – powiedział w końcu. – Nie chciałem już tego robić. Nie chciałem się czuć jak potwór. Pokłóciliśmy się z Henrym, wyszedłem rozgniewany. Większość dnia wędrowałem po mieście jak w transie, pogrążony w myślach. – Zamknął bezwiednie oczy, wspominając. – Byłem już wreszcie w drodze powrotnej, kiedy natrafiłem na jakąś bójkę i... znasz to uczucie, kiedy jesteś głodna i zapach jedzenia jest upajający? Kiedy umierasz z głodu i myślisz tylko o posiłku? Poczułem zapach krwi na ich rękach, a potem... – Głos mu zadrżał. – Pamiętam uczucie pustki. Jakby w środku mnie pojawiła się czarna dziura, coś, co musiałem wypełnić i nie mogłem. Bez względu na to, ilu zabiłem ludzi. – Po tych słowach jego gardło było zdarte, a dłonie trzęsły się. – Więc tak, wolałbym umrzeć, niż przeżyć to ponownie.

Kate zamilkła.

August z wysiłkiem podniósł powieki.

– I co, nie masz nic do powiedzenia?

Siedziała krzywo na ławce, miała zamknięte oczy i przyszło mu do głowy, że po prostu zasnęła, ale jej ręka, którą trzymała na brzuchu, opadła na kolana i była mokra od czarnej substancji.

Nawet w słabym świetle widział, że to krew.

III

– Kate. – August rzucił się do niej, uklęknął i ujął jej twarz w dłonie. – Kate, obudź się.

– Gdzie jesteś? – mruknęła.

– Tutaj.

– Nie – wymamrotała – to nie działa w ten sposób... – Już odpływała w nieświadomość.

– Przepraszam – powiedział i zaraz ścisnął jej zranione ramię. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i krzyknęła, a potem kopnęła go w pierś. Zatoczył się do tyłu i kiedy pocierał miejsce uderzenia, mruknęła:

– Nic mi nie jest.

– Dlaczego nic nie mówiłaś? – zapytał, mrużąc oczy, żeby dojrzeć coś w słabym świetle.

Kate pokręciła głową, a August nie miał pojęcia, czy to odpowiedź czy dziewczyna próbuje walczyć z otumanieniem.

Chwyił latarkę.

– Daj, zobaczę – rzucił, wciskając włącznik, ale zaraz tego pożałował. Brzuch Kate był cały we krwi.

– Będzie dobrze... – wymamrotała niewyraźnie i nie walczyła, kiedy August położył ją na ławce. Zakłęła dopiero wtedy, gdy podniósł jej koszulkę. Pomyślał, że taka reakcja dobrze wróżyła; oznaczała, że Kate jest przytomna. Mimo to wzdrygnął się, gdy spojrzał na ranę. Od żeber po pępek biegły dwa ślady po ostrych jak brzytwa szponach. Potwór nie rozerwał żadnych ważnych organów, jednak rany były głębokie i Kate straciła wiele krwi.

– Posłuchaj mnie – powiedział, zdejmując blezer. – Nie możesz zasypiać.

Omam się nie roześmiała, jej płytki chichot urwał się, gdy poczuła ból. August wypruł podszewkę blezera.

– Co cię tak śmieszy?

– Jesteś naprawdę beznadziejnym potworem, Auguście Flynnie.

Przycisnął podszewkę do brzucha Kate, która zaraz wyrzuciła z siebie kolejne przekleństwa. Potem wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu apteczki.

– Mów do mnie, Kate – rzucił. – Gdzie jesteś?

Przełknęła ślinę i odparła:

– Na jeziorze.

– Nigdy nie byłem nad jeziorem. – Znalazł zestaw do pierwszej pomocy za siedzeniami przy tylnej ścianie wagonu i wrócił do dziewczyny ze sprejem

dezynfekującym i gazą. – Opowiedz mi, jak tam jest.

– Słonecznie – wyjaśniła zaspianym głosem. – Łódka się kołysze, woda jest ciepła, niebieska i pełna – syknęła, gdy psiknął – ryb.

– Potrzebujesz szwów – powiedział, owijając ranę gazą.

– Żaden problem – stwierdziła ironicznie Kate. – Możemy skoczyć na chwilę na górę i do najbliższego szpitala. Jestem pewna, że nikt nie zwróci uwagi na Kate Harker i Sunaj... Ałaaa! – przerwała, kiedy August przycisnął opatrunek do jej brzucha.

– Nie potrzebujemy szpitala – odparł spokojnie – tylko zestawu chirurgicznego.

– Tylko spróbuj zbliżyć się do mnie z igłą i nitką...

– Mój ojciec jest chirurgiem.

– Przestań go tak nazywać – warknęła, z sykiem podnosząc się do siedzącej pozycji. – On nie jest twoim ojcem. Jest człowiekiem, a ty jesteś potworem, który dla niego pracuje.

August znieruchomiał.

– Co? Nie masz nic do powiedzenia? Ach, właśnie, zapomniałam, że nie możesz kłamać.

– Henry Flynn jest dla mnie rodziną – odparował. – I mogę się założyć, że jest lepszym ojcem niż twój.

– Wypchaj się. – Kate osunęła się na siedzenie, oddychając przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego ty w ogóle chcesz być człowiekiem? Człowiek jest kruchy. Umiera.

– Ale też żyje. Ty nie spędzasz każdego dnia na zastanawianiu się, dlaczego istniejesz, ale nie czujesz się prawdziwa, dlaczego wyglądasz jak człowiek, choć nimi nie jesteś. Nie robisz wszystkiego z myślą, by być jak najlepszą osobą, tylko po to, by ciągle słyszeć, że nie jesteś wcale żadną osobą.

Zamilkł, zabrakło mu tchu.

Kate popatrzyła na niego ostro. Czekał, dając jej szansę na odezwanie się, lecz nie wykorzystała jej. Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– August – zaczęła wtedy.

A potem w wagonie rozległ się głośny szum.

Elektryczność zatrzeszczała w tunelu i zaraz oboje podnieśli głowy, patrząc, jak na powrót zapalają się światła.

– O nie – rzucił August, podczas gdy Kate w tym samym momencie powiedziała:

– Wreszcie.

W blasku lamp wydawała się jeszcze bledsza, a krople krwi na metalowej podłodze i siedzeniu miały kolor agresywnej czerwieni.

– Musimy iść – oznajmił August, wstając. – I to już. – Mówiąc to, jednocześnie coś pokazał i Kate podążyła wzrokiem na sufit, gdzie zobaczyła małe czerwone kropeczki. Kamery.

– Cholera – mruknęła, podnosząc się z pomocą drążka. Syknęła z bólu i August ruszył z powrotem w jej stronę, ale zaraz go zatrzymała: – Zajmij się

drzwiami.

Zarzucił futerał na ramię i rozsunął drzwi wagonu. Rozciągający się za nimi tunel nie był w pełni oświetlony, jednak pasma światła UVR rysowały kratę na ścianach, zaś po Corsajach nie było śladu.

August wyciągnął rękę, żeby pomóc Kate wyjść z wagonu, ale nie skorzystała i musiał ją złapać za ramię, kiedy wylądowała i omal się nie przewróciła. Uwolniła się i ruszyła tunelem w stronę najbliższej stacji, ostrożnie stawiając stopy na deskach między torami. August szedł za nią, wytyczając słuch, by nie przegapić dźwięku nadjeżdżającego pociągu, lecz najwyraźniej metro nie zaczęło jeszcze funkcjonować. Gdzie się znajdowali? Jak daleko zaszli w nocy? Nie do końca linii, to było jasne, ale August czuł, jak z każdym krokiem tętno miasta słabnie.

Dotarli do najbliższej stacji i zeszli z torów na peron – Kate wreszcie pozwoliła sobie pomóc – akurat w chwili, gdy kraty w wejściu otworzyły się z chrobotem i do środka zaczęły napływać ludzie.

Jako jedyni wchodzili schodami na górę, zamiast schodzić w dół, a August nieśmiało objął Kate w pasie, wspominając ich bliskość z zeszłej nocy, kiedy przeobrazili się z dwójga ludzi w parę. Teraz było jednak inaczej, Kate opierała się na nim nieco zbyt mocno, jego blezer okalał ją ciasno, zakrwawioną dłoń włożyła do kieszeni i teraz spojrzenia przechodniów zatrzymywały się na nich dłużej.

Ludzie schodzący z ulicy strzepywali krople deszczu z płaszczy, składali parasole. August podwędził gazetę ze stoiska przy wyjściu z metra i otworzył ją przed nimi, gdy wspinali się po schodach w stronę obietnicy porannego światła.

Gdy tylko dotarli na powierzchnię, August się zatrzymał.

Dokoła nich wznosiły się budynki, jednak nie były to potężne drapacze chmur, jakie znali z czerwonej strefy. Te tutaj były znacznie niższe i chociaż gęsto poustawiane, dało się dostrzec niebo nad ich dachami. Miejscami rosły nawet drzewa. Nie tworzyły skupiska jak w Colton, lecz szereg, a każde zostało odgrodzone niskim płotkiem. W oddali majaczył zarys centrum, a stąd Północ i Południe nie różniły się znacząco od siebie. Nie było widać Szwu.

Kate zadrżała u jego boku i zwróciła na siebie uwagę Augusta. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się apteka.

– Zostań tutaj – powiedział, podając jej parasolkę. Dziewczyna kiwnęła nieznacznie głową, lecz nie odezwała się.

Wyciągnął ręce przed siebie, by deszcz zmył jak najwięcej krwi, a potem wszedł do środka. Wyjął z kieszeni kilka zwiniętych banknotów – nie nosił przy sobie zbyt wiele, tylko tyle, ile Henry kazał mu mieć na wszelki wypadek – i ruszył między regały, starając się unikać kamer. Zebrał zestaw chirurgiczny, środek antyseptyczny, tabletki przeciwbólowe i plastry.

Palce go świerzbiły, żeby zadzwonić do ojca i powiedzieć mu, że wszystko w porządku, że próbuje *pomóc*. Ale co gdyby odebrał Leo? Albo gorzej, gdyby okazało się, że brat jest już w drodze? Co by zrobił, gdyby znalazł Kate?

– Dalej na tej ulicy znajduje się klinika – powiedziała kobieta za ladą.

August podniósł wzrok.

– Słucham?

Kiwnęła głową na zakupy i zdał sobie sprawę, jak transparentna była jego sytuacja. Powinien był dodać inne rzeczy, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ale nie miał zbyt wiele pieniędzy. Spróbował znaleźć niegroźną wersję prawdy.

– Koleżanka miała wypadek – powiedział. – Nie chce, żeby rodzina się dowiedziała.

Kobieta pokiwała głową i zapakowała zakupy.

– Nadopiekuńczy rodzice?

– Coś w tym stylu. – August zapłacił, postawił kołnierz i wyszedł na deszcz. Podniósł wzrok, spodziewając się zobaczyć Kate czekającą przy wejściu do metra, gdzie ją przed chwilą zostawił.

Jednak nie było jej tam.

– Nie, nie, nie – wymamrotał pod nosem August, przebiegając na drugą stronę ulicy i wstrzymując oddech, dopóki nie dotarł dokładnie do miejsca, w którym się wcześniej znajdowała, jakby to miało sprawić, że się tam nagle pojawi. Kałuża u jego stóp zabarwiła się na czerwono. Deszcz zmoczył mu włosy, kilka kropel spadło z jego futerału, kiedy obrócił się i rozejrzał dokoła, ledwo powstrzymując się przed wołaniem dziewczyny. Ze wszystkich stron mijały go parasole niesione przez przechodniów.

A potem nareszcie ją zauważył, stojącą pod daszkiem znajdującego się nieopodal budynku. Zalała go fala ulgi tak dużej, że aż go to zaskoczyło.

– Myślałem, że sobie poszłaś – powiedział, podbiegając do niej.

Kate popatrzyła na niego i odparła:

– Rozważałam to – i wtedy jej wzrok padł na torbę z zakupami z apteki – ale czeka nas przecież tyle zabawy.

III

I

Przeszli trzy przecznice do motelu – takiego, gdzie wynajmuje się pokoje na godziny – i wydali tam większość gotówki Kate. Właściciele przybytku twierdzili, że nie podpięli się do systemu monitoringu Harkera – mieli tylko własny, dla bezpieczeństwa – a mężczyzna na recepcji uśmiechnął się do nich ze spokojem, podając im dwa klucze.

– Tu jest brudniej niż w metrze – stwierdziła Kate, siadając ostrożnie na krawędzi łóżka, podczas gdy August rozkładał przybory. Pomyślała o poranku poprzedniego dnia, kiedy w podobny sposób przygotowała trytytki, taśmę klejącą i metalowe szpikulce. Czy to możliwe, że minął tylko jeden dzień? – Naprawdę wiesz, co robisz? – zapytała, kiedy rozerwał zestaw chirurgiczny. A potem, gdy już zaczął jej odpowiadać, uprzedziła go i podniosła rękę, mówiąc: – Flynn. Chirurg. Pamiętam.

Rzucił jej fiolkę z tabletkami i połknęła trzy bez popicia, a za chwilę zdjęła marynarkę i koszulkę. August nawet nie próbował na nią ukradkiem spojrzeć, zakładając jednorazowe rękawiczki. Powinna była wcześniej się domyślić, że nie jest człowiekiem.

Ślady po zębach na jej ramieniu nie były głębokie, jednak rany na brzuchu zaczerwieniły się i zaogniły. Kate położyła się na plecach i skrzywiła, kiedy August oczyścił zranienia i spryskał środkiem znieczulającym. Wciągnęła powoli powietrze, żeby się uspokoić, gdy zobaczyła, jak chłopak sięga po igłę.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Postaram się zrobić to szybko.

– Czekaj. – Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów. Była trochę mokra, ale papierosy nadal dało się zapalić.

August pokręcił głową.

– Ze wszystkich sposobów na śmierć...

– Będę miała szczęście, jeśli pożyję wystarczająco długo, by papierosy stały się problemem. – Włożyła jednego do ust i zaciągnęła się. – Dobra. Zróbmy to.

Wszystko piekielnie bolało, ale Kate musiała przyznać jedno: August był ostrożny. Delikatny. Na tyle, na ile można być delikatnym, wbijając komuś igłę. Było jednak jasne, że nie chce jej skrzywdzić – wręcz przeciwnie, to wszystko wyraźnie działało na niego odpychająco. Świetnie. Wrażliwy potwór. Kto by pomyślał.

Jednak w połowie zabiegu Kate poczuła, że jej determinacja słabnie. W

pokoju było zbyt cicho, a ból był zbyt ostry i zanim się obejrzała, zaczęła mówić. Nie miała pojęcia dlaczego, ale słowa popłynęły z niej same i nie próbowała ich zatrzymać.

– W dzieciństwie słyszałam wiele historii o ojcu – powiedziała, próbując się nie ruszać. – Przez lata właściwie tylko tym dla mnie był, dobrą historią. Ale chciałam, żeby okazał się prawdziwy. W opowieściach mamy wydawał się taki silny, niepokonany, a sama ledwo go pamiętałam, bo byłam jeszcze mała, kiedy wyjechałyśmy z miasta. Dlatego z czasem niczego tak nie pragnęłam, jak ponownie go zobaczyć. Zjednoczyć na nowo rodzinę. – Syknęła z bólu, lecz zaraz podjęła znowu wątek. – A potem wróciliśmy do Miasta Prawdy i wszystko było nie tak. Zupełnie inaczej niż w opowieściach. Ojciec był ciągle nieobecny, a gdy się już pojawił, wydawał mi się obcym człowiekiem. Jakbyśmy mieli gościa w domu. Mama nie mogła tego znieść. W noc jej śmierci – ciągnęła dalej Kate – wyciągnęła mnie z łóżka. Usta miała zbyt czerwone i widziałam, że płakała.

Wstawaj, Kate. Musimy jechać.

Ale gdzie?

Do domu.

– Cały czas oglądała się za siebie. Nikt nas jednak nie zatrzymał. Nie kiedy wymknęłyśmy się z apartamentu. Nie kiedy zabrała samochód. Nie kiedy miasto zmieniło się w smugę za oknem.

On się wścieknie, mamo.

Nic się nie martw, Kate. Wszystko będzie dobrze. Siedź tam i zamknij oczy. Powiedz mi, gdzie jesteś.

To była ich ulubiona gra, sposób na zmianę miejsca, w którym się aktualnie przebywało, na takie, w którym chciało się być.

No dalej, Kate. Zamknij oczy.

Zacisnęła powieki, jednak zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, usłyszała zgrzyt szponów drapiących o karoserię, zobaczyła rozbłysk światła. Okropne odwrócenie grawitacji tuż przed uderzeniem. Ogluszający zgrzyt metalu, pisk opon, trzask pękającej szyby, a potem... cisza. Twarz matki, z policzkiem przyciśniętym do kierownicy, a w oknie za jej głową dwa czerwone punkciki oczu.

Kate wciągnęła gwałtownie powietrze i próbowała się podnieść.

– Przepraszam – powiedział August, przyciskając dłoń do jej zdrowego ramienia. – Już skończyłem. Już po wszystkim.

Nie, nie, co się... – Kate próbowała uchwycić wspomnienie, ale zdążyło jej się wymknąć. Zupełnie jakby obudziła się zbyt szybko, a sen rozpadł się, zanim zdążyła go pozbierać. Widziała coś, zobaczyła... Niestety – zniknęło. Wszystko na powrót się pokruszyło na kawałki. Kate słyszała dzwonienie w chorym uchu.

– O czym mówiłam? – zapytała, próbując otrząsnąć się z dziwnej paniki.

August spuścił wzrok, zawstydzony.

– Przepraszam.

Obróciła głowę.

– Za co?

– Nie panuję nad tym – wyjaśnił. – Uwierz mi, że gdybym mógł...

– Co ty gadasz w ogóle?

August przeczesał włosy palcami.

– To jest po prostu takie coś, co się wokół mnie dzieje. Wokół *nas*. Ludzie zaczynają się zwierzać. Mówią prawdę. Często nie zdając sobie z tego sprawy.

Kate zbladła.

– A co ja powiedziałam?

Zawahał się.

– Staralem się nie słuchać.

– Jaki ty jesteś uprzejmy – warknęła. – Trzeba mnie było od razu uprzedzić.

– W sumie to sprawiedliwe. W końcu ja nie mogę kłamać – rzucił, unosząc ciemną brew, ale zaraz skupił się na brzuchu dziewczyny. – Zostaną ci blizny – wyjaśnił, naklejając plaster z opatrunkiem na szwy.

– Nie pierwszy raz – oznajmiła Kate. Spuściła wzrok na białe paski znaczące jej brzuch. – Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

August skrzywił się nieco.

– Jak to się stało, że chirurg dowodzi Południowym Miastem?

– Cała jego rodzina umarła.

Zapadła niezręczna cisza, a potem August odezwał się znowu:

– A co z twoim ojcem? Kontaktował się z tobą?

Kate zerknęła na telefon. Dostała kilka wiadomości, wszystkie od niejakiej Tess, czyli zapewne dziewczyny, której ukradła komórkę w toalecie restauracji. Nie zapytała jej wtedy o imię.

– Jeszcze nie – powiedziała, kasując SMS-y.

Oboje zdawali sobie sprawę, że to zły znak. Harker powinien już odebrać wiadomość. Powinien był domyślić się, że to ona. Powinien był już zadzwonić. Próbowwała skontaktować się z nim jeszcze raz, kiedy August robił zakupy w aptecę. I ponownie teraz.

Wciągnęła głęboko powietrze do płuc i skrzywiła się; wciąż czekała, aż ból zelży na tyle, by mogła go ignorować, albo zmieni w przyjemne odrętwienie za sprawą adrenaliny i szoku. Jak do tej pory bez powodzenia.

Jej brzuch zaczął boleć w inny sposób, pusto.

– Nie kupiłeś może czegoś do jedzenia, co?

August zmarszczył brwi. Nie przyszło mu to do głowy. Oczywiście. On sam nie jadł. Żywił się tylko duszami. I może to kwestia bólu, może utraty krwi albo zmęczenia, ale Kate zaczęła się śmiać. Bolało, o rany, jak bardzo bolało, ale nie mogła się powstrzymać.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał August, wstając.

– Jakie jest ulubione jedzenie Sunajów?

– Słucham?

– Duszone.

August patrzył tylko na nią.

– Czaisz? Bo...

– Czaję – rzucił beznamiętnie.

– No daj spokój, to zabawne.

Pokręcił głową, ale kiedy się odwracał, zauważyła, jak kąciki jego ust się podnoszą.

– Jak często... no wiesz... się pożywasz? – zapytała i jego uśmiech natychmiast znikł.

– Wtedy, gdy tego potrzebuję – odparł tonem, który jednoznacznie świadczył o tym, że nie miał ochoty o tym rozmawiać. Potrząsnął drobnymi w kieszeni. – Pójdę sprawdzić, czy mają tu automat z jedzeniem.

Gdy tylko wyszedł, odezwała się komórka.

August stał we wnęce i gapił się na automat.

Na przemian skupiał i rozpraszał wzrok, a wtedy zamiast półek z paczkowanymi przekąskami widział swoje odbicie w szybie.

Nie jesteś potworem.

Przeczesał włosy palcami, starając się zgarnąć wilgotne kosmyki z twarzy.

On nie jest twoim ojcem, August. Jest człowiekiem.

Przemoczona koszulka przykleiła się do jego chudego ciała, rękawy miał podciągnięte do łokci, na przedramionach rozsypały się czarne kreski.

Czterysta dwadzieścia dwie.

Oparł czoło o szybę i zamknął oczy, czując, jak dogania go zmęczenie. Chciał wrócić do domu. Chciał wziąć Allegro na kolana, usiąść na podłodze w pokoju Ilsy i oglądać gwiazdy. Co oni tu robili? Co *on* tu robił? Może powinni byli pojechać na Południe. Może to wciąż było możliwe.

– Zeżarło ci kasę? – zapytał jakiś staruszek.

August wyprostował się.

– Nie – odparł ze znużeniem. – Po prostu się zastanawiam.

Wrzucił monety, wybrał przypadkowe numery i zabrał to, co spadło do szuflady. A potem, kiedy odwracał się z powrotem w stronę pokoju, zauważył to.

Automat telefoniczny.

Staromodna maszyna na ścianie, taka przyjmująca monety.

Spuścił wzrok i popatrzył na ostatnie drobne w jego dłoni.

Nie wiedział nawet, czy wystarczy.

Podniósł słuchawkę, wsłuchał się w pusty sygnał przypominający biały szum w jego uszach.

Chciał zadzwonić do Henry'ego. Chciał upewnić się, że postępuje właściwie. Ale co gdyby odebrał Leo? Albo gorzej – co gdyby Henry kazał mu opuścić Kate, oddać ją potworom Harkera? Nie. Nie mógł tego zrobić. Dziewczyna była niewinna. On był Sunajem. Powinien czynić świat lepszym, nie gorszym, a czy pozwolenie na czyjąś śmierć nie jest równie złe, co morderstwo? Henry by to zrozumiał, a Leo...

August odwiesił słuchawkę.

– Katherine? To ty? – Nie spodziewała się takiego niepokoju w głosie Harkera.

Typowe dla niego chłodne opanowanie pierzchło.

– Tato. – Tylko to jedno słowo wydostało się z jej ust.

– Dzięki Bogu. – Głośne westchnięcie, niczym fala uderzająca o brzeg. – Jesteś cała?

Głos jej zadrżał i ścisnęła srebrny wisiorek na szyi.

– Tak.

– Co się stało? Gdzie jesteś? – mówił coraz głośniej. Jej ojciec nigdy nie podnosił głosu.

– Wczoraj doszło do ataku – powiedziała, starając się uspokoić i skupić. – W Colton.

– Wiem. Przez cały ten czas starałem się z tobą skontaktować. Czwooro uczniów i nauczyciel nie żyją, razem z dwoma moimi Malchajami. Wygląda na to, że Flynn...

– Nie – przerwała mu Kate. – To nie byli twoi Malchaje. Wydrapali swoje piętna. I nie stoi za tym Sunaj. Oni próbowali go zrobić.

Cisza, a potem:

– Jesteś pewna?

– Im chodziło o mnie – wyjaśniła. – Tato, przynieśli palnik, żeby wypalić mi oczy.

– Ale wyrwałaś się im – odparł i w jego głosie usłyszała coś na kształt zaskoczenia albo niechętnego szacunku. – Jesteś sama?

Kate zawahała się, zerkając na oparty o krzesło futerał ze skrzypcami Augusta.

– Tak.

– A gdzie? Wyślę po ciebie samochód.

Kate pokręciła głową.

– Nie.

– Katherine, bez względu na to, gdzie się teraz znajdujesz, nie jesteś bezpieczna.

– Tam też nie będę.

Westchnięcie. Chwila ciszy. Słyszała słowa, których jej ojciec nie wypowiedział. *Źle zrobiłem, przywożąc cię z powrotem. Powinienem trzymać cię z dala od miasta.*

Przełknęła ślinę.

– Gdzie jest Sloan?

– Wszedł. Dlaczego pytasz? – rzucił wyzywająco Harker.

– Ktoś zaplanował moje morderstwo, tato. Ktoś próbował zerwać rozejm i musiał mieć władzę nad Malchajami. Logicznie rzecz biorąc...

– Sloan zawsze był wobec mnie lojalny.

– Skonfrontuj się z nim, skoro jesteś taki pewny – rzuciła lodowato. Znowu cisza. Kiedy Harker się wreszcie odezwał, ważył słowa.

– Masz rację, nie jesteś tutaj bezpieczna. Musisz wyjechać z miasta, dopóki nie rozwiążemy problemu... Pamiętasz współrzędne?

Wyprostowała się.

– Tak.
– Zadzwoń, kiedy będę wiedział coś więcej.
Jej palce zacisnęły się wokół telefonu.
– Okej.
– Przysięgam, Katherine, że rozwiążę ten problem...
– Zabiłam ich – powiedziała szybko, żeby nie zdążył się rozłączyć. – Tamtych Malchajów w Colton. Wbiłam im szpikulce w serca, a kiedy znajdziesz potwora odpowiedzialnego za tę sprawę, jego też chcę zabić własnoręcznie. – *Nawet jeśli to będzie Sloan. Szczególnie jeśli to będzie Sloan.*
W odpowiedzi usłyszała jedno słowo.
– Załatwione.
A potem się rozłączył. Od pięciu lat nie przeprowadziła z ojcem tak długiej rozmowy.
Kate wsłuchiwała się w ciszę, jaka nastąpiła po drugiej stronie, aż do czasu powrotu Augusta.

August stał w oknie motelu, obserwując słońce wędrujące po miejskim niebie. Deszcz przestał padać, chmury rozdzieliły się, tworząc z jednolitej szarej masy setki pasków, między którymi prześwitywał błękit. Kate wypaliła ostatnie papierosy, a kiedy nie chciał jej kupić kolejnej paczki, położyła się na łóżku i gapiła w sufit, bawiąc się srebrnym wisiorkiem.

Powiedziała, że musi się wydostać z miasta. Nie zdradziła, gdzie się wybiera, jedynie podniosła się z łóżka i omal nie zerwała sobie szwów, kiedy upadła. Straciła dużo krwi, wzięła dużo środków przeciwbólowych i nie spała całą noc – nie było mowy, żeby się gdziekolwiek ruszyła.

„Jedna noc” – oznajmił jej. Zapłacili za pokój. Mogła odejść nad ranem.

Mogła odejść. Jakby August miał ją po prostu zostawić. Właśnie tego oczekiwał od niego Leo. To prawdopodobnie kazałby mu zrobić Henry, gdyby chłopak dodzwonił się do domu.

– Powinieneś się związać – rzuciła Kate, jakby potrafiła czytać mu w myślach. Znając jego szczęście, pewnie miał wszystko wymalowane na twarzy.

– Pewnie tak – odparł, opadając na fotel.

– Mówię poważnie – oznajmiła niemal niezauważalnie drżącym głosem. – Idź, dopóki słońce nie zaszło.

– Nie zostawię cię.

– A co gdybym nie chciała, żebyś tu był? – zapytała, co nie znaczyło, że każe mu wyjść.

– Przykro mi – rzucił. – Nie zostaję tu tylko dla ciebie. Nie wiem, kto jest za to odpowiedzialny, ale próbował zrobić moją rodzinę. Masz pojęcie, co się stanie, jeśli rozejm zostanie zerwany? Jeśli miasto na nowo pograży się w wojnie terytorialnej?

– Zginą ludzie – stwierdziła ponuro.

– Zginą ludzie – powtórzył, myśląc o siostrze. Ilsa w pokoju, otoczona przez gwiazdy. Ilsa na Pustkowiu, otoczona przez duchy.

– Ludzie już teraz giną – mruknęła Kate. Niemniej nie wspominała już o wyjściu, opadła tylko na poduszki i znowu zaczęła się bawić wisiorkiem.

August zadrżał, jego ubrania były jeszcze wilgotne od deszczu. Odwrócił się i poczuł na sobie wzrok Kate, kiedy zdjął koszulkę przez głowę, pokazując czarne kreski okrążające jego przedramiona i wypuszczające odnogi na klatkę piersiową i plecy.

Zasłonił okna i zakreśliło mu się w głowie od zmęczenia. W pokoju znajdowało się tylko jedno łóżko, więc usiadł pod oknem, opierając plecy o wypłowiałą tapetę. Kate bez słowa zrzuciła na podłogę jedną z poduszek. August wyciągnął się na wyświechtanym dywanie, układając poduszkę pod głową.

Było tak spokojnie.

W motelu swoje gniazdo uwiły stłumione dźwięki: ciekący kran, odległe głosy, elektryczny szum urządzeń, a dalej ryk silników i szuranie butów o chodnik. Augustowi brakowało odtwarzacza, tęsknił za setkami innych znajomych odgłosów, które towarzyszyły mu w kompleksie, a każdy pomagał zagłuszyć strzały, które teraz rozlegały się, by wypełnić ciszę w jego głowie.

A potem, ku jego ogromnej uldze, usłyszał muzykę.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Kate kręci gałką radia stojącego przy łóżku.

– Nienawidzę ciszy – mruknęła, mijając stację z muzyką klasyczną i zatrzymując się na czymś bardziej współczesnym, z wyraźnym rytmem. Odnalazła jego oczy w półmroku zasłoniętych okien i posłała mu prawie-uśmiech, a potem niechętnie położyła się z powrotem. W ciągu kilku minut jej oddech wyrównał się i August wiedział, że śpi.

Sam zatopił się w piosenkach, popłynął za słowa i instrumenty, rozdzielając pasma dźwięku i próbując zasnąć. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej czuł się tak zmęczony. Sufit rozmywał mu się w oczach, przeszedł go zimny dreszcz.

A potem, kiedy już odpływał w sen, pojawił się głód.

III

II

August obudził się z podsycanych gorączką snów, czując chłód powietrza i zapach mięty.

Skóra go piekła, kości bolały, a nad nim pojawił się jakiś kształt, czyjeś włosy zakrywały resztki słońca wpadającego przez zasłonięte okna. Jego sny były plątaniną zębów i cieni, więc przez sekundę myślał, że wciąż śpi, że wciąż śni, ale wtedy poczuł pod plecami stary dywan taniego motelu i kształt zbliżył się, pokazując niebieskie oczy, loki w kolorze truskawkowego blondu i skórę pokrytą gwiazdami.

– Ilsa? – zapytał chrapliwie przez suche gardło. Ale to niemożliwe. Jego siostra nie opuszczała kompleksu. Próbował odgonić widmo, mrugając oczami, ale Ilsa stała się jeszcze wyraźniejsza.

– Cii, braciszku. – Przycisnęła palce do jego ust i odwróciła twarz w stronę łóżka. – Ktoś tu śpi.

Kate zwinęła się na boku, plecami do nich, a zsunięta pościel odkrywała bandażę owiniętą wokół jej talii. Wszystko wróciło do niego falami i zaraz wiedział już, gdzie się znajduje i co się stało. Colton. Malchajowie. Tunele. Głód. Podniósł się i usiadł, a pokój zachybotał.

– Nie możesz tu być.

– Nie mogę, nie powinnam, nie chcę – szepnęła. – Nikt mnie nie zauważył. Nikt nie szuka kogoś, kto nigdy nie znika. Wszyscy szukają *ciebie*.

– Jak nas znalazłaś?

– Ty robisz „tik”, ja robię „tak”. – Mówiła tak cicho, że tylko jego uszy mogły wychwycić jej głos. – Wszędzie bym cię usłyszała. – Przez okno wpadł podmuch wiatru. Było otwarte, do środka sączył się zmierzch. August przespał całe popołudnie. Skrzywił się, gdy zadudniło mu w uszach, a Ilsa przycisnęła chłodną dłoń do jego policzka. – Jesteś rozpalony.

Odsunął jej rękę.

– Nic mi nie jest – mruknął, bo to wciąż była prawda. – Ktoś przyszedł z tobą?

Pokręciła głową. Miała szeroko otwarte oczy, skórę napiętą, jej sylwetkę otaczała poświata słabego światła zza okna. Ilsa wyglądała nie tak, jak powinna. Jakby zostawiła w kompleksie kawałek siebie.

Nasza siostra ma dwie strony, które do siebie nie pasują.

– Ilsa – szepnął. – Nie powinnaś tu przychodzić.

– Henry się martwi. Leo się wścieka. Emily chciała, żebym przyszła. Nie powiedziała tego wprost, ale i tak to usłyszałam.

– Musisz wracać do domu. Jeśli ludzie Harkera cię zobaczą, jeśli cię złapią...

– Mówiłam ci już, że wszystko się rozpada. – Ilsa położyła się obok niego, zwinęła w kłębek, przykładając policzek do dywanu, skubiąc nitki. – Czułam to – mruknęła. – I cieszę się, że to nie we mnie, że to na zewnątrz. Przepraszam. Przepraszam, że wpuściłam pęknięcia do tego świata.

Odwrócił się w jej stronę.

– Cicho, Ilsa. To nie twoja wina.

– Powiedziałam Leo o tych pęknięciach, a on mi powiedział, że wszystko się rozpada. Ale szkoda, że tak jest. Szkoda, że nie możemy iść do tyłu zamiast do przodu.

– Szkoda, że nie możemy zostać w tym samym miejscu – szepnął August.

Posłała mu smutny uśmiech.

– Nikt nie może być ciągle taki sam, braciszku. – Kiwnęła głową na Kate. – Nawet oni. – Chwyciła jego dłoń i złożyła ją w swojej, tak samo jak zrobiła to z dłonią zdrajcy w kompleksie, tuż przed tym, jak odebrała mu duszę. – Proszę, wróć do domu.

– Nie mogę, Ilsa. Jeszcze nie. – Powędrował wzrokiem w stronę łóżka.

– Zależy ci na niej? Pytanie było bezpośrednie, dociekliwe.

– Zależy mi na nas. Na naszym mieście. Ktoś próbował ją zabić. I obarczyć winą nas. Żeby zerwać rozejm. Na twarzy Ilsy pojawił się cień.

Nie chcę znowu płonąć.

– Jest niewinna – dodał. – A ja tylko staram się zapewnić jej bezpieczeństwo.

Rysy jego siostry wygładziły się.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie pomogę.

August pokręcił głową.

– Nie. Wróć do domu, Ilsa. Proszę.

Musisz być bezpieczna – pomyślał. Nie mogę cię stracić.

Niewielka zmarszczka pojawiła się między jej oczami.

– Ale ktoś musi powstrzymać cienie.

August spał się.

– Jakie cienie?

– Te z zębami.

Podniósł się.

– Malchajowie?

Ilsa pokiwała głową.

– Idą tutaj. Są już w drodze.

– Skąd wiesz?

– Czuję pęknięcia, które wywołują, i...

Złapał ją za ramiona.

– Ale skąd wiesz?

– ...powiedział mi o tym mężczyzna z dołu – dokończyła, jakby w ogóle go nie usłyszała. – Wygadał się, braciszku. Nie potrafił się powstrzymać. Kręcił i kręcił,

ale w końcu się złamał, jak wszystko...

August puścił ją i złapał się za głowę.

– Kate. Wstawaj, Kate.

Mruknęła coś, ale nie poruszyła się. Ilsa podniosła się z podłogi i podeszła do łóżka.

– Nie, Ilsa, poczekaj.

Niestety było już za późno, Ilsa już wyciągnęła rękę przed siebie i chwyciła ramię Kate. Musiała ścisnąć, bo dziewczyna wydała zduszony okrzyk i szarpnęła się do przodu, a zapalniczka w jej dłoni przeobraziła się w mały, ostry nóż, którego srebrna krawędź wylądowała przy gardle Ilsy. Jego siostra spojrzała na dziewczynę, ale nie poruszyła się.

– Jesteś ranna – oznajmiła krótko.

– Kim jesteś? – zapytała z naciskiem Kate.

– Musimy iść – rzucił August, zakładając koszulkę. Ale Kate wciąż patrzyła na Ilsę jak urzeczona. Co było logiczne, bo Ilsa była urzekająca. – To moja siostra, Ilsa. Ilsa, poznaj Kate.

Oczy Kate powędrowały do gwiazd wysypujących się na nagie ramiona Ilsy.

– Jesteś tą trzecią.

Ilsa zadarła głowę.

– Nie – odparła głosem słodkim jak cukierek. – Ja jestem pierwsza.

Kate opuściła nóż, wolną rękę przyłożyła do brzucha. August widział ból na jej twarzy.

– Co się dzieje?

– Malchajowie. Idą tutaj. Teraz.

Kate skoczyła na równe nogi i zachwiała się, a Ilsa zaraz ją złapała. Kate popatrzyła na miejsce, gdzie palce Sunaja dotykały jej skóry.

– Posłuchaj mnie, Ilsa. – August założył buty, zarzucił futerał na ramię. Jego siostra przystawiła ucho do ściany. – Daj znać, czy...

– Są tutaj.

August zbladł, słysząc odległe odgłosy kroków, mokry szelest głosów, czując smród zgnilizny. Ilsa miała rację. Kate zakłęta, mocując się z koszulką. Ruszyła w stronę drzwi, a August też zrobił krok do przodu, ale zaraz obrócił się, kiedy zobaczył, że siostra nie idzie za nim.

– No chodź.

– Idź, braciszku – powiedziała, wciąż z uchem przy ścianie. – Zostanę tutaj, dopóki nie znikniecie.

– Tu nie jest bezpiecznie – odparł, wyciągając rękę.

Ale Ilsa nie chwyciła jego dłoni, zamiast tego dotknęła jego policzka.

– Bezpiecznie – powtórzyła z pustym uśmiechem. – Jakie to ładne słowo.

– Szybciej – warknęła Kate spod drzwi.

– Ale...

– Nic się nie martw, August. Ja nie boję się ciemności.

Nasza siostra ma dwie strony.

Ujął twarz Ilsy w dłoń.

- Proszę, bądź ostrożna.
Które do siebie nie pasują.
- Idź. Zanim pęknięcia cię dogonią.

HH

III

Ledwo dotarli na korytarz, Kate zdążyła już wyjąć metalowy szpikulec.

Ukryty w zapalniczce nóż nadawał się do straszenia koleżanek w szkole, ale nie był dość długi, by ominąć żebra Malchaja i przebić serce. Nie miała okazji wyczyścić szpikulec po ataku w Colton, więc wciąż pokryty był czarną krwią.

August szedł u jej boku, z jedną ręką uniesioną w pogotowiu, jakby spodziewał się, że Kate zaraz upadnie. Jakby zamierzał ją złapać. W motelu znajdowała się winda i dwie klatki schodowe, po jednej na każdym końcu korytarza. Mieli jedną szansę na trzy, że wybiorą źle, ale Kate nie zamierzała dać się zagonić w kozi róg. Brzuch palił bólem, kiedy pobiegła do najbliższych schodów.

August wciąż oglądał się w stronę pokoju i drugiego Sunaja, ze smutnymi oczami i skórą pokrytą gwiazdami.

– Nic jej nie będzie – powiedziała Kate, kiedy rzucili się na schody, a jej słowa zabrzmiały pusto, chociaż dziewczyna nie było zwykłą dziewczyną, lecz potworem. To ona stworzyła Pustkowie, wyrwała dziurę na powierzchni świata. Z pewnością poradzi sobie z kilkoma Malchajami, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dotarli na drugie piętro akurat w chwili, gdy niżej otworzyły się drzwi i zrobiło się zimno.

August najwyraźniej też to poczuł, bo złapał ją za rękę i skoczyli na korytarz, a potem do następnej klatki schodowej.

W dół, szybko w dół, ich kroki odbijały się echem od betonowych ścian. Minęli pierwsze piętro i biegli dalej. Nad ich głowami ktoś otworzył gwałtownie drzwi. Dotarli do piwnicy akurat w chwili, gdy jakiś kształt runął jak kamień na schody i zgrabnie przed nimi wylądował.

Upadek powinien roztrzaskać kości stworzenia, lecz Malchaja podniosła się płynnym ruchem, patrząc na nich czerwonymi oczami, które wyglądały jak dwa głębokie nacięcia w czaszce. Na policzku miała ślady po wydrapanym piętnie z literą H.

– Mała głupia Harkerówna – powiedziała, a jej usta wykrzywiły się w grymas uśmiechu – nie wie, kiedy wypada zdechnąć. – Zaraz jej czerwone spojrzenie padło na Augusta i syknęła: – Sunaj.

August chciał zasłonić Kate swoim ciałem, jednak usłyszeli czyjeś ciężkie kroki na schodach. Pojawił się mężczyzna, wielki jak byk, ściskając metalową

pałkę w mięsistej dłoni. Podobnie jak u Malchajów, na jego twarzy znajdował się znak ojca Kate i, znowu podobnie jak u Malchajów, został *zdrapany*. Zaognione szramy znaczyły jego policzek.

Na jego widok Kate zakręciło się w głowie. Człowiek? Dysydenci rośli w siłę. Także wśród ludzi. Ale to nie miało sensu; Olivierowi chodziło przecież o to...

Mężczyzna zamachnął się pałką, a August odciągnął Kate na bok i podniósł rękę, by zablokować cios. Kiedy metal uderzył w jego przedramię, na skórze pojawiły się wyładowania elektryczne. August wydał zduszony krzyk, ale nie poddał się.

Kate wyczuła za plecami jakiś ruch i obróciła się na pięcie, atakując Malchaję metalowym szpikulcem, jednak kreatura zanurkowała i umknęła, jej ruchy były przerażająco szybkie i niewiarygodnie płynne. Tymczasem pięść Augusta zderzyła się z twarzą mężczyzny i jego głowa poleciała w bok, ale napastnik nie upadł. Znowu zamachnął się pałką i tym razem August złapał ją jedną ręką, a energia wyładowań wędrowała po jego skórze. Trzask niósł się po klatce schodowej. Przez chwilę szare oczy płonęły niebiesko po wpływie prądu, lecz zaraz pałka została wyrwana z ręki mężczyzny.

Kate za bardzo zbliżyła się do Malchai, próbując dostać się pod jej kościaną płytę, lecz wychudzone palce potwora chwyciły ją za szczękę i pchnęły na ścianę. Pod wpływem siły uderzenia zobaczyła gwiazdy pod powiekami, a usta Malchai rozciągnęły się w uśmiechu.

Kate też się uśmiechnęła i wbiła metalowy szpikulce w żylaste przedramię potwora. Malchaja zasyczała i znowu pchnęła Kate na ścianę. Tym razem dziewczyna trafiła w drzwi i wpadła do garażu podziemnego, lądując na betonowej podłodze. Zranione ramię i brzuch przeszył ból i poczuła świeżą krew wsiąkającą w bandaż. Wtedy pojawiła się kreatura, wyrwała szpikulce i posłała go w kąt.

Kolejny łomot i do garażu wpadli August z mężczyzną, spleceni w walce. Pałka poleciała gdzieś w bok i Kate już prawie podniosła się, kiedy Malchaja znowu posłała ją na podłogę mocnym kopnięciem. Dziewczynie zrobiło się ciemno przed oczami i zdusiła krzyk, czując, jak rozrywają się szwy. Zanim zdążyła się zmusić do kolejnej próby wstania, potwór przygniół ją i choć nie był ciężki, nie dał się zrzucić.

Kate z wysiłkiem wyciągnęła rękę, by sięgnąć pleców.

– Ojej, kochana – powiedziała Malchaja, przyciskając ją do zimnego betonu, jej ostre jak brzytwa zęby błyszczały w sztucznym świetle. – Wygląda na to, że zgubiłaś swoją zabaweczkę.

Palce Kate zacisnęły się na metalu przy kręgosłupie.

– Dlatego zawsze noszę przy sobie dwie – rzuciła, wbijając drugi szpikulce w pierś Malchai.

Potwór wydał zduszony wrzask, kiedy metal dotarł do serca. Czarna krew rozlała się na dłoń Kate, a ciało potwora opadło bezwładnie, niczym worek kości. Uwolniła się spod martwego ciężaru, zabrała oba szpikulce i podniosła się z wysiłkiem akurat w chwili, gdy August wbił metalową pałkę w podgardle

mężczyzny. Usłyszeli trzask, zobaczyli niebieski rozbłysk i napastnik runął na ziemię z gracją drewnianego kloca.

August wydawał się wstrząśnięty, oczy miał wielkie i dziwnie błyszczące, ale szybko zaczął działać dalej. Wskoczył z powrotem na schody i wrócił za chwilę, ściskając futerał ze skrzypcami. Kate nie marnowała czasu. Odwróciła się i zaczęła krążyć od auta do auta.

– Czego szukasz? – zapytał. Gdzieś w tle słychać było alarm samochodowy i August wzdrygnął się, jakby ten dźwięk był dla niego ogłuszający.

– Podwózki – odparła. Niektóre auta były zbyt nowe, inne zbyt stare. Wreszcie zatrzymała się przed czarnym sedanem, dość eleganckim, jednak nie należącym do tych drogich modeli z toną zabezpieczeń. – Zbij to dla mnie – powiedziała, pokazując na drzwi od strony kierowcy.

– Szybę? – zdziwił się August, a ona posłała mu spojrzenie, które mówiło: „Tak, oczywiście, że szybę!”, na co on popatrzył na nią z wyraźnym: „Nie zdarza mi się często popełniać przestępstwa”, a potem uderzył łokciem w okno. Rozległ się niezbyt głośny dźwięk, lecz odbił się echem po całym garażu, podczas gdy Kate sięgnęła do środka i odblokowała drzwi. Strzepała drobiny zbitego szkła z siedzenia i ostrożnie wsunęła się za kierownicę, by nożem z zapalniczki podważyć znajdujący się z boku panel. August obszedł auto i usiadł na miejscu pasażera, włożył futerał między nogi i patrzył, jak Kate rozcina izolację kabli i zaczyna ją zdzierać.

– Takich rzeczy uczą w szkołach z internatem? – zapytał, wyciągając szyję, żeby obserwować garaż.

– O tak – powiedziała, krzyżując dwa druty. Nic się nie stało. – Całe to włamywanie się i zabijanie potworów to standard. – Pozbawiła izolacji kolejne dwa kable i spróbowała jeszcze raz. Zobaczyli iskrę i zaraz obudził się silnik samochodu.

– Imponujące – rzucił sucho August.

Podniosła rękę, by położyć je na kierownicy, i zaraz skrzywiła się z bólu.

– Pewnie nie umiesz prowadzić, co?

August pokręcił głową.

– Nie, ale może bym sobie poradził...

– Nie trzeba – stwierdziła, zmieniając bieg. – I tak mamy już wystarczająco dużo okazji do rozstania się z życiem.

Wcisnęła pedał gazu i samochód ruszył z niespodziewaną mocą, piszcząc oponami, na co August aż jęknął. *Przecież nie było aż tak głośno* – pomyślała Kate. Może Sunajowie mieli wrażliwy słuch. Chwyciła kierownicę – w dzieciństwie zawsze lubiła samochody, powiew powietrza we włosach, uczucie wolności, ruchu. Od czasu wypadku już tak za nimi nie przepadała, ale umiejętność prowadzenia auta jest pożyteczna, tak jak znajomość fizyki czy sztuk walki. Wyjechała za róg budynku i nacisnęła hamulec. Wyjazd blokowała brama, w budce siedział stróż.

Sięgnęła po pasy, a potem przypomniała sobie o szwach i zrezygnowała.

– Trzymaj się – rzuciła, wciskając gaz do dechy.

Samochód skoczył do przodu. August złapał się drzwi.

– Kate, to chyba nie jest...

Jednak resztę jego słów zagłuszył satysfakcjonujący trzask, kiedy przedni zderzak spotkał się z bramką; ten pierwszy się wgniół, a druga rozpadła się, kiedy auto przebiło się przez nią i wyjechało na ciemną ulicę.

Auto wpadło w lekki poślizg, ale Kate zaraz odzyskała nad nim kontrolę i z uśmiechem zwiększyła prędkość, zagłuszając krzyki stróża rykiem silnika.

August obrócił się na fotelu i wyrztał przez tylną szybę na zniszczoną bramkę i motel, a Kate zastanawiała się, czy myśli o Ilsi. Zmieniła pas, żeby jechać zgodnie ze światłami i bez względu na kierunek, zawsze być w ruchu.

– Ktoś za nami jedzie?

August opadł z powrotem na siedzenie, wzdychając głośno.

– Jeszcze nie.

Oczy miał zamknięte, był spięty i trzymał kurczowo uchwyt drzwi, aż zbiełały mu knykie. Wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. – Nie uwierzyła mu, ale jego ton wyraźnie świadczył o tym, że powinna odpuścić. Miała ważniejsze powody do zmartwienia niż jego humor, więc skierowała się na wschód i patrzyła, jak stolica kurczy się w lusterku wstecznym, aż zmieniło się we wzgórze, w plamę, a potem zniknęło zupełnie.

HH

III

– Powiedz coś – rzuciła Kate.

Ból w jej ciele wreszcie zmienił się w coś tępego i upartego. Okazało się, że tak jest gorzej, ponieważ miała ochotę skulić się, schować przed światem, a nie dało się tego zrobić za kółkiem. August siedział obok i milczał, wyglądając w mrok, gdy mijali najpierw żółtą, a potem zieloną strefę i stamtąd wreszcie trafili na Ziemię Jałową. Jeśli zauważył zmianę, nie skomentował jej.

Nie istniała sztywna granica, żaden podświetlany billboard nie oznaczał wyjazdu z Miasta Prawdy. Nie był potrzebny. Wystarczyła zmiana z wypielegnowanych trawników w dzikie ugory, zmiana z oświetlonych lampami ulic i ładnych domów w jedno wielkie *nic*.

Drogę od ciemności odcinały światła UVR – nie z góry, lecz zamontowane w chodniku – i sprawiały, że noc wyglądała jak ciało stałe. Znajdowali się na wschodniej trasie tranzytowej, jednej z czterech dróg zaopatrzeniowych prowadzących ze stolicy aż do granic Prawdziwości. Kate próbowała wyobrazić sobie, jak wyglądały z lotu ptaka, wstążki światła biegnące jak wskazówki kompasu we wszystkie strony świata. Z góry Ziemia Jałowa sprawiała wrażenie czarnego pierścienia, a była dwustumilową strefą buforową między stolicą a submiastami, które znajdowały się na peryferiach i wyglądały jak drobne świetliki w porównaniu do wielkiej lampy stolicy.

Podobno kiedyś, przed Fenomenem, tymi drogami jeździło wiele samochodów, kiedy podróżowanie między terytoriami nie było ograniczane, a później, gdy ludzie próbowali się ewakuować, zostali zepchnięci z powrotem przez tych, którzy już mieszkali poza jej granicami. W tamtych dniach ulice Ziemi Jałowej były raczej nieuczęszczane, nie licząc półciężarówek wożących dostawy między mniejszymi miastami i stolicą.

To było niebezpieczne zadanie. Ziemia Jałowa *wyglądała* na pustą, jednak rzeczywistość była inna. Co prawda niewielu Malchajów zapuszczało się w te tereny, za to Corsaje uwielbiały polować w mroku i atakowali wszystko, co stanęło im na drodze, od krowy po rodzinę z dziećmi. Potwory tak daleko od stolicy nie służyły nikomu, a kręcący się tu ludzie byli równie groźni. Byli to głównie szabrownicy napadający na domy i półciężarówki. Nie mieli pieniędzy na opłacenie ochrony Harkera, ale nie chcieli też walczyć w szeregach oddziałów specjalnych Flynnna albo ginąć za jego ideały. Nie chcieli mieć nic

wspólnego z Miastem Prawdy. Pragnęli tylko utrzymać się przy życiu.

Jednak martwa strefa miała swój koniec. Kate większość swojego życia spędziła po drugiej stronie Ziemi Jałowej i wiedziała, że istniało miejsce, gdzie drut kolczasty zastępowały łąki, zamiast świateł UVR oglądało się gwieździstą noc, a dziewczyna mogła dorastać w domu z matką, niczego się nie bojąc, nawet ciemności.

– Powiedz mi coś – rzuciła znowu.

August całą drogę gapił się w noc, wystukując palcami jakiś szybki rytm. Teraz spojrzął w jej stronę. Jego twarz sprawiała wrażenie dziwnie pustej, jego oczy błyszczały gorączkowo.

– Co na przykład?

– Nie wiem. Może jakąś historyjkę?

August zachmurzył się.

– Nie lubię historyjek.

Teraz i Kate zmarszczyła brwi.

– To dziwne.

– Czyżby? – rzucił August.

Kate postukała paznokciem o kierownicę. Lakier jej schodził.

– No wiesz, większość ludzi szuka jakiejś ucieczki. Odłożyć na bok własne myśli, własne życie. Opowiadanie sobie historii to najprostszy sposób.

August uciekł wzrokiem do okna.

– Może i tak – powiedział. Jego małomówność doprowadzała ją do szału. Włączyła radio, ale sygnał był słaby i strasznie szumiało, więc zaraz z powrotem wyłączyła. Cisza szarpała jej i tak już napięte nerwy.

– Powiedz coś – szepnęła. – Cokolwiek.

Zacisnął szczęki. Wbił palce w materiał spodni. Mimo to chrząknął i zaraz się odezwał.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie zawsze próbują uciekać.

– Serio? Rozejrzyj się.

Za oknem Augusta nicość ustępowała czemuś miejsca i w oddali zamajaczyło miasteczko, o ile można było to nazwać miasteczkiem. Przypominało raczej skupisko rozpadających się budynków, odwróconych tyłem do siebie, wyglądających w noc. Wszystko sprawiało wrażenie umierającego z głodu przybłądę. Fluorescencyjne światła przecinały pasmami mrok.

– W moim przypadku jest chyba inaczej – powiedział przez ściśnięte gardło. – W jednej chwili nie istniałem, by pojawić się w następnej. Każdego dnia boję się, że równie nagle zniknę. A przy każdym potknięciu, gdy oddam się ciemności, trudniej jest mi wrócić. Ledwo udaje mi się zostać w tym miejscu, w którym jestem. Zostać tym, kim jestem.

– O rany, August – powiedziała cicho. – Doskonale potrafisz zniszczyć nastrój.

Tym zasłużyła sobie na słaby śmiech. Jednak ledwo pojawił się w jego ustach, zaraz zginął. August odwrócił twarz, zaś Kate ścisnęła mocniej kierownicę i patrzyła przed siebie. Każdy oddech rozpalał na nowo ból. Jej towarzyszył siedział cicho, skulony, gapiąc się w mrok.

– Co się z nią stało? – zapytała, próbując odwrócić uwagę ich obojga.
– Z kim?
– Z Ilsa – wyjaśniła. – Wydaje się taka... nie do końca obecna.
August potarł opuszkami palców czarne kreski na nadgarstku.
– Nigdy nie była całkiem obecna. Przez długi czas myślałem, że... że ona taka już jest. Rozproszona. Do niedawna tego nie rozumiałem.
– A teraz rozumiesz?
– Tu chodzi o to, kim jest. Skąd się wzięła. Przyczyna i skutek.
– Masz na myśli przyczynę jej pojawienia się?
August pokiwał głową.
– Sunajowie powstają z tragedii – wytłumaczył. – Czynów tak potwornych, że naruszają kosmiczną równowagę. Leo powstał w rezultacie jakiegoś rytualnego zbiorowego samobójstwa, do którego doszło w pierwszych tygodniach po Fenomenie. Cała grupa ludzi myślała, że świat się kończy, więc rzucili się z dachów. Ale nie zrobili tego sami, pociągnęli za sobą rodziny. Rodziców. Dzieci.
Kate wypuściła powietrze z płuc.
– Chryste.
– Nic dziwnego, że mój brat jest tak przekonany o własnej słuszności – powiedział cicho. – Z Ilsa było inaczej. To Emily, żona Henry’ego, opowiedziała mi tę historię. Ilsa pojawiła się po ataku bombowym w piwnicy dużego hotelu w Północnym Mieście.
Allsway Building – pomyślała Kate – *znany teraz jako Dwór Harkera*.
Ściany piwnicy wciąż były osmolone.
– To się stało krótko po tym, jak wybuchł chaos – ciągnął dalej. – Nie minęły nawet tygodnie, raczej dni. Dni pełne dezorientacji i przerażenia. Nikt nie wiedział jeszcze, co się dzieje, ale coś się dostało do tamtego budynku i wszyscy, którym udało się uciec, schowali się w piwnicy. Starali się po prostu utrzymać przy życiu. Zabarykadowali drzwi. Ktoś jednak zdecydował, że jeśli mają tam zginąć, nie z rąk potworów. Ten ktoś przyniósł ze sobą domowej roboty bombę i zapalił lont. – August pokręcił głową. – Nic dziwnego, że moja siostra rozpadła się na kawałki.
– A ty? – zapytała Kate. – Twój brat jest przekonany o własnej słuszności, twoja siostra jest rozproszona. A ty jaki jesteś?
Kiedy jej odpowiedział, jego słowa były ciche, niemal niesłyszalne.
– Jestem tym, co się przytrafia, gdy dziecko tak bardzo boi się świata, że ucieka z niego w jedyny znany sobie sposób. Gwałtownie.
Cisza tak ciężka, że aż bolesna.
August oparł głowę o okno, a szyba zaszła mgłą. Kropelka potu spłynęła po jego policzku i Kate wyciągnęła rękę, żeby włączyć klimatyzację, ale wtedy rozległ się pewien dźwięk.
Samochód nie powinien wydawać takich dźwięków.
August wyprostował się.
Silnik zaharczał.

– Co to było? – zapytał August.
Auto zaczęło szybko tracić prędkość.
– O nie – jęknęła Kate.
A potem stanęli.

HHH

HHH

Światelko na desce rozdzielczej mrugało, a przednie lampy wciąż się świeciły.

Wszystko inne zdechło.

– Cholera – mruknęła Kate.

– Kate – wycedził August przez zaciśnięte zęby. – Co się stało z samochodem?

– Skończyło się paliwo – odparła, już otwierając drzwi. Zanim August wysiadł i do niej dołączył, grzebała już w bagażniku.

Noc była chłodna, lecz nie wystarczająco, by złagodzić gorączkę.

– Nie mogłaś wybrać takiego z pełnym bakiem?

– Przepraszam, rozpraszała mnie wizja nieuchronnej śmierci. – Coś w rodzaju jęku wydostało się z jego ust. – Nie przejmuj się – powiedziała, wyjmując latarkę HUV.

– Niby jak mam się nie przejmować? – warknął, czując palenie gniewu w piersi, rozżarzające się przy każdym oddechu.

– Znajdziemy inny środek transportu – odparła Kate spokojnym głosem, jakby spokój mógł im pomóc.

August naskoczył na nią.

– A widzisz gdzieś jakiś inny środek transportu?

– Co w ciebie wstąpiło, do cholery? – odparowała.

Już otworzył usta, żeby powiedzieć, że nic, ale nie mógł tego zrobić, a chęć krzyczenia walczyła w nim z chęcią przywalenia w coś pięścią, więc odwrócił się i odszedł, próbując przy każdym kroku wyrównać oddech, uspokoić serce, wiedząc, że panika tylko przyspieszy rozwój choroby.

Nogi poniosły go wzdłuż linii światła na krawędzi drogi. Nigdzie się właściwie nie wybierał, po prostu potrzebował ruchu.

Umysł nad ciałem.

Wplótł palce we włosy i gapił się w mrok. Wylądowali pośrodku niczego. Blask światel Miasta Prawdy był tylko cieniem poświaty odbijającej się od odległych chmur, a wszędzie dokoła panowały egipskie ciemności. Kilka kilometrów wcześniej minęli swego rodzaju fortecę. Nie wyglądała zbyt zachęcająco. Gdzieś w oddali dało się słyszeć odgłosy wystrzałów niczym echo grzmotu i August nie wiedział, czy były prawdziwe, czy to tylko widma w jego głowie.

Głód szarpał jego mięśnie i pulsował w kościach; miał wrażenie, jakby coś chciało się wydostać na zewnątrz.

Powinien pożreć tamtego mężczyznę w garażu – zrobiłby to, gdyby mógł – ale, ku jego konsternacji, nie był on mordercą. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ze wszystkich ludzi Harkera Sloan wysłałby akurat niewinnego? Czy Malchaj wiedział, że Sunajowie pożywiają się wyłącznie grzesznikami? Czy to tylko kwestia pecha?

Odetchnął głęboko kilka razy i zapanował nad gniewem. Odwrócił się z powrotem w stronę samochodu i zobaczył, że Kate opiera się o drzwi po stronie kierowcy, z rękami ostrożnie skrzyżowanymi na piersi, wyraźnie walcząc z zimnem. August tego nie czuł, nie przy takiej gorąco.

– Masz – powiedział, kładąc futerał na ziemi i zdejmując blezer.

– Nie trzeba – stwierdziła, ale już zdążył zarzucić go jej na ramiona. Widział, jak się rozluźnia pod wpływem dodatkowego ciepła.

Jego dłoń zatrzymała się na dłużej na jej zdrowym ramieniu. Coś w tym dotyku – zwyczajnym, namacalnym – sprawiło, że poczuł się pewniej. Już miał się odsunąć, kiedy Kate chwyciła jego palce. Jej oczy były ciemne, a usta rozchylone i widział, że chce coś powiedzieć, ale kiedy się odezwała, rzuciła tylko:

– Jesteś rozpalony.

Przełknął ślinę i wyswobodził się tak delikatnie, jak tylko potrafił, a w tym samym momencie coś zamigotało na niebie nad głową Kate. Podniósł wzrok i aż zaparło mu dech w piersi. Noc była bezchmurna, a nieboskłon pełen świetlistych kropek.

Kate podążyła za jego wzrokiem.

– No co? – zakpiła. – Nigdy wcześniej nie widziałeś gwiazd?

– Nie – odparł cicho. – Nie w ten sposób.

Niebo płonęło. August zastanawiał się, czy Ilsa kiedykolwiek widziała gwiazdy – nie czarne plamki na jej skórze, ale prawdziwe gwiazdy, które były takie dziwne i idealne. Jedna z nich spadła, ciągnąc za sobą pasmo światła.

– Czytałam gdzieś – oznajmiła Kate – że ludzie powstałi z gwiazdznego pyłu.

Odciągnął wzrok od nieba.

– Naprawdę?

– Może z tego też i ty powstałeś. Tak samo jak my.

Mimo wszystko August się uśmiechnął.

Tak trudno było wywalczyć ten uśmiech, ale opłaciło się.

A potem, zupełnie niespodziewanie, zniknął, a August zadrżał, opierając się o samochód. Przeszło go coś w rodzaju dreszczu, lecz silniejszego, od czubków palców po szpik kości.

Jej dłonie zawisły w powietrzu tuż przy nim, bezradne.

– Co się dzieje?

– Wszystko... wszystko będzie dobrze.

– Gówny prawda.

W odpowiedzi ściągnął kołnierz na bok i zobaczyła światło, niezbyt jasne, lecz żarzące się na jego piersi jak końcówka papierosa. Narysowało pojedynczą linię,

czerwony węgielek przygasł do czerni. Nowa kreska. Nowy dzień.

– Ile to już?

Wciąż się trząsał, ale gdy podniósł wzrok, w jego oczach dojrzała coś na kształt ponurego triumfu.

– Czterysta dwadzieścia trzy.

I właśnie wtedy ciemność przecięły światła samochodu jadącego od strony stolicy.

Kate zamachała latarką i ku jej uldze auto zwolniło. Okazało się, że to półciężarówka, wyraźnie wzmocniona na podróż przez Ziemię Jałową, przód i boki otoczone rusztowaniem z pasmami metalu, szyby w oknach pokryte kuloodporną warstwą ochronną. Po bokach biegły liczne rysy i zapewne nie zrobiły ich Corsaje. Potwory zawsze atakowały ludzi. To ludzie atakowali transport zaopatrzenia.

Kate schowała ozdobny srebrny wisiołek pod kołnierzyk i stanęła na podeście od strony pasażera. Szyba w oknie powoli się zsunęła.

– Co wy tu, do cholery, robicie, dzieciaki? – zapytał kierowca. Był w średnim wieku i miał zmęczone spojrzenie kogoś, kto zbyt wiele czasu spędza na krawędzi.

– Samochód nam padł – odparła Kate, posyłając mu szeroki uśmiech. – Podwiezie nas pan?

Popatrzył na Augusta i Kate spróbowała spojrzeć na niego oczami kierowcy, jak na zwyczajnego chudego nastolatka z futerałem na ramieniu.

– Gdzie się wybieracie?

Kate kiwnęła głową na drogę prowadzącą w stronę przeciwną do stolicy. Wygrzebała w pamięci nazwę pomniejszego miasta.

– Louisville.

– To po drugiej stronie Ziemi Jałowej – powiedział, kręcąc głową. – Lepiej próbujcie złapać podwózkę z powrotem do Miasta Prawdy.

– Widzieliśmy kawałek dalej jakieś miasteczko czy coś – odparła, napełniając swój głos dziewczęcą naiwnością. – Myśli pan, że powinniśmy tam pojechać?

Mężczyzna się skrzywił.

– Jeśli spróbujecie dostać się do fortu nocą, jedyne, co dostaniecie, to kulkę w łeb. – Przeczesał palcami krótkie włosy. – Kurwa mać. – Nie miał na szyi medalionu. Kate przełknęła ślinę, a potem zdjęła swój.

Srebro było namacalne, jego ciężar dodawał otuchy. Nie chciała się go pozbyć, ale nie mogła też zostać tutaj, przy drodze. Podniosła wisiołek, pokazując go kierowcy.

– Proszę posłuchać, nie szukamy kłopotów. Skończyło nam się paliwo, ale jeśli podwiezie nas pan w dobrym kierunku, dam panu to.

Kierowca zrobił wielkie oczy i Kate wiedziała, że ma go w garści. W końcu medalion Harkera oznaczał bezpieczeństwo, a bezpieczeństwo jest luksusem, czymś o wiele cenniejszym – i droższym – niż ciężarówka czy dom.

Palce mężczyzny zacisnęły się wokół srebrnego wisiora.

– Wsiadajcie.

Kate wspięła się na przednie siedzenie, a August wślizgnął się na tylną kanapę, która służyła też za łóżko. Splótł palce i pochylił głowę. Kate nie była głupia. Coś mu ewidentnie dolegało. Ale za każdym razem, kiedy go o to pytała, wściekał się, jakby tylko pogarszała sprawę. Wyglądał na chorego. Czy potwory mogą chorować? Czy może tylko robią się głodne? Ile czasu minęło, odkąd coś zjadł?

– Posłuchaj – powiedział kierowca. – Nie zajmuję się szmuglowaniem, okej? Jeżdżę ciężarówką z zaopatrzeniem. I dojeżdżam tylko do pomniejszych miast, więc jeśli próbujecie się dostać do granicy, nie pomogę wam.

– Nie szkodzi – rzuciła Kate. – Nie chcemy opuszczać Prawdziwości.

To dziwne, ale Kate omal nie powiedziała mu prawdy. Wyznanie wzbierało w niej i próbowało się wydostać, słowa unosiły się w stronę ust tak szybko, że musiała ugryźć się w język, by je powstrzymać. Co August wspominał o Sunajach i prawdzie? Obejrzała się na niego, ale siedział skulony, z łokciami na kolanach, i gapił się w podłogę.

– Chodzi o zakład – rzuciła. – Założyliśmy się z przyjaciółmi.

– Był dzisiaj koncert – dodał August z tylnej kanapy. – Na granicy zielonej strefy.

– Właśnie – wtrąciła Kate. – Nasi najlepsi kumple postawili dwadzieścia dolarów, że nie pojedziemy do Ziemi Jałowej, kiedy skończy się koncert. Dostalibyśmy czterdzieści, gdybyśmy zabrali ze sobą coś z pomniejszego miasta po drugiej stronie. A ja, głupia, nie sprawdziłam poziomu paliwa.

Kierowca pokręcił głową.

– Te dzisiejsze dzieciaki – powiedział, wjeżdżając półciężarówką z powrotem na drogę. – Macie za dużo wolnego czasu i za mało oleju w głowie. – Miał podciągnięte rękawy, a na przedramionach dało się zauważyć wiele paskudnych szram. Pozostawiły je Corsaje. – Zawiozę was do następnego postoju dla ciężarówek. Nigdzie nie będzie bezpieczniej. A potem musicie na własną rękę znaleźć transport z powrotem do zielonej strefy.

Kate pokiwała głową.

– Pasuje – rzuciła, zerkając na Augusta. Nie mogła jednak dojrzeć jego twarzy. Zakrywał ją cień.

HH

HH

I

August poczuł, że wóz zwalnia, i z wysiłkiem podniósł głowę z oparcia.

Ciężarówka przecinała pasmo światła i zjeżdżała na drugą, węższą drogę. Na chwilę światło drogowe zbladło, lecz zaraz zaświeciło z podwójną siłą, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się budynek.

Bardziej przypominał fortecę niż zajazd dla ciężarówek. Otaczało go wysokie metalowe ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym, a ciemność pierzchała przed światłem ogromnego reflektora UVR, który tworzył świetlistą fosę na asfalcie, eliminując każdy cień. Znak nad budynkiem – który wyglądał raczej jak kompleks kilku połączonych ze sobą budynków – oznajmiał, że miejsce to nazywało się Horyzontem.

Kierowca zatrzymał się przed ogrodzeniem i nacisnął raz klakson, a potem czekał. Przy bramie stało dwóch mężczyzn, każdy uzbrojony. Jeden trzymał latarkę HUV i jakąś maczetę, a drugi karabin maszynowy. *Jedna broń na potwory, a druga na szabrowników* – pomyślał August.

Brama otworzyła się z sykiem i ciężarówka wjechała na plac. August usłyszał metaliczny zgrzyt ponownie zamykającej się bramy i poczuł ucisk w piersi na myśl, że znaleźli się w pułapce.

– Dalej nie pojedziemy – oznajmił kierowca, parkując. – Znajdziecie tu mnóstwo kolesi, którzy zawiozą was z powrotem do stolicy. Macie jakąś gotówkę?

– Trochę – odparła Kate, chociaż August był pewien, że zostały im tylko jakieś drobniaki. Mężczyzna przygryzł wargi, a potem wyciągnął medalion, który mu podarowała.

– W takim razie zapłaćcie tym.

Kate zawahała się.

– Mieliśmy umowę.

– I tak jechałem w tę stronę – wyjaśnił kierowca. – No już, zabieraj to.

Kate sięgnęła po wisior i włożyła go do kieszeni, dziękując cicho. Na zewnątrz noc wyraźnie się ochłodziła, zimne powietrze działało na Augusta jak balsam. Dokoła widać było kilkanaście ustawionych w równych rzędach – niczym kreski na jego ciele – samochodów, które nie rzucały cienia na chodnik. Powieki mu opadły, a myśli powędrowały do czterystu dwudziestu trzech

znaków, do duchów na pustej ziemi, do odgłosów wystrzałów, do wrzasków i dotkliwego głodu.

A potem poczuł, że coś go ciągnie, i gdy otworzył oczy, zobaczył, że Kate prowadzi go w stronę fluorescencyjnego blasku zajazdu.

– No, chodź – mówiła. – Umieram z głodu.

Próbował się zaśmiać, ale dźwięk utknął w jego gardle jak kawałek szkła.

Horizon okazało się bardzo popularnym miejscem o czwartej nad ranem. Przypominało małe, samowystarczalne miasteczko, ze stołówką, łazienkami wyposażonymi w prysznice, magazynami pełnymi zapasów. A wszystko było tak mocno oświetlone, że Kate rozbolały oczy.

August udał się do toalety, mrużąc coś o potrzebie odświeżenia się, a Kate zaczęła krążyć między alejkami, udając, że ma w portfelu więcej niż pięć dolarów. Kart kredytowych miała bez liku, ale te można było wyśledzić, zaś większość gotówki zużyli, płacąc za pokój w motelu.

Rozważała właśnie zwęczenie batonika z granolą, kiedy zauważyła zegarek. Wisiał nisko na wystawce z kilkoma mapami i innymi przedmiotami przydatnymi w podróży. Zwyczajny cyfrowy zegarek, nie licząc faktu, że pokazywał nie tylko czas i temperaturę, ale też współrzędne. Kate nie miała adresu miejsca, do którego się wybierała. Posiadała za to współrzędne, długość i szerokość geograficzną.

38° 29.45

–86° 32.56

Kate ściągnęła zegarek z wystawki tak swobodnym ruchem, na jaki tylko było ją stać, a potem przyglądała mu się długie minuty, by na koniec wsunąć go niepostrzeżenie do kieszeni swojego blezera. Tyle że to nie był jej blezer, a Augusta. I kiedy włożyła rękę do kieszeni, jej palce natrafiły na coś metalowego i gładkiego: ukradzioną komórkę. Podniosła szybko wzrok, ale po chłopaku nie było ani śladu, a pozostali klienci zajmowali się przesładzaniem kawy albo wpatrywaniem się szklanym wzrokiem w szereg telewizorów zamontowanych na ścianie.

Kate wyciągnęła komórkę z kieszeni. Była wyłączona, żeby nie marnować baterii, więc przycisnęła guzik, żeby ją uruchomić, cały czas licząc na wiadomość. Nic.

Rozejrzała się. Może nie musieli jechać dalej. Może mogli zatrzymać się tutaj, w Horyzoncie. Forteca była doskonale chroniona przed potworami, żaden Malchaj nie przedostałby się do środka, a było tu dość dużo ludzi, by ich dwójka nie zwracała na siebie uwagi. Może...

A potem usłyszała swoje imię, lecz nie wypowiedział go ani August, ani nikt w sklepie. Wypowiedziano je w telewizji.

Podniosła wzrok i zobaczyła na ekranie zdjęcie.

Jej zdjęcie.

August chwycił się umywalki, przed oczami miał mroczki.

Robiło się coraz gorzej.

Gapił się w lustro, jego odbicie odpowiedziało równie intensywnym spojrzeniem wielkich oczu. Jego kości płonęły; popatrzył na swoje dłonie, wydawało mu się, że widzi swój szkielet przez skórę, nie ciemny jak u Malchaja, lecz świecący na biało, emanujący żarem. Gorączka wypaliła jego gniew, zostawiając po sobie coś innego.

Odkręcił wodę i włożył dłonie pod zimny strumień. Smużki pary uleciały w górę z miejsca, gdzie woda spotkała się z jego skórą.

Byli tak daleko od miasta, a jego brak – brak ludzi, potworów, energii – przyprawiał go o zawroty głowy.

„Weź coś na wynos” – powiedział mu Leo.

August jęknął.

Umysł nad ciałem.

Umysł nad ciałem.

Umysł nad ciałem nad ciałami na podłodze nad kreskami wypalanymi dzień po dniu w jego skórze aż pęknie i złamie się i wykrwawi do rytmu wystrzałów i melodii bólu a świat składał się z dzikiej muzyki, tworzył ją i był z niej stworzony, taki cykl, wielki wybuch w skomlenie i tak dalej, i tak dalej, i nic nie było prawdziwe oprócz Augusta albo wszystko było prawdziwe prócz niego...

Wypłynął na powierzchnię ze stłumionym okrzykiem – a coraz trudniej i trudniej było nie utonąć – i zacisnął pięści na krawędzi umywalki. Czuł, jak paznokcie wbijają się w skórę dłoni, zaraz miały ją przebić.

August już kiedyś przez to przechodził, już się głodził, przekonany, że jest silniejszy niż głód, brzydziła go myśl, że wcale nie był, że głód powodował spustoszenia w jego ciele, chociaż zdawał się prawie nie dotykać jego rodzeństwa. Desperacko szukał czegoś po drugiej stronie, czegoś poza ciemnością. August dotarł do granicy swoich zmysłów i przekroczył ją, zapamiętał wszystkie kroki, wszystkie stadia, jakby ich znajomość była połowicznym zwycięstwem, jakby znając je był w połowie drogi do przewyciężenia głodu. O tym powinni napisać rymowanekę – gniew, szaleństwo, radość, smutek, gniew, szaleństwo, radość, gniew...

Znowu odpływał.

Wszystko dobrze, wszystko dobrze, wszystko dobrze.

– Wszystko dobrze, chłopie?

Podniósł wzrok i zobaczył mężczyźnię. Połowę jego twarzy pokrywały blizny. August przełknął ślinę, próbując odzyskać głos.

– Mam już dosyć walki – powiedział.

Nieznajomy pokręcił głową ze współczuciem, opłukując ręce.

– Jak my wszyscy. Jak my wszyscy.

Na ekranie przewijał się napis:

KATHERINE HARKER PORWANA, PODEJRZEWANA RODZINA FLYNNÓW

– Henry Flynn zaprzecza swojemu udziałowi w porwaniu – mówiła prezenterka – jednak źródła zaangażowane w śledztwo potwierdzają, że członek

rodziny Flynnów uczęszczał do tej samej szkoły co Katherine Harker i był widziany w jej towarzystwie krótko przed jej zniknięciem. Co więcej – oczy kobiety błyszczały z makabrycznym podnieceniem – dowody wskazują na to, że za atak na szanowaną szkołę, w wyniku którego zginęło troje uczniów oraz nauczyciel, a jedyne dziecko Calluma Harkera zaginęło, odpowiedzialny jest Sunaj.

Kate ścisnęło w żołądku. Kilku mężczyzn stało z zadartymi głowami i oglądało wiadomości. Jeden z nich mruknął coś parszywego pod nosem; jeszcze inny zauważył, że na pewno wyznaczą nagrodę. Trzeci rzucił:

– Wyłącz to gównno.

– Nie mogę – odparła kobieta pracująca za barem. – Puszczają to na każdym kanale.

Ekran za chwilę wypełniła postać jej ojca, który stał na podium w eleganckim czarnym garniturze, jakby nie miał pojęcia, co się dzieje, jakby jego własne zbuntowane potwory nie stały za tym wszystkim.

– Odzyskam swoją córkę – powiedział – i dopilnuję, by osoby odpowiedzialne za jej porwanie, kimkolwiek są, odpowiedziały za zbrodnie przeciwko mojej rodzinie i stolicy Prawdziwości. Północne Miasto uznaje ten czyn za wypowiedzenie wojny.

Za chwilę wróciła prezenterka.

– Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje na temat aktualnego miejsca pobytu Katherine Harker, proszone są o kontakt pod numerem telefonu...

Kate już wpisywała zakodowaną wiadomość do telefonu.

Zadzwoń. Pilne.

Wycofała się spod telewizorów, nurkując za wystawkę jakiegoś bliżej nieokreślonego, napakowanego konserwantami jedzenia. Minęła minuta. Dwie. A potem odezwała się komórka.

– Katherine – rozbrzmiał głos jej ojca, po wcześniejszej panice został ledwie cień. Callum Harker odzyskał panowanie nad sobą. – Wszystko w porządku?

– Dlaczego naopowiadałeś tych bzdur w telewizji? – warknęła. – Mówiłam ci, że to nie oni!

Spokojne westchnięcie.

– Nie wiem tego. Nie mam pewności.

– Ale ja mam – szepnęła rozgniewana.

– Czyli on faktycznie jest z tobą.

Pytanie ją zaskoczyło.

– Co proszę?

– Frederick Gallagher. Znany też jako August Flynn. Trzeci Sunaj Henry'ego.

– Ścisnęło ją w żołądku. Powiedziałyby mu, planowała mu powiedzieć. Cholera, chciała przecież dostarczyć mu potwora osobiście. A teraz nie mogła się zdobyć na to, by wypowiedzieć jego imię. – Czy towarzyszył ci przez cały ten czas? – naciskał Harker.

Ale Kate nie dała się. To nie była wina Augusta. To nie August próbował ją zabić. Wręcz przeciwnie, uratował jej życie.

– Katherine...
– Gdzie jest Sloan?
– Poluje na tych, którzy wystąpili przeciwko mnie.
– To on wystąpił przeciwko tobie! – warknęła.
– Nie – odparł spokojnie Harker. – Nie wystąpił. Sam go przesłuchałem. Sloan twierdzi, że nie przyłożył ręki do ataku.
– To kłamstwo!
– Oboje dobrze wiemy, że on nie może kłamać.
Kręciło jej się w głowie. Przecież to musiał być Sloan. Kto inny mógłby być za to odpowiedzialny?
– Tato...
– Trzymaj się z dala od miasta, dopóki się nie odezwę.
– Żebyś mógł wmawiać ludziom, że zostałam porwana?
– Żebyś mógł cię *ochronić* – mówił coraz ostrzejszym tonem. – I nie musisz kodować wiadomości, Katherine. To przecież mój telefon. Kto inny miałby do niego zaglądać?
Twój cień – miała ochotę powiedzieć.
Zamiast tego rozłączyła się.

– Wpuszczasz ciepłe powietrze – rzucił ochryply głos.
August wyciągnął głowę z lodówki na alkohol i zobaczył żylastą staruszkę w uniformie Horyzontu.
– Przepraszam – odpowiedział, zamykając lodówkę. – Chciałem się trochę ochłodzić. – Słowa wydały mu się niewłaściwe, ale nie zdążył ugryźć się w język.
Nieopodal jakaś kobieta rozmawiała przez telefon, coraz bardziej podnosząc głos.
Jakiś mężczyzna upuścił kubek z kawą, wylewając wszystko na kolegę po fachu. Ten drugi przeklął i popchnął pierwszego, nieco zbyt mocno. Wszędzie dokoła rosnę napięcie.
Kobieta szybko uciekła, a potem, między jednym uderzeniem serca a drugim, August poczuł zapach zbrodni – stara krew i chłodne powietrze ocierające się o jego rozpaloną skórę. Zachwiał się, jego palce zacisnęły się wokół paska futerału, a wzrok prześlizgnął się po sklepie, po półkach i twarzach, aż... *tam*. Cały świat skupił się wokół tego mężczyzny. Był przysadzisty, miał oblepioną błotem kurtkę, krótką i nierówno przyciętą brodę oraz głowę zbyt małą jak na tak szerokie ramiona.
Jednak Augusta nie obchodziła żadna z tych rzeczy. Dla niego liczył się wyłącznie cień wijący się niczym powiewająca na wietrze peleryna, niespokojny i nienaturalny, a także fakt, że już zdążył wyjść na zewnątrz, zabierając ze sobą obietnicę chłodu i przejrzystych myśli.
August ruszył w jego stronę, lecz zaraz ktoś złapał go za ramię.
Kate.
– Musimy iść – rzuciła. – Natychmiast.
– Kate, ja... – Nie potrafił odwrócić wzroku od malejącej postaci mężczyzny. –

Muszę...

Zanim jednak zdążył dokończyć, Kate chwyciła go za brodę – niesamowite, że się nie poparzyła – i obrócić ją w stronę szeregu telewizorów zamontowanych na ścianie. Wszystkie wyświetlały jej zdjęcie – *wszystkie* – a pod nim napis:

KATHERINE HARKER PORWANA, PODEJRZEWANA RODZINA FLYNNÓW

Poczuł, że wypływa na powierzchnię, że z bolesną przytomnością przyswaja treść komunikatu.

– Nie – powiedział, a słowo to pozbawiło go tchu. – Ja wcale nie...

I właśnie wtedy rozległ się dzwonek i przez drzwi do środka wszedł kierowca, który przywiózł ich do Horyzontu. Spojrzał na ekrany i zatrzymał się.

– Co to ma być?

– *Cholera*. – Kate zaciągnęła Augusta za rękę z półkami. – Idź. Już. – Pchnęła go w stronę korytarza. Posłał ostatnie, rozpaczliwe spojrzenie w stronę drzwi wejściowych, ale mężczyzna z niespokojnym cieniem już zniknął.

– No chodź – ponaglała Kate, ciągnąc go w kierunku łazienek i tylnego wyjścia, na drugą stronę parkingu dla ciężarówek skąpanego w świetle lamp UVR. August skrzywił się, w głowie zaczęło mu dudnić.

– Wcale cię nie porwałem – powiedział. – Uratowałem ci życie. To ty postanowiłaś uciec.

– A ty postanowiłeś pojechać ze mną. – Kate już odchodziła. Z dała od postoju. Z dała od niego. Zniknęła za najbliższym rogiem i August zmusił się, by ruszyć z miejsca.

– Musimy komuś o tym powiedzieć – rzucił, próbując ją dogonić. – Musimy dać im znać, że nic ci nie jest.

– Na wypadek gdybyś zapomniał – zawołała – przypominam ci, że ktoś usiłuje mnie zabić.

– Ale przecież nawet nie musi! – August wiedział, że ma rację. Zamierzał się tego trzymać. – Właśnie tego chcieli, Kate. Zrzucić winę za zerwanie warunków rozejmu na moją rodzinę. I ten plan zadziała, jeśli nie...

Kate obróciła się na pięcie.

– Co mam zrobić, August? Nie mogę tak po prostu wrócić...

Przed nimi gwałtownie otworzyły się drzwi.

– Hej, wy tam! – krzyknął ktoś.

Odwrócili się oboje w stronę, z której dobiegał głos. Zobaczyli jednego z kierowców, którzy siedzieli w sklepie, zwałistego gościa trzymającego niedbale broń. Drugi mężczyzna, nieuzbrojony, szedł jego śladem. August już miał osłonić Kate swoim ciałem, kiedy otworzyły się kolejne drzwi i dwie kolejne osoby wyszły na plamę sztucznego światła. Ten człowiek miał kij bejsbolowy, towarzysząca mu kobieta trzymała nóż, którego ostrze odbijało światło reflektorów. W blasku lamp nie rzucali cienia – czworo ludzi i żadne z nich nie należało do grzeszników.

Ziemia niebezpiecznie zakołysała się pod nogami Augusta.

Już zsuwał futerał ze skrzypcami z ramienia, licząc, że przynajmniej rozbroi napastników, kiedy pierwszy mężczyzna się poruszył, wycelował broń i strzelił.

Pocisk trafił w asfalt nieopodal miejsca, gdzie stał August. Odgłos wystrzału był ogłuszający i przez chwilę chłopak znowu znajdował się w szkolnej stołówce i gapił na małe czarne kreseczki na podłodze, zanim głos Kate nie przywrócił go do rzeczywistości.

– Czyś ty oszalał? – warknęła do nieznanego.

– To prawda? – powiedział tamten, celując w pierś Augusta, ale patrząc na Kate. – Jesteś córką Harkera?

– A skoro tak, to czy *ty* jesteś potworem? – wtrącił mężczyzna za jego plecami.

Zanim August zdążył odpowiedzieć, człowiek z kijem bejsbolowym złapał Kate za nadgarstek i pociągnął do siebie. Wbiła mu kolano w krocze i aż się zatoczył do tyłu, ale kobieta z nożem złapała Kate i odciągnęła ją siłą, przystawiając jej ostrze do gardła.

August ruszył do przodu i pistolet znowu wystrzelił. Tym razem pocisk otarł się o jego policzek.

Kobieta z nożem uśmiechnęła się, połowę zębów miała z metalu.

– Kto pierwszy ten lepszy, chłopcze. Nagroda jest moja.

– Jedyną nagrodą, jaka cię czeka, jest kula w łeb.

August niemal żałował, że mężczyzna nie spełnił swojej groźby. Miał problemy z utrzymaniem się na nogach, skupiał wzrok to na kijku bejsbolowym, to na ostrzu noża, to na pistolecie, podczas gdy dokoła napięcie wciąż rosło.

– Umówmy się tak – rzucił koleś z kijem – że my weźmiemy dziewczynę, a ty sobie zatrzymaj chłopaka.

– Mi się wydaje, że bierzemy oboje – odparł ten z pistoletem.

Kate syknęła, kiedy kobieta przycisnęła mocniej nóż do jej gardła.

– A jak zamierzasz to zrobić? – zapytała napastniczką.

Atmosfera gęstniała, kobieta z nożem i mężczyzna z pistoletem utknęli w impasie; z kolei ten z kijem i ten nieuzbrojony powoli się zbliżali.

Ich oczy błyszczały dziwnie, tak jak u ludzi, którzy rozmawiali z Augustem, ich chciwość i agresja wpływała na powierzchnię... jakby żywili się jego głodem. Kręciło mu się w głowie; wiedział, że nie zapanuje nad chaosem, póki ten będzie wzrastał w nim samym... ale może nie musiał. Leo wiedział, jak wpływać na uczucia ludzi, jak zaogniać je i skupiać.

Umysł nad ciałem.

Zamiast walczyć z wpływem, zamiast próbować go ograniczyć, podkreślił go, pozwolił mu rozlać się na asfalt i stojących na nim ludzi.

Kate też musiała poczuć zmianę w powietrzu, w nastrojach, w samej sobie, ponieważ spojrzała mu w oczy. Poruszyła palcami i chwilę później zauważył w jej dłoni coś metalowego.

– Ja biorę dziwkę z nożem – powiedziała, wbijając scyzoryk w udo napastniczki. Kobieta wrzasnęła, a Kate podniosła ręce i pchnęła ramię napastniczki, uciekając spod ostrza. W tym samym momencie August skoczył i uderzył w mężczyznę z bronią z taką siłą, na jaką było go stać, popychając go na tego stojącego za jego plecami. Pistolet wystrzelił, a potem spadł na asfalt razem z dwoma napastnikami, krok od miejsca, gdzie pozostali siłowali się

i przeklinali, zapomniawszy o nożu i kiju bejsbolowym. August usłyszał ryk silnika nadjeżdżającej ciężarówki i krótki, ostry dźwięk klaksonu, złapał Kate za rękę i pobiegł. Goniły ich wrzaski, odgłos ciała padającego na ziemię oraz stłumione przekleństwa, ale August nie oglądał się za siebie, pędząc z Kate za róg budynku i przez asfalt w stronę otwartej bramy.

Ciężarówka przejechała na drugą stronę i barykada zaczęła się zamykać. Strażnicy byli odwróceny w przeciwnym kierunku, wyglądając na ciemność, a kiedy wreszcie zauważyli Augusta i Kate, było już za późno. Wskoczyli za ogrodzenie chwilę przed tym, jak brama dojechała do końca i zablokował się zamek.

Zboczyli z oświetlonej drogi na skąpane w mroku łąki, a August wyteżał słuch, czekając aż jego bijące jak oszalałe serce zagłuszy pisk opon na asfalcie, jednak nikt nie ruszył w pogoń, strażnicy nie strzelali, a brama pozostała zamknięta.

Mimo to nie zatrzymywali się. Nie oglądali się za siebie.

Stracił poczucie czasu, nie zwracał uwagi, że ich dłonie wciąż były splecione, nie zwracał uwagi na gorączkę i ból. Zwariował czy faktycznie głód zaczynał odpuszczać?

Biegli bez ładu i składu przez wysoką trawę, mijając bunkry i drzewa, a kiedy wreszcie zwolnili kroku i zatrzymali się, zostali już zupełnie sami, otoczeni jedynie przez ciemność i odległy blask drogi.

Kate próbowała odzyskać oddech, przyciskając dłoń do zranionego brzucha. August opadł na kolana, przytykając rozcapierzone palce do chłodnego, wilgotnego piasku.

Chciał się położyć. Przycisnąć policzek do ziemi, tak samo jak Ilsa, i nasłuchiwać. Kate uklękła obok niego, ramię w ramię, i przez kilka długich chwil trwali tak, pochłonięci przez dziką trawę. Noc była taka cicha, świat taki spokojny; trudno było uwierzyć, że istniało na nim jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

August wychwycił odległy warkot ciężarówek i spał się, ale auta nie wyjeżdżały poza drogę. Nikt nie miał dość odwagi, żeby zapuścić się poza bezpieczne światło.

Kiedy wreszcie podnieśli się z ziemi, na horyzoncie majaczyły pierwsze promienie wstającego słońca, zmieniając czerń na fiolet przywodzący na myśl siniaki. Augustowi kręciło się w głowie i Kate wyciągnęła rękę, żeby go wesprzeć.

– Wszystko w porządku?

Pytanie odbiło się echem w jego głowie, marszcząc powierzchnię jego myśli jak kamyk wrzucony do jeziora, stając się po drodze odpowiedzią. *W porządku. W porządku. W porządku.*

To szaleństwo i coś zupełnie niesłychanego, ale taka była prawda. Ból bladł, jego mięśnie wreszcie zaczęły się rozluźniać. Wciągnął powietrze do płuc i zadrzał. Niedowierzanie mieszało się z radością. Leo się mylił. Udało mu się. Przeprawił się na drugą stronę.

- August? - naciskała Kate. - Dobrze się czujesz?
 - Tak - odparł, a słowo to wypełniło jego ciało i umysł. Taka była prawda.
 - Świetnie. - Trzymała coś w dłoni. Obróciła ten przedmiot w stronę słabego światła, a potem zaczęła maszerować.
 - Gdzie idziemy? - zapytał, ruszając jej śladem.
- Kate nie odwróciła się, ale usłyszał jej odpowiedź, niesioną przez powietrze jak muzyka.
- Do domu.

A stylized white graphic of a violin body is centered on a gray background. It features four vertical lines representing the strings and two large, symmetrical f-holes on either side.

WERS 4

*Staw czoła
swoim potworom*

I

Przez sześć lat domem był budynek na wschodnich krańcu Ziemi Jałowej, wystarczająco daleko od ciemności, żeby nikt nie przyszedł, wystarczająco daleko od najbliższego miasta, że światła tu nie docierały.

Stolica była miejscem z przeszłości oraz miejscem dla przyszłości, ale Kate i jej matka mieszkały w teraźniejszości. Chciała pamiętać ten okres jako nudny, mdły i niespokojny, lecz w rzeczywistości było idealnie. A Kate była *szczęśliwa*. Takie szczęście wkłada czas w nieruchome ramki.

Czytanie książki w objęciach matki.

Ciepły głos mrużący przy zaplataniu warkoczy.

Dziki polne kwiaty w wazonach i kubkach, i miskach, gdzie tylko się dało.

Wszędzie kolory, zachody słońca podpalające łąki.

Tymczasem gdzieś indziej świat naprawdę płonął.

Gdzieś indziej ceniom wyrosły zęby i szpony, a koszmary zyskały cielesną powłokę.

Jednak tutaj, w domu na granicy Ziemi Jałowej, nic z tych rzeczy do nich nie dotarło. Tutaj łatwo przychodziło zapomnieć, że świat się zmienił.

Brakowało jedynie jej ojca, ale nawet on tu bywał – na zdjęciach, w przywożonych zapasach, w obietnicach, że niedługo będą mogły wrócić do domu.

Po wszystkim wmówiła sobie wiele rzeczy. Że zawsze chciała wyjechać. Że miała serdecznie dosyć tego ich małego domku. Że kiedy mówiła o domu, miała na myśli stolicę.

Za plecami Kate wstawało słońce, obmywając swoim światłem ciągnące się przed nimi łąki. Krople rosy błyszczały na źdźbłach traw, mocząc spodnie Kate od kolan w dół. Świat pachniał świeżością, jakiej miastu zawsze brakowało. August szedł kilka kroków dalej, a Kate obserwowała, jak współrzędne na zegarku zmieniają się, zbliżając się do tych znajomych. Oboje milczeli.

Ominęli fabryki i magazyny, pilnowane równie skwapliwie co Horyzont, i pochwycili ostrożne spojrzenie wymizerowanej kobiety stojącej przed squatem, która sprawdzała, czy przez noc nic jej nie zginęło. W połowie poranka Kate dojrzała w oddali szkielet miasteczka, promienie słońca odbijały się od metalowych dachów i zewnętrznych murów. Trzymali się z dala od tych miejsc, zamiast tego wybierając drzewa albo, jeśli tych zabrakło, wysoką trawę. I przez cały ten czas Kate nie spuszczała zegarka z oczu, obserwując zmieniające się cyfry. Byli coraz bliżej, bliżej, bliżej.

Daleko przed nimi pojawił się las. Kate wydał się znajomy. Zielona barykada sprawiała wrażenie gęstej, lecz ponad pół kilometra dalej ustępowała miejsca łące.

A dalej stał dom.

Minęli linię drzew zanim Kate zdała sobie sprawę, że nie słyszy już za sobą kroków Augusta. Odwróciła się i zobaczyła go w pewnej odległości, jak w zamyśleniu muska opuszkami palców kory kasztanowca.

– Chodź! – zawołała. – Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie poruszył się.– August?

– Ciii – powiedział, zamykając oczy. – Wreszcie ucichły.

Podeszła do niego.

– Co ucichło?

– Odgłosy wystrzałów – szepnął.

Kate zmarszczyła brwi i rozejrzała się dokoła.

– O czym ty mówisz?

August znowu podniósł powieki, wzrok utkwiał w chropowatej korze.

– Leo się mylił – stwierdził cicho i dziwnie śpiewnym głosem. – Powiedział mi, że taka jest moja natura, natura mojego rodzaju, a ja mu uwierzyłem, ale mylił się, bo wciąż tu jestem. – Wyciągnął usta w chłopięcym uśmiechu. Nigdy nie widziała, by uśmiechał się w ten sposób. – Wciąż tu jestem, Kate.

– Dobra, August – odparła zdezorientowana. – Wciąż tu jesteś.

– Głód na początku strasznie bolał, ale teraz...

Kate zamarła.

– Jak długo jesteś głodny?

Tylko się roześmiał. Ten banalnie radosny dźwięk brzmiał nieestosownie w jego ustach. A potem spojrzał jej w oczy i Kate zaparło dech w piersi. Jego oczy *płonęły*. Nie tyle błyszczały od gorączki, co dosłownie *płonęły*, w środku lodowato niebieskie, na brzegach liźnięte złotem.

Zupełnie jakby patrzyła prosto w słońce. Musiała odwrócić wzrok.

– August...

– Spokojnie – rzucił radośnie. – Już mi lepiej, nie widzisz, że...

– Zaraz zaprąszysz ogień w lesie – dokończyła za niego, podchodząc z rękami w górze. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – Rozejrzała się, jakby spodziewała się zobaczyć w pobliżu jakiegoś grzesznika, ale oczywiście żadnego nie zobaczyła, bo w okolicy nie było żadnych *ludzi*, a co dopiero mówić o grzesznikach. Znajdowali się w środku pieprzonego lasu, który znajdował się w środku pieprzonego zadupia. Kate zamknęła oczy, próbując się skupić, a potem poczuła coś gorącego i gdy podniosła znowu powieki, zobaczyła, że August dotyka jej policzka.

– Już dobrze – powiedział łagodnie.

Odsunęła się.

– Twoja ręka.

– Moja ręka – powtórzył, przyglądając się jej. – Wygląda jak twoja, ale nie jest jak twoja, bo ja nie jestem taki jak ty, ty wyglądasz jak ja... ale nie, to nie tak...

– August.

– To *ja* wyglądam jak ty, ale ciebie urodziła matka i wychowała od maleńkości, a mnie po prostu w jednej chwili nie było, a potem już byłem, nie taki jak teraz, trochę mniejszy, młodszy – paplał i wpadał w coraz większą manię – ale powstałem z niczego i nagle stałem się czymś. To jakby przeciwieństwo śmierci, nigdy o tym tak nie myślałem...

Dotknęła jego czoła i szybko zabrała rękę.

– Ty dosłownie płoniesz.

Uśmiechnął się tym olśniewającym, radosnym uśmiechem.

– Jak gwiazda. Wiedziałaś, że wszystkie gwiazdy płoną? To tylko skomlenie i wybuch, wybuch i skomlenie, nie pamiętam, ale wiem, że płoną... – Kate odwróciła się i zaczęła ciągnąć Augusta między drzewami. Emanował żarem, który czuła pod rękawem w miejscu, gdzie ją dotykał. – Miriady maleńkich ognisk na niebie i tyle ciemności między nimi. Tak wiele ciemności. Tak wiele szal... – Urwał. – Nie.

– Co się stało?

Szarpnął się i podniósł rękę do głowy.

– Nie, nie, nie... – błagał, padając na kolana. – Gniew, szaleństwo, radość. Nie chcę iść dalej.

– Chodź – szepnęła Kate, kucając obok niego. – Jeszcze tylko kawałek.

On jednak zaczął kręcić głową i nie potrafił przestać. Kate czuła niepokój bijący od niego jak żar, przesączający się w jej skórę. Jego usta poruszały się i ledwo słyszała, co mówi.

– *Wszystko dobrze, wszystko dobrze, wszystko dobrze...*

Otoczyła go ramionami, żeby pomóc mu się podnieść. Jego koszulka była mokra i pomyślała, że to pot, ale reszta jego ciała była sucha, a gdy zabrała rękę, zobaczyła na swoich palcach czerni.

– August – powiedziała powoli. – Ty chyba krwawisz.

Spojrzał w dół na swoje ciało, jakby go nie rozpoznawał, a kiedy w dalszym ciągu się nie ruszał, Kate chwyciła jego koszulkę i podniosła. Widziała miejsce, w którym kula otarła się o jego żebra. August dotknął swojego boku i gapił się na smugę czarnej krwi na dłoni, jakby była mu obca. Szaleńczy uśmiech zniknął i August nagle sprawiał wrażenie smutnego i przerażonego dziecka.

– Nie – szepnął. – Tak nie powinno być.

Miał rację.

Sunajowie mieli być niepokonani.

Nikt nie jest niepokonany.

Powodem musiał być głód, który w jakiś sposób pozbawiał go sił.

– Idziemy – oznajmiła, próbując pomóc mu się podnieść, ale zamiast tego on ściągnął ją w dół. Upadła kolanami na pokrytą mchem ziemię, jego palce wpiły się w jej ramiona. Trząsł się teraz, krótki moment euforii przeobraził się w coś zupełnie innego. Po twarzy ciekły mu łzy i wyparowywały przed dotarciem do szczęki.

– Kate – powiedział drżącym głosem. – Nie mogę iść w stronę krawędzi, nie

pozwól mi spaść. – Zaszlochał. – Nie mogę nie mogę znowu oddać się ciemności trzymam się kurczowo ostatniego strzępka i jeśli puszcze nie odzyskam ich nie chcę zniknąć...

– Dobrze, August – odparła, starając się mówić spokojnym i kojącym tonem. – Nie pozwolę ci upaść.

Przycisnął swoje parzące czoło do jej ramienia.

– Proszę – wyszeptał. – Obiecuj.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po głowie.

– Obiecuję.

Zaszli tak daleko. Dotrą do tego domu. Ostudzi go. Weźmie pieniądze z sejfów. Wyprowadzi samochód z garażu. I będą jechać tak długo, aż znajdą coś – *kogoś* – do jedzenia dla niego.

– Zostań ze mną – powiedziała, chwytając jego dłoń i podnosząc się z kolan. – Zostań ze mną.

Żar łaskotał ją w palce, na początku przyjemnie, potem boleśnie, ale nie puściła.

II

Dotarli do domu.

Żwir chrząścił im pod nogami, kiedy Kate na wpół prowadziła, na wpół ciągnęła Augusta przez zarośnięty podjazd do schodów przed drzwiami frontowymi. Niebieska farba na drewnie wyblakła, ogrodowe rośliny zdziczały, a na szybie w oknie rozbiegła się pajęczyna pęknięć, ale poza tym dom wyglądał dokładnie tak jak kiedyś.

Jak na fotografii – pomyślała Kate, brzegi się wystrzępiły, kolory zbladły, ale sam obraz pozostał niezmienny.

August opadł na schodki, podczas gdy Kate zaczęła rozgarniać przerośnięty chwastami trawnik w poszukiwaniu rynny i kryjącym się w nim małym magnetycznym pudełku z kluczem. Wyrwałaby drzwi z zawiasów, gdyby było trzeba, ale wytrzymały tyle czasu w nienaruszonym stanie i wolałyby ich teraz nie niszczyć.

– Powiedz mi coś – mruknął August, powtarzając jej słowa z samochodu. Oddychał z trudem.

– Co na przykład? – zapytała, papugując jego odpowiedź.

– Nie wiem – szepnął, kończąc swoje słowa jękiem rozpaczony albo bólu. Skulił się w sobie, futerał zsunął się z jego ramienia i uderzył głośno o schody. – Chciałem tylko... być wystarczająco silny.

Znalazła pudełko i rzuciła się, by je otworzyć. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo trzęsą się jej ręce, dopóki klucz nie wylądował w chwastach i musiała go stamtąd wygrzebać.

– To nie jest kwestia siły, August. To kwestia potrzeb. I tego, czym jesteś.

– Nie... chcę... taki być.

Westchnęła zniecierpliwiona. Dlaczego nie mógł po prostu zjeść? Dlaczego nie mógł zwyczajnie jej o tym powiedzieć? Wreszcie namacała klucz. Włożyła go w zamek i przekręciła. Niewielki ruch, ale pamięć mięśniowa okazała się silna. Drzwi otworzyły się. Spodziewała się, że w środku dom będzie wyglądał na porzucony, a jednak zaparło jej dech w piersi. Zatęchłe powietrze, kurz pokrywający wszystkie meble, chwasty wyrastające ze szczelin między deskami podłogi. Omal nie zawołała odruchowo matki – chęć, by to zrobić, była tyle nagła, co bolesna – ale powstrzymała się i pomogła Augustowi wejść do środka.

Nogi same poniosły ją przez pierwszy pokój. Znalazła generator w kuchni, pstryknęła przełączniki jak setki razy w przeszłości, poruszając się efektywnie, automatycznie. Nie czekała, aż uruchomią się światła, tylko od razu ruszyła do

łazienki, która czekała na nią ze swoimi ciepłymi niebiesko-białymi płytkami i porcelanową wanną.

Odkręciła wodę pod prysznicem, modląc się, by zbiornik na deszczówkę nadal działał. W rurach coś zawyło i kilka chwil później zaczęła płynąć woda, z początku rdzawa, ale zaraz krystalicznie przezroczysta i zimna.

August stał za nią, kołysząc się na nogach. Odstawił futerał ze skrzypcami na podłogę, zdołał zdjąć blezer i buty, zanim stracił równowagę i poleciał do przodu, łapiąc się krawędzi wanny. Kate chciała mu pomóc, ale powstrzymała ją, podnosząc stanowczo dłoń. Czarne kreski paliły mu skórę na ramieniu i plecach, przepalając koszulkę. Ściągnął ją i Kate zobaczyła czterysta dwadzieścia trzy rozpalone do białości znaczniki.

Nie wiedziała, co robić.

– Idź. – Szept, błaganie.

– Nie zostawię...

– *Proszę.* – Głos mu drżał, rozgrzane powietrze mierzwiło mu włosy jak podmuch wiatru, a kiedy spojrzał na nią przez ramię, kości jego twarzy świeciły na biało, podczas gdy oczy stały się ciemniejsze, czerni wypierała złote płomienie. Kate cofnęła się, a August wczołgał się do wanny na wpół ubrany i wydał zduszony okrzyk, kiedy zimna woda zetknęła się z jego skórą i zmieniła w parę.

Kate odwróciła się do wyjścia i znad syku pary i szumu wody usłyszała głos, cichszy od szeptu, jednak wciąż słyszalny:

– Dziękuję.

Kate wsunęła pulsującą bólem rękę pod strumień wody w kuchennym zlewie. Wyglądała, jakby ją przypiekła na ruszcie. I tak też bolała. A wystarczyło, że Kate chwyciła dłoń Augusta i nie puściła.

Gniew, szaleństwo, radość... Nie chcę dalej iść.

Właśnie to powiedział jej w lesie.

To, co teraz przeżywał, nie było radością. Jak długo już cierpiał? Zwróciła uwagę na jego zły humor, kiedy zepsuł się samochód, ale potrafił większość szaleństwa zachować dla siebie. Radości już nie potrafił. A teraz... jego bolesne jęki wbijały szpony w jej głowę.

Nie chcę zniknąć.

Odłożyła ubrudzone krwią szpikulce do zlewu, zakręciła kran i ruszyła w głąb domu. Łazienka była cała wypełniona parą, ale August nie stał już pod prysznicem i Kate spanikowała, dopóki nie zobaczyła czarnej czupryny wystającej znad krawędzi wanny.

Nie mogę iść w stronę krawędzi.

Oczy miał zamknięte, głowę odchyłoną do tyłu, jego ciało było złowroźnie nieruchome pod strumieniem wody z prysznica, której poziom sięgał mu już powyżej bioder.

Nie pozwól mi spaść.

– August? – powiedziała cicho.

Nie odpowiedział. Nie poruszył się. Kate zmusiła się, by podejść bliżej, wstrzymując oddech, dopóki August nie zadrżał lekko. Odetchnęła z ulgą, widząc ten nieznaczny ruch. Miał zaciśnięte szczęki i zamknięte oczy.

Patrzyła, jak robi wdech i chowa głowę pod wodę.

Nie wypłynął.

Jego kości przestały lśnić, dzięki czemu nie wyglądał już jak szkielet, co przywodziło jej wcześniej na myśl Malchaja. Pod wodą August wydawał się taki... ludzki. Jak nastoletni chłopiec, skulony, z długimi członkami i czarnymi włosami unoszącymi się wokół głowy. Liczyła sekundy, obserwując resztki powietrza, które pod postacią bąbelków uciekały z jego ust, i zastanawiała się, czy powinna go już wyciągnąć.

A potem nareszcie wypłynął.

Złapał za brzeg wanny i podciągnął się. Woda dostała mu się do oczu, które już nie płonęły, lecz jednocześnie nie wróciły do swojego bladoszarego koloru. Były wyraźnie ciemniejsze, koloru węgla, i wyglądały na osadzone zbyt głęboko w jego wychudłej twarzy.

Kate klęknęła i chwyciła jego dłoń. Poczuła, jak August tężeje, jednak jego skóra ochłodziła się na tyle, by dotykanie jej nie bolało, więc nie wycofał się.

– Kate – wymamrotał i popatrzył na nią niewidzącymi oczami.

– Jestem tutaj – powiedziała. – A ty gdzie jesteś?

August opuścił powieki, wziął głęboki wdech.

– Leżę na swoim łóżku – wyszeptał. – Słucham muzyki, a mój kot gryzie róg jednej z moich książek.

Kateomal się nie roześmiała. Taka banalna odpowiedź. Jego dłoń znowu się nagrzewała, więc puściła jego rękę, która opadła z powrotem do wody. Prysncic brzmiał prawie jak deszcz. Kate wyciągnęła srebrny wisiołek spod kołnierzyka i bawiła się nim w zamyśleniu, pocierając go kciukiem.

– Twój dom – powiedział z wysiłkiem August i nie wiedziała, czy to było pytanie czy stwierdzenie.

– Kiedyś nim był – odparła Kate, obracając medalion w palcach.

Z wanny dało się słyszeć ciche, drżące westchnienie.

– Dlaczego na świecie jest tyle cienia, Kate? Czy nie powinno być tyle samo światła?

– Nie wiem, August.

– Nie chcę być potworem.

– Nie jesteś nim – stwierdziła odruchowo, ale kiedy wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że w nie wierzy. August był Sunajem i nic nie mogło tego zmienić, ale nie widziała w nim zła, nie widziała okrucieństwa. Nie widziała tego wszystkiego, co czyniło potwora potworem. Był po prostu kimś, kto chciałby być kimś innym, kim być nie mógł.

Kate rozumiała to uczucie.

– Boli – szepnął.

– Co cię boli? – zapytała Kate.

– To, że jestem. Albo nie jestem. Boli to wytrzymywanie. Co bym nie robił,

cierpię.

Kate oparła głowę o brzeg wanny.

– Tak wygląda życie, August. Chciałeś się czuć jak człowiek, prawda? Nie ma znaczenia, kim jesteś. Życie boli.

Czekała, aż powie coś więcej, zastanawiając się, dlaczego nie czuła już potrzeby mówienia. Może wreszcie skończyły się jej sekrety, a może zaczynała się już do niego przyzwyczajać. Kiedy nie mogła dłużej znieść ciszy, podniosła się z podłogi – od siedzenia w tej pozycji zeszywniały jej członki – i ruszyła korytarzem do pierwszego pomieszczenia po lewej.

Pod warstwą kurzu ściany jej dawnego pokoju były żółte – nie jak słoneczniki, lecz bledsze, niemal białe, w kolorze słońca, prawdziwego słońca, a nie tego rysowanego przez dzieci. Łóżko było wąskie, lecz miękkie, a na ścianie poprzyczepiane były jej obrazki.

Przekopała się przez zawartość szuflad i znalazła stary pamiętnik oraz kilka ubrań – rzeczy, którymi nie przejmowała się na tyle, by zabrać je do stolicy. Z ubrań oczywiście wyrosła, ale musiała się wydostać z tych, które miała aktualnie na sobie, więc poszła do znajdującego się na końcu korytarza pokoju matki.

Drzwi nie były zatrzaśnięte, więc wystarczyło je lekko pchnąć, żeby się otworzyły.

Pomieszczenie było zwyczajne i skąpane w mroku, zasłony w oknach zaciągnięto, mimo to widok łóżka i sterty poduszek na nim sprawił, że ścisnęło ją w sercu. Gdyby zamknęła oczy, zobaczyłaby samą siebie na tym łóżku, czytającą książkę, podczas gdy matka żartobliwie przykrywała ją po kolei wszystkimi poduszkami.

Ruszyła powoli przez podłogę, mijając wyrastające spomiędzy desek chwasty, i usiadła na brzegu łóżka, ignorując osiadły wszędzie kurz. Gdzieś pod jego zapachem krył się jeszcze woń jej matki i zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, Kate zwinęła się w kłębek pośrodku morza poduszek i schowała twarz w tej leżącej najbliżej.

Dom – pomyślała, a wspomnienie sięgnęło i wciągnęło ją w siebie.

Minęły cztery miesiące od ich powrotu do stolicy i Kate nie mogła spać. Każdej nocy śniły jej się potwory – zęby, szpony i karmazynowe oczy – i każdej nocy budziła się z krzykiem.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała matce.

– Ale my jesteśmy w domu, Kate.

Tylko że nie czuła tego. Dom nie przypominał tego z opowieści, jakie słyszała od matki w dzieciństwie. Nie było szczęśliwej rodziny, nie było kochającego ojca – tylko cień, który rzadko widywała, i podążający za nim potwór.

– Chcę do domu – błagała po każdym przebudzeniu.

– Chcę do domu – prosiła za każdym razem, kiedy matka kładła ją do snu.

– Chcę do domu.

Jej matka stawała się coraz chudsza, jej oczy zyskały czerwone obwódki.

Miasto pożerało ją żywcem, kawałek po kawałku. A potem, pewnej nocy, zgodziła się.

– Porozmawiam z twoim ojcem – obiecała. – Coś wymyślimy.

Tamtej nocy, kiedy zdarzył się wypadek, Kate wciąż śniła, wciąż była uwięziona w pokoju z okrutnymi cieniami, gdy matka potrząsnęła ją za ramiona.

– Obudź się, Kate. Musimy jechać.

Na policzku matki czerwienił się ślad, opuchlizna z literą H pośrodku, którą zostawił pierścień Calluma Harkera, gdy uderzył ją w twarz. Przemykanie się po skąpanym w mroku apartamencie. Zbite szkło. Przewrócone krzesło. Zamknięte na głucho drzwi do biura i sen, który wciąż trzymał się kurczowo Kate, podcinając jej nogi.

– Gdzie jedziemy? – zapytała w windzie.

– Gdzie jedziemy? – zapytała w garażu.

– Gdzie jedziemy? – zapytała, kiedy uruchomił się silnik, a matka wreszcie odpowiedziała:

– Jedziemy do domu.

Nigdy tam nie dotarły.

Kate podniosła się. Łzy płynęły jej po twarzy, rysując ślady w kurzu. Wytarła policzki wierzchem dłoni.

Chcę do domu.

To ona wypowiadała te słowa. Zawsze ona. Mówiła je setki razy. Kiedy zostały pomieszane, przekręcone, wykrzywione?

Jej błagania tamtej nocy, ojcowski pierścień odbity na policzku matki... Co jeszcze zapomniała?

Moment wypadku kotłował się jej po głowie, różne fragmenty wskakiwały na swoje miejsca. Nagły błysk lamp, jakby wjechały na niewłaściwy pas – ale nie zrobiły tego. To tamten drugi samochód skręcił. A potem zduszony krzyk matki, nagłe szarpnięcie kierownicą, gdy próbowała zjechać z drogi. Zbyt późno. Potworna siła uderzenia, odgłos gniecionej blachy i roztrzaskiwanego szkła, uderzenie głową w okno. Jej matka, oparta bezwładnie o kierownicę, zmiążdżone płuca walczące o oddech. Świat nagle stał się taki nieruchomy, w uszach jej szumiało, oczy zalały się krwią, a pupil jej ojca stał i patrzył karmazynowymi oczami, wykrzywiając usta w obrzydliwym uśmiechu.

Kate wyskoczyła z łóżka i zwymiotowała na drewnianą podłogę. Kucnęła, siłą wtłaczając powietrze do płuc. Jak mogła tak wiele zapomnieć?

Teraz jednak wszystko sobie przypominała.

Wspomnienia te nie należały do innej Kate. Należały do niej. To było jej życie, jej strata. I w ten czy inny sposób wyrwie Sloanowi serce.

Cała roztrzęsiona podniosła się z podłogi, odzyskała równowagę i obeszała łóżko. Butem zsunęła dywan i zaczęła palcami badać deski, aż znalazła tę obluźowaną i przesunęła ją na bok. W ciemności pod drewnem znalazła metalowe pudełko i wyciągnęła je na zewnątrz. Przekręciła zamek szyfrowy, aż

cyfry ułożyły się w odpowiednią kombinację i usłyszała kliknięcie. W środku znajdował się zwitek banknotów, dokumenty i pistolet. Matka nie chciała go zabrać, ale Harker nalegał, więc włożyła go tutaj, razem z pozostałymi rzeczami, które nie były jej potrzebne. Kate schowała gotówkę do kieszeni, sprawdziła magazynek – był pełen pocisków o srebrnych wierzchołkach – i wsunęła broń za pasek spodni, a potem sięgnęła po dokumenty. Przekartkowała je, zatrzymując się, gdy zobaczyła twarz Alice Harker. Zabrała swoje papiery i włożyła resztę z powrotem do pudełka, a potem wstała.

W szafce matki znalazła ciemny sweter i kiedy przyłożyła go do swojego ciała, z zaskoczeniem zauważyła, że doskonale pasuje. Kolejny dowód na to, jak wiele czasu minęło. Położyła sweter na szafce i zdjęła marynarkę i koszulkę Augusta, krzywiąc się, kiedy szwy boleśnie ją ciągnęły przy ruchu. Czuła na nagiej skórze ciepło wisiorka. Zamknęła oczy i podsunęła rękawy swetra do nosa, wciągając zapach lawendy. Matka wsadziła ją do wszystkich szuflad, żeby ubrania pachniały świeżością.

Znalazła podkoszulek dla Augusta i zarzuciła go sobie na ramię.

W łazience wciąż panowała ciężka cisza, więc Kate zawiesiła koszulkę na drzwiach i wyszła na dwór, maszerując przez gęstą trawę i zarośnięty ogród w stronę małego garażu. Słońce zaczynało już opadać w stronę widnokręgu, ale jego promienie odbijały się od czegoś w oddali, za linią drzew i w kierunku Ziemi Jałowej.

Kate zmrużyła oczy.

Wyglądało jak coś w rodzaju magazynu albo przemysłowej stodoły. Budynek był nowy – a przynajmniej nie stał tam sześć lat wcześniej – jednak nie panował tam żaden ruch, z kominów nie unosił się dym, żaden samochód nie wjeżdżał ani nie wyjeżdżał, nikt nie pilnował terenu. Albo został porzucony, albo ograbiony.

W garażu znalazła samochód. Stał nieużywany jeszcze w czasach, gdy tutaj mieszkali, ale matka nalegała, by posiadać auto na wypadek nagłej potrzeby. W dniu ich powrotu do V-City Harker wysłał po nie swoich ludzi, więc nie miały powodu, by zabrać samochód. Kate odłączyła akumulator od generatora i opuściła maskę. Wlała benzynę do baku i spróbowała otworzyć drzwi. Zaskrzypiały, ale otworzyły się i Kate usiadła na fotelu kierowcy, a potem znalazła kluczyk wsunięty za osłonę przeciwsłoneczną. Włożyła go do stacyjki, wstrzymała oddech i przekręciła. Przy pierwszej próbie silnik tylko zacharczał. Odpalił przy drugiej.

Z gardła Kate wydostał się triumfalny okrzyk.

A potem, kiedy wyłączyła silnik, usłyszała ryk innego auta. Ciężarówka jadąca w oddali. Jej serce zaczęło bić szybciej i musiała się upomnieć, że przecież główna droga leżała po drugiej stronie wzgórza, za linią drzew. Powtarzała sobie, że nikt ich stamtąd nie widzi, lecz mimo to została w samochodzie, ściskając kierownicę, aż w końcu nie słyszała nic prócz dudniącego w uszach tętna.

III

August wiedział, że traci zmysły.

Najgorsze było to, że to wszystko czuł.

Choroba zawładnęła jego ciałem, opanowała myśli i teraz stał się więźniem samego siebie, pogrążony we mgle jak śpiący, który nie potrafi wydostać się ze swojego snu. Wyczuwał krawędź sennego oplotu, lecz nie potrafił za nią złapać, nie potrafił go z siebie ściągnąć.

Nie mógł już trzymać swoich słów. Wyślizgiwały mu się z myśli i z ust, a potem znikwały, zanim zdołał pojąć ich znaczenie.

Ból na chwilę przygasł, spopielony przez szaleństwo i radość, lecz teraz czarne kreski wypalały mu skórę, pulsując żarem, a odgłosy wystrzałów przetaczały się w jego głowie jak gromy w deszczu białego szumu. Przystawił rozpalone czoło do zimnych płytek, jego skóra syczała jak polany wodą ogień, kiedy chłód walczył z gorączką.

Ciało Augusta wreszcie obniżyło swoją temperaturę i chłopak oparł się o ściankę wanny, pozwalając, by zimna woda spływała po plecach, bokach i nogach.

Kate pojawiała się i znikwała, jej ciemne oczy pływały w obłokach pary, była i znów jej nie było.

Teraz wróciła.

– Posłuchaj – powiedział, próbując zatrzymać słowa, zanim uciekną. – Musisz... iść.

– Nie.

– Nie możesz... tu być... kiedy upadnę.

Znowu poczuł jej dotyk, jedna dłoń gorąca, druga zimna, a on nie wiedział już, która jest czyja. Krawędzie zamazywały się.

– Nie pozwolę ci upaść, August.

Znowu strach, znowu dotkliwy smutek.

– Nie... mogę...

– Nie możesz mnie skrzywdzić – przerwała mu. – Przynajmniej dopóki jesteś sobą, prawda? Dlatego nigdzie się nie wybieram.

Zacisnął zęby, zamknął oczy i próbował skupić się na własnym sercu, na kościach, na mięśniach, na nerwach. Rozebrał się na części kawałek po kawałku, komórka po komórce, próbując poczuć każdy atom, z którego się składał.

Każdy z tych atomów błagał go, żeby odpuścił, żeby się poddał, żeby dał się

pochłonąć ciemności. Poczuł, że odpływa w nieświadomość i wysiłkiem woli zmusił się do zachowania przytomności, bojąc się, że jeśli teraz ją straci, coś innego przejmie nad nim kontrolę.

Kate usiadła na brzegu kanapy z papierosem w ustach.

Urządziła poszukiwania i udało jej się zdobyć pół paczki ze starego zapasu matki.

„Palenie zabija” – powiedział August pierwszego dnia szkoły.

Kate mimowolnie uśmiechnęła się na to wspomnienie. Pstryknęła zapalniczkę, popatrzyła na płomień skaczący przy jej końcu, a potem zgasiła go i odłożyła niezapalonego papierosa.

Nie tylko palenie zabija w tym mieście.

Włączyła telewizor, krzywiąc się na widok własnej twarzy na ekranie.

– ...godzin od konferencji prasowej Harkera – mówiła prezenterka wiadomości – wzdłuż Szwu doszło do incydentów oraz rzekomo do starć między siłami OSF oraz Harkera. Przechodzimy teraz do Henry’ego Flynna...

Na ekranie pojawił się obraz z konferencji prasowej. Szczupły mężczyzna stał wyprostowany na podium.

Po jego lewej stronie znajdowała się ciemnoskóra kobieta, która położyła mu dłoń na ramieniu. Emily Flynn, jego żona. Po drugiej stronie jakiś żołnierz OSF z ręką w temblaku. W OSF były tysiące żołnierzy, a Flynn wybrał akurat rannego.

Cwane, pozuje na ofiarę – pomyślała z niechęcią Kate. Chociaż w zasadzie nie kłamał: jego syn zaginął, wrobiony w przestępstwo, którego nie popełnił. Przez jej ojca. Przez nią.

– Moja rodzina nie ma nic wspólnego z atakiem na Katherine Harker.

– Czy to prawda, że umieścił pan szpiega w jej szkole?

– Czy to prawda, że zaginął jeden z Sunajów?

– Czy to prawda...?

Kate wyłączyła telewizor, wyciągnęła z kieszeni komórkę i była w połowie pisania wiadomości do ojca, kiedy do jej uszu dotarł pewien dźwięk.

Szuranie opon. Na żwirze.

Zadarła głowę. Odgłosy wcześniej zagłuszała telewizja i szum wody w łazience, więc zanim Kate zdążyła zeskoczyć z kanapy i wyrzucić przez okno, samochód już się zatrzymał. Ze środka wysiadł młody i szczupły mężczyzna w czarnej czapce OSF. Kate spięta się. Członek oddziałów Flynna? Wyciągnęła pistolet zza paska spodni i odbezpieczyła go, a tymczasem nieznajomy wspiał się po schodkach i zapukał do drzwi.

Ścisnęło ją w żołądku, gdy spojrzała na gałkę. Nie zamknęła drzwi na klucz.

– August Flynn? – zawołał mężczyzna. – Jesteś tam?

Kate wstrzymała powietrze.

Co on tutaj robił?

Zawahała się. Może nic jej nie groziło. Może nie przyjechał tutaj w złych zamiarach. Może powinna pojechać z Augustem do Południowego Miasta...

Nieznajomy znowu zapukał i Kate zaczęła powoli iść przez salon, nie wiedząc jeszcze, czy kierować się w stronę drzwi czy korytarza. Może... ale jak ich odnalazł?

Pukanie ustało.

– Katherine Harker? – zawołał.

Wstrzymała oddech.

– Wiem, że tam jesteś.

Cały czas wpatrywała się w drzwi, więc nie widziała niskiego stolika, o który jako dziecko ciągle obijała sobie kolano. Teraz zaczęła o niego nogą i stojąca na blacie ramka ze zdjęciem upadła, rozbijając się o podłogę.

Gałka zaczęła się obracać i Kate pobiegła w stronę korytarza.

Była w połowie drogi, kiedy drzwi zostały wyważone.

August usłyszał jakiś dźwięk mimo szumu prysznicza.

Ciężkie uderzenia. Pomyślał, że to muzyka Kate, ale nie było żadnych słów, tylko powtarzające się *tup, tup, tup*.

Podniósł się do pozycji siedzącej. Każdy oddech, każdy ruch sprawiał mu ból, niemniej wciąż był sobą, wciąż był Augustem.

Stanął na nogi, do których przykleiły się mokre spodnie, i zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę, opierając się o wyłożoną płytkami ścianę. Zakręcił wodę, nasłuchując odgłosów wystrzałów, jednak słyszał tylko ostre staccato, swoje imię, a potem znowu tamten dźwięk. Wtedy zdał sobie sprawę, że to rytmiczne uderzenia pięści w drewno.

Wyszedł z wanny, czując się, jakby jego ciało było zrobione ze szkła – jeden zły ruch i zwyczajnie roztrzaska się na kawałki. Zatrzymał się na chwilę, oparty o krawędź.

– Kate? – zawołał.

A potem usłyszał łomot.

Drzwi otworzyły się akurat w chwili, gdy Kate mijała je w drodze do korytarza. Mężczyzna złapał ją w pasie i oboje padli na podłogę. Nieznajomy wylądował na górze i wykręcił dziewczynie nadgarstki nad głową, ale ona zaraz wbiła mu kolano w brzuch, potem stopę i odepchnęła go od siebie z powrotem na ścianę, a sama obróciła się, wstała i wycelowała broń.

– Nie ruszaj się – warknęła, serce waliło jej jak młot, ale ręce nie drżały.

Nieznajomy zgubił czapkę, włosy opadły mu na oczy, lecz Kate i tak zdążyła zauważyć wydrapane H na jego czole. Czyli jednak żadne OSF. To człowiek Sloana.

– Ręce do góry.

– Panno Harker – rzucił gładko, podnosząc nieco jedną rękę, drugą cały czas trzymając za plecami. – Nie przyjechałem, żeby cię skrzywdzić.

– Ręce. Do. Góry.

– To naprawdę zbędne – powiedział, ale patrzył na nią lodowatym wzrokiem. – Przysłał mnie twój ojciec.

Wzrok Kate padł najpierw na czapkę leżącą na podłodze, a potem na bliznę na czole mężczyzny.

– Gówno prawda.

– To tylko przebranie – odparł spokojnie. – Na wypadek, gdyby drzwi otworzył potwór. – Niemal arogancki uśmiech. – Skąd inaczej wiedziałbym, gdzie się znajdujesz, panno Harker?

– Dlaczego cię tu wysłał?

– Martwił się.

– A blizna?

Pochylił głowę, włosy opadły na bok, odkrywając znak.

– Spozstrzegawcza jesteś, co? A teraz odłóż broń i...

– Pokaż mi drugą rękę.

Powoli i gładkim ruchem wyciągnął rękę, w której trzymał telefon komórkowy.

– Widzisz? – rzucił.

– Połóż go na...

Znowu opony na żwirze. Kate odruchowo odwróciła wzrok. Tylko na chwilę, ale to wystarczyło. Mężczyzna skoczył, by wyrwać jej broń, ale ona umknęła przed nim i jej palec musnął spust. Pistolet wystrzelił.

Szarpnęło, a odgłos przetoczył się po pomieszczeniu jak grom, zmieniając wszystkie dźwięki w jej zdrowym uchu w szum. Nie był to celny strzał – pocisk trafił w szyję i zagłębił się w ścianie za plecami mężczyzny. Komórka poleciała na podłogę, a nieznajomy złapał się za gardło, krew już płynęła mu między palcami i skapywała na deski.

Czerwona krew.

Nie czarna jak u potworów, lecz jasnoczerwona, ludzka.

Jego usta się poruszały, lecz Kate tymczasowo ogłuchła i kiedy odzyskała słuch, było już za późno. Mężczyzna zrobił jeden chwiejny krok do tyłu, a potem uszło z niego życie i ciało wylądowało na podłodze.

Kate nie potrafiła oderwać wzroku od powiększającej się plamy krwi.

Powinna się czuć jak po zabiciu potwora.

Było inaczej.

Przeszedł ją dreszcz, a potem usłyszała czyjś nierówny oddech i obróciła się. Na końcu korytarza stał August, ociekający wodą i zgięty w pół z bólu.

Nie, nie z bólu.

Z głodu.

– Kate – wydyszał. Kiedy podniósł głowę, przekonała się, że blask zniknął. Jego oczy były czarne i szeroko otwarte. – Coś ty narobiła?

III

Pole widzenia Augusta skurczyło się.

Cienie w pokoju gięły się, odrywały od ścian i podłogi, zbierając wokół Kate. Jej własny cień wił się wokół niej, gdy ruszyła w stronę Augusta.

– Ja nie... Rzucił się na mnie... Myślałam...

Wyciągnęła do niego rękę, jej dusza pulsowała pod skórą jak czerwone światło. August zatoczył się do tyłu. Byle dalej od niej.

Próbował coś powiedzieć, lecz słowa utknęły mu w gardle.

Czuł się, jakby grawitacja w pomieszczeniu została zachwiana, jakby w każdej chwili ściana za plecami Kate miała stać się podłogą, a on by na nią spadł. Ale ona tylko stała i czekała, a on musiał jedynie wyciągnąć ręce i złapać ją, wbić paznokcie w zranione ramię i wydobyć jej duszę na wierzch, a ból zniknie, wszystko się skończy i...

– Uciekaj – błagał ją, gdy ciało paliło, a kości śpiewały.

– August, ja...

– *Uciekaj!*

Tym razem posłuchała. Zatoczyła się w stronę drzwi i wybiegła na zewnątrz akurat w chwili, gdy drugi samochód zatrzymał się na podjeździe.

Kate zatrzymała się na żwirze, bo drogę zablokował jej czarny sedan.

Z jednej strony wysiadł Malchaj, którego nie znała.

Z drugiej Sloan.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

– Witaj, Kate.

Kraksa. Ten grymas uśmiechu. Te krwistoczerwone oczy.

Podniosła broń.

– Co ty tu robisz?

Rozłożył chude ramiona.

– Przyjechałem zabrać cię do domu.

– Ojciec by cię nie wysłał.

– Ależ oczywiście, że mnie wysłał, Kate. Wbrew temu wszystkiemu, co szeptałaś mu do uszka.

Ścisnęła mocniej pistolet.

– Nigdzie z tobą nie jadę. Wysłałeś te potwory, żeby mnie zabiły, prawda?

Sloan popatrzył na nią.

– No i?

– Powiedziałeś, że tego nie zrobiłeś...

Nikczemny uśmiech.

– Ja czegoś takiego nie mówiłem.

Wróciły do niej słowa ojca. *Sam go przestuchałem. Sloan twierdzi, że nie przyłożył ręki do ataku.*

Jakby dostała obuchem w głowę. Sloan nie mógł kłamać, ale Harker już tak.

– Oslo – rzucił Sloan, zwracając się do swojego towarzysza. – Idź po Sunaja. Sam się zajmę dziewczyną.

Malchaj ruszył w stronę domu, a Kate wycelowała w niego i nacisnęła spust. Pocisk ze srebrnym wierzchołkiem wbił się w ramię potwora, który warknął, gdy czarna krew zaplamiła jego koszulę. Kate znowu skierowała lufę w stronę Sloana, ale ten zdążył podejść bliżej, jego zimne palce otoczyły jej nadgarstek i zadarły broń do góry.

– Znowu ta gierka? – rzucił sucho. – Naprawdę myślisz, że możesz nastawić mojego pana przeciwko mnie?

Słyszała wyraźną niechęć przy słowie *pan*. Przyciągnął ją do siebie i Kate sięgnęła wolną ręką do kieszeni tuż przed tym, jak jego palce zacisnęły się wokół jej gardła.

W tej samej chwili Kate wbiła ostrze zapalniczki w nadgarstek potwora. Sloan cofnął rękę zranioną srebrem, a dziewczyna wyswobodziła ostrze i próbowała podciąć mu gardło, ale był zbyt szybki i zanim zdążyła wyprowadzić kolejny cios, jego pięść trafiła ją w szczękę i upadła, wypluwając krew na żwir.

Zapalniczka potoczyła się daleko, a zimne palce wpiły się w zranione ramię Kate. Sloan zmusił ją do położenia się na plecy, a potem złapał ją obiema rękami za gardło.

– Nasza mała Katherine, taka dorosła. – Drapała paznokciami jego nadgarstki, ale to jak walka z kamieniem. – Naprawdę myślisz, że zasługujesz na szansę, by rządzić miastem? Ono nie należy ani do ciebie, ani do Calluma Harkera. Już nie. Niedługo potwory się zbuntują, a kiedy to się stanie – pochylił się bardziej – miasto będzie *moje*.

Ukląkł na jej zranionych żebrach i Kate próbowała krzyknąć, ale zabrakło jej tchu. Jej płuca promieniowały bólem.

– Wszystko popsukaś – ciągnął dalej Sloan. – Nawet umrzeć nie potrafisz we właściwym momencie. Twoja matka potrafiła.

Szarpała się i wiała, starając się znaleźć jakieś oparcie, podnieść nogi, ale jej pole widzenia było coraz mniejsze, przed oczami miała mroczki.

– Powiniennem cię teraz zabić – oznajmił smutno potwór. – Wyświadczyłbym ci w ten sposób przysługę, jednak...

Uderzył jej głową o ziemię. Kate zalała ją ciemność.

August zatoczył się z powrotem do łazienki. Padł na kolana, wyciągnął przed siebie futerał ze skrzypcami i właśnie mocował się z zapięciem, kiedy w drzwiach pojawił się jakiś cień, którego czerwone oczy odbijały się w lustrze.

Nie był dość szybki; jego palce ledwo musnęły struny, kiedy ciężki but zderzył

się z jego żebrami i pchnął go mocno na umywalkę. Porcelana popękała za jego plecami, uderzenie wydusiło mu powietrze z płuc.

– Proszę, proszę – mruknął chrapliwym głosem Malchaj. – Nie jesteś już taki straszny, co?

August z wysiłkiem podczołgał się z powrotem w stronę futerału, niestety potwór zmiążdżył mu nadgarstek, wciskając go w pokrytą płytkami podłogę. Przeszył go ból, zbyt silny, zbyt ludzki. Malchaj wbił w niego swoje paznokcie przypominające szpony i rzucił go na ścianę tak mocno, że płytki popękały i ich kawałki spadły razem z Augustem.

Poczuł krew w ustach i podniósł się z trudem. Tymczasem potwór chwycił skrzypce za szyjkę.

Nie.

– Sunaj, Sunaj, czarnooki – zaśpiewał Malchaj, szarpiąc paznokciem strunę. – Pieśń zanuci, pożre duszę.

August rzucił się do przodu, lecz w tym samym momencie potwór zamachnął się i uderzył instrumentem w jego głowę. Próbował zablokować cios, podnosząc ręce, albo przynajmniej ratować skrzypce, ale było zbyt późno. Roztrzaskały się o jego czaszkę, zmieniając świat w drewniane odłamki, zerwane struny i ciszę.

III

Świat wrócił w kawałkach.

Beton pod kolanami.

Żelazo wokół nadgarstków.

Ruchoma plama światła.

Metaliczny stukot.

Echo rozchodzące się po dużej, pustej przestrzeni.

Świat wrócił w kawałkach, podobnie jak August. Przez chwilę był przerażony, że stracił siebie, ale ból głowy i nadgarstków oraz palący żar na skórze świadczył o tym, że nie zawładnęła nim ciemność. Jeszcze nie.

Kłęczał na podłodze jakiegoś magazynu, otoczony przez szkło, kurz i pojedyncze źródło światła, którego krawędź była tak ostra, że przestrzeń dokoła wydawała się ścianą czerni. Ręce skrępowano mu nad głową. Od nadgarstków promieniował ból; August czuł, jak metalowe łańcuchy wpijają się w jego przeguby, trąc skórę tak mocno, jak nie powinny trzeć.

Co to za miejsce?

I gdzie się podziała Kate?

Gdzieś spoza kręgu światła nadal dochodziło stukanie, a kiedy August wyteńczył wzrok, pierwsze, co zobaczył, to wcale nie błysk metalu czy smuga skóry, ale czerwony blask oczu Malchaja.

August próbował podnieść się na nogi, kiedy kreatura w czarnym garniturze wyszła do przodu, trzymając w dłoni długi metalowy pręt o ostrej, poszarpanej krawędzi, jakby odłamano go z jakiejś dużej maszyny. Końcówkę tego pręta ciągnął po betonowej podłodze, a August skrzywił się, słysząc wyjątkowo nieprzyjemny pisk.

Z tym Malchajem było coś nie tak. Był bardzo chudy, oczywiście, ale rysy jego twarzy, szerokość barków i sposób bycia wydawały się niemal ludzkie.

Niemal.

August zdołał podeprzeć się jedną nogą zanim rozległo się elektryczne brzęczenie i łańcuchy napięły się, ciągnąc go do góry tak, że podniósł się na nogi, a potem stanął na palcach. Próbował znaleźć oparcie, stawy ramion mocno protestowały. Odkąd był w stanie odczuwać subtelne doznania w mięśniach i kościach? Całe jego ciało wydawało się kruche, delikatne, i gdzieś w głębszych partiach umysłu zastanawiał się, czy właśnie tak czuje się człowiek.

– Witaj, Auguście Flynnie – powiedział Malchaj. – Nazywam się Sloan.

Oczywiście. Pupil Harkera.

– Wiesz co? – ciągnął dalej Sloan, przyglądając się swoim spiłowanym paznokciom. – Nie wyglądasz najlepiej. – Pochylił się. – Ile czasu minęło od twojego ostatniego posiłku?

August próbował coś powiedzieć i zdał sobie sprawę, że nie może. Jego zęby były zaciśnięte, a usta zaklejone ciasno taśmą.

– Ach, tak – rzucił Malchaj – znam potęgę głosu Sunajów. Zwłaszcza po przemianie. Ja i Leo znamy się nie od dziś. – Znacząca pauza. – Wiesz co? Dzięki twojemu bratu i siostrze bardzo dużo uczę się o waszym gatunku. Ale chyba za bardzo wybiegam w przód.

Druga para czerwonych oczu zaświeciła w ciemności za plecami Sloana, lecz ten skupił się na metalowym pręcie w dłoniach. Przystawił go do żeber Augusta, gdzie z dziury po kuli sączyła się wąska strużka czarnej krwi.

– Krwawisz – oznajmił Sloan z obrzydliwie fałszywą troską. – Czy to nie dziwne? – Odsunął pręt. – Mówi się, że Sunajowie są niepokonani, ale obaj wiemy, że to nieprawda.

Sloan zamachnął się i uderzył w klatkę piersiową Augusta. Ból był obezwładniający, kości niemal pękły, a świadomość zachwiała się. Spod knebla dobył się jęk. Augustowi wydawało się, że taśma stapia się z jego skórą, opary pozbawiały go z trudem dobywanego tchu. Kręciło mu się w głowie.

– Nie, im głodniejszy się stajesz, tym bliższy człowiekowi się robisz. Ale nie dość bliski. – Poszarpany brzeg pręta znalazł się pod jego brodą, zmuszając go do jej zadarcia. – Cierpisz, krwawisz nawet, ale nie da się ciebie *zabić*. Pręt trafił Augusta w obojczyk i ból przeszył całą jego pierś. Zdusił w sobie szloch.

– Pewnie się zastanawiasz – ciągnął dalej Sloan, biorąc pręt w obie dłonie – czego od ciebie chcę w tej chwili.

August popatrzył na niego groźnie, próbując uspokoić oddech.

– To naprawdę proste. – Czerwone oczy tańczyły jak płomienie w jego czaszce. – Chcę, żebyś zmienił się w ciemność.

Drugi Malchaj, który zbliżał się powoli do krawędzi światła, posłał Sloanowi nerwowe spojrzenie, ale Augustowi zrobiło się niedobrze.

Usta Sloana jeszcze bardziej rozciągnęły się w uśmiechu.

– Myślę, że znasz powód.

August zaczął już kręcić głową, lecz pręt znowu uderzył go w żebra. Eksplozja bólu sprawiła, że pochylił głowę, próbując trzymać się kurczowo świadomości i nie dać się porwać. Paznokcie Sloana wpiły się w jego szczękę i Malchaj zadarł mu głowę.

– *Myśl*. – Postukał w czoło chłopaka, a potem przejechał szponem po jego lewej brwi.

Narysował linię blizny Leo. August nigdy nie pojmował jej istnienia, bo Sunajowie nie mogli mieć blizn. Nie, kiedy byli z krwi i kości. Co oznaczało, że kiedy Leo się jej nabawił, był ciemnością.

– *Ja* myślę – kontynuował Sloan śliskim głosem – że najsilniejsza postać Sunaja jest jednocześnie najbardziej kruchą. Myślę, że kiedy zmienisz się

w ciemność, będę mógł wbić ci ten pręt prosto w serce. – A potem nachylił się dość blisko, by August mógł poczuć gnijące zimno duszy potwora na rozgrzanej skórze. – Tak się składa – wyszeptał – że jestem tego pewien, bo sprawdziłem swoją teorię zeszłej nocy. Na Ilsie.

Serce Augusta zamarło.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Nie.

Ciemność w nim wezbrała, grożąc wypłynięciem na powierzchnię, a Malchaj zanucił z zadowoleniem.

– Tyle gwiazd – powiedział.

Nic się nie martw, braciszku.

– Widziałem, jak wszystkie gasną.

Nie boję się ciemności.

– Tuż przed tym, jak poderżnąłem jej gardło.

Kiedy Kate otworzyła oczy, nadal widziała ciemność.

Nie, nie tylko ciemność.

Czerń.

Taką, jaka panuje wewnątrz pomieszczeń pozbawionych zewnętrznych źródeł światła.

W głowie jej dudniło, a szyja bolała ją w miejscu, gdzie ścisnęły ją dłonie Sloana. Wciągnęła powietrze i poczuła wilgotny zapach charakterystyczny dla opuszczonych budynków narażonych na działanie żywiołów, cierpką woń metalu, ziemi oraz kamienia.

Przeszedł ją dreszcz i zdała sobie sprawę, że siedzi na podłodze, oparta bezładnie o ścianę, a obie te powierzchnie są z betonu. Zimno przesączało się przez ubranie na jej nogach i plecach. Metal wrzynał się w nadgarstki, a kiedy próbowała się uwolnić, usłyszała stuk stali o stal. Ktoś przykuł ją do czegoś, co znajdowało się po jej prawej stronie. Obróciła się przodem do tego miejsca i podniosła ręce, badając palcami powierzchnię, aż znalazła płaski metalowy pręt przypominający fragment rusztowania. Szarpnęła najmocniej, jak potrafiła, lecz nic to nie dało.

Chwyciła palcami metal i podniosła się na nogi, powoli, na wypadek gdyby sufit okazał się zbyt niski. Jakiś metr wyżej jej kajdanki natrafiły na poprzeczkę, zmuszając ją do zatrzymania się, więc uklękła i zaczęła przesuwac się wzdłuż słupka biegnącego prostopadle aż do podłogi, do której był przymocowany za pomocą metalowej płytki. Tutaj nic nie mogła zdziałać. Wykręciła szyję, nasłuchując czegoś – czegokolwiek. Z początku słyszała tylko dudnienie własnego tętna, lecz zaraz do jej zdrowego ucha dobiegł głos, stłumiony przez beton i metal, czy cokolwiek innego dzielącego ją od świata na zewnątrz.

Przyjemny i gładki, na granicy śmiechu.

Sloan.

Kate zacisnęła żęby, rozdarta między tym, by wykrzykiwać jego imię, aż się

pojawi, a tym, by siedzieć cicho, dopóki nie wymyśli sposobu, żeby go zabić. Kiedy wytężyła słuch, docierały do niej kolejne dźwięki zza ściany – chrobotanie metalu, zduszony okrzyk bólu – i ścisnęło ją w żołądku.

August.

Idź po Sunaja.

Kate wciągnęła powietrze i wysiłkiem woli skoncentrowała myśli. Musiała się stąd wydostać. Jej zapalniczka zniknęła, zgubiła się w trakcie szamotaniny, co oznaczało, że Kate nie miała przy sobie żadnej broni i nie mogła sobie niczym przyświecić. Nie miała też żadnego wytrycha, by otworzyć kajdanki, a...

Kolejny stłumiony wrzask zza ściany.

Wzdrygnęła się i zdusiła w sobie strach. W innym świecie inna Kate mogłaby sobie pozwolić na przerażenie, lecz ta Kate nie miała na to czasu, więc opanowała się i po omacku wróciła do miejsca, gdzie słupek był przytwierdzony do podłogi. Wymacała śrubki, wszystkie zardzewiały tak, że niemal nie do ruszenia. Rama była dość solidna, gdyby jednak Kate udało się wyrwać podstawę, może zdołałaby wykorzystać moment obrotowy i zsunąć kajdanki dołem. Później będzie się martwić, jak się z nich uwolnić. Same kajdanki to jeszcze nic, gorzej, jak są jeszcze przyczepione do czegoś. Kate wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze i zadrżała, kiedy rozległ się kolejny krzyk.

Spróbowała odkręcić śrubkę, ale ta nie ruszyła się ani o milimetr. Próbowała, dopóki nie rozboleły ją palce i nie połamały się paznokcie.

Nic.

Zamknęła oczy i skoncentrowała myśli, jej palce powędrowały do wisiora na szyi. I wtedy szybko podniosła powieki. Napała na słupek z całej siły, aż udało jej się dostać do łańcuszka i wygrzebać go spod kołnierza swetra. Może nie zrobiła tego zbyt zgrabnie, ale po chwili mogła już ściągnąć wisior przez głowę i przystawić krawędź medalionu do śrubki, modląc się w duchu, by pasował. Pasował. Ze wszystkich sił próbowała go przekręcić. Dwa razy jej palce ześlizgnęły się, kalecząc knykcie.

Za trzecim razem śrubka nareszcie zaczęła się obracać.

Po kilku chwilach i wielu przekleństwach puściła.

Jedna załatwiona – pomyślała Kate. Jeszcze trzy.

Za drzwiami dało się słyszeć głos Sloana.

Przystawiła szybko wisior do następnej śrubki.

Potworne łupnięcie, jakby uderzenie metalu o ciało, drażka o kość.

Kręciła, ześlizgnęła się, kręciła znowu.

Zduszony jęk.

– Wytrzymaj, August – prosiła na głos, kiedy druga śrubka zaczęła się obracać. – Wytrzymaj.

III

I

Kropelka krwi spadła na beton, czarna i kleista.

– To się skończy tylko w jeden sposób – powiedział Sloan, przesuając paznokciem po poszarpanej krawędzi pręta.

August spróbował zaczerpnąć powietrza. Malchaj uderzył go w twarz, krew płynęła mu z nosa na taśmę na ustach. Dusił się – własną krwią, własnym strachem – i za każdym razem, kiedy tracił wzrok, myślał o Ilsie.

Ilsie stojącej przed oknem, gdzie szyba pękała pod jej palcami.

Tyle gwiazd.

Odbiciu Ilsy w lustrze, jej brodzie opartej na jego ramieniu.

Widziałem, jak wszystkie gasną.

Ilsie leżącej na podłodze celi zdrajcy, śpiewającej mu do snu.

Tuż przed tym, jak poderżnąłem jej gardło.

Płuca paliły żywym ogniem. Spojrzenie traciło ostrość.

Wytrzymaj! – błagał swoje ciało.

A potem w powietrzu dało się poczuć elektryczność i wszystko, co powstrzymywało Augusta, zniknęło. Łańcuchy puściły i spadł ciężko na betonową podłogę, jego zdarte do krwi nadgarstki wciąż były skrępowane.

– Sloan – rzucił ostrzegawczo drugi Malchaj.

August chciał się podnieść, ale nie udało mu się. Magazyn wokół zawirował i zbladł, aż zmienił się w pokój Augusta, potem alejkę, szkołę. Słyszał swoje imię, ale za chwilę stał już między drzewami i do jego uszu docierała muzyka, czyjeś nucenie, i Kate spojrzała na niego, marszcząc brwi, a wtedy...

Ból eksplodował w jego boku i August zwinął się w kłębek. Spróbował przewrócić się na plecy, ale beton był zimny, August utonął w nim i znalazł się w wannie, trzymając się kurczowo krawędzi, a Kate patrzyła na niego z góry, jak woda padała niczym deszcz, a on płonął płonął płonął od środka i ciemność czekała czekała czekała tuż za płamą światła.

Sloan stał nad nim jak jeden wielki cień, nie licząc krwistoczerwonych oczu. Podniósł pręt do ciosu, ale gdy go opuścił, ręce Augusta wystrzeliły do góry i złapały metal.

Ciemność wiła się wokół jego palców.

– Puść, August – powiedział Sloan, napierając całym ciałem na pręt. Zimno metalu spotkało się z gorącym dotykiem Sunaja. August zacisnął dłonie,

skupiając wzrok na palcach, żałując, że nie może kontrolować zmiany swojej postaci jak jego brat.

Leo potrafił zmienić część swojego ciała, nie tracąc całości.

Ponieważ nie był już cały.

Nie było w nim nic z człowieka.

Nic prawdziwego.

Gdzieś za plamą światła metal skrobał o beton. August wyteńczył wzrok i zauważył, że ciemność nie jest jednak jednolita. Coś dużego czaiło się w mroku, a tam, skąd dobiegał hałas, korytarz rozgałęział się i kończył drzwiami, które wpuszczały bledszy odcień ciemności.

– Oslo – rzucił Sloan, wciąż napierając na pręt. – Idź do Kate.

Serce zabiło szybciej w poranionej piersi Augusta. *Uciekaj* – nakłaniał ją myślami, nawet teraz.

Drugi Malchaj odwrócił się, by odejść.

– I nie zabijaj jej – dodał Sloan.

– Nic się nie martw – zakpił potwór – zostawię trochę...

– Zostawisz mi ją *w całości* – warknął Sloan. Jego ton był lodowaty i śliski, jego martwe wargi podniosły się, obnażając ostre zęby. Od skóry Augusta bił żar. – Możesz to skończyć – oznajmił, na powrót skupiając uwagę na drugim końcu pręta. August zdawał sobie z tego sprawę, wiedział też jednak, że gdy tylko to zrobi, Malchaj wbije metal w jego pierś, a ten przedrze się przez to, co kiedyś było tkanką, a co zmieni się w dym i cień okalający jego płonące serce.

I wtedy August zniknie.

Bez względu na to, z czego powstał – z gwiazdowego pyłu, popiołu, życia czy śmierci – zniknie.

Odejdzie nie z hukiem, lecz skomleniem.

Pojawił się z hukiem wystrzałów, a zniknie z dymem. Nie był gotowy na śmierć.

Nawet jeśli przetrwanie nie było łatwe czy sprawiedliwe.

Nawet jeśli nigdy nie będzie człowiekiem.

Chciał mieć szansę, by się liczyć.

Chciał żyć.

Zanim Kate zdołała odkręcić ostatnią śrubkę, dłonie jej się trzęsły, a po twarzy spływał pot.

Wreszcie skończyła, chwyciła płytkę i szarpnęła.

Nic z tego. Przeklinała i wyteżala siły, napierając całym swoim ciężarem, jednak metalowy słupek nie chciał się ruszyć. Wyczerpana Kate oparła głowę o metal i poczuła, jak ten przechyła się do przodu. Z zaskoczenia aż zaparło jej dech, a potem poczuła ulgę, chwyciła słupek i pchnęła z całej siły. Ten ruszył do przodu, drapiąc o beton z potwornym zgrzytem, i Kate wzdrygnęła się – miała być cicho. Udało jej się podnieść słupek na tyle, żeby przełożyć dołem kajdanki, a potem wstała.

Z korytarza dochodziły odgłosy kroków i Kate wstrzymała oddech,

przyciskając plecy do ściany obok drzwi, żałując, że nie ma żadnej broni. Czegokolwiek. Ale nie zamierzała się poddać bez walki. Drzwi otworzyły się i przeszedł przez nie szkieletowy cień.

Blade światło padło na wykrzywiony słupek, rozrzucone śruby – miejsce, w którym Kate powinna się znajdować.

Potwór syknął i skoczył do przodu, jednak coś wciągnęło go z powrotem na korytarz.

Kate usłyszała odgłos duszenia i mlaśnięcie towarzyszące ranieniu ciała, a potem nic. Wstrzymała powietrze, kiedy drugi cień minął drzwi i zaraz zniknął.

W oddali dało się słyszeć echo głosu Sloana, obrzydliwie przymilne.

Kate policzyła do dziesięciu, a potem odsunęła się od ściany i poszła go poszukać.

August wyslizgiwał się, jego brzegi zmieniały się w cień. Leżał na boku, z uchem przyciśniętym do podłogi, i nasłuchiwał pulsu świata.

Nie słyszał go.

Za to usłyszał kroki. Ciche, spokojne.

A potem jakiś cień ruszył się za kręgiem światła. August wyteńczył wzrok.

To nie był Malchaj.

To nie była Kate.

To coś poruszało się zbyt wolno, jego krok był zbyt równy.

Cień odkleił się od ciemności i stał się mężczyzną, wysokim i przystojnym, z jasnymi włosami i oczami czarnymi jak noc.

Leo.

Spojrzał Augustowi w oczy, czarna krew skapywała mu z palców, gdy podniósł je do ust, dając bratu znak, by zachował ciszę. Na jego twarzy malowało się skupienie. Ruszył bezgłośnie w stronę plamy światła.

August zakaszłał i spróbował podnieść się na kolana, podczas gdy Sloan stał nad nim, przewiercając go spojrzeniem niecierpliwych czerwonych oczu.

Patrz na mnie – pomyślał August, opadając z sił. *Patrz na mnie.*

Leo wkroczył w krąg światła, gdy pod Augustem ciemność zbierała się niczym dym.

Na twarzy Sloana pojawił się uśmiech.

– To już koniec, mój mały potworze – powiedział, podnosząc pręt.

August przygotował się na cios, lecz zanim Sloan zdążył go zadać, pręt zniknął. W jednej chwili znajdował się w jego dłoni, a w następnej już w Leo, by potem, w jednym, płynnym ruchu wbić się w plecy Malchaja. Sloan wydał zduszony krzyk i zatoczył się do przodu, drapiąc paznokciami o poszarpany kawałek metalu wystający z jego ciała na wysokości obojczyka, a czarna jucha spływała po jego ubraniu. Odwrócił się w stronę Leo, ale stracił równowagę, zachwiał się i runął na kolano.

– Umowa nie przewidywała śmierci mojego brata – powiedział Leo do Sloana, gdy ten zgiął się wpół, wymiotując.

Wargi Sloana wyciągnęły się, obnażając zęby, gdy próbował odpowiedzieć. Nie udało mu się, jego ciało zadrżało i wreszcie padł na beton.

August oparł czoło o podłogę. Zobaczył cień Leo, więc obrócił się i podniósł wzrok, patrząc bratu w oczy. Przez chwilę czuł tylko ulgę. A potem, z jakiegoś nieznanego powodu, ukłucie strachu. W spojrzeniu Leo widział nie szok, ani nie zrozumienie. To było rozczarowanie.

– Witaj, braciszku.

Leo uklęknął i zdarł taśmę klejącą z ust Augusta, a ten wciągnął gwałtownie powietrze i zakrztusił się. Zakaszłał, wypluwając czarną krew na podłogę. Chciał coś powiedzieć, lecz jego słowa nie wybrzmiały.

Leo przekrzywił głowę.

– Słucham?

August spróbował jeszcze raz.

– Zapytałem – zdołał wydusić z siebie między jednym a drugim z trudem łapanym oddechem – jaka to umowa.

Leo popatrzył na niego z litością. Jakby odpowiedź powinna być oczywista.

Umowa ze Sloanem. Umowa między dwoma potworami, którzy chcieli rozpętać wojnę.

– Coś ty narobił?

Leo złapał łańcuch, którym skrupowano nadgarstki Augusta, i podniósł go na nogi.

– Zrobiłem to, co trzeba było zrobić.

August zatoczył się.

– Powiedziałeś... Powiedziałeś im o mnie... Wysłałeś mnie do szkoły, a potem powiedziałeś o tym Sloanowi. Leo nie zaprzeczał.

– Czy Henry o tym wie?

– Henry Flynn jest zmęczony i słaby – odparł Leo. – Nie nadaje się już na naszego przywódcę.

– Ale Ilsa...

– Nasza siostra powinna się trzymać z dala. – Pokręcił głową. – Utrata Ilsy jest ciosem dla naszej misji, ale żywię nadzieje wobec *ciebie*.

August zaczął kręcić głową i nie mógł przestać.

– Zdradziłeś naszą rodzinę.

– Stracili z oczu nasz najważniejszy cel – powiedział, ściskając mocniej łańcuch. – Miasto nas potrzebuje, August. Nie tylko Południe czy Północ. *Całe* miasto. Trucizna się rozprzestrzenia. Przemoc się rozprzestrzenia. *Wszystko się rozprzestrzenia*. Nie możemy się chować za rozejmem, za Szwem, i czekać. Jesteśmy Sunajami. Zostaliśmy stworzeni, by oczyścić ten świat, a nie chować się i czekać, aż zgnije. Nie znaleźliśmy się tu bez powodu, August. Nadszedł czas, byś to zrozumiał.

– Henry nigdy ci nie wybaczy.

– Nie potrzebuję jego wybaczenia. To tylko człowiek – mówił z obrzydzeniem Leo. – Strach go oślepia. Henry nie dostrzega niczego prócz własnej woli przetrwania.

– Jesteś tylko kolejnym potworem.

August próbował się uwolnić, odsunąć, ale Leo nie puszczał.

– Jestem Sunajem – tłumaczył. – Jestem świętym ogniem. Jeśli mam spalić cały świat, żeby go oczyścić, tak się stanie. – Ujął twarz brata w dłonie, co mogłoby zostać odczytane jako serdeczny gest, lecz taki nie był. Wcisnął kciuk w brodę Augusta, zmuszając go do zadarcia głowy i spojrzenia mu w oczy, których czerń wydawała się płaska i bezdenna jednocześnie. – Gdzie ona jest, braciszku?

Kate.

August dostrzegł prawdę w oczach brata. Leo zamierzał dokończyć to, co zaczął. Zamierzał ją zabić. Jednak August nie mógł powiedzieć czegoś, czego nie wiedział. Pokręcił głową.

Leo syknął.

– Chronisz *grzesznika*.

– Żeby ochronić naszą rodzinę. Nasze miasto. Zabicie jej wywoła wojnę.

Mały, ponury uśmiech.

– Wojna już się rozpoczęła. A ja nie zamierzam jej zabijać, braciszku. Ty to zrobisz.

III

II

Pierwsze, co zobaczyła Kate, to ciało.

Drugi Malchaj leżał oparty o ścianę po przeciwnej stronie otwartych drzwi, czarna jucha skapywała z dziury, jaka została po jego rozerwanej piersi, roztrzaskanej płyty kostnej. Kate kucnęła i chwyciła kawałek kości, śliskiej od krwi, ale ostrej. To nie był nóż, ale musiało wystarczyć.

Wyprostowała się i rozejrzała. Z jednej strony, za otwartymi drzwiami magazynu, czekała noc i pusty kawałek ziemi, który dalej zmieniał się w łąkę. Z drugiej strony, skulony w płamie światła, kucał August. Był posiniaczony i poraniony, dym ulatywał z jego ciała jak z dogasającego ogniska. Ktoś stał nad nim i w pierwszej chwili pomyślała, że to Sloan, ale gdy podeszła bliżej, dostrzegła na podłodze bezwładne ciało Malchaja. A potem zwróciła uwagę na wzrost i szerokość ramion nowej postaci, na jego jasne włosy błyszczące w świetle lampy, i zdała sobie sprawę, że to Leo.

Zalała ją fala ulgi na widok żywego Augusta i martwego Sloana. Jednak wtedy Leo podniósł brata na nogi i dostrzegła ból malujący się na zakrwawionej twarzy Augusta. Usłyszała, jak mówi przez ściśnięte gardło, prosząc o coś brata i próbując się uwolnić.

Kate się cofnęła i światło musiało odbić się od mokrego kawałka kości w jej dłoni – a może to tylko jej ruch na nieruchomym tle zwrócił jego uwagę. W każdym razie August odnalazł jej oczy w mroku i nawet z tej odległości widziała, jak otwierają się szerzej, lecz nie z ulgą, a ze strachu.

Chwilę później również Leo odwrócił głowę w jej stronę i zmrużył oczy.

W jego spojrzeniu nie było krztyny dobroci. Krztyny litości.

Kate zatoczyła się do tyłu i omal nie przewróciła o ciało drugiego Malchaja, podczas gdy Leo puścił Augusta i wyciągnął coś z kieszeni płaszcza. Z początku myślała, że to pistolet, bo metal zabłyśzczał w płamie światła, lecz potem zrozumiała, co widzi.

To był instrument. Flet, nie dłuższy niż dłonie Leo.

Podniósł go do ust, a Kate wciągnęła powietrze, czekając na muzykę, dopóki nie zdała sobie sprawę, że Leo zagra dla niej.

– Uciekaj! – wrzasnął August, rzucając się na brata.

Padli we dwóch na betonową podłogę, a Kate odwróciła się i wybiegła w noc.

August nie miał szans z Leo. Był zbyt młody, zbyt osłabiony głodem, skutym

i wyczerpany. Drugi Sunaj strącił go z siebie i pośpieszył poza krąg światła, w stronę korytarza. August z trudem podniósł się i resztkami sił rzucił w pogoń za bratem.

– *Stój!* – zawołał, kiedy Leo wyszedł w noc. August chwiejnie powiódł za nim, a w drzwiach ugięło się pod nim kolano. Zdołał się jeszcze raz podnieść, lecz zaraz znowu padł, kiedy Leo przystawił flet do ust i zagrał pierwszą nutę.

W powietrzu jak podmuch wiatru poniósł się cichy, miły dźwięk.

– Nie! – wrzasnął August, próbując złamać melodię, lecz nic z tego.

Kate biegła, przyciskając dłonie do uszu, lecz gdy tylko rozległa się muzyka, zwolniła i zatrzymała się. Spokojnie opuściła ręce wzdłuż boków.

– Nie. – August podjął jeszcze jedną próbę wstania, lecz nie powiodła się. Klęcząc, patrzył, jak czerwony blask wzbiera pod powierzchnią skóry Kate, a dziewczyna odwraca się w ich stronę. Muzyka Leo odcumowała jej duszę i jednocześnie umysł Augusta. Kiedy Ilsa nuciła swoją pieśń, czuł spokój. Lecz kiedy grał Leo, czuł się, jakby rozpadał się na kawałki, rozpuszczał w ciemności.

Co było prawdą.

Gdzieś pod żarem i bólem czuł, że wypala się nowy znak, nowy dzień, czterysta dwudziesty czwarty, ale nie miało to najmniejszego znaczenia, bo płonął. Upadał.

Usta Kate poruszały się i ona też się poruszała, zbliżała do nich. Słyszał jej słowa. Jej wyznanie.

– ...myślałam, że mnie skrzywdzi. Nie musiałam do niego strzelać, ale wydało mi się to najprostszym rozwiązaniem... Mógł kłamać. Zapomniałam już, jak wygląda prawda. Nie wiem już, komu mogę ufać...

– Zostaw ją, Leo – błagał August. – Proszę.

Sunaj przestał grać, a Kate stała kilka kroków od nich, blask przysłonił jej rysy.

– Weź ją.

– Nie.

– Jej dusza jest czerwona.

– Nie.

– Ty też zgrzeszyłeś, bracie – powiedział Leo. – Zgrzeszyłeś przeciwko swojej naturze i przeciwko naszej sprawie. – Jego słowa siłą wtargnęły do pękającego umysłu Augusta. – Drzemie w tobie tyle potencjału. Razem moglibyśmy dokonać wielkich rzeczy. Ale najpierw musisz odbyć pokutę. A teraz wstań.

August podniósł się na nogi, cały drżący. Ciemność wiła się wokół jego ciała i unosiła jak dym z jego członków. Znaki na jego skórze ginęły jeden po drugim.

Nie jestem potworem.

– Wystarczy, braciszku.

Nie jestem...

Serce zabiło mu mocniej w piersi.

– Poddaj się.

Nie...

Czuł, że się rozpada.

– Przyjmij swoją prawdziwą postać – rozkazał Leo, a jego słowa przetoczyły się jak grom po ciele Augusta, odbierając mu resztki sił.

August wiedział, że Leo ma rację, wiedział, co musi zrobić.

Przestał z tym walczyć.

A gdy tylko się poddał, ból zniknął, płomień zgasł i August pogrążył się w ciemności.

HH

III

Kate stała samotnie w nocy i nic nie czuła.

Ani paniki. Ani strachu. Nawet kiedy muzyka ucichła, wciąż grała w jej głowie, splatając się z blaskiem... Czerwonym blaskiem... Czy wszyscy mieli tyle samo tego blasku? Było go tak dużo...

Usłyszała, że coś mówi, jednak nie potrafiła się skupić na słowach, nie potrafiła się skupić na niczym prócz mężczyzny stojącego przed nią i chłopca za nim.

Chłopiec klęczał na ziemi, ze skrępowanymi rękami, wyglądał na skrzywdzonego, przerażonego, a Kate żałowała, że nie może podzielić się z nim swoim spokojem. Chłopiec... Kim on był... Nie chłopcem, lecz potworem... Nie potworem, lecz chłopcem... Muzyka wreszcie zaczęła cichnąć, wycofując się z jej umysłu, i myśli Kate zaczęły wracać na swoje miejsce, układając się w imię.

August.

Dlaczego klęczał na ziemi? I kim był ten mężczyzna? Kate walczyła z otumanieniem. Wszystko znajdowało się gdzieś daleko, za jej zasięgiem, lecz jej umysł usilnie poszukiwał porządku. To Leo stał przed nią, a za nim August. Tylko że już nie na kolanach. Podnosił się, a ciemność ulatywała z jego ramion jak para.

A potem, między jedną chwilą a drugą, zmienił się.

Jego twarz wygładziła się, całe napięcie zniknęło z jego oczu i ust, z ramion spadł ciężar. Głowa pochyliła się do przodu, czarne loki pochłonęły jego twarz, cienie wiły się na jego skórze. Z piersi spłynęły na jego członki, pokryły całe ciało i na moment August zmienił się w dym. A potem ten dym skupił się, jak powietrze zasysane do płuc, i zaczęło się zmieniać i zagęszczać, rysując kształt człowieka z brzegami zaznaczonymi płomieniem.

Tam, gdzie wcześniej stał chłopiec, teraz stał potwór.

Wysoki, pełen wdzięku i przerażający. Łańcuchy się rozpadły, a ogniwa zsunęły się z jego nadgarstków, rozsypały się w proch, a kiedy stworzenie podniosło głowę, jego czarne oczy były puste, pozbawione światła, czarne i matowe jak niebo w bezksiężycową noc. Dym unoszący się znad głowy potwora utworzył rogi, a ten zza pleców wielkie skrzydła, wyrzucające wióry ognia jak płonący papier. A pośrodku tego ciała, trzaskające w ciemności niczym żarzący się węgiel, biło jego serce, dając ognisty, pulsujący blask.

Kiedy Kate patrzyła na potwora, w jej oczach zebrały się łzy. Mimo to nie potrafiła odwrócić wzroku. Płomień trzaskał w jego piersi, brzegi ciała – członków, skrzydeł, rogów – drżały w ciemności, a widok był hipnotyzujący, jak pożar szkolnej kaplicy. Coś powstało, a potem się uwolniło. Płomień narodził się z zapałki, a to – to powstało z chłopca.

Leo zszedł z drogi, a stworzenie odwróciło głowę w stronę Kate.

– August – powiedziała.

Ale to już nie był on.

W jego twarzy nie było Augusta, tylko cień.

W jego oczach nie było Augusta, tylko żar i popiół.

Kate próbowała się wycofać, jednak spojrzenie potwora jej na to nie pozwalało. Zamarła, nie ze strachu, lecz przez coś innego, głębszego. Jej ciało już nie słuchało poleceń, nie tych wydawanych przez Kate. Czerwony blask wciąż tańczył na jej skórze i dziwiła się, jak to możliwe, że całe życie da się zawrzeć w czymś tak prostym. Jak to możliwe, że śmierć może przybrać formę dotyku.

Sunaj zrobił krok w jej stronę. Nie poruszał się jak inne potwory, nie drżał ani nie wił się jak Corsaje, nie pełzał i nie rzucał się jak Malchaj. Nie, poruszał się jak dym, tanecznym krokiem pod wpływem wiatru, którego nie czuła. Dźwięków muzyki, której nie słyszała.

Jego dłoń popłynęła do góry, opuszki palców płonęły. Żar rozgrzał powietrze przed Kate i wreszcie dogonił ją strach. Z całych sił próbowała się wyrwać, przeciwstawić się sile czerwieni, która sprawowała nad nią kontrolę. Łzy płynęły jej po twarzy, lecz nie zamknęła oczu.

– Nie boję się śmierci – szepnęła, gdy potwór wyciągnął do niej rękę, i spojrzała mu w oczy. Nie wiedziała, czy August wciąż krył się gdzieś w środku, czy ją słyszał, czy go to obejdzie. – Nie boję się – powtórzyła, szykując się na dotyk Sunaja.

Lecz ten nigdy nie nastąpił.

Sunaj postąpił jeszcze jeden krok, ale jego ręka powędrowała w stronę Leo, jego widmowe palce zacisnęły się wokół jego szyi. Zaskoczony Leo wydał zduszony okrzyk, jednak nie potrafił się wyrwać. Szarpał się i drapał dłoń potwora, ale nic nie mógł poradzić wobec jego absolutnej siły.

– Co ty wypra... – zapytał z naciskiem Leo, lecz potwór ścisnął go jeszcze mocniej, nie dając skończyć zdania. Pochylił się i wyszeptał coś do ucha Leo. Na twarzy Sunaja pojawił się najpierw szok, potem wściekłość, a na koniec pustka. Jego rysy nie tyle zamarły czy uspokoily się, po prostu... zniknęły.

Coś zaczęło wzbierać pod powierzchnią skóry Leo – nie było ani czarne jak u Malchajów, ani czerwone jak u grzesznika. Kate nie potrafiła przetrwać tego, co zobaczyła. To był blask i mrok, światło i cień, gwiazdy i czerń, a jednocześnie coś zupełnie innego. To była eksplozja widziana w zwolnionym tempie, tragedia i potworność, i ostateczność. To nieopisywalne coś przetoczyło się po skórze Leo, a następnie splotło z dymem potwora, rysując w jego wnętrzu widmo chłopca, niczym piorun w chmurze burzowej.

A potem, podobnie jak piorun, zniknęło.

Pod Leo ugięły się nogi, a Sunaj opadł razem z nim, wciąż ściskając gardło brata. Klęknął obok ciała, gdy to zmieniło się w kamień, potem w popiół, a potem w nic. Kate wciąż stała, czerwony blask jej duszy nadal unosił się nad jej pokrytą siniakami i zaschniętą krwią skórą, lecz światło bladło, cofając się do bezpiecznego wnętrza.

Sunaj wyprostował się, resztki ciała Leo wykruszyły się spomiędzy jego palców. Wystarczyło jedno uderzenie płonących skrzydeł i popiół zniknął, a Sunaj uniósł zwieńczoną rogami głowę i popatrzył na Kate.

Potwór podszedł do niej, pokonując dystans dwoma pełnymi gracji krokami. Podniósł rękę, a Kate w końcu zamknęła oczy, poczuła żar palców stworzenia, lecz te nie dotknęły jej skóry, a kajdanki na jej przegubach. Zamrugnęła i zobaczyła, jak metal czernieje, a potem kruszy się w zetknięciu z ciałem potwora.

Sunaj popatrzył na nią z góry, jego dłoń zawisała w powietrzu między nimi, jej brzegi falowały jak dym. A potem zadrżał. Dreszcz przeszedł go od rogów przez skrzydła i w dół, po nogach aż do stóp, ciemność cofała się niczym morska woda w czasie odpływu, odkrywając czarne włosy, gładką skórę w cielistym kolorze i szare oczy.

Stanął przed nią August, bez koszulki i butów, jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała. Jego rany i siniaki zniknęły. Podobnie jak znaki, które odliczały dni, miesiące i lata na jego skórze. Przez długą chwilę twarz Augusta pozostawała niewzruszona, wyrażając tę samą pustkę, co wcześniej twarz Leo. Spojrzał na Kate, jakby się nie znali. Jakby nie uciekali razem, nie walczyli razem i omal razem nie zginęli.

Potem między jego brwiami pojawiła się niewielka zmarszczka. Niewyraźny cień grymasu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Jego głos wciąż pozostawał beznamienny, lecz nie pusty. Brzmiało w nim słabe echo zmartwienia. Kate odetchnęła drżącym oddechem. Spojrzała na siebie, na swój podarty sweter i zakrwawione ręce.

– Żyję.

Na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

– To już coś.

HH

III

Nic się nie zmieniło.

Wszystko się zmieniło.

Szli przez pole w ciszy, podczas gdy pierwsze ślady dnia przesączały się nad widnokrąg, Kate patrzyła na znajdujący się w oddali dom, a August na Kate. Jej cień tańczył z tyłu, niespokojny, wyciągając ręce do światła i drażniąc jego zmysły, delikatnie lecz nieustępliwie.

Chciał ją pocieszyć. Nie potrafił. Pojawiła się przepaść tam, gdzie kiedyś było coś, jakaś część niego samego, do której teraz nie potrafił dotrzeć. Chciał wierzyć, że to przez zmęczenie, żal, dezorientację. Chciał wierzyć, że to minie.

Dom wyglądał tak, jak go zostawili. Samochody stały na żwirowym podjeździe. Drzwi frontowe wisiały na zawiasach. W środku leżało ciało. Kate znalazła zapalniczkę w trawie i poszła do kuchni, omijając trupa. August pomaszerował do łazienki, gdzie jego skrzypce leżały roztrzaskane, ze złamaną szyjką, porwanymi strunami. Wyminął je wysiłkiem woli, podobnie jak Kate trupa.

Znalazł swoje buty i patrzył, jak palce mechanicznie zawiązują sznurówki. Jego skóra była gładka, nie było na niej widać żadnych czarnych znaków. W zamyśleniu przejechał palcem po nadgarstku.

Czterysta dwadzieścia cztery kreski zniknęły.

Wymazane.

Wyprostował się, jego spojrzenie padło na lustro. Przyjrzał się swojemu odbiciu, próbując przypomnieć sobie własnego siebie sprzed kilku godzin, chłopca ściskającego kurczowo krawędź umywalki, rozpaczliwie próbującego nie stracić kontroli, z dzikim i rozgorączkowanym wzrokiem, twarzą wykrzywioną bólem i przerażeniem, emocjami ostrymi, potwornymi i *prawdziwymi*. Starał się, lecz wspomnienie przypominało raczej sen, szczegóły już mu umykały.

– August?

Odwrócił się i zobaczył Kate stojącą w progu, spoglądającą na roztrzaskane skrzypce.

– Nic się nie stało – powiedział cicho. – To tylko kawałek drewna i struny. – Chciał, by te słowa zabrzmiały kojąco, lecz wydały mu się niewłaściwe. Zbyt spokojne. Jak u Leo.

Coś wzbierało w nim – jakiś cień paniki, echo strachu – ale zaraz się

uspokoiło.

Kate wyciągnęła do niego rękę, w której trzymała czarny podkoszulek. Kiedy po niego sięgnął, ich palce zetknęły się i August wciągnął gwałtownie powietrze ze strachu, że ją skrzywdzi. Oczywiście nic się nie stało. Jego skrzypce leżały na podłodze w kawałkach, a dusza Kate była bezpieczna.

Koszulka zapachniała lawendą, kiedy założył ją przez głowę, czując miękkiego dotyk materiału na chłodnej skórze.

– August – zaczęła Kate łamiącym się głosem. – Czy z tobą... wszystko okej?

– Żyję – odparł, powtarzając jej odpowiedź.

Skuliła się i objęła ramionami, lecz nie spuściła wzroku.

– Ale czy nadal jesteś... sobą?

Popatrzył jej w oczy.

– Przeżyłem tortury i przemianę, a do tego właśnie zabiłem własnego brata. Nie wiem, czym teraz jestem.

Kate przygryzła wargi, ale pokiwała głową.

– Rozumiem. – Wydawała się zagubiona.

August przeczesał włosy palcami.

– Muszę wrócić do Miasta Prawdy, Kate. Muszę się zobaczyć z Henrym. Muszę pomóc rodzinie, choć niewiele z niej zostało. Leo powiedział, że wojna już wybuchła i...

– Rozumiem.

– Są dwa samochody. Wezmę...

– Ja też wracam.

August zmarszczył brwi.

– Czy to dobry pomysł?

– Zapewne nie – odparła, chwytając srebrny wisiołek na szyi. – Ale muszę porozmawiać z ojcem. Pojedziesz ze mną?

August spiął się. Wiele ze sobą przeżyli i ufał jej, lecz myślał, że miałby stanąć naprzeciwko Harkera...

– Dlaczego?

Ścisnęła tak mocno, że pobiełały jej knykcie.

– Muszę go o coś zapytać. I chcę mieć pewność, że powie prawdę.

HHH

HHH

Kate Harker siedziała na brzegu biurka ojca, patrząc przez okno na chmury, na wiszące nisko nad miastem białe pasma. Serce jej waliło, całe ciało było obolałe, ale była tutaj. Tam, gdzie jej miejsce.

Dwór Harkera był fortecą; nie dało się do niego wejść ani wyjść niepostrzeżenie.

Co bardzo odpowiadało Kate. Chciała zostać zauważona.

Chciała, żeby *on* ją zauważył.

Zrobiła, co mogła, by utrzymać obecność Augusta w tajemnicy. Pokazała mu, gdzie ma stanąć, żeby uniknąć kamer.

I oto znaleźli się tutaj.

Cztery godziny zajęła im podróż powrotna do stolicy, teraz słońce było najsilniejsze, a miejskie potwory najłabsze. Z kilkunastu głośników apartamentu płynęła muzyka, cicha lecz nieustępliwa. August chciał włączyć coś z klasyki, ale Kate wybrała rock.

Nie marnowała czasu na pozbycie się krwi. Nie marnowała czasu na zmianę ubrania. W jednej ręce trzymała broń, którą Harker chował do szuflady biurka. W drugiej srebrny wisiołek, który wręczył jej rano w dniu ataku.

Kate nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób znaleźli ją tamtego popołudnia, w trupie budynku dwie przecznice od najbliższego schronienia. Albo w restauracji. Albo w domu rodzinnym. Dopiero kiedy odkręcała ostatnią śrubę od metalowej płytki, wreszcie pojęła. Wisiołek pękł, srebrny medalion rozpadł się, odkrywając schowany w środku chip.

Sloan nie skłamał.

Ale ojciec tak.

Przez całą drogę powrotną Kate zastanawiała się, co powie. Co zrobi. Wiedziała, że powinna po prostu uciekać, ale najpierw musiała poznać prawdę. Musiała ją od niego usłyszeć.

August stał pod ścianą obok drzwi, ze skrzyżowanymi rękoma, bębniąc bezmyślnie palcami o rękaw. Jego szare oczy patrzyły gdzieś w dal, kiedy usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe do apartamentu i ktoś idzie zdecydowanym krokiem po drewnianej podłodze. Jedna osoba.

Nawet po tym wszystkim jej nie doceniał.

– Katherine? – zawołał jej ojciec, zdyszany, nagłym tonem, jakby dopiero co

dowiedział się o jej obecności, o tym, że jest bezpieczna.

– Tutaj – odpowiedziała i chwilę później jej ojciec pojawił się w drzwiach. Jego ciemnoniebieskie oczy omiotły spojrzeniem całe pomieszczenie, omijając tylko Augusta, i ulga namalowała się na jego twarzy. Kate prawie w nią uwierzyła. – Co ty tutaj robisz? – zapytał. – Powinnaś być w domu.

– Byłam – przyznała. – Ale pojawił się Sloan. Powiedział, że ty go wysłałeś.

Spojrzenie Harkera padło na broń leżącą na jego biurku.

– Gdzie jest teraz?

– Nie żyje. – Harker się skrzywił. Widziała już ojca niezadowolonego, wściekłego, kalkulującego, panującego nad sytuacją. Nigdy jeszcze nie patrzyła, jak na jego twarzy maluje się zaskoczenie.

– Ostrzegałam, że to zrobię, gdy znajdę potwora odpowiedzialnego za atak.

– Sloan nie był...

– Wystarczy – przerwała mu i sięgnęła po zniszczony wisiorek. – Chcę tylko wiedzieć, czyj to był pomysł.

Harker zmierzył ją spojrzeniem. A potem jego usta wyciągnęły się w ponurym, zimnym i pozbawionym radości uśmiechu. I wtedy Kate zyskała pewność.

– Dlaczego? Dlaczego chciałeś zerwać rozejm?

– I tak się nie sprawdzał. Bez wojny Malchajowie by się zbuntowali.

– A co z piętnami? Co z potworami, które je wydrapały?

Harker wzruszył ramionami.

– To był pomysł Sloana, żeby odsunąć ode mnie podejrzania.

Zaskoczył tym Kate. Nie wątpiła, że nie kłamał, ale to nie była prawda.

Niedługo potwory się zbuntują, a kiedy to się stanie, miasto będzie moje.

Zaśmiała się gorzko.

– Ty głupcze – rzuciła do ojca. – Sloan wcale ci nie pomagał. Rozpętał powstanie potworów, a ty dałeś się wykorzystać.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– W takim razie – odparł sucho – dziękujemy Bogu, że się go pozbyłaś. – Postąpił krok w jej stronę. – Udowodniłaś swoją przydatność, Kate. Może jednak jesteś godna nazwiska Harker.

Kate pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Rodzina nic dla ciebie nie znaczy, prawda?

Twarz Harkera stężała.

– Nigdy nie chciałem córki, ale Alice tak, a ja ją kochałem. Powiedziała, że pokocham też ciebie. Kiedy przyszłaś na świat, tak się stało. Pokochałem cię. – Kate poczuła ucisk w piersi.

– Na swój sposób. Mówią, że ojcostwo zmienia mężczyznę. Mnie nie zmieniło. Za to Alice... Macierzyństwo ją zrujnowało. Nagle nie liczyło się nic prócz ciebie. Widziała tylko ciebie. Właśnie to ją to zabiło.

– Nie – warknęła Kate, chwytając broń. – Sloan ją zabił. Teraz pamiętam.

Chciała go znowu wyprowadzić z równowagi, raz jeszcze ujrzyć na jego twarzy szok, jaki wywoła wieść o zdradzie. Ale to się nie stało. On *wiedział*.

– Nie była już moja – powiedział chłodno. – Moja żona nie próbowałaby uciec

nocą. Moja żona była silniejsza.

Kate podniosła broń i wycelowała w ojca.

– Za to twoja córka jest bardzo silna.

Zmrużył oczy.

– Nie zastrzelisz mnie.

– Naprawdę mnie nie znasz, tato – odparła, naciskając spust.

Odgłos wystrzału był ogłuszający, lecz tym razem jej nie zaskoczył.

Ciało Harkera szarpnęło do tyłu, na jego ramieniu wykwitła plama krwi.

A potem wyszczerzył zęby. To było coś potwornego, zwierzęcego.

– Jednak nie jesteś prawdziwym Harkerem. Moja córka strzelałaby tak, by zabić.

Znowu nacisnęła spust, tym razem celując niżej; kula przebiła kolano i noga ugięła się pod Harkerem, lecz zacisnęła tylko z bólu zęby i mówił dalej.

– Myślałem, że to się uda, wiesz. Gdybyś przeżyła, gdybyś nie dowiedziała się prawdy o Colton. To mógłby być najlepszy ze światów. Może nawet zostalibyśmy prawdziwą rodziną.

Był czas, kiedy Kate niczego bardziej nie pragnęła. Teraz na samą myśl robiło jej się niedobrze.

– Nie jesteś ojcem. Nie jesteś nawet człowiekiem. Jesteś potworem.

– Ten świat należy do potworów – odparł Harker. – A ty nie masz tego, co trzeba.

Wycelowała w serce ojca.

– Mylisz się – powiedziała. Głos jej drżał, lecz nie dłonie. Zanim jednak zdążyła nacisnąć spust, stanął przed nią cień, zasłaniając cel.

– Kate, przestań.

Harker zmrużył oczy.

– Proszę, proszę. August Flynn.

– Zejdź z drogi – rzuciła ostrzegawczo Kate, ale August podszedł bliżej, aż lufa pistoletu dotknęła jego żeber.

– Nie.

– *Muszę to zrobić* – wydusiła przez ściśnięte gardło i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że płacze. Nienawidziła siebie za ten płacz. Łzy to oznaka słabości. Kate nie była słaba. I zamierzała to udowodnić. – Zasłużył na to.

– Ale ty nie. – August wyciągnął rękę i położył dłoń na jej dłoni dzierżącej pistolet.

– To nie ma znaczenia. Moja dusza i tak jest już czerwona.

– Wtedy to był wypadek. Bałaś się. Popełniłaś błąd. Teraz jednak... nie będzie odwrotu. Nie chcesz...

– Chcę sprawiedliwości – warknęła. – Chcę wymierzyć karę.

August drugą dłoń położył na jej ramieniu.

– Pozwól mi to zrobić.

Spojrzała mu w oczy. Były blade i szeroko otwarte, a na ich błyszczącej powierzchni zobaczyła siebie taką, jaką chciała być. Zobaczyła córkę Harkera. Drżenie wreszcie dotarło do dłoni Kate i zabrała ją z pistoletu, oddając go

Augustowi, a potem...

Jakiś ruch nad jego ramieniem, błysk metalu, gdy Harker podniósł się z klęczek i rzucił przed siebie.

Nie udało mu się. August odwrócił się i złapał go za przegub, wytrącając nóż i popychając Harkera z powrotem na podłogę. Wbił palce w ranę na ramieniu, a Harker syknął z bólu. August zdawał się nie czerpać z tego żadnej satysfakcji, jednak nie poluźnił uścisku.

– Powinnaś wyjść, Kate.

– Nie – odparła, jednak prawda była taka, że widok Harkera wijącego się z bólu w rękach Augusta przyprawiał ją o mdłości. Jej ojciec zawsze wydawał się silnym człowiekiem, lecz teraz, przyszpilony do podłogi kolanem Augusta, z czerwonym blaskiem pokrywającym jego ciało niczym pot, wydawał się słaby.

– Proszę – powiedział August. – Zadbaj o to, by nikt nam nie przeszkodził.

Kate zrobiła krok do tyłu, a potem kolejny i kolejny. Po raz ostatni spojrzała ojcu w oczy – ciemne, takie same jak jej – i rzuciła:

– Żegnaj, Harker.

A potem odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą dźwiękoszczelne drzwi.

Umierał długo.

August tego nie przeciągał, nie celowo, jednak resztki życia tego człowieka trzymały się go kurczowo i kiedy wszystko się skończyło, ciało Calluma Harkera leżało na środku pokoju, wykręcone i z wypalonymi oczami. Za oknami słońce zaczynało już opadać w stronę widnokręgu.

Krew ściekała z dłoni Augusta, kiedy się wyprostował. Wciąż nienawidził tego widoku i postarał się zetrzeć jak najwięcej czerwonej substancji przed wyjściem z pomieszczenia.

Kate siedziała na czarnej skórzanej kanapie, trzymając niezapalonego papierosa.

– Palenie zabija – rzucił cicho, nie chcąc jej wystraszyć.

Podniosła wzrok. Miała zaczerwienione oczy, jakby płakała, ale łzy zdążyły wyschnąć.

– Właśnie dlatego nie palę – odparła. – W tym mieście i tak łatwo zginąć. – Zerknęła za jego plecy, w stronę drzwi do biura. – Zwłaszcza teraz.

Wzięła prysznic, przebrała się i spakowała torbę, na wierzch kładąc pistolet. Jej jasne włosy wreszcie były wolne od piachu i krwi, a związane w kucyk odkrywały bliznę biegnącą z boku jej twarzy. Ubrała się na czarno i pomalowała paznokcie.

– Mogłabyś pojechać ze mną do Południowego Miasta – powiedział. – Moglibyśmy zapewnić ci ochronę...

Zanim skończył mówić, ona już kręciła głową.

– Nikt nie jest w stanie zapewnić mi ochrony, August. Nie w tym mieście. Nie teraz. Harker nie miał przyjaciół. Miał niewolników i wrogów. A teraz nie żyje. Myślisz, że puszczą mnie wolno?

Nie, nie myślał tak. Nawet po śmierci Sloana Malchajowie buntowali się,

a system Harkera upadł. W Północnym Mieście nie było już bezpiecznie. Nigdy nie było bezpiecznie.

Zjechali prywatną windą po garażu, gdzie zostawili samochód Sloana. Słońce już zachodziło i nie za niedługo ktoś zacznie szukać Harkera i znajdzie jego ciało. Kate położyła broń na siedzeniu pasażera, na dokumentach i gotówce, które zabrała z domu.

– Gdzie pojedziesz? – zapytał August.

– Nie wiem – odparła. To musiała być prawda.

Zawahała się w otwartych drzwiach, z jedną nogą w aucie i jedną wciąż na ziemi. August wyjął kartkę, którą zabrał z biurka Harkera, z rogiem zabrudzonym krwią. Zapisał na niej numer telefonu OSF i kod potrzebny do prywatnej linii Henry’ego, ponieważ August nie miał swojej.

– Gdybyś potrzebowała kiedyś pomocy – powiedział. Kate nie odezwała się, ale wzięła kartkę i schowała do kieszeni.

– Bądź ostrożna, Kate. – Chciał powiedzieć coś o bezpieczeństwie, ale zrezygnował. – Nie daj się zabić.

Uniosła brwi.

– Jakies rady?

August spróbował się uśmiechnąć.

– Zrób to tak samo, jak ja próbuję pozostać człowiekiem. Dzień po dniu.

– Nie jesteś człowiekiem – odparła, lecz bez jadu. Chciała już wsiąść, ale August złapał ją za rękę. Nie wyrwała się. To trwało tylko chwilę, ale było bardzo ważne. Widział to nawet mimo otumanienia.

Zabrał w końcu rękę, a Kate zamknęła drzwi i postukała paznokciami o opuszczoną szybę. August cofnął się i schował dłonie w kieszeniach.

– Powodzenia, Kate Harker.

– Do zobaczenia, Auguście Flynnie.

Patrzył, jak odjeżdża. A potem wyszedł z garażu na ulicę, w stronę Szwu, w stronę Południowego Miasta, w stronę domu.

Widzieli, jak idzie.

Wieści musiały się rozejść, gdy tylko wszedł do kompleksu. A może Paris zadzwoniła, kiedy przechodził przez Szew – Henry i Emily Flynnowie czekali na niego, gdy otworzyły się drzwi windy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przyciągnęli go do siebie i ścisnęli mocniej, niż to było konieczne. August opadł w ich ramiona i powiedział wszystko.

O Kate.

O Sloanie.

O Leo.

O tym, co wydarzyło się w Colton.

O ucieczce.

O zostawieniu Ilsy.

O Malchajach.

O zdradzie brata.

O jego śmierci.

Wyspowiadał się, a kiedy skończył, opadł na kolana, a Henry razem z nim i we dwóch klęczeli na podłodze, dotykając się czołami.

Henry powiedział mu, że po jego telefonie doszło do kłótni i Leo porzucił Flynnów oraz ich sprawę, wyruszając na własną misję. Nie mogli go powstrzymać.

Zrobił to dopiero August.

– Myślałem, że cię straciłem – wyznał jego ojciec.

Bo straciłeś – chciał odpowiedzieć August, lecz zostało go więcej niż przepadło, więc rzekł zamiast tego:

– Wróciłem. I bardzo mi przykro z powodu Leo. I Ilsy.

– Nic jej nie będzie – odezwała się Emily, dotykając jego ramienia.

Zadarł szybko głowę.

– Słucham? – Poczul, że dusi się nadzieją drzemącą w tych słowach, a potem strachem, że się przesłyszał. – Ale Sloan...

Henry pokiwał głową.

– Niewiele brakowało, August. Uciekła, ale... Cóż, uciekła i to jest najważniejsze.

– Gdzie jest teraz? – Zdążył już wstać i wyminął ich w drodze do pokoju siostry.

Pchnął drzwi i zobaczył ją i jej truskawkowe włosy. Stała przy oknie i patrzyła, jak słońce opada nad miastem, a Allegro obserwował ją z łóżka. Miała na sobie bluzkę z cienkimi ramiączkami i nawet z progu widział, że jej skóra jest naga, tysiące gwiazd, które niegdyś zmieniały jej plecy w nocne niebo, zniknęły.

– Ilsa – powiedział, tracąc dech z ulgi.

A potem ona odwróciła się w jego stronę i August cały się spiął – paskudna czerwona szrama biegła przez jej gardło. Sloan może nie powiedział całej prawdy, lecz nie skłamał.

August nie wiedział, w jaki sposób Malchaj zdołał ujść z życiem, ale cieszył się, że w końcu Leo wbił mu pręt w plecy.

Ilsa, mimo odniesionej rany, rozpromieniła się na widok brata. Nie odezwała się, wyciągnęła tylko rękę, a August podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie. Wciąż pachniała miętą.

– Myślałem, że nie żyjesz – szepnął. Wciąż cisza. Odsunął się i spojrzał jej w oczy. Nie wiedział, jak opowiedzieć jej o Leo. Ilsa była pierwszym Sunajem, a Leo drugim. Leo może jej nie kochał – może nikogo nie kochał – ale ona kochała jego.

– Nasz brat... – zaczął, lecz Ilsa przytknęła palec do jego ust.

Jakimś cudem już wszystko wiedziała.

– Boję się – szepnął w jej dłoń. – Zatraciłem się. – Oczywiście chodziło o coś więcej. Odebrał duszę drugiemu Sunajowi. Nawet teraz płonęła w nim jak gwiazda. – Chyba nie wróciłem cały.

Pokręciła smutno głową, jakby chciała powiedzieć *nigdy się nie wraca*

w całości.

Rozchyliła usta, jakby chciała się odezwać. Z jej gardła nie dobył się żaden dźwięk, lecz te błyszczące oczy były pełne słów i August wiedział, co chciała mu przekazać.

Nikt nie może pozostawać taki sam.

Odwróciła się z powrotem do okna i spojrzała na miasto, na Szew. Jej palce podniosły się do wciąż popękanej szyby i narysowały na ciemnym tle jedną gwiazdę, a potem kolejną i kolejną. August objął siostrę ramieniem i patrzył, jak wypełnia niebo.

Elegia

Kate pojechała na zachód.

Przez czerwoną, żółtą i zieloną strefę miasta, przez Ziemię Jałową i leżące za nią miasteczka. Dotarła do granicy przed zachodem słońca i podała strażnikowi dokumenty, a potem czekała, podczas gdy on popatrzył na zdjęcie, na nią, znowu na zdjęcie – odkleiła zdjęcie uśmiechniętego dziecka i zastąpiła go fotografią szkolną z Wild Prior albo Świętej Agnieszki, nie pamiętała już dokładnie. Większość szczegółów się zgadzała, jednak zgodnie z dokumentami nazywała się Kate Torrell. To było nazwisko panięńskie matki.

Trzymała ręce na kierownicy, powstrzymując się przed stukaniem paznokciami, kiedy strażnik sprawdzał dokumenty.

Jeszcze trzech innych strażników pilnowało granicy, jeden na ziemi i dwóch na wieżyczkach, każdy uzbrojony. Pistolet ojca znajdował się pod fotelem kierowcy. Kate miała nadzieję, że nie będzie musiała go użyć.

– Cel wizyty? – zapytał strażnik.

– Szkoła – odparła, próbując przypomnieć sobie, która znajdowała się po drodze, ale strażnik nie dopytywał.

– Zdaje sobie pani sprawę, że te dokumenty pozwalają na wjazd i wyjazd, prawda?

Pokiwała głową.

– Wiem, ale nie zamierzam wracać.

Strażnik wszedł do budki, a Kate przekrzywiła głowę i czekała w nadziei, że fałszerstwo się nie wyda. Oczy szczypały ją od łez, ale te wyschły już dawno, a ciemne szkła okularów chroniły przed blaskiem zachodzącego słońca. Radio było ustawione na stację z wiadomościami, prowadzący właśnie rozmawiali o napięciu rosnącym między Harkerem a Flynnem. O buncie na Szwie. O niemożności skontaktowania się z Callumem Harkerem. Wyłączyła radio.

– Panno Torrell – powiedział mężczyzna, oddając jej papiery. – Życzę bezpiecznej drogi – dodał.

Kate omal się nie uśmiechnęła.

– Będę ostrożna.

Brama otworzyła się i Kate ruszyła, opuszczając Prawdziwość. Miała do pokonania piętnaście kilometrów strefy buforowej do najbliższego rozjazdu. Piętnaście kilometrów, by zdecydować, gdzie chce się udać.

Znowu włączyła radio. Stacja z wiadomościami z Prawdziwości już traciła sygnał i kilka minut później całkiem przepadła, przełączając się na inny głos

z innego miasta z innego terytorium. Zniknęły newsy z Północnego Miasta, o Harkerze i Flynnach, a Kate jechała dalej, nie słuchając uważnie, dopóki jej uwagi nie zwróciło pewne zdanie.

– ...brutalne morderstwa wstrząsnęły opinią publiczną, zbijając z tropu śledczych z policji... – Kate wyciągnęła rękę do przodu i podkreśliła głośność. – Tak, zgadza się, James, z Prosperity docierają do nas niepokojące wieści na temat serii brutalnych morderstw, które z początku uważano za porachunki gangów.

Kate dotarła do skrzyżowania i zatrzymała się.

Temperance po lewej, Fortune po prawej, Prosperity prosto.

– Chociaż policja odmawia komentarza, świadek nazwał te zabójstwa rytualnymi, wręcz okultystycznymi. Doszło do nich krótko po kolejnym ataku z zeszłego tygodnia, w wyniku którego zmarły trzy osoby. Przystępność na tym terytorium od lat rośnie, lecz niedawne wydarzenia mogą stać się początkiem zupełnie nowego, przerażającego rozdziału w historii Dobrobytu.

– Czekają nas straszne czasy, Beth.

– W istocie.

– W istocie – powtórzyła Kate, wciskając pedał gazu.

August przejechał palcem po samotnej czarnej kresce na nadgarstku.

Nowy dzień.

Nowy początek.

Wstał, ubrał się, lecz nie do szkoły.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze, na ciemny mundur na jego szczupłym ciele, na białe litery OSF wyhaftowane na wysokości serca. Włosy wpadały mu do oczu, ale te były teraz ciemniejsze, grafitowe. Unikał własnego spojrzenia.

Usiadł na krawędzi łóżka, żeby zawiązać buty, a kot bawił się sznurówkami. Kiedy skończył, położył sobie kota na kolanach i popatrzył mu w pyszczek.

– Wszystko ze mną w porządku? – zapytał, a Allegro spojrzał na niego swoimi wielgachnymi zielonymi oczami i przekrzywił główkę tak, jak czasami Ilsa, gdy się zastanawiała. Potem wyciągnął małą czarną łapkę i położył Augustowi na nosie.

Chłopak poczuł, że się mimowolnie uśmiecha.

– Dziękuję.

Wstał. Na stercie książek czekał futerał. Prezent od Henry'ego i Emily. Znajdujące się w środku skrzypce były nowe i zostały wykonane nie z polerowanego drewna, lecz stali nierdzewnej, z ciężkimi strunami. Obok leżał stalowy smyczek.

Nowy instrument na nowy początek.

Dla nowego Augusta.

Sięgnął po skrzypce i wygrał smyczkiem pierwszą nutę. Była czymś więcej niż dźwiękiem. Była niska i wysoka, miękka i ostra. Wypełniła pokój równym odgłosem, który zawibrował w kościach Augusta jak bas. Nigdy takiej nuty nie słyszał i palce go świerzbiły, żeby zagrać, jednak powstrzymał się i opuścił

instrument.

Nadejdzie jeszcze czas na muzykę.

Czas na wezwane dusz.

Gdy zabrakło Harkera, Północne Miasto szybko osuwało się w chaos. Malchajowie z wydrapanymi piętnami atakowali Szew. Corsaje pożywiały się wszystkim, co stało na ich drodze, nawet jeśli miało na sobie medalion Harkera. Mieszkańcy panikowali. Nie wiedzieli, w jaki sposób mają zadbać o swoje bezpieczeństwo, jeśli nie mogą go kupić. Tylko kwestią czasu było, kiedy oddziały Flynna będą zmuszone przekroczyć Szew.

A kiedy to się stanie, August pójdzie z nimi.

Nie był Leo, jednak kiedy zabrakło siły jego brata i głosu siostry, pozostał ostatnim Sunajem Południowego Miasta. I zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uratować miasto.

Zostanie potworem, jeśli to pozwoli innym pozostać ludźmi.

August zabił Harkera, żeby Kate nie musiała tego robić. Nie czerpał przyjemności z tego morderstwa, lecz nie splamił ono jego duszy, nie tak, jak stałoby się to w jej przypadku. W końcu nie chodziło tylko o grzesznika, lecz także sam grzech, o cień, który pożera ludzki blask.

A August nie był człowiekiem.

Nie był z krwi i kości ani gwiazdowego pyłu.

Powstał z ciemności.

Leo miał rację w jednej kwestii – najwyższy czas, żeby August zaakceptował swoją naturę.

I wykorzystał ją.

Dom za Ziemią Jałową stał pusty, nie licząc trupa.

W łazience na dole z kranu do na wpół wypełnionej wanny wciąż kapłała woda.

Niebieskie drzwi frontowe nadal wisiały na zawiasach, a do środka wpadło kilka liści.

Słońce zbliżało się do widnokregu, rzucając długie cienie na drewnianej podłodze.

Większość cieni pozostawała nieruchoma, lecz jeden zaczął się wić, rozpląwać jak kałuża krwi, z dala od ciała i w górę, na ścianę. Wyciągał się i wykręcał, a potem odkleił się od opryskanej krwią ściany i wyprostował.

Była wysoka i chuda, z zaostrzonymi paznokciami, które błyszczały jak metal, i oczami żarzącymi się jak papierosy. Przeszła nad ciałem i ruszyła w stronę korytarza, potem do łazienki, gdzie na podłodze leżały kawałki roztrzaskanych skrzypiec. Rozgarnęła stopą drzazgi, porwane struny, a potem zobaczyła swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się do siebie, pokazując srebrzyste zęby. W sypialni na końcu korytarza znalazła zdjęcie mężczyzny i kobiety, z dziewczynką między nimi. Dorośli nic dla Malchajów nie znaczyli, lecz dziecko rozpoznała.

Zabrała fotografię i wyszła, nucąc pod nosem. Przeszła po ciemku żwirowy

podjazd i ruszyła na znajdującą się dalej łąkę. Przeczesła palcami wysoką trawę, podążając w stronę znajdującego się dalej magazynu, kierując się zapachem krwi i śmierci.

Pierwszego Malchaja znalazła w korytarzu, z wyrwanym sercem. Przeszła nad jego ciałem i skierowała się do drugiego potwora. Leżał w plamie światła, przesyty prętem, jak worek kości obleczony w garnitur.

Skóra, kości i garnitur... lecz nie serce.

Zadarła głowę, zastanawiając się, a potem chwyciła zakrwawiony pręt i wyciągnęła go z ciała z młaśnięciem.

Malchaj nie ruszył się.

Nic, nic, a potem z piersi potwora wydobył się drżący oddech, a powieki odkryły czerwone ślepia. Podniósł się i usiadł, wypuł czarną krew na beton, a następnie odchylił głowę i popatrzył.

– Jak się nazywasz, mała Malchai?

Zastanawiała się dłuższą chwilę, czekając, aż w jej myślach pojawi się imię. I tak też się stało, wezbrało w niej jak krew i odpowiedziała:

– Alice.

Wargi Malchaja wykrzywiły się w uśmiechu. Jego rechot rozbrzmiał w pomieszczeniu jak pieśń.

Podziękowania

Za każdym razem, kiedy siadam do pisania podziękowań, zamieram. Nie dlatego, że nie mam komu dziękować – wręcz przeciwnie, tych osób jest tak wiele, że z coraz większym przerażeniem próbuję przypomnieć sobie wszystkich, a im bardziej się staram, tym więcej zapominam. Zważywszy na to postanowiłam nie rozmieniać się na drobne, jednak muszę zaznaczyć, że każdy czytelnik, każdy przyjaciel czy fan, miał swój udział w powstaniu tej i każdej kolejnej mojej książki.

Dziękuję matce i ojcu. Napisałam dziesięć książek, a wy wciąż we mnie wierzyacie i nie kazaliście mi jeszcze poszukać sobie prawdziwej pracy. Obiecuję, że nigdy nie umieszczę was w żadnej historii.

Dziękuję swojej agentce, Holly Root, za niesłabnące wsparcie i ciężką harówkę. Jesteś najlepsza i cieszę się, że znalazłam się pod twoimi skrzydłami.

Dziękuję swojej redaktorce, Marcie Mihalick, za jej ostre uwagi i cudowną osobowość, a także za wymaganie ode mnie jak najwięcej. Praca z tobą jest wyróżnieniem.

Dziękuję całemu zespołowi z Greenwillow, od grafików po speców od marketingu i PR-u. Dziękuję brytyjskiej ekipie z Titan, Mirandzie Jewess, Lydii Gittins i wielu innym.

Dziękuję moim sześciu C, które z dwóch stron oceanu są moimi bojami i utrzymują mnie na powierzchni życia, nie pozwalając mi zatonać.

Dziękuję współlokatorce, Jennie, za cudowną przemianę przypadkowych składników w przepyszne dania, a także za przypominanie mi, bym wychodziła z domu.

Dziękuję niesamowitej grupie pisarzy i czytelników z okolic Nashville, za stworzenie wspańskiej społeczności, której z radością jestem częścią.

A przede wszystkim dziękuję wam, czytelnikom. Jesteście ze mną w biedzie i dostatku, na dobre i na złe.

Spis treści

PRELUDIUM

WERS 1: Potworze, czy mogę?

WERS 2: Potwór widzi, potwór robi

WERS 3: Biegnij, potworze, biegnij

WERS 4: Staw czoła swoim potworom

Elegia

Podziękowania